

SŁAWOMIR PESZKO SEBASTIAN STASZEWSKI

PESZKOGRAFIA

BĘDZIE SIĘ DZIAŁO

sqn
WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

Spis treści

[Okładka](#)

[Strony tytułowe](#)

[Dedykacja](#)

[Przedmowa](#)

[PROLOG BĘDZIE SIĘ DZIAŁO](#)

[ROZDZIAŁ 1 WIEŚNIAK](#)

[ROZDZIAŁ 2 RWĄCA WISŁA](#)

[ROZDZIAŁ 3 MIASTO DOZNAŃ](#)

[ROZDZIAŁ 4 KADRA PIERWSZY RAZ](#)

[ROZDZIAŁ 5 WILLKOMMEN IN KÖLN](#)

[ROZDZIAŁ 6 KADRA AFERA ALKOHOLOWA](#)

[ROZDZIAŁ 7 KADRA AFERA TAKSÓWKOWA](#)

[ROZDZIAŁ 8 KADRA EURO](#)

[ROZDZIAŁ 9 ZAŚLUBINY Z MORZEM](#)

[ROZDZIAŁ 10 KADRA MUNDIAL](#)

[ROZDZIAŁ 11 WIECZYSTA I CZYSTA](#)

[Strona redakcyjna](#)

PESZKOGRAFIA

SŁAWOMIR **PESZKO** SEBASTIAN **STASZEWSKI**

PESZKOGRAFIA

B Ę D Z I E S I Ę D Z I A Ł O

Kraków 2022

*Rodzinie,
która przetrwała to wszystko, a nawet więcej.*

PRZEDMOWA

Po jednej z ostatnich sesji nagraniowych jechaliśmy ulicami Krakowa w kierunku dworca kolejowego. Sławek pewnie prowadził potężnego grafitowego rolls-royce'a, którego na kilka dni pożyczył mu jego znajomy, agent prowadzący kariery gwiazd sportów walki. Na tylnym siedzeniu leżał zresztą pas wielokrotnego mistrza KSW Roberto Soldicia... Chociaż warte dwa miliony złotych auto robiło na przechodniach piorunujące wrażenie, Peszko kręcił nosem.

– Chyba jednak wolę mojego bentleya...

Nie zdążył skończyć zdania, gdy za nami rozbłyły światła policyjnego radiowozu. Wjechaliśmy pod zakaz... No tak, podróż z tym gagatkiem nie mogłaby obyć się bez atrakcji.

„Trudno, będzie mandacik” – pomyślałem, gdy dostrzegłem surową twarz funkcjonariusza. Ale Sławek jak to Sławek, energicznie wyskoczył z samochodu, uśmiechnął się tak, jak potrafi tylko on, i przybił z policjantem piątkę. Po chwili jechaliśmy dalej, oczywiście bez mandatu.

– Poznał cię? – zapytałem.

– No jasne.

– A o coś pytał?

– Tak.

– O co?

– Czy wyjątkowo jestem trzeźwy.

Oto cały Peszko.

Na napisanie tej autobiografii namawiałem Sławka prawie dwa lata. Niezliczoną ilość razy zasiewałem w jego głowie myśl, że nadszedł już czas, aby opowiedzieć własną wersję historii. Nie mogłem przekonać go pieniędzmi – tych w karierze zarobił sporo i nie stracił ich w kasynie czy na nietrafionych inwestycjach. Książki nie potrzebował też do zyskania ludzkiej sympatii; tę ma ogromną, o czym przekonałem się w Poznaniu, gdy przed pucharowym

meczem Lecha z Austrią Wiedeń przez godzinę rozdawał autografy kibicom stojącym w długiej kolejce. Zdziałała dopiero obawa przed tym, że to, co niezapisane, przepadnie na zawsze. Bo chociaż Peszko pamięć ma wybitną, to w jego wspomnieniach świat również zaczął zlewać się w nieregularną bryłę. Dublin stawał się Cardiff, Stany Zjednoczone Paragwajem, a remis – zwycięstwem. I w końcu uznał, że warto zebrać wszystkie pocztówki z jego zwariowanej kariery, by przekonać się, co wyjdzie z tego niecodziennego kolażu.

Na tych pocztówkach są wyjątkowe miejsca, ale przede wszystkim – niesamowici ludzie. Na potrzeby tej książki o Peszce zgodzili się porozmawiać Robert Lewandowski, Lukas Podolski, Adam Nawalka, Franciszek Smuda, Jakub Błaszczykowski, Łukasz Piszczek, Łukasz Fabiański, Marcin Wasilewski, Sebastian Mila, Adrian Mierzejewski, Jakub Wawrzyniak, Miloš Krasić, Piotr Rutkowski, a także kilkanaście innych osób, które spotkały naszego głównego bohatera na swojej drodze: w Jedliczu, Płocku, Poznaniu, Kolonii, Gdańsku czy Krakowie.

Z Peszki można się śmiać, a nawet trzeba – zresztą najwięcej ze Sławka śmieje się on sam, cały czas żartując o wymarzonym meczu z Finlandią i zmarnowanych setkach. Jednocześnie zasługuje na olbrzymi szacunek – nie należy do grona piłkarzy, którzy napisali autobiografię, mimo że więcej stracili, niż osiągnęli. „Peszkin” ma za sobą poważną karierę: grał przeciwko najlepszym piłkarzom globu, wystąpił na Euro i mundialu, zdobył kilka trofeów. Zaprzyjaźnił się też z „Lewym”, najlepszym piłkarzem w historii Polski, i „Poldim”, mistrzem świata z 2014 roku. Dodatkowo ma wspaniałą rodzinę: kochającą żonę Anię, nieschodzącego z boiska syna Marcela i córkę Wiktorię, świetnie zapowiadającą się tancerkę.

Życie Peszki, tak kolorowe, że aby je opisać, nie wystarczy podstawowa paleta barw, składa się jednocześnie z tylu złych decyzji, niezrozumiałych wyborów i kłód rzuconych samemu sobie pod nogi, że aż trudno w to uwierzyć. Gen autodestrukcji dawał o sobie znać w najgorszych momentach: gdy w tajemnicy uciekł przed Wolfsburgiem do Aten, gdy po pijanemu nawrzucał asystentowi selekcyjona, a później zdemolował taksówkę w Kolonii, tracąc przywilej gry na turnieju we własnym kraju, gdy raz po raz

popadał w konflikty z trenerami. Trudno nie odnieść wrażenia, że największym wrogiem Sławka jest on sam. Jest jednak także swoim najlepszym przyjacielem, bo nie ma wątpliwości, że gdyby nie jego wykuty w Jedliczu charakter, nigdy nie przeżyłby tego wszystkiego, o czym opowiedział w tej książce.

Sławomir Peszko – mimo wielu wad i zalet – ma jednak pewną istotną cechę, która sprawia, że w środowisku piłkarskim naprawdę trudno znaleźć kogoś, kto go nie lubi. Bez względu na to, czy pije właśnie wódeczkę z kolegami w barze U Wydry, czy opala się w Dubaju z Lewandowskim, czy siedzi w rolls-roysie i czeka na policjantów – zawsze jest sobą.

Sebastian Staszewski

PROLOG

BĘDZIE SIĘ DZIAŁO

Na zgrupowanie wybrałem się z nadzieją, że Adam Nawałka pozwoli mi zagrać choćby parę minut. Za kilka dni mieliśmy jechać na Wyspy Brytyjskie, aby powalczyć z Irlandią o punkty eliminacji mistrzostw Europy. Nie byłem jednak podstawowym piłkarzem reprezentacji Polski, ba – przez dziesięć długich miesięcy selekcjoner pomijał mnie przy powołaniach, jakbym przynosił mu pecha.

Po meczu z Gruzją Kamil Grosicki miał złamaną rękę, a Jakub Błaszczykowski dopiero wracał do formy po zerwaniu więzadeł, więc w ogóle nie został powołany. Ktoś zatem musiał tę lukę wypełnić.

Furorę w europejskich pucharach zrobiła wtedy Legia Warszawa i prezes PZPN Zbigniew Boniek wymyślił, że Nawałka powinien powołać Michała Żyrę. W tym samym czasie Hubert Małowiejski, szef banku informacji kadry, wybrał się do Monachium, aby obejrzeć mecz z Bayernem. I chociaż z FC Köln przegraliśmy aż 1:4, to rozegrałem jedno z moich najlepszych spotkań w Bundeslidze. Małowiejski to docenił i na początku drugiej połowy napisał Nawałce krótką wiadomość: „Mamy rozwiązanie naszych problemów”.

Dzień później selekcjoner zadzwonił do mnie.

– Sławo, jesteś gotowy? Potrzebuję cię.

Głos trenera brzmiał jak najśłodsza muzyka. Pomyślałem: „Fajnie, może nawet wejdę na końcówkę”. Ale Nawałka już pierwszego dnia obozu w Warszawie – co prawda nie mówiąc tego na głos – dał mi do zrozumienia, że z Irlandią wystąpię od początku.

Drugiego dnia zgrupowania byłem już pewny, że tak się właśnie stanie. Trzeciego dnia miałem w głowie tyle informacji o rywalach, że gdybyście obudzili mnie o trzeciej w nocy, to bez zastanowienia powiedziałbym wam, w którą stronę zwody robi Aiden McGeady i którą nogą piłkę woli przyjmować Robbie Brady. Nawałka

naładował mnie wiedzą tak, że spokojnie mógłbym zdawać na Harvard.

W dniu meczu miałem jednak problem z opanowaniem emocji. Myślałem, że oszaleję. Chodziłem po pokoju od drzwi do okna, od okna do drzwi, znów do okna i jeszcze raz do drzwi. Nie mogłem znaleźć sobie miejsca. Próbowałem wszystkiego. Spać też, ale nie było na to szans. Telefon sprawdziłem tysiąc razy. Co chwilę wyglądałem za okno, ale co mogło się dzieć za oknem?

– Sławek, chyba nie pogadamy. Idę do restauracji coś zjeść, a ty spróbuj odpocząć – powiedział Artur, kolega z Kolonii, który odwiedził mnie w pokoju.

Następnego dnia przyznał:

– Byłeś jak tygrys zamknięty w klatce.

Każda sekunda trwała wtedy minutę, a każda minuta – godzinę. Patrzyłem na zegarek: 14.32. Wieki później znów sprawdziłem, a tam... 14.55. Kurwa mać! Byłem dynamitem, który tego wieczora miał eksplodować na Aviva Stadium.

W końcu zostałem bohaterem.

Wcześniej zdarzały mi się dobre mecze, w których nie potrafiłem jednak wykorzystać znakomitych okazji. Tak było w Gdańsku, kiedy w pojedynkę powinienem był pokonać niemieckich medalistów mistrzostw świata. Albo na PGE Narodowym, gdy byłem o krok od zdobycia historycznego gola na nowym stadionie w sparingu przeciwko Portugalczykom. Za każdym razem czegoś jednak brakowało. Tym razem miało być inaczej...

Graliśmy już dobre dwadzieścia minut. Sprytnie nacisnąłem na Brady'ego, tak że Irlandczyk stracił piłkę. Dopadł do niej Maciek Rybus, który jednak nie za bardzo wiedział, co zrobić, i odbił się od obrońcy gospodarzy. Futbolówka odskoczyła na bok, ale ja – jakbym miał szklaną kulę i przewidział, co się wydarzy – już tam byłem. Decyzję o strzale podjąłem w sekundę i uderzyłem ile sił z lewej nogi. Gooooooooooooo! Prowadzimy! Peszkoooooo!!!

To był cudowny moment, którego chwilę później... pożałowałem.

Mało kto wie, że mam klaustrofobię. Od dziecka nienawidzę zamkniętych pomieszczeń, dostaję w nich szajby. Raz na zgrupowaniu Wisły Płock kilku kolegów postanowiło zrobić sobie ze

mnie jaja, narzucili mi na głowę kołdrę, a później na siłę wcisnęli mnie do szafy. Myślę, że szybko tego pożałowali, bo po wyjściu zacząłem napierdalać wszystkim, co wpadło mi w rękę: krzesłami, butelkami, poleciał nawet jakiś wazon. Dostałem białej gorączki. Tak samo było, kiedy lekarze w karetce zamknęli mnie przypiętego pasami do noszy. Nie zdążyli przejechać kilometra i musieli mnie uwolnić, bo bali się, że sam się wyrwę i zdemoluję im pojazd. Z klaustrofobią nie ma więc żartów. W Dublinie znów się o tym przekonałem.

W szaleńczej radości po голу koledzy wskoczyli na mnie i zrobili tak zwaną kanapkę: ja leżałem na trawie, a na mnie leżało kilkunastu facetów.

– Kurwaaaaa, złażcie ze mnie, duszę się, duszę się! – charczałem, ale oni nie rozumieli, co przeżywam. W tej pięknej chwili, zamiast cieszyć się z gola, walczyłem o przeżycie. Co za pojebana sytuacja...

Mimo to smak tego meczu był dla mnie wyjątkowy – zapewne tak człowiek czuje się po trafieniu w finale Ligi Mistrzów. Gdyby nie Shane Long, który w doliczonym czasie zdobył bramkę na 1:1, wartość mojego gola byłaby jeszcze większa. Ale i tak nie narzekam.

To, co wydarzyło się w Irlandii, jest jedną z najpiękniejszych chwil zebranych w trakcie mojej piłkarskiej podróży. A trochę przeżyłem. Występowałem w Polsce, Niemczech i Anglii, grałem w Pucharze UEFA i Lidze Europy. Rywalizowałem z Andrésem Iniestą, Alessandro Del Piero, Stevenem Gerrardem, Patrickiem Vиейrą, Andreą Pirlo, Tonim Kroosem, Virgilem van Dijkiem, Samuelem Eto'o czy Dejanem Stankoviciem. Występowałem w reprezentacji z moim przyjacielem Robertem Lewandowskim, z którym pojechaliliśmy na mistrzostwa Europy i mundial, a w FC Köln grałem z innym kumplem, Lukaszem Podolskim. Zwiedziłem cały świat, zarobiłem miliony złotych i poznałem największych kozaków piłkarskiego świata. A przy tym wszystkim – świetnie się bawiłem. I o tym wam opowiem. Jednego możecie być pewni: będzie się działo!

ROZDZIAŁ 1

WIEŚNIAK

Miał już czternaście lat, ale był strasznie mały. Nie widziałem, czy w ogóle ma kolana, bo spodenki sięgały mu aż do kostek. Pomyślałem: „Z tego mikrusa raczej nie będzie piłkarza”.

Tomasz Hajto

Nowi koledzy przywitali mnie w sympatyczny sposób.

- Wsiur!
- Biedak!
- Gnój!

Trwało lato 1999 roku. Miałem czternaście lat, byłem juniorem Nafty Jedlicze i zaczynałem właśnie treningi z najzdolniejszymi chłopakami z Małopolski i Podkarpacia. Kadra makroregionu, na którą zostałem powołany, składała się z dzieciaków z Krakowa, Tarnowa, Krosna, Rzeszowa czy Przemyśla. Najzdolniejsi mieli pojechać na zgrupowanie, a spośród nich wybierano zespół na Puchar Michałowicza – turniej ten miał status nieformalnych mistrzostw Polski, tyle że rywalizowały w nim nie kluby, a połączone okręgowe związki piłkarskie.

Nie urodziłem się w bogatej rodzinie i nie wyglądałem, jakbym z takiej pochodził. Szybko stało się to powodem zaczepek ze strony chłopaków w ortalionowych dresach, którzy na co dzień grali w Wiśle Kraków, Hutniku czy Cracovii. Czuli się ode mnie lepsi; mieli lepsze ubrania i lepszy sprzęt, który nosili w klubowych torbach. I nie mieli litości.

– Po co tu przyjechałeś, wieśniaku? – syczał wyższy o dwie głowy bramkarz Marek Pączek, który od razu wziął mnie na celownik. Pozostali tylko rechotali.

To nie były sympatyczne żarciki, koleżeńskie szpileczki, jakie znacie z filmików kanału Łączy nas piłka. To była brutalna dziecięca rąbanka mająca już pierwszego dnia sprowadzić mnie do poziomu gówna. Fala – jak w wojsku. Po docinkach tych wszystkich Pączków miałem ochotę wyjąć z kieszeni granat, odbezpieczyć zawleczkę i rozpierdolić całe to towarzystwo. Granatu jednak nie miałem, wielkich szans też nie. Krakusy przyjechały mocną paczką, od razu zajęły najlepsze pokoje, a mnie czy chłopaków z Dębicy potraktowały jak śmieci. Rzadko wtedy przeklinałem, ale pomyślałem sobie: „O wy chuję, jeszcze zobaczycie”.

Uratowało mnie wsparcie Mariana Cygana, który był jednocześnie trenerem makroregionu i reprezentacji Krakowa. To był uczciwy facet, nie faworyzował swoich podopiecznych. Gdyby nie Cygan, który wyłowił mnie na wiejskim boisku w Jarosławiu rok czy dwa lata wcześniej i we mnie uwierzył, pewnie od razu spakowałbym znoszony plecak i z płaczem wrócił do mamy. Ale wytrzymałem. I na treningach w Makowie Podhalańskim nie miałem sobie równych. Złość wymieszana z frustracją stały się moim paliwem rakietowym. Chłoptasie w wypastowanych butach – wśród nich był Paweł Stawarczyk, młodszy brat Piotra, który później grał w Ruchu Chorzów – oglądali tylko moje plecy.

Na koniec zgrupowania trenerzy podzielili nas na dwie drużyny, które miały ze sobą rywalizować. Z tej grupy Cygan zamierzał zostawić tylko kilkunastu najlepszych, reszta wracała do domów. Moja ekipa wygrała 1:0, a ja zdobyłem decydującą bramkę.

– Ty, Sławek, to na pewno zostaniesz... – wzdychali teraz cwaniacy, którzy tydzień wcześniej ze mnie szydzili. I właśnie tak było. Ja zostałem, oni zaczęli się pakować. *Adios amigos!* Nie zapomnijcie tylko zabrać ze sobą tych pięknych czerwonych dresów!

Nagroda za wytrwałość przyszła nadspodziewanie szybko. W Pucharze Michałowicza zajęliśmy drugie miejsce, przegrywając dopiero w finale z makroregionem pomorskim. Chociaż w Lipnie i Rypinie warunki przypominały obóz komandosów –

w mikroskopijnych pokojach spaliśmy na wojskowych łóżkach polowych – to fajnie było spotkać rówieśników z całej Polski i dowiedzieć się, że na ich tle wyglądamy całkiem nieźle.

Tuż przed wyjazdem na turniej znów pojechaliśmy do Makowa. Podhale odwiedził wtedy Tomasz Hajto, pan piłkarz grający w niemieckim Duisburgu. Jego rodzinny dom stał może sto metrów od stadionu Halniaka, na którym trenowaliśmy. Hajto miał akurat przerwę pomiędzy sezonami; przyjechał srebrnym porsche, które przypominało statek kosmiczny z opowiadań Stanisława Lema. Cygan zaprosił go do hotelu, żeby powiedział coś od siebie.

– Chłopaki, musicie ciężko trenować i mieć dużo cierpliwości. Tak jak ja. I pamiętajcie, że na boisku trzeba pokazywać charakter, jaja! Bo talent to nie wszystko – stwierdził „Gianni”. Rzucił tymi farmazonami z całkiem poważną miną, a my patrzyliśmy na niego jak na święty obrazek i wierzyliśmy w każde słowo. Miał zachodnią furę, zachodnie ciuchy, zachodnie okulary, a w portfelu zachodnią kasę. Był dla nas jak pan Bóg, tyle że nieco młodszy i bez brody.

Gdyby ktoś powiedział mi wtedy, że kilkanaście lat później „Hajtowy” będzie moim kumplem, wysłałbym go do wariatkowa. A tak się stało. Pewnego razu, na imprezie, zagadnąłem o to Tomka, który w dniu naszego pierwszego spotkania miał dwadzieścia siedem lat – jest starszy ode mnie o trzynaście. A on spojrzał na mnie niewyraźnym wzrokiem i rzucił w stylu Janusza Gajosa, który tak samo odpowiedział kiedyś Cezaremu Pazurze: „Sławek, kurwa, trzeba było powiedzieć, że to ty!”.

Jeśli jeszcze nie wierzycie w to, że byłem wręcz skazany na poważną piłkę, to opowiem wam inną historię – historię pewnego zdjęcia. Na fotografii stoi kilkunastu chłopaków, ostatni z prawej w dolnym rzędzie to ja. Na twarzy mam dziwny grymas, a na sobie dużo za dużą zieloną koszulkę ze spranym już napisem TELBUD. Zdjęcie zostało wykonane na turnieju o Puchar Kuchara, kilka tygodni przed „Michałowiczem”. W finale mój OZPN Krosno spotkał się z chłopakami z Przemyśla i wygrał 3:1. Dwie bramki zdobył Tomek Pierzchała z Jasła, a jedną – ja. Pomyślcie, że to fotka, jakich juniorskim drużynom robi się setki. Niby tak, gdyby nie jeden szczegół. Po lewej stronie stoi na niej elegancki, wyprostowany pan. Na nogach ma lakierki, na nosie okulary, do tego sportową kurtkę,

chyba Wisły. To... Adam Nawałka, późniejszy selekcjoner, który na żywo widział mojego finałowego gola.

Kiedy mama odwoziła mnie naszym starym fiatem na mój pierwszy obóz w Makowie, nie miałem pojęcia, że zaczynam właśnie niesamowitą podróż, która odmieni moje życie na zawsze. Dzięki niej przez kolejne dwadzieścia lat byłem wszędzie i wszystko zobaczyłem. Ja, wieśniak z Jedlicza, którego bramkarz Pączek zapytał na dzień dobry: „Po co tu przyjechałeś?”.

Urodzony na terenie wroga

Pochodzę z Jedlicza, miasteczka w województwie podkarpackim, jednego z tysiąca takich samych miasteczek rozsianych po całym kraju. Okoliczne dzieci rodziły się zazwyczaj albo w Krośnie, jak dwaj moi bracia, albo w Jasle. Tylko tam były szpitale. Jedlicze z Krosnem żyje nieźle, ale z Jasłem od zawsze mamy sąsiedzką kosę. A jeśli mam być precyzyjny: po prostu się nienawidzimy. I ja, Sławomir Konrad Peszko, na świat przyszedłem właśnie na terenie wroga. Trudno, stało się – dokładnie dziewiętnastego lutego 1985 roku.

Wcześniej urodził się mój starszy brat Daniel, później był jeszcze Szczepan, wcześniak, który pojawił się dziesięć miesięcy po mnie – w grudniu. Tata, Stanisław, był spawaczem, często wyjeżdżał na robotę za Odrę, dzięki czemu mieliśmy stały dostęp do niemieckich słodczy. Mama, Ewa, najpierw pracowała jako ekspedientka w sklepie spożywczym, a później otworzyła własny ciucholand. Typowa polska rodzina – tak bym o nas powiedział.

Na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych dzieciństwa małych Polaków wyglądały bardzo podobnie: nie było ani za bogato, ani zbyt biednie, ani za kolorowo, ani przesadnie szaro. Mało kto chodził w markowych ciuchach, komórka kojarzyła się ludziom co najwyżej z szopką stojącą za domem, a zamiast lampki prosseco wypijało się flaszkę z czerwoną kartką. Dzieciaki natomiast czas wolny spędzały głównie na podwórku – bawiąc się w wojnę, chowanego albo uprawiając sport.

Sport... Nie mam pojęcia, skąd wziął się w moim życiu, ale lubię myśleć, że byłem na niego skazany. Odkąd pamiętam, po prostu był.

W podstawówce jeździłem na zawody w kosza, szczypiorniaka czy unihokeja. Biegałem w sztafecie na sto metrów i w tej przełajowej też.

– Sławek to nam zaprezentuje – mówili wuefiści, kiedy chcieli pokazać klasie skok przez kozła. Szukali mnie też, gdy potrzebowali, żeby ktoś zrobił wymyk albo dwutakt.

Zimą trenowałem nawet biathlon. Mieliśmy strzelnicę z prawdziwego zdarzenia i ktoś zaproponował, żebym założył narty. Pewnie gdyby w Jedliczu była porządna hala do piłki, to nawet nie spojrziałbym na te deski, ale że hali nie było i jeszcze dawali postrzelać z karabinku, to dlaczego nie? Lubiłem to, przy okazji nieźle wyćwiczyłem wydolność, ale znikalem, gdy tylko śnieg topniał i znów dało się ganiać po boisku.

Garnąłem się jednak do wszystkiego, więc od pierwszego dnia zostałem ulubieńcem Piotra Brila i Kazimierza Zimy, moich nauczycieli wychowania fizycznego w szkole podstawowej przy ulicy Tokarskich. Gorzej było z pozostałymi, bo ci się irytowali, że ciągle ktoś zwalniał mnie na jakieś zawody. Dzięki wyjazdom na przeróżne turnieje byłem jednak uznawany za klasową gwiazdę. Co gdzieś pojechałem, to wracałem z dyplomem albo medalem. Dodatkowo nieźle się uczyłem, na trójkach i czwórkach. A gdy w ósmej klasie trzeba było wrzucić drugi bieg – skończyłem ją z czerwonym paskiem.

Powiedziałem, że nie mam pojęcia, skąd w moim życiu wziął się sport, bo w domu zajmował miejsce gdzieś pomiędzy baletem a modelarstwem. Czyli wszyscy mieli go gdzieś. U Roberta Lewandowskiego było odwrotnie – tata trenował judo, mama była po AWF-ie, siostra grała w siatkówkę. Mój ojciec natomiast nigdy nie chodził na mecze, nawet moje; na pierwszym był chyba dopiero w Płocku.

– Pojedziemy do Krosna – zaproponował kiedyś, ale na miejscu okazało się, że nie będziemy oglądać piłkarzy, tylko tamtejszy ŻKS, który jako tako radził sobie w drugiej lidze... żużla.

Przy naszym stole nie rozmawiało się więc o futbolu. Nie oglądało się go też w telewizji. Kiedy jednak grała reprezentacja albo Liga Mistrzów, czasami udawało mi się uprosić rodziców, żeby

zrezygnowali z jakiegoś durnego teleturnieju czy innej *Mody na sukces* i chociaż na chwilę oddali mi pilota. Jeśli się nie zgodzili, musiało wystarczyć mi radio, które tata przywiózł z Niemiec.

Jeden mecz z tamtego okresu zapamiętałem szczególnie. Został rozegrany dwudziestego drugiego maja 1996 roku. To dla mnie ważny dzień, bo właśnie wtedy zakochałem się po raz pierwszy. Ale nie w żadnej Oli czy Wioli, tylko w Juventusie. Stara Dama grała wówczas w finale Champions League i pokonała po rzutach karnych Ajax Amsterdam. „Alessandro Del Piero, Didier Deschamps, Gianluca Vialli, Paulo Sousa...” – wyliczał kolejnych graczy legendarny Dariusz Szpakowski, a ja nie mogłem oderwać wzroku od monitora.

Moje serce do dziś pozostaje biało-czarne, jak koszulki Włochów w tamtym meczu. Gdy rok później w finale z Borussią Dortmund Lars Ricken strzelił pięknego gola i przypieczętował porażkę Juve, płakałem całą noc. Wcześniej tata kupił mi koszulkę BVB, z charakterystyczną reklamą Die Continentale. To był wspaniały prezent, na osiedlu zazdrościli mi go wszyscy, ale rodzice szybko się zorientowali, że ulokowałem uczucia gdzie indziej, i niedługo później się poprawili, wręczając mi wełniany szalik Juve.

W Jedliczu mieszkaliśmy przy ulicy Brzozowej, w jednorodzinny domu z pięknym, dużym ogrodem. To właśnie tam stawiałem pierwsze piłkarskie kroki. Moimi rywalami były drzewa, które mijałem jak najlepszych obrońców świata: po lewej czekała na mnie zawsze skoncentrowana śliwa, po prawej niewygodna cytrynówka, obok jeszcze dwie doświadczone jabłonie. A do tego choinka, na którą wpadałem, robiąc podpatrzone w telewizji zwody. Moi bracia też czasem kopali, przez chwilę nawet w Nafcie, ale jakoś nigdy nie palili się do ganiaania ze mną. „Nie chcecie? To nie. Dam sobie radę!” – mówiłem, brałem piłkę i grałem sam na całe podwórko. Byłem jednoosobową drużyną: bramkarzem, obrońcą i napastnikiem. I zazwyczaj wygrywałem.

Nic nie ucierpiało na tym moim graniu tak bardzo jak kwiaty mamy. A były piękne, zadbane i... zbyt delikatne. Non stop miała do mnie pretensje, że połamałem jej róże czy inne petunie. Później się wycwanilem i zniszczone kwiatki wtykałem pomiędzy te jeszcze

sterczące, żeby nie było widać spustoszenia. W tyłek regularnie dostawały też drzwi od garażu, zrobione przez tatę z idealnie wyheblowanych czereśniowych desek. Odbijałem o nie piłkę przez tysiące godzin, aż w końcu zszedł z nich lakier. Zresztą deski też niedługo później wywiesiły białą flagę i popękały.

„Cewka” z Sherwood

W pewnym momencie zacząłem szukać nieco przyjaźniejszej przestrzeni – bez róż czy kruchych desek – i znalazłem ją kilka ulic dalej. Było tam pole, które na kolejne lata stało się moim drugim domem, a może nawet pierwszym. To był raj na ziemi, chociaż w niczym nie przypominał nowiutkich orlików, które codziennie mijacie w drodze do pracy. Moim boiskiem był zwykły plac wciśnięty pomiędzy kilka domów. Dwie metalowe bramki, trochę trawy, głównie po bokach, ale generalnie – piach. Żadnych linii, żadnych siatek. Nikogo to jednak nie odstraszało. Komputerów jeszcze nie mieliśmy, w telewizji były trzy kanały, więc dzieci z okolicy zbierały się na takich placach jak mój i biegały za piłką, aż zrobiło się ciemno.

Pewnego dnia ktoś z nas wpadł na genialny pomysł.

– Stwórzmy sobie własną ligę!

Od razu objechaliśmy na rowerach całe Jedlicze, zebraliśmy chętnych, a było ich całkiem sporo, rozrysowaliśmy nawet terminarz. Mój zespół nazwaliśmy Sherwood, bo mieszkaliśmy blisko lasu. Poza mną w Sherwoodzie grali jeszcze Bartek Smosna i jego brat Maciek, Marcin Janocha, czyli „Harnaś”, Piotr „Bobek” Bobusia i bramkarz Sebek Krawczyk. Inne osiedla i ulice też miały swoje ekipy. Były: Getto, Zawodzie, Górna Kolonia, Borek czy Rynek.

Nie pamiętam, czy byliśmy najlepsi. Pewnie nie. Ale tylko my wyglądaliśmy jak prawdziwa drużyna. Mama miała już wtedy sklep z używanymi ubraniami i któregoś dnia przyszła do niej partia koszulek klubu Rot-Weiss Essen. Było ich osiem – przepiękne, czerwono-białe, z wielkimi numerami na plecach. Oddała mi wszystkie, a ja rozdałem je kumplom.

– Od teraz nie jesteśmy Sherwood, tylko Rot-Weiss – oświadczyłem.

Kolegom od razu się spodobało, chociaż szczerze mówiąc, nie wiedzieliśmy, że to jakaś niemiecka ekipa. Ale to było bez znaczenia. Mieliśmy po dziesięć lat i wyglądaliśmy jak zespół z okładki „Bravo Sport” – całe Jedlicze zazdrościło nam tych trykotów. Zazdrościł ich nawet mój brat, który nie grał z nami, tylko w Getcie. Zwerbował go tam ziomek z klasy, który jednak nie umiał zorganizować koszulek. Sorry, Daniel, takie życie.

Na boisku spędzaliśmy całe dni. Kiedy mamy wołały nas na kolację, udawaliśmy, że ich nie słyszymy. Wymyślaliśmy sobie stawkę naszych meczów, ściągaliśmy chłopaków z innych ulic, byle tylko coś się działo. Obok jednak mieszkał strasznie wredny sąsiad, który miał jeszcze wredniejszego psa. Kiedy piłka wpadła za jego płot, nigdy nie chciał nam jej oddać – można więc było albo zaryzykować dziurę w tyłku, albo iść po tatę. Częściej wybieraliśmy tę drugą opcję, chociaż kilka razy zdarzyło mi się uciekać przed wściekłym wilczurem.

Jednocześnie mieliśmy też wiernego kibica. Nazywał się Adam Wyderka i miał w Jedliczu bar. Czasami przychodził popatrzeć na nasze mecze i po nich wołał nas na darmową oranżadę. Do dziś pamiętam jej smak, nazywała się Kaskada i była ohydna. Ale wtedy, po wygranych bojach, smakowała jak najlepszy szampan.

Kaskadę piliśmy po turnieju dzikich drużyn w Krośnie. Zdecydowaliśmy wtedy, że zbierzemy najsilniejszą pakę z całego miasteczka i spróbujemy coś wygrać. Poszło nam nieźle, doszliśmy do finału. Jan Skrzypczyk, znany w okolicy trener Karpat, chciał nas nawet zwerbować do miejscowego klubu. Kiedy czekaliśmy na finałowy mecz, przy boiskach na Bursakach pojawiło się jednak pięciu punków. Mieli skórzane kurtki i najwyraźniej szukali kłopotów.

- Frajerzy, oddawać forszę.
- Zostawcie nas. My tylko gramy tu w piłkę.
- To pogracie u siebie! A teraz dawać hajs i spierdalać!

Zaczęło się od wyzwisk, a skończyło na pięściach. Byliśmy od nich o kilka lat młodszy, ale nie spękaliśmy. Na trybunach zaczęła się regularna bójka dwunastoletków z siedemnastoletkami. Punkci się zdziwili, że się postawiliśmy, i w pewnym momencie odpuścili. Cieszyliśmy się z tego sukcesu tak długo, że... uciekł nam ostatni

pociąg do Jedlicza. Rozwiązań nie było zbyt wiele, komórek nie mieliśmy, a zbliżała się noc, więc poszliśmy do domu z buta. A do przejścia było z dziesięć kilometrów. Szliśmy więc wzdłuż torów, może bez pucharu, ale z satysfakcją, że daliśmy radę w starciu z wyrostkami.

Innym razem stwierdziliśmy, że w sobotę zagramy u siebie mecz na idealnie przygotowanym placu. Trawy nie mogliśmy wyczarować, ale dzień wcześniej robiliśmy przez kilka godzin porządkę: grabkami zebraliśmy kamienie, wyrównaliśmy dziury, przygotowaliśmy linie, ze sznura do snopowiązałki zrobiliśmy nawet siatki. A w nocy... spadła ulewa. Lało do samego rana, jakby ktoś siedzący na chmurze złapał za wielką konewkę i postanowił zagrać nam na nosie. Cała praca poszła na marne, bo boisko zamieniło się w wartki strumyk.

- Co teraz robimy? – zapytał jeden z kumpli.
- Nie chce mi się wracać do domu...
- Mi też.
- Ja też nie idę.
- To gramy!

Postanowiliśmy, że nie wystraszymy się kilku kałuży i zaczęliśmy taplać się w błocie, bo trudno było nazwać grą w piłkę. Do domu wróciłem dopiero wieczorem. Byłem dosłownie czarny; zza lepkiej mazi wystawały tylko niebieskie oczy i białe zęby. Gdy mama mnie zobaczyła, to się przeżegnała.

- Biegiem do ogrodu! – wykrzyczała.

Kiedy już stałem na podwórku, wyjęła z garażu szlauch, odkręciła wodę, kazała mi zamknąć oczy i... tak mnie wykąpała.

Koledzy wołali na mnie wtedy „Cewka”. Wszystko zaczęło się, gdy miałem jedenaście lat. Bawiliśmy się ze Szczepanem w sypialni, skakaliśmy po łóżku i w pewnym momencie poleciałem do tyłu. Pechowo walnąłem plecami o poręcz tak mocno, że straszny ból nie opuścił mnie przez następne godziny. W nocy miałem gorączkę, prawie czterdzieści stopni. W końcu przerażeni rodzice wsadzili mnie do samochodu i zabrali do szpitala w Krośnie.

- Pani Ewo, zrobiliśmy USG... Wiem, że może to zabrzmie dziwie, ale pani syn ma... cztery nerki. A dokładnie to dwie podwójne.

Mama o mało nie zemdląca.

- O Jezu! I co teraz?
- Trzeba to sprawdzić...

Wyniki, niestety, nie były najlepsze i w następnych tygodniach przechodziłem kolejne badania, było ich chyba ze dwadzieścia. Jedna z nerek zaczęła usychać, bo miałem problem z oddawaniem moczu i jego część zostawała w środku. Doktor zdecydował w końcu, że muszę przejść operację w Rzeszowie, w trakcie której przeszczepiono mi moczowody w inne miejsce. Na kontrolach bywałem wtedy częściej niż w domu. Do dziś pamiętam specyficzny zapach szpitalnej pościeli, ale dzięki temu po kilku miesiącach mogłem znów uprawiać sport. I zostałem „Cewką”, chociaż niektórzy wołali „Cewczenko”, na cześć słynnego Andrija Szewczenki.

– Nie mówcie tak na Sławka! – krzyczała na kolegów mama, ale mi to nie przeszkadzało.

Po operacji ona również zrobiła sobie prześwietlenie. I okazało się, że też ma więcej nerek, niż przewiduje protokół – trzy. No cóż, widocznie taka nasza rodzinna uroda.

Czasami ludzie pytają mnie, czy nie przeszkadza mi to w życiu codziennym. Odpowiadam ze śmiechem, że nawet pomaga – przez kilka godzin nie muszę chodzić do toalety, nawet gdy piję piwo. Inni biegają na stronę co pół godziny, a ja spokojnie otwieram kolejną puszczkę.

Czerwone fabosy

Nafta to zakładowy klub sportowy przy naszej rafinerii. Ta ma ponad stuletnią tradycję, daje ludziom pracę i strasznie śmierdzi. Pamiętam, jak wieczorami w powietrzu unosiła się woń ropy. To nie były czasy nowoczesnych filtrów i białego dymu. Gdy zakład zaczynał pracować, głównie w nocy, sadza była wszędzie. Rafineria utrzymywała nie tylko miasto, ale i drużynę, która nigdy nie osiągała sukcesów. Zazwyczaj grała w okręgówce, chociaż chłopakom kilka razy udało się awansować do czwartej ligi.

Na stadion przy ulicy Marii Konopnickiej po raz pierwszy zawiózł mnie ojciec Smosny. Pan Stasiek grał wtedy w Nafcie, a niedługo później został jej prezesem. Na początku po prostu rzucał nam piłkę, a my robiliśmy to samo co na osiedlu. Nie było trenera, nie było

treningów, nie było nawet naszego rocznika. Roczniaki były zresztą tylko dwa: 1984 i 1982. Byłem jednak piekielnie szybki i po kilku miesiącach ktoś stwierdził, że może poradzę sobie ze starszymi kolegami.

– Jak się nazywasz, chłopcze? – zapytał Bogdan Młócek, mój pierwszy trener.

– Peszko, proszę pana.

– Trochę mały jesteś, ale za to fajnie się kiwasz. No niech będzie, przyjdź na trening, zobaczymy, co z tego wyjdzie... – zdecydował.

Nafta nie miała wtedy zbyt silnej drużyny i szybko spadliśmy z wojewódzkiej ligi juniorów do powiatowej, chociaż później zrobiliśmy awans. JKS Jarosław, Czuwaj Przemyśl, Stal Sanok, Resovia Rzeszów, Igloopol Dębica – mieliśmy naprawdę mocnych rywali, do tego z większych miast, którzy traktowali małe Jedlicze jak dostarczyciela punktów. Mimo to z każdym miesiącem coraz odważniej hasałem po skrzydle i coraz częściej trafiałem do siatki. Pamiętam na przykład spotkanie z Brzozową Brzozów, które przegrywaliśmy już 0:2. Dziesięć minut przed końcem wziąłem się jednak w garść, zdobyłem trzy bramki i wygramyśmy 3:2.

Koledzy do dziś wspominają, że nie za bardzo chciałem wtedy podawać, cały czas szukałem za to dryblingów. Przyjęcie, piłka pięć metrów do przodu i gaz. Zazwyczaj działało. Mój kolejny trener, Janek Stanisław, dawał mi sporo wolności. Gwiazdą naszej drużyny był jednak starszy ode mnie o trzy lata Lech Czaja, który grał w kadrze makroregionu i nawet raz pojechał na młodzieżówkę. Słyszałem, że miał propozycje z silniejszych klubów, ale nie zdecydował się wyjechać z Jedlicza. W Naftcie został na zawsze, jeszcze niedawno kopał w okręgówce.

Kiedy nie występowaliśmy w lidze, jeździliśmy na turnieje towarzyskie. Graliśmy tam na małe bramki, orlikowe, dwa metry na trzy. Gdy więc pewnego razu wybraliśmy się do Dębicy na raczkujący dopiero Coca-Cola Cup, o mało nie zwariowałem z radości, bo bramki miały tam rozmiar dwa na pięć! Były taaaakie wielkie! Na początku wydawało mi się, że jakkolwiek kopnę, to wpadnie. I... tak właśnie było! Strzeliłem wtedy z czterdzieści goli. Uderzałem z każdej pozycji, nawet zza połowy. Nie chciałem

podawać, bo i po co? Na jednym z takich turniejów zauważył mnie Jan Eustachiewicz, trener kadry powiatu krośnieńskiego, z którym później wygrałem „Kuchara”. Mniej więcej w tym samym czasie moje nazwisko zapisał sobie w notatniku także trener Cygan.

Pamiętacie swoje pierwsze korki? Dziś dzieciaki ciągną rodziców za rękaw, idą do sklepu sportowego w galerii handlowej i wybierają najnowszy model, który tydzień wcześniej zaprezentował światu Cristiano Ronaldo. Kiedy ja zaczynałem grać, nie było ani galerii, ani Cristiano, a o profesjonalnych butach mogłem tylko pomarzyć.

Na pierwsze korki czekałem bardzo długo. Na co dzień kopałem w gumowych stomilach; miałem też białe halówki Hummela, które były nagrodą dla najlepszego zawodnika na jakimś szkolnym turnieju. Były co prawda cztery rozmiary za duże, ale dwie grube skarpety załatwiały sprawę. Kiedy jednak dostałem powołanie na makroregion, poprosiłem o normalne buty. Działacze Nafty trochę kręcili nosem, ale w końcu się zgodzili i pojechaliśmy do słynnej krośnieńskiej Fabryki Obuwia Sportowego (która szyła buty dla Wojciecha Fortuny, Kazimierza Deyny, a nawet... Fidela Castro!). Moje nowe fabosy pokochałem od pierwszego dnia: były czerwone, skórzane i robiły olbrzymie wrażenie.

Kiedy rok później zacząłem jeździć z Płocka na konsultacje reprezentacji, szefowie Nafty pokazywali na mnie palcem i mówili młodszym rocznikom: „Zobaczcie, teraz to kadrowicz, a jeszcze przed chwilą trenował w szmaciakach. Czyli się da!”.

Z Naftą żadnych sukcesów nie osiągnąłem, bo nie było na to szans. Podobnie ze szkołą. Poza mną, Czają i Smosną niewielu chłopaków się wyróżniało. Byłem ambitny, więc strasznie mnie to wkurzało. Kiedy wracałem po zawodach do domu, nawet z nagrodą indywidualną, mama od razu wiedziała, że coś jest nie tak. Szedłem do pokoju, zamykałem drzwi i przez kilka godzin przeżywałem niepowodzenia.

Nigdy nie zadebiutowałem także w seniorach naszego klubu. Mimo to uwielbiałem wyjazdy i starsi koledzy czasami zabierali mnie do autokaru. Kiedyś graliśmy z Czarnymi Jasło – to nasze święte derby. Choć to była tylko okręgówka, na trybunach siedziało

kilkaset osób. Od pierwszej minuty w powietrzu latały „kurwy”, jedni obrażali drugich, generalnie atmosfera była nieprzyjemna.

– Sławek, jesteś taki mały, że tobie na pewno nic nie zrobią. Weź idź po paluszki i chipsy – wymyślili w przerwie kumple, którym zabrakło odwagi, żeby samemu wyruszyć do sklepu znajdującego się za trybuną kibiców gospodarzy.

Wcisnęli mi w rękę dyszkę i kazali maszerować, więc schowałem szalik i poszedłem. Gdy tylko przekroczyłem próg sklepu, od razu skierowały się na mnie wszystkie oczy, jakbym nasze czarno-niebieskie barwy miał wymalowane na twarzy.

– A ty, gówniarzu, skąd jesteś?

– Jak to skąd, z Jasła! – stwierdziłem z udawanym oburzeniem.

– Taaa? A z jakiej ulicy?

Nagle zacząłem przypominać sobie nazwiska wszystkich narodowych wieszczów, ale akurat w tamtej chwili Mickiewicz i Słowacki poszli sobie na spacer.

– Z Kolejowej! – wypaliłem w końcu, bo chyba w każdym mieście jest jakaś Kolejowa.

Chwila zawahania przesądziła jednak o wyroku. Dostałem w dupę takiego kopa, że wylądowałem trzy metry dalej. Wcześniej zabrali mi jeszcze pieniądze. Z obolałym tyłkiem wróciłem więc do naszego sektora, a koledzy, zamiast mi współczuć, tarzali się ze śmiechu. Mnie do śmiechu na pewno nie było. A derby przegraliśmy.

Piwka piątkowe

– Sławek, Sławek, szybko do domu!

Szczepan biegł przez osiedle i darł się, jakby się paliło. Stałem na naszym boisku jak kołek i zastanawiałem się, o co mu chodzi. Na początku przeszło mi przez myśl, że może jakiś sąsiad mnie podkablował albo nauczyciel przyszedł do domu z niezapowiedzianą wizytą. Ale nie, ostatnio niczego nie odwaliłem. No i były wakacje.

– Ciocia przyjechała! Jedziesz do Płocka! – wydusił w końcu z siebie, a mnie zamurowało.

To był chyba najszybszy sprint w moim życiu. Na boisku zostawiłem i piłkę, i Szczepana. Gdyby przez ulicę przechodził właśnie słoń, to nawet bym go nie zauważył. Podróż z punktu A do

punktu B stała się dla mnie najważniejszą kwestią na świecie. Siedemset metrów, które dzieliło boisko od naszego domu, rozciągnęło się jednak niemiłosiernie... Biegłem i biegłem, aż w końcu dobiegłem. Na podjeździe zobaczyłem zielonego volkswagena golfa, którym jeździła nasza rodzina z Płocka. I faktycznie, w kuchni przy stole siedzieli ciocia Alicja i wujek Henryk. Znałem ich dobrze i lubiłem. Często wyrwali mnie z Jedlicza i zabierali na wakacje, nie tylko do siebie. Raz byliśmy na Mazurach, w Mikołajkach. Innym razem posłali mnie na obóz harcerski do Pizy, gdzie pierwszy raz pływałem żaglówką, ale generalnie nie było zbyt fajnie, bo starsi harcerze urządzili nam chrzest i kazali jeść karmę dla psów.

– Po wakacjach w Płocku otwierają klasę sportową. Chcielibyśmy cię tam zabrać – usłyszałem słowa, które zmieniły mój los.

Rodzina z Płocka czuła sport znacznie lepiej niż moi rodzice. Kiedyś wspomniałem cioci, że uwielbiam Widzew, a ona poprosiła córkę, która studiowała w Łodzi malarstwo, żeby mnie tam zabrała. Pojechaliśmy na stadion, na którym niewiele wcześniej w Lidze Mistrzów grały Borussia czy Atlético Madryt. Nie odbywał się wprawdzie żaden mecz, na obiekcie nie było choćby jednego kibica, ale ta murawa, te krzeselka, nawet stary zegar sprawiły, że przeżywałem wtedy najpiękniejszy moment mojego krótkiego życia.

Kiedy więc ciocia usłyszała od znajomego nauczyciela, że w Płocku otwierają sportówkę, od razu pomyślała o mnie. Wcześniej do mamy odezwał się Cygan i zaproponował, żeby wysłać mnie do Szkoły Mistrzostwa Sportowego w Krakowie. Pojawił się jednak problem: musielibyśmy sami kupić sprzęt, opłacić internat i jeszcze co miesiąc przelewać kasę za możliwość trenowania. Mama jednak od razu mi powiedziała, że nie ma na to szans. Wyjazd do Płocka był więc wybawieniem.

Zanim wujostwo przekazało mi tę świetną wiadomość, zdążyłem po raz pierwszy zakosztować alkoholu. Z kumplami obchodziliśmy moje czternaste urodziny i ktoś wymyślił, że trzeba się z tej okazji napić. Wychyliłem wtedy trzy czarne warki strong, które jeden z nas podkradł rodzicom, i o mało się nie przewróciłem. W głowie kręciło mi się tak, jakby koledzy wsadzili mnie właśnie na karuzelę. No

i strasznie się spociłem – chociaż raczej ze strachu przed konsekwencjami. Do domu wróciłem przerażony, bo gdyby ojciec się o tym dowiedział, byłaby awantura. Tata pił rzadko, bo dużo pracował i nie mógł sobie pozwolić na kilkudniowe ciągi. Wkurzyłby się więc, gdyby zobaczył, że jego nastoletni syn łązi narąbany po Jedliczu. Dlatego do domu wszedłem na paluszkach, ale... wpadłem na mamę.

– Śmierdzi od ciebie piwem. Piłeś?

Spojrzała mi prosto w oczy. Nie chciałem kłamać.

– Tak.

– Dużo?

– Nie.

– Marsz do pokoju i nie wychodź z łóżka, aż nie poczujesz się lepiej – powiedziała szeptem, ale tak dosadnie, że nie zamierzałem protestować.

Poszedłem spać, a mama wróciła do salonu. I nie zdradziła tacie naszej małej tajemnicy.

Jeśli myślicie, że po tym incydencie alkohol wyleciał mi z głowy, to niestety jesteście w błędzie. Trzy miesiące później wymyśliliśmy z kumplami, że będziemy spotykać się na męskie rozmowy w parku przy ogólniaku. Organizowaliśmy drobniaki, szukaliśmy kogoś dorosłego, kto by kupił nam browarki albo tanie wino, i gawędziliśmy o życiu. Chociaż z kasą to w ogóle był taki problem, że nigdy jej nie było. Raz ktoś podpowiedział, że można zarobić na zbieraniu agrestu.

– Dycha za skrzyknę!

Stawka za kilka minut łatwej roboty wydawała się atrakcyjna. Wziąłem więc pudło, pojechałem rowerem na plantację i po kilku chwilach chciałem stamtąd uciec. Nie zdążyłem wypełnić dna skrzynki, gdy ręce załamywały mi się krwią. Miałem je tak poharatane od kolców, jakbym przed chwilą próbował wyjąć coś z paszczy rekina.

– Panie, dawaj kasę i do zobaczenia nigdy – rzuciłem wściekły do właściciela plantacji, kiedy oddałem mu pełną skrzynkę. Dyszka wystarczyła na trzy piwka.

Te nasze parkowe spotkania odbywały się w każdy piątek. Z każdym alkohol smakował mi coraz bardziej, na ławce siedzieliśmy coraz wygodniej. Ocknąłem się dopiero pod koniec wakacji, gdy

zbliżał się wyjazd do Płocka. Strach przyszedł niespodziewanie, po cichutku, tak jak ja wchodzący do domu po pierwszym picciu. Usiadł mi na ramieniu i zaczął skrzeczeć: „Zostaniesz na tej ławce, zostaniesz na zawsze i będziesz sobie pił z kolegami to piwko. Zostaniesz tu...”. Znałem kilku starszych chłopaków, których życie przyspawało do jednej z tych osiedlowych ławek. Faktycznie zostali tam na zawsze, razem ze swoimi marzeniami. Nie zamierzałem być kolejnym. Następnego dnia poinformowałem więc kolegów, że dla mnie nasze piąteczki się kończą.

Zlatan Ibrahimović twierdzi, że człowiek może opuścić getto, ale getto nigdy nie opuści człowieka. Podobnie jest z Jedliczem, które zostało we mnie na zawsze. Do dziś lubię tam wracać. Przez trzydzieści siedem lat nie opuściłem ani jednej Wigilii w rodzinnym domu. Nie raz miałem zaproszenie do Dubaju czy innych ciepłych miejsc, ale zawsze wolałem naszą choinkę. Moi bracia mają to samo – świat poruszają, żeby dwudziestego czwartego grudnia przyjechać do rodziców. Zresztą te powroty to zazwyczaj duże wydarzenia. Z kumplami mieliśmy tradycję, że dzień czy dwa przed świętami spotykamy się w barze U Wydry, tego samego, który częstował nas oranżadą. Nie miało znaczenia, czy grałem akurat w Poznaniu, Kolonii czy Gdańsku. Kiedy przyjeżdżałem, na mój koszt piła cała sala. Nie raz i nie dwa siedzieliśmy do rana i wspominaliśmy nasze zwariowane dzieciństwo.

Kiedyś, już jako piłkarz Wisły Płock, przechodziłem obok mojej szkoły. Wypatrzył mnie pan Zima, wuefista, który wtedy był dyrektorem.

– Uwaga, uwaga! Za pięć minut wszystkie klasy mają pojawić się w sali gimnastycznej – zarządził przez radiowęzeł i poprosił, żebym spotkał się z dziećmi. Nigdy nie miałem z tym problemu, bo wiem, że znaczy to dla nich naprawdę dużo. Może dzięki temu chociaż jeden chłopak czy dziewczynka zapragną oderwać się od swojej ławki?

Trzy tysiące trzysta złotych

Zanim trafiłem do Wisły, musiałem przejść w Płocku testy sprawnościowe. Ale to była pestka. Jeszcze w trakcie ćwiczeń trener Krzysztof Wachaczyk podszedł do cici i powiedział jej cichutko:

– Proszę się nie martwić, jest dobrze.

Powody do zmartwień były jednak inne. Głównie – forsa.

– Chłopcy, Sławek jedzie do szkoły, część pieniążków będziemy musieli przeznaczyć dla niego, a to znaczy, że dla was będzie mniej – wytłumaczyli rodzice braciom, gdy było już jasne, że przeprowadzam się do Płocka.

Najpierw miałem pojechać na obóz do Ustki, a później zamieszkać w internacie. Miesięcznie kosztował trzysta pięćdziesiąt złotych. Do tego trochę pieniędzy na bilety, wyżywienie, może jakieś kieszonkowe. Dla naszego domowego budżetu to było spore obciążenie, więc Daniel i Szczepan nie byli z tego powodu szczęśliwi.

W tym samym czasie odbyły się niełatwe negocjacje w sprawie mojego pierwszego transferu. Działacze Nafty zwietrzyli zarobek i zażądali za mnie, piętnastolatka, trzy tysiące trzysta złotych plus worek piłek. Na tamte czasy były to spore pieniądze i nie było szans, żeby Wisła je zapłaciła. W pewnym momencie sprawa stanęła na ostrzu noża.

– Proszę z nimi porozmawiać, może pani przemówi im do rozsądku. Proponujemy różne rozwiązania, ale oni chcą dostać te trzy tysiące i koniec. A u nas w klubie nikt nie zapłaci za juniora – tłumaczył mojej mamie Wachaczyk, do którego drużyny miałem trafić.

Sprawa się przeciągała, mama kilkakrotnie dzwoniła do klubu, aż w końcu Wachaczyk zdecydował się na pokerową zagrywkę. Jak mi później przyznał, przesłał Nafcie te trzy tysiące trzysta złotych, które zabrał ze... składki na zgrupowanie. Nie pytając o to nikogo w klubie! Nie wiem, jak później to rozliczył, ale prezes w końcu wysłał do Płocka moje papiery, a ja oficjalnie zostałem zawodnikiem Nafciarzy.

Pod koniec sierpnia zabrałem więc trochę ubrań, ukochane fabosy i jeden plecak, po czym wsiadłem do pociągu jadącego do Warszawy. Na peronie w Krośnie mama strasznie się popłakała, ale miałem wrażenie, że wszyscy są smutni. Nawet tata. Wcześniej mieli

pewne wątpliwości, czy mnie puścić, bo nie wiedzieli, czy sobie poradzę. Niby w Płocku mieliśmy rodzinę, ale przecież było jasne, że nie będą się mną opiekować przez cały czas.

Pociąg, który miał mnie zawieźć do krainy marzeń, w niczym nie przypominał nowoczesnych składów Pendolino. Odrapane ściany, brudna, klejąca się podłoga, zacinające się drzwi. I straszny odór potu. Dodatkowo w środku nie było ani jednego wolnego miejsca. Z Krosna wyjechaliśmy o dwudziestej, na miejscu mieliśmy być po dziesięciu godzinach, więc czekała mnie noc na nogach. Po jakimś czasie udało mi się jednak dorwać rozkładane krzesło na korytarzu, które wtedy wydawało mi się królewskim tronem. Nie zdążyłem dobrze się rozsiaść, gdy podszedł do mnie młody żołnierz.

– A ciebie do której jednostki rzucili? – zapytał.

Najpierw pomyślałem, że może chce zabrać mi miejsce, ale byłem młodzieńczo i krótko ostrzyżony, tak jak chłopak w zielonym mundurze, więc szybko zorientowałem się, że wziął mnie za poborowego. A tych w pociągu było z dwustu.

– Jadę grać w piłkę – wydukałem.

– No to jak tak, to chodź do naszego przedziału. Nie bój się, nic się nie stanie.

Ten niewiele starszy ode mnie szeregowy naprawdę okazał się w porządku. W przedziale siedział z dwoma kolegami. Kazali mi rzucić torbę pod siedzenie i iść spać, bo do stolicy mieliśmy dojechać dopiero o szóstej rano. Na początku trochę się bałem, ale w końcu zasnąłem ze zmęczenia. Żołnierze zgodnie z umową dali mi znak, że jesteśmy już na miejscu i wyjaśnili, jak trafić z Warszawy Centralnej na przystanek autobusowy, z którego miałem jechać do Płocka.

W kolejnych miesiącach nie miałem tyle szczęścia. W tamtych czasach w pociągach regularnie okradano pasażerów. Raz, tuż przed świętami, ktoś zawinął mi sportową torbę z ubraniami. Innym razem straciłem portfel.

– Przejdź się po łazienkach i poszukaj w koszach na śmieci, bo złodzieje najczęściej wyrzucają tam portfele. Może odzyskasz chociaż dokumenty – poradził mi konduktor.

Moja opowieść o złodziejach nie zrobiła na nim żadnego wrażenia, bo takich zgłoszeń miał zapewne setki. Kosze przeszukałem,

dokumentów nie znalazłem.

Ale to było dopiero później. Najpierw żołnierze obudzili mnie w Warszawie i życzyli powodzenia. Nie mieli pojęcia, jak bardzo było mi ono potrzebne.

ROZDZIAŁ 2

RWAĆCA WISŁA

Właścicielka mieszkania siedziała na tapczanie i płakała. Błagała, żebyśmy się wyprowadzili, bo już nie miała sił. Sąsiedzi codziennie skarżyli się jej na nasze zachowanie.

Adrian Mierzejewski

Gabinet był wykończony w okropnym komunistycznym stylu. Na ścianach wisiła pożółkła już boazeria, obok okna dogorywała meblościanka, a atmosfery sprzed lat dopełniał stos starych gazet. Po jednej stronie lichego biurka siedział Mieczysław Broniszewski, trener seniorów Wisły Płock, po drugiej – ja. Broniszewski miał siwe włosy i raczej dobrotliwą twarz, która przyglądała mi się z zaciekawieniem.

– Wiesz, że mocno cię chwalam? Powiedzieli mi, że ostatnio strzeliłeś dwa gole w rezerwach. Jestem ciekaw, o czym marzysz – zapytał.

– Żeby trafić do reprezentacji Polski...

Moja odpowiedź chyba niezbyt go usatysfakcjonowała.

– A wcześniej?

– Wcześniej to chciałbym dobrze grać w Wiśle, ale tak w ogóle to marzy mi się kadra – upierałem się przy swoim.

– No dobrze – poddał się Broniszewski. – To zanim tam trafisz, potrenujesz z pierwszą drużyną. I jak dobrze pójdzie, to zagrasz w lidze – wypalił, a mi z wrażenia spadły buty.

O kurwa! Jeszcze niedawno miałem biegać na wypożyczeniu po trzecioligowych pastwiskach, a teraz facet mówi, że mogę wystąpić w Ekstraklasie! I to w naprawdę mocnym klubie. W kadrze mieliśmy

przecież Irka Jelenia, Wojtko Łobodzińskiego czy Marcina Wasilewskiego. W 2003 roku, gdy Broniszewski wezwał mnie do gabinetu, Wisła dotarła do finału Pucharu Polski, a rok później – już ze mną w składzie – zajęła piąte miejsce w lidze.

Decyzja trenera mocno mnie zaskoczyła. Co prawda rok wcześniej byłem na obozach w Bułgarii i na Cyprze, gdzie zabrał mnie Wiesław Wojno, ale nic się po nich nie wydarzyło i pogodziłem się z myślą, że na jakiś czas opuszczę Płock. Miałem osiemnaście lat i grałem co najwyżej w dwójce, więc ktoś wpadł na pomysł, żeby wysłać mnie na testy do Unii Janikowo. Nawet nie wiedziałem, gdzie leży to całe Janikowo, ale istotniejsze było coś innego: mieli tam ambicje, żeby awansować do drugiej ligi, i... hojnego sponsora.

Dostałem więc zgodę na występ w sparingu i wypadłem w nim na tyle dobrze, że działacze Unii od razu złożyli konkretną propozycję: miałem dostawać trzysta złotych za mecz, dokładali też jakąś kasę na dojazdy. Brzmiało całkiem nieźle, tym bardziej że w Płocku mogłem liczyć co najwyżej na skromne stypendium i darmowy obiad w stołówce Petrochemii.

– Jeśli się dogadacie, to mogę tam iść – powiedziałem po powrocie z testów. Było mi wszystko jedno. Granie w seniorach, nawet w Janikowie, i tak wydawało się lepszym pomysłem niż dalsze czekanie, aż docenią mnie w Płocku.

Ale ktoś w Wiśle poszedł po rozum do głowy i zablokował moje wypożyczenie.

– Zostajesz. I niedługo dostaniesz od nas jakieś pieniądze – usłyszałem.

Zamiast do Janikowa pojechałem więc do Gąbina na mecz rezerw. I od pierwszego gwizdka czułem się świetnie. W pierwszej połowie idealnie przymierzyłem w samo okienko bramki, po przerwie wyszedłem sam na sam i posłałem futbolówkę między nogami bramkarza. Wygraliśmy z Błękitnymi 3:1.

– Długo u nas nie pograsz... – przyznał zaraz po meczu trener Jan Błaszczyk.

– Słyszałem o tobie dużo dobrego – dodał dzień później Broniszewski.

W tamtym momencie moje życie przyspieszyło, jakbym dostał zastrzyk wysokooktanowego paliwa. Testy w Unii, wyjazd

z rezerwami, dwa gole, w końcu wizyta w gabinecie „Kaszany”, no i pierwsza drużyna... A za rogiem czekał na mnie debiut w Ekstraklasie.

Telefon Strejlaua

– To Sławek, chłopak z Krakowa, który od teraz będzie z nami trenował – powiedział trener Krzysztof Wachaczyk, ten sam, który tak zaciekle walczył o mój transfer z Nafty.

Panie, z jakiego Krakowa? Jak zwykle wszystko było na mojej głowie, nawet przedstawić musiałem się sam... Ale co zrobić, takie życie.

Pod koniec wakacji Wachaczyk zabrał mnie do Ustki na obóz Wisły. W Jedliczu rywalizowałem z chłopakami o trzy–cztery lata starszymi, od większości byłem zdecydowanie niższy i lżejszy. Nad morzem natomiast po raz pierwszy zagrałem z rówieśnikami. I przeżyłem szok – od pierwszego dnia byłem najlepszy! Wychodził mi każdy drybling. Każdy strzał zmieniał się w bramkę. Wygrywałem każdy sprint i każdą główkę. Niektórzy kumple z drużyny nie potrafili mnie nawet sfaulować.

Wachaczyk początkowo nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. Czy to ptak? Czy to samolot? Nie! To „Peszkin”! Pomyślał pewnie, że mam przebite blachy i jestem starszy, niż mu mówili.

Za głowy łapali się też trenerzy Widzewa Łódź, z którym w Ustce zagramy pierwszy sparing. Widzew to był mój ulubiony polski klub, a teraz miałem przeciwko niemu wystąpić. Strasznie się tym podnieciłem. A że rywale mieli krwistoczerwone koszulki, to zareagowałem jak byk na płachtę torreadora.

„No cześć, Sławek z Jedlicza jestem” – tym razem przedstawiłem się samodzielnie, strzelając dwa gole i dokładając do tego asystę. Piłkarze Widzewa nie mieli wesołych min, bo dzięki temu wygraliśmy 3:2. W przeciwieństwie do mnie, moich nowych kolegów i Wachaczyka. Od tego momentu wszyscy już wiedzieli, skąd jestem i jak się nazywam, ale na wszelki wypadek – gdyby ktoś miał problemy z pamięcią – w kolejnym sparingu dołożyłem trzy gole.

Nad morze jechałem, siedząc sam z przodu autokaru; po dwóch tygodniach wracałem z obozu, mając z tyłu swoje miejsce. Od razu złapałem dobry kontakt z większością drużyny. Wiadomo – każdy chciał poznać kozaka, który na dzień dobry strzelił kilka bramek.

– Chodź z nami na spacer, pogadamy – powiedzieli pewnego razu kumple, którzy odwiedzili mnie w pokoju.

Był już wieczór, godzinę wcześniej skończyła się kolacja. Nie wiedziałem, jakie mają plany, ale co tam, przecież mnie nie zabiją. Przed ośrodkiem, który należał do Ludwika Iwana, ojca Tomka Iwana, wówczas występującego w PSV Eindhoven, czekała już spora grupa. Ubrani w niebieskie dresy skierowaliśmy się w stronę lasu, do miejsca zasłoniętego przez gęste krzaki. Szliśmy tam w nieprzyjemnym milczeniu, więc pomyślałem, że może czeka mnie jakiś chrzest, jak u harcerzy w Pieszku, ale oni wyjęli z plecaka... tanie wino.

– To co, zdrowko?

Nieelegancko byłoby odmówić. I chociaż jabol smakował okropnie – dużo gorzej niż ten pity z kolegami na ławce w Jedliczu – to po pierwszym łyku stałem się „swój”.

Podczas powrotu do Płocka ja, Karol Cegłowski, Sebastian Szymborski oraz Daniel Kokosiński dogadaliśmy się, że w internacie zamieszkamy w jednym pokoju. Tak jest, moim współlokatorem został wtedy słynny „Kokos”, którego wiele lat później miliarder Józef Wojciechowski kazał zesać do rezerw Polonii Warszawa, tworząc tam równie słynny „Klub Kokosa”.

Internat przy ulicy 3 Maja był ogromny. Mieszkali w nim nie tylko piłkarze: trzecie piętro zajmowały dziewczyny, dwa kolejne – chłopcy, głównie z ogólniaka. I my, jako Wisła, chociaż byliśmy tam doklejeni trochę na siłę. W bursie panowała dyscyplina jak w pruskich koszarach, do której jednak szybko przywyknąłem. Sprzątałem pokój, nie hałasowałem po ciszy nocnej, regularnie odrabiałem zadania domowe. Dlaczego? Bo bałem się, że przez jeden durny numer będę musiał wrócić na Podkarpacie. To była moja fobia.

Od początku grałem świetnie, czułem się lubiany, a może nawet podziwiany, więc byłbym ostatnim kretyńcem, gdybym podpadł.

A takich kretynów nie brakowało, bo co jakiś czas ktoś wylatywał z klubu albo internatu za chuliganekę czy imprezy.

Inna kwestia, że w tamtym okresie nie miałem za co szaleć. Z Wisły przez długi czas nie dostawałem choćby grosika, sami opłacaliśmy spanie i jedzenie, a kieszonkowe to było ledwie kilkanaście złotych. Koledzy pochodzący z Płocka byli w lepszej sytuacji – forszę dostawali od rodziców, chodzili do restauracji, zabierali dziewczyny na lody. Unikałem tych wyjść, bo w tamtym czasie mogłem wyskoczyć co najwyżej na naszą jadalnię.

Gdy w końcu odłożyłem trochę grosza, moi współlokatorzy wpadli na szalony pomysł.

– Zrobimy sobie tatuaże!

– Ja wysiadam. Jak moja mama to zobaczy, to mnie zabije – próbowałem się wykręcić, szczególnie że od dziecka boję się igieł.

– Dobra, nie pierdol. Jak wszyscy, to wszyscy. Jesteśmy zajebistą paczką, to będzie nasz znak rozpoznawczy! – tłumaczyli mi uparcie, dlaczego mam wydać moje trzydzieści pięć ziko.

W końcu poszliśmy do salonu tatuażu i przez kilka godzin przeglądaliśmy przeróżne wzory: kwiatki, kotwice, mądrości w dziwnych językach. Każdy z naszej czwórki postawił na coś innego – ja wybrałem chiński znak, który oznaczał „siła woli” – ale każdy zrobił tatuaż w takim miejscu, żeby... dało się go ukryć. Moja dziara jest na biodrze i można ją zasłonić majtkami. Mama dowiedziała się o niej dopiero dziesięć lat później, kiedy opalałem się na podwórku w Jedliczu.

– A co ty tam masz, synku? – zdziwiła się.

– Eeee, mam, takie tam... Stare czasy!

Po zgrupowaniu w Ustce nikt nie miał wątpliwości, że potrafię grać w piłkę. Wachaczyk był świadomy, że jestem skrzydłowym, ale mimo to przesunął mnie na pozycję ofensywnego pomocnika. Widziałem więcej niż rówieśnicy i myślałem od nich szybciej, więc uznał, że bardziej przydam się na środku boiska. Chciałem to udowodnić w lidze, ale przez przeciągające się negocjacje z Naftą ominęły mnie cztery pierwsze mecze. W końcu jednak Wachaczyk zaryzykował i przesłał pieniądze, a ja mogłem pokazać, na co mnie stać.

Zadebiutowałem w Nasielsku. To była słabiutka drużyna, grała na takim wiejskim stadioniku. Ale po miesiącu samych treningów było mi wszystko jedno. Gdy trener wpuścił mnie na murawę, to oszalałem z radości. Gdy dorwałem się do piłki, to nie chciałem jej nikomu oddać. Biegłem przez pół boiska, kiwałem po kilku przeciwników i waliłem gola za golem. Jak Diego Maradona, tylko że z Jedlicza! Żbika rozbiliśmy 11:0, a ja zatrzymałem się na pięciu bramach.

Od tego momentu przypominałem Terminatora. Nie miałem dla rywali litości; nie robiło mi różnicy, czy graliśmy z Legią Warszawa, Drukarzem, MKS Ciechanów czy Polfą Tarchomin. Strzelałem każdemu. W Ostrołęce pokonaliśmy Narew 16:0, a ja znów walnąłem piątkę. Świetnie zagrałem także z Hutnikiem Warszawa, który prowadził Tomek Strejlau, syn słynnego Andrzeja Strejlaua. Były selekcjoner pracował wtedy w Płocku jako doradca i wybrał się na trybuny, żeby zobaczyć, jak radzi sobie jego syn. Wachaczyk opowiadał mi później, że w przerwie Strejlau wyciągnął telefon i zadzwonił do trenera młodzieżówki Andrzeja Zamilskiego.

– Andrzej, ty powołujesz Michała Lemanowicza z Płocka, prawda? No dobra, to słuchaj: patrzę właśnie na chłopaka, któremu Lemanowicz może buty wiązać. Taki mały, szybki. Peszko się nazywa. Masz go wziąć do kadry, rozumiesz? – zarządził pan Andrzej.

Może to zabrzmie nieskromnie, ale... nie zaskoczyła mnie ta historia. Gdyby w tamtym czasie przyznawali statuetki dla najbardziej wartościowego zawodnika meczu, dziś musiałbym je trzymać w piwnicy, bo w domu nie starczyłoby miejsca na półkach. W pierwszym sezonie strzeliłem trzydzieści osiem bramek.

Z Wisłą zdobyliśmy mistrzostwo Mazowsza, chociaż do samego końca goniła nas Polonia. Wygrywaliśmy wszystko, oni też, aż doszło do bezpośredniego starcia. Stawka była wysoka, więc klub pozwolił nam zagrać na głównej płycie przy Łukasiewicza.

To było wielkie święto. Na stadion przyszła cała szkoła. Nie tylko koledzy z innych klas, ale także dyrektor Bernard Szymański, który uwielbiał piłkarzy i zawsze stawał za nimi murem, pojawili się też mój wychowawca Bogdan Taube i pozostali nauczyciele. Do tego znajomi, rodzice. Łącznie ponad dwieście osób.

Nie mogłem zmarnować takiej okazji i poprowadziłem Wisłę do zwycięstwa, zdobywając dwie bramki. Wynik 3:0 był ukoronowaniem niesamowitego sezonu: z dwudziestu ośmiu spotkań wygraliśmy dwadzieścia siedem, strzelając łącznie prawie sto pięćdziesiąt goli.

W lidze nie brakowało jednak niezłych drużyn. Poza Polonią i Hutnikiem ciekawą paczkę miała też Agrykola Warszawa. Cięliśmy się z nimi strasznie, szczególnie kiedy mecze odbywały się w stolicy. Pewnego razu ktoś z Agrykoli doszedł do wniosku, że wspomogą się... sędziami.

Przy Myśliwieckiej arbitrzy kręcili nas jak baranów. Co decyzja, to skandal. Co gwizdek, to piłka dla nich. Pokazali nam dwie czerwone kartki. Dalej atakowaliśmy, lecz co podchodziliśmy pod pole karne Agrykoli, to gospodarze faulowali, a arbiter śmiał się nam w twarz. „Frajerzy, dziś nie macie szans” – zapewne tak sobie myślał pan z wąsem. W pewnym momencie dostałem podanie na trzydziestym metrze od bramki. Przyjąłem piłkę, choć nie najlepiej. „A co się będę pierdolił?” – pomyślałem, bo szkoda mi było nóg na kolejny faul. I jebnąłem z woleja tak, jak stałem. Piłka leciała... leciała... leciała... I wpadła bramkarzowi za kołnierz! Tuż przed przerwą minąłem jeszcze dwóch obrońców i zdobyłem drugą bramkę. W tamtym momencie nawet sędzia stracił wiarę, że nas przekreśli.

W końcówce meczu, którą rozegrałem na stoperze, rodzice ze stolicy dali pokaz kultury, a ja dowiedziałem się, czym jest hejt.

– Ty mała kurwo! Nie wyjedziesz stąd! – usłyszałem. Nie przejąłem się tym szczególnie, bo to było takie swojskie *We Are the Champions* – przecież znów zdobyliśmy mistrzostwo!

Regularnie grałem też w reprezentacji makroregionu, z którą wygraliśmy Puchar Deyny, czyli nieoficjalne mistrzostwo Polski. Zostałem wybrany najlepszym graczem turnieju, a Lemanowicz zdobył koronę króla strzelców.

Później zajęliśmy trzecie miejsca w pucharach Kuchara i Michałowicza. To właśnie tam spotkałem kilku chłopaków, którzy potem trafili do seniorskiej kadry, na przykład Łukasza Fabiańskiego z makroregionu wielkopolskiego.

Nie ma co kryć, w tamtym czasie byłem młodocianą gwiazdą. I w końcu musiało mi odbić. Strzelanie bramek przestało wystarczać,

więc wziąłem się za tresowanie sędziów. Brakowało mi tylko pejcza! W trakcie juniorskich meczów można było zarobić niebieską kartkę. Jak się ją dostało, należało zejść z boiska na dwie minuty, ale później można było wrócić. Ja w jednym meczu pauzowałem przez... osiemnaście minut.

To jednak mnie nie uspokoiło, non stop miałem do kogoś pretensje. Tu powinien być faul, tam źle pokazali aut, wtedy był spalony, a teraz go nie było. Ciągle coś mi przeszkadzało.

– Sławek, jak się zaraz nie zamkniesz, to usiądziesz na ławce i stamtąd będziesz komentował! – Wachaczyk w końcu nie wytrzymał i się na mnie wkurzył. Podziałało, chociaż tylko na kilka tygodni, bo niewyparzoną gębę mam do dziś.

W tamtym czasie po raz pierwszy wyjechałem za granicę. Razem z Wisłą wybraliśmy się na turniej Altifoot we Francji. O samolocie mogliśmy pomarzyć, przejechaliśmy więc ponad dwa tysiące kilometrów starym pekaesem! Ale co tam, wyjazd do dalekiego kraju i tak był ogromnym przeżyciem. Działo się to na kilka lat przed wejściem Polski do strefy Schengen, więc przy przekraczaniu granic czuliśmy się jak przemytnicy: były przeszukania z psami, smutni celnicy i sprawdzanie paszportów.

Było jednak warto, bo zawody rozgrywaliśmy w Pirenejach, na wysokości dwóch tysięcy metrów nad poziomem morza, w pięknej miejscowości Font-Romeu. Dwóm naszym kolegom tak bardzo spodobał się górski klimat, że pierwszego dnia poszli się poopalać – oczywiście nie smarując się kremem z filtrem. I skończyli jak przypieczony na ruszcie prosiak.

Na boisku poszło nam tak, jak kolegom smażenie się na słońcu – średnio. Rywalizowaliśmy z lokalnymi drużynami z Francji, była też ekipa z Portugalii. W ostatnim meczu grupowym doszło do wielkiej awantury. Prowadziliśmy 1:0, gdy na stadionie... zgasło światło. Graliśmy przy sztucznym oświetleniu, a tu jeb, nagle zrobiło się ciemno. Gospodarze się przestraszyli, że nie wejdą do kolejnej fazy, i po prostu odłączyli prąd! Był już wieczór, więc sędzia próbował zakończyć mecz i zaproponował remis. To byłoby korzystne dla Francuzów, a nie dla nas, więc zaczęliśmy się kłócić. Ja wkurzyłem się tak bardzo, że złapałem arbitra za szmaty!

– *Play, play!* – dałem się, ale chyba mówiłem zbyt słabo po angielsku, bo nikt mnie nie posłuchał i nie wyszliśmy z grupy.

W związku z tym, że nagle zyskaliśmy kilka dodatkowych dni, nasi opiekunowie zaplanowali bajeczną trasę powrotną. Odwiedziliśmy Lazurowe Wybrzeże, później pojechaliśmy do Wenecji i Rimini, zatrzymaliśmy się w Wiedniu i przez Słowację wróciliśmy do kraju.

Po drodze zahaczyliśmy też o leżącą niedaleko Font-Romeu Andorę. Przywiozłem z niej błękitne adidas z białymi paskami. Sprzęt sportowy był tam cholernie tani, bo to była strefa bezcłowa, więc za odłożone pieniądze kupiłem buty, kilka koszulek i szeleszczący ortalion Reeboka. To był dopiero szpan!

Nóż w udzie

Dwadzieścia lat temu Płock wydawał mi się Nowym Jorkiem. W Jedliczu mieszkało pięć tysięcy ludzi, w Płocku – dwadzieścia razy więcej. My mieliśmy naszą małą rafinerię, oni jedną z największych w kraju. Nafta grała w okręgówce, a Wisła w Ekstraklasie.

Klimat miasta był jednak specyficzny. Niby istniał tam wielki zakład pracy, w którym pracowali porządni ludzie, ale nie brakowało też miejsc, gdzie w ryj można było dostać za darmo.

Od razu po przyjeździe z Jedlicza wujostwo wbiło mi do głowy nazwy ulic, na których miałem się nie pokazywać: Słoneczna, Kwiatka, Mickiewicza. Odrapane ściany, awantury za oknem, żulerka waląca jabole pod monopolem – wystarczył jeden fałszywy krok i można było znaleźć się w dzielnicy jak z koszmaru.

Dopóki mieszkałem na 3 Maja, moje życie ograniczało się do trasy internat–szkoła–stadion. Po pierwszym roku wyprowadziłem się jednak na stację. Przy klubie kręcił się facet o nazwisku Iwanowski. Jego syn grał z nami w piłkę, a on pomagał Wachaczykowi w sprawach organizacyjnych.

Iwanowski miał akurat dwa wolne pokoje i dogadał się z Wisłą, że wynajmie je mi i „Lemanowi”, który pochodził spod Płocka. Nie były to żadne luksusy, mieściły się tam tylko wąskie łóżko i szafa, ale mimo wszystko poczułem wtedy pierwszy powiew niezależności.

Pomimo przeprowadzki wciąż nie opuszczała mnie frustracja. Chłopaki z drużyny żyli normalnie, chodzili do kina, pili piwko w barach. A u mnie wiecznie pusto. Kilka razy dzwoniłem do mamy i żaliłem się, że za chwilę rzucam to wszystko i wracam do domu, bo z tej całej piłki mam jedno wielkie gówno. Od ponad roku nie opuściłem treningu, a i tak nie było mnie stać nawet na wyjście do baru mlecznego.

W nadziei na jakikolwiek zarobek chodziliśmy z Lemanowiczem po punktach bukmacherskich i obstawialiśmy tak zwane tasiemce. Brało się kupon za dwa złote, wybierało kilkanaście meczów – zawsze z lig zagranicznych – i czekało na cud. Cuda właściwie się nie zdarzały, aż nadeszła pewna niedziela – cudów właśnie!

Razem z Michałem obstawiliśmy wtedy swoje kupony, a także jeden dodatkowy – dla pani Iwanowskiej.

– Chłopcy, jak już idziecie, to weźcie i dla mnie, może szczęście mi dopisze – poprosiła i dała nam dwójkę.

Wybrałem trzynaście spotkań, typując zwariowane wyniki. Był wśród nich mój Juventus, który akurat grał z Milanem. To był ostatni typ – na remis. Wszystko inne już weszło, ale na początku meczu Milan strzelił dwie bramki.

– No i co, chłopcy, będzie coś z tego? – zapytała pani Iwanowska.

– Niestety nie, trzy pudła...

– No szkoda, może kiedyś się uda.

Byliśmy do tego przyzwyczajeni, więc poszliśmy spać. Rano włączyliśmy jednak telegazetę i okazało się, że... Juve doprowadziło do remisu 2:2! I moje dwa złote zamieniło się w tysiąc osiemset! Ludzie, przecież ja takich pieniędzy na oczy jeszcze nie widziałem!

Po lekcjach zaprosiłem kilku kolegów do modnej wtedy restauracji Sphinx. Chciałem podzielić się z nimi bogactwem. Zamówiliśmy po shoarmie i dużej coli; siedzieliśmy tam ze trzy godziny i bawiliśmy się jak królowie życia.

– Kelner! Dolewkę coli, a co! Stać mnie – korzystałem z chwili.

Wydałem wtedy ze dwie stówki, ale czułem się, jakbym całą noc imprezował w wypasionym klubie na Ibizie. Resztę kasy wpłaciłem później na egzamin na prawo jazdy.

Z tym prawkiem to była zresztą nieciekawa historia. Pamiętacie ulice, na które miałem nie zaglądać? Nikt jednak nie ostrzegł mnie

przed Otolińską, gdzie mieścił się wojewódzki ośrodek ruchu drogowego. Chodziliśmy tam razem z „Lemanem”. Tego dnia byliśmy już po jazdach i wracaliśmy na stację. Michał rozmawiał akurat przez telefon z trenerem Błaszczkiem z rezerw.

– Hej, ziomeczki – usłyszałem w pewnym momencie za plecami nieznamy głos.

Odwróciłem się i... dostałem taki strzał, że urwał mi się film. Potężny sierp siadł na moim policzku, jakby wyprowadził go zawodowy bokser; chwilę później dostałem jeszcze kontrolnego kopa w żebra. W tym czasie drugi napastnik wyciągnął nóż i wsadził go w udo Michała. A później zabrał mu komórkę i uciekł.

Kiedy się ocknąłem, kolega leżał na ulicy, a z nogi tryskała mu krew. Nie miałem pojęcia, czy to tylko klatka z filmu o Rambo, czy może faktycznie właśnie zostaliśmy napadnięci. Byłem w szoku, ale szybko się pozbierałem i pobiegłem po pomoc. Niedługo później przyjechała karetka, lekarz zszył „Lemanowi” udo i sprawa trafiłaby pewnie do archiwum, gdyby nie fakt, że jego ojciec był policjantem. Facet stanął na głowie, żeby dopaść tych dwóch gnojów; szukała ich policja w całym Płocku. Aż ich namierzyła.

Z tego, co wiem, to była nawet rozprawa w sądzie, ale okazało się, że jeden z tej dwójki chodzi do naszej szkoły. W końcu doszło do spotkania z rodzicami i skończyło się na przeprosinach. Telefonu oczywiście nie odzyskaliśmy, bo patusy zdążyły go opchnąć.

Niedługo później wyprowadziłem się od Iwanowskiego i wynająłem malutką kawalerkę na Słowackiego. Ale znów w niezbyt przyjemnej dzielnicy. Najważniejszym argumentem była jednak cena, więc zacisnąłem zęby i pomyślałem, że jakoś to będzie. Szybko tego pożałowałem, bo znów trafili mnie złodzieje.

Tym razem obyło się bez obitej mordy – nie było mnie akurat w domu – ale kawalerkę wyczyszczono, jakby wpadła tam perfekcyjna pani domu. Mieszkanie wręcz lśniło! Rąbnięto mi kilkanaście koszulek różnych klubów, telewizor, buty, konsolę Pegasus. Złodzieje zostawili tylko stary czajnik i kilka par brudnych gaci. Weszli do środka oknem, które zostawiłem uchylone, a wyszli elegancko – drzwiami. Zgłosiłem włamanie na policję, były oględziny, ale sprawę umorzono.

Ania i... Adrian

Na początku w Płocku chodziłem do liceum zawodowego. Dopiero rok później trafiłem do „siedemdziesiątki”, czyli Zespołu Szkół Technicznych, bo moją pierwszą szkołę zamknięto i wszystkich, łącznie z nauczycielami, przeniesiono na ulicę Jana Kilińskiego.

Poznałem wtedy Annę Wiktorowską. Ania uczęszczała do „czwórki”, czyli ogólniaka mieszczącego się obok mojej budy. Nasza znajomość rozpoczęła się jak w typowym filmie o nastolatkach – od nieśmiałych spojrzeń i krótkich pozdrowień. Od razu wpadła mi w oko, bo miała piękny uśmiech i... blond włosy.

Nie pamiętam już, kto pierwszy się odezwał, ale Ania przyznała się kiedyś, że też jej się spodobałem i celowo zatrzymywała się pod szkołą, żeby się ze mną widywać. Po jakimś czasie zaczęliśmy spotykać się regularnie; chodziliśmy na spacery albo jeździliśmy „trójką”, autobusem, który zatrzymywał się na przystanku pod jej domem na Rutskich.

Po jakimś czasie Ania zaczęła zapraszać mnie do siebie. Jej tata to twardy facet, który przez lata pracował w firmie produkującej kombajny. Pan Stanisław jest też wielkim kibicem Nafciarzy. I właśnie dzięki temu zyskałem jego sympatię.

– Trenujesz w Wiśle? O, proszę. A dobry jesteś? Tak? – spytał przyszły teść i oczy aż mu się zaświeciły. – To może przyjdę kiedyś zobaczyć, jak grasz – zapowiedział.

Chyba wziął mnie za poważnego kandydata, bo faktycznie zaczął pojawiać się na meczach. Mama Ani, pani Danuta, po wysokich zwycięstwach szykowała natomiast królewskie kolacje. I pozwalała mi posiedzieć w pokoju swojej córki do dwudziestej drugiej – przy zamkniętych drzwiach! To było coś, bo moja mama jeszcze długo się na to nie godziła.

Zresztą gdy Ania pierwszy raz przyjechała do Jedlicza, mama strasznie mnie wkurzyła. Zjedliśmy kolację i zaczęliśmy oglądać coś w telewizji. Ale zrobiło się późno, więc stwierdziliśmy, że idziemy spać.

– A ty, kawalerze, gdzie? Ania śpi w twoim pokoju, a ty na dole! – usłyszałem.

– Ale mammo... Mam już osiemnaście lat!

– Nie ma dyskusji. Jeszcze za wcześnie. Na dół!

Po jakimś czasie mama się poddała. A my z Anią stworzyliśmy wspaniałą parę. To moja pierwsza i jedyna miłość. Wcześniej spotykałem się z jakimiś koleżankami, ale nigdy nie było z tego czegoś poważnego. Z Anią było inaczej.

Na początku 2004 roku w Wiśle pojawił się Adrian Mierzejewski. Był ode mnie rok młodszy, ale w piłce już coś znaczył; miał opinię talentu, której dorobił się w juniorach Stomilu Olsztyn.

Po przyjeździe Adriana klub wynajął nam wspólne mieszkanie – tym razem w porządnej dzielnicy, na Podolszycach. Dookoła pełno było rodzin z klasy średniej, które rano odwoziły dzieci do szkoły, a wieczorami wyprowadzały psy.

Jeśli chodzi o nasze temperamenty, na pewno tam nie pasowaliśmy. Bo „Mierzej” okazał się... moim klonem. Niestety, z uszczerbkiem dla naszej edukacji.

Smutna prawda jest taka, że odkąd zamieszkaliśmy razem, zaczęliśmy olewać szkołę. Spaliśmy do dziesiątej, więc omijaliśmy kilka lekcji dziennie. O ile w ogóle poszliśmy do budy. Moi rodzice byli daleko, więc nie mieli nade mną żadnej kontroli. Adriana próbował natomiast pilnować jego tata, który czasem zaglądał do Płocka.

– Halo, chłopaki, gdzie jesteście? – dzwonił przed ósmą rano.

– Jak to gdzie? Do szkoły idziemy! – mówił „Mierzej” i sekundę później znów spał.

Kiedy po kwadransie jego ojciec stawał w drzwiach naszego mieszkania, nie było nam do śmiechu. Dostawaliśmy srogi opierdół i na lekcje biegliśmy sprintem.

W pewnym momencie przestało jednak być zabawnie. Zadzwonił dyrektor Szymański i po wojskowemu wytłumaczył mi, że jak tak dalej pójdzie, to nie dopuszczą mnie do matury. Rodzice chyba dostaliby zawału, więc zacząłem pojawiać się na lekcjach. Wziąłem się do roboty tak, że maturę zdałem bez kłopotu, chociaż z małą pomocą jednego z nauczycieli. Pisałem akurat egzamin z historii. Po otrzymaniu arkusza poprosiłem o możliwość pójścia do toalety. Nauczyciel poszedł ze mną.

– Jaki masz temat? – zapytał szeptem, gdy byliśmy już w łazience.

– Taki i taki.

- Umiesz?
- Średnio. Mam jakieś ściągę, ale nie wiem, czy mi wystarczą.
- To pisz to, to i tamto.

Miejsca bitew, nazwiska prezydentów i daty wbił mi do głowy w telegraficznym skrócie. A że mam naprawdę dobrą pamięć, to wszystko przepisałem na papier. I zdałem na piątkę. Kilka tygodni później maturę wręczył mi na stadionie Wisły... trener Strojilau.

Z Adrianem wciąż byliśmy nierozłączni. Czas spędzaliśmy razem: graliśmy w karty, chodziliśmy po knajpach, a czasami po prostu szwendaliśmy się bez celu. Gdy nie mieliśmy żadnego innego pomysłu, to odpalaliśmy film *Troja* z Bradem Pittem. Generalnie filmy oglądaliśmy non stop, bo niedaleko mieszkania Ani była wypożyczalnia DVD, ale *Troję* katowaliśmy ze dwieście razy.

Czasami z tego szwendania wynikały jednak problemy. Tak było na przykład na urodzinach naszego znajomego z rezerw. Razem z Adrianem, „Lemanem” i Klaudiuszem Ząbeckim wybraliśmy się do klubu Kino, ale po drodze spotkaliśmy miejscowego kozaka, który nas zaczepił. „Mierzej” postanowił mu wyjaśnić, że trafił pod zły adres:

- Jak, kurwa, nie wiesz, z kim tańczysz, to spierdalaj, pedale!

Nasz nowy kolega nie wziął jednak rady do serca, skrzyknął ekipę z Międzytorza, niebezpiecznego osiedla Płocka, i zaczął nas ganiać. Błyskawicznie zrozumieliśmy, że rywale mieli przewagę liczebną.

- Panowie, spieprzamy!

Nie mieliśmy z nimi szans, więc zadzwoniłem do Wahana Geworgiana, który mieszkał niedaleko. Wanik przybiegł tak, jak stał – w kapciach. A jak już przybiegł, to zaczęła się jatka. Był w te klocki dobry, więc rzucił się w tłum naszych prześladowców. A my za nim. Spuściliśmy im straszny wpierdol, a później do rana świętowaliśmy urodziny „Ząbka”!

Dziś wiem, że Płock to był prawdziwy Dziki Zachód. Zamiast skupić się na piłce, szukaliśmy guza. I niestety, często go znajdowaliśmy. Myślę, że biłem się wtedy kilkanaście razy. Nigdy nie zaczynałem jako pierwszy, ale kiedy chętny się znalazł, nie chowałem głowy w piasek. Szczególnie gdy wypilem.

Kiedyś jakiś były policjant zaczął wyzywać mojego pijanego kolegę. Zareagowałem instynktownie, chwyciłem butelkę po Jacku Danielsie i... rozjechałem gościowi na głowie. Butelka się rozbiła, facet poszedł spać, a ja wziąłem na plecy Rafała i zaniósłem go do domu. Fama po tej akcji rozeszła się momentalnie, co mogło mi poważnie zaszkodzić. Najważniejsze jednak, że nie dotarła do klubu. Bo szczerze mówiąc: nie było się czym chwalić.

Ormiański księżę

Matkę można oszukać, ojca też, ale krwi nie da rady. We krwi mamy zapisane to, kim jesteśmy. Może coś o tym powiedzieć wspomniany wcześniej Geworgian.

To była jedna z najbarwniejszych postaci w całej historii Wisły. Poznałem go jeszcze w „siedemdziesiątce”. Był tam gwiazdą w stylu amerykańskiego high schoolu. Kiedy szedł na lekcje, dziewczyny piszczwały. Luzacki krok, uśmiech jak z okładki kolorowego magazynu i śniada cera sprawiały, że był nie do zapomnienia. Księciem Płocka był również na boisku: miał drybling jak z gry komputerowej, strzelał piękne gole i był bezczelny...

Ta bezczelność to był jego znak rozpoznawczy. Tak samo jak odwaga. Bo Wan nie bał się niczego i nikogo. Może jakiś wpływ na to miała jego przeszłość? Wahan urodził się w Armenii, a do Polski przyjechał z rodziną, która uciekła przed wojną o Górski Karabach. Jego brat Albert miał trafić na front, więc matka nie zastanawiała się długo, spakowała jedną walizkę i wyjechała z kraju. Pewnie do dziś mieszkaliby w Płocku, gdyby nie nadprzyrodzony talent Wanika do ładowania się w tarapaty. Jeszcze jako dzieciak napadł z kolegami na jakąś kobiecinę, przez co trafił do poprawczaka, a jego rodzina została deportowana do Niemiec. Miał szczęście, że jego też nie odesłali, ale pomógł znajomy policjant i Wan zamieszkał w internacie. Dostał od życia dar, dzięki któremu mógł ewakuować się z ciemnej strony księżycy. Tym darem był talent do piłki. Ale choć z tego powodu wielokrotnie podawano mu pomocną dłoń, to nigdy tego nie odwzajemnił. Bo w tym czasie swoje ręce miał zajęte – grą w karty albo na automatach...

Miałem szczęście, bo od razu mnie polubił. A w przypadku Geworgiana nie było to wcale takie oczywiste, gdyż opcje były tylko dwie. Mógł pokochać i wtedy zasłoniłby cię własną piersią przed nadlatującym pociskiem. Bo to był facet, który potrafił pomóc w środku nocy – jak nam pod dyskoteką. Ba, nie pozwalał człowiekowi nawet zapłacić za wspólny obiad. Byłem z nim na dziesiątkach wypadów i każdy rachunek brał na siebie.

– Ty następnym razem! – mówił ze śmiechem, żeby następnym razem znów powiedzieć o następnym razie.

Jeśli jednak kogoś znienawidził, to na amen. I kilka osób się przekonało, że Wan nie miał łatwego charakteru. Na przykład Jacek Kazimierski, kiedyś świetny bramkarz, który później zajmował się szkoleniem golkiperów, między innymi w reprezentacji, ale również w Płocku.

W samolocie, którym lecieliśmy na zgrupowanie na Cyprze, Wahan wypił za dużo jim beama z bezcłówki, bo podróż mu się dłużyła. Na lotnisku był więc nieźle zawiany. Co prawda nie zachowywał się źle, ale jak to on – był wesolutki. Zauważył to Kazimierski, który dopiero od niedawna pracował na Łukasiewicza i nie znał rozrywkowego charakteru Wanika.

Podczas kolacji Kazimierski podszedł do naszego stolika.

– Co to było za picie? Nie przyleciałeś tu na wakacje, tylko do roboty – rzucił niby żartem, ale że był typem warszawskiego cwaniaka, to jego uwaga zabrzmiała mocno zaczepnie. Na tyle zaczepnie, żeby Wan eksplodował jak wulkan.

Kazimierski nie zdążył odejść od stołu, gdy Geworgian podskoczył z krzesła, chwycił nóż, którym smarował bułkę, i wycelował ostrze w kierunku „Kazimiery”.

– Słuchaj, kurwa, kozaczyć to możesz u siebie, ale nie tutaj ze mną. Rozumiesz?

Kazimierski, wielki chłop, skurczył się w ciągu sekundy. Od razu przeszła mu chęć na dalszą dyskusję z nożownikiem. Przełknął tylko ślinę i blady podreptał w swoją stronę. A Wan jakby nigdy nic wrócił do stolika i znów zaczął smarować bułkę.

Sprawa dotarła jednak do trenera Josefa Csaplára i następnego dnia Wahan dostał zakaz trenowania z zespołem. Dwa dni szwendał się sam po plaży i rzucał kamyczki w pieniające się fale, a później musiał

zniknąć, zupełnie jak te kamyki – przyleciał samolot i zabrał go do Polski. Po jakimś czasie mu przebaczone, ale nie obyło się bez kary i zawieszenia.

To jednak nie stępiło jego kaukaskiego temperamentu. Przekonałem się o tym, kiedy kilku maturzystów chciało wyłudzić ode mnie pieniądze. Zadzwoiłem do Wana i zapytałem, czy może ich trochę przytemperować.

– Zaraz będę! – krzyknął i się rozłączył.

Nie zdążyłem wsadzić telefonu do kieszeni, a pod szkołą z piskiem opon zahamował samochód. Wskoczyli z niego Geworgian z Albertem, obaj w gangsterskich skórach. Ich było dwóch, wyłudzaczy – pięciu. A mimo to minutę później nie musiałem się już bać o oszczędności.

– Zapewniam ci w Płocku ochronę, przyjacielu. I to za darmo – rzucił Wan i puścił oko.

Geworgian był ode mnie starszy, ale szybko przypadliśmy sobie do gustu. Ja grałem na jednym skrzydle, on na drugim i może dlatego w trakcie powrotów z meczów zaczęliśmy siadać obok siebie. Oczywiście na końcu autokaru.

Dalekich wyjazdów nie brakowało – do Wodzisławia Śląskiego, Łęcznej czy Krakowa – więc i czasu na rozmowy było dużo. Kilometry należało czymś wypełnić i właśnie wtedy, przy strzelających białą pianą puszkach piwa, starsi koledzy nauczyli mnie grać w karty: kierki, makao i kilka innych zabaw. Normalnie nie miałbym do nich podjazdu, ale było mi łatwiej, bo trzymałem się z Wanem. A on nie pozwalał mi się nudzić.

– Dobra, „Pecho”, plan jest taki: wracamy i... lecimy w miasto! – zarządził gdzieś na wysokości Kutna, a ja nie dyskutowałem.

Wanik miał oblatany cały Płock, spokojnie mógłby robić za miejskiego przewodnika; wszyscy go tam znali, a on znał wszystkich i wszystkie miejsca warte uwagi. Niestety dla niego wśród tych miejsc były też wszelakie okoliczne kasyna.

Niektórzy żartowali, że Płock był wtedy stolicą piłkarzy lubiących zakręcić kulką. Paweł Sobczak, Krzysiek Kazimierczak, Radek Sobolewski, Paweł Kapsa... Do Warszawy jeździli nawet w tygodniu, czasem na dwa samochody. Ale drugiego takiego grajka jak Wahan chyba tam nie było. Zdarzało się, że przesiadywał w kasynie do

siódmej rano, stamtąd jechał prosto do klubu i bez minuty snu wkręcał na treningu każdego rywala. Na boisku kiwał, jakby urodził się w Rio. W kasynie ryzykował, jakby miał kilka drzew, na których rosną banknoty.

Kiedyś zadzwonił do mnie w środku nocy i poprosił, żebym podjechał do jakiegoś faceta, wziął od niego paczkę i zawiózł ją do hotelu Petropol. W tym ohydny architektonicznie kłocu znajdowało się jedyne w Płocku kasyno. Szybko okazało się, że w paczuszce były pieniądze, które szemrany gość pożyczył. Przekazałem towar, a skoro już byłem na miejscu, to pomyślałem, że zagram. Wrzuciłem do maszyny stówkę i... wygrałem. Sto złotych rozmnożyło się pięciokrotnie! Zadowolony wziąłem kasę i poszedłem zobaczyć, co u Wana. A tam w powietrzu śmigały tysiące, które Geworgian wrzucał do maszyn jak brudne skarpetki do pralki! „Ile on musi zarabiać?” – zastanawiałem się.

Kilka minut później wróciłem do domu, bo wystraszyłem się kwot, jakie jednoręki bandyta bezpowrotnie wciągał.

Ale Wahan kochał hazard.

Byliśmy kiedyś na obozie w jakiejś wsi pod Płockiem. To było straszne zadupie. Motelik w lesie, dookoła żadnej cywilizacji. A dodatkowo śniegu tyle, co na Alasce.

– „Pecho”, jedziemy do Warszawy? – zapytał mnie Wan, choć było już po kolacji.

– Gdzie ty chcesz jechać?

– No, do Warszawy, do kasyna.

– Kurwa, Wano, ale jak? Na nartach?

– Ty się o nic nie martw. Zadzwoniłem już po kolegę. Musimy iść kilometr w kierunku drogi, a on tam będzie czekał i nas zabierze.

Zadziwił mnie precyzją planu. Mieliśmy wyskoczyć do Wawki na trzy godziny, a później wrócić do motelu i się wyspać, bo rano czekał nas trening. Zamiast dziesięciominutowego spaceru szliśmy jednak przez te jebane zasy trzy razy dłużej, a auto i tak nie pojawiło się na czas. Staliśmy więc pod sosnami w samych bluzach, trzęsąc się z zimna, i czekaliśmy na kierowcę. Gdy już przyjechał, zabrał nas do Marriotta. A tam z trzech godzin zrobiło się dziewięć i mój kompan splukał się do ostatniego grosza.

– To co teraz robimy? – zapytał o piątej nad ranem. – Może chociaż zjedźmy po zapiekance pod Pałacem?

Za ostatnie złotówki wzięliśmy zapiekasy, wsiedliśmy do auta i wróciliśmy do łóżek. A trzy godziny później Wahan znów kiwał jak Ronaldinho.

Bo Geworgian był przede wszystkim genialnym piłkarzem. Na murawie przypominał tancerza – krok w lewo, krok w prawo, lekki ruch biodrem i obrońcy zderzali się głowami. A on spokojnie zdobywał kolejne bramki. Nic dziwnego, że w Ekstraklasie grał regularnie już jako nastolatek. W pierwszej drużynie trenowali w tym czasie zdolni juniorzy, jak Bartek Grzelak czy Łukasz Pachelski, ale wszyscy chcieli być jak Wan. Jeśli mam być szczery, to był też moim idolem, zaraz po Marku Citce z Widzewa.

Nieraz zastanawiałem się, jakim cudem przez tyle lat nikt nie opisał jego pozaboiskowych wybryków – był przecież bardzo popularny. Ośłaniała go jednak jakaś niewidzialna tarcza, tak jakby wścibscy dziennikarze akurat tym tematem nie mogli się zainteresować.

Wydaje mi się, że nie bez znaczenia był fakt, że Wan był ulubieńcem prezesa Krzysztofa Dmoszyńskiego. To był szorstki, ale konkretny facet, znał wszystkich, w telefonie miał chyba z milion numerów. Gdyby „Dmo” Geworgiana nie lubił, sam zakończyłby jego karierę. Ale zamiast tego przymykał oko na kolejne wysoki pupila. I dlatego Wanik spadał na cztery łapy za każdym razem, gdy wydawało się, że te łapy w końcu połamie.

Na boisku nie zrobił jednak kariery, jaka była mu pisana. Zagrał kilka razy w europejskich pucharach, zadebiutował nawet w seniorskiej reprezentacji Polski, ale mógł osiągnąć znacznie więcej. Przeszkodził mu w tym hazard, który zaczął się od stojącego gdzieś na stacji benzynowej jednorękiego bandyty. Wrzucił pięćdziesiąt złotych, wyjął tysiąc. Eureka! Oto maszynka do drukowania forsy! Później przyszła ruletka, karty. Kiedy Wahan siadał do stołu, grał, aż przegrał. Czasem wygrał – zdarzyło mu się i po sto tysięcy – ale zazwyczaj był na minusie. Szkoda, bo gdyby miał więcej silnej woli i nie marnował życia na rulecie, dziś chwaliłby się występami w La Liga albo Serie A.

Nasze drogi w pewnym momencie się rozeszły – ja poszedłem do Lecha Poznań, on do ŁKS Łódź. Nie widzieliśmy się przez dziesięć lat, a może nawet dłużej. Spotkaliśmy się dopiero na weselu naszego wspólnego znajomego. Wan się roztył, trochę przerzedziły mu się włosy, ale oczy wciąż miał te same – pełne ormiańskiego żaru. Po pięciu sekundach rozmawialiśmy tak, jakbyśmy nie widzieli się tylko przez chwilę.

Co teraz porabia? Mieszka w Łodzi, zajmuje się handlem. Wie, co zrobił, co przeżył i co stracił. Mógł być milionerem, a skończył z niczym. Ale wciąż jest sobą – i pozostał moim kumplem.

Pieniądze z narkotyków

Zgodnie z zapowiedzią Broniszewskiego, na którego wołaliśmy „Kaszana”, bo był z Karczewa, dołączyłem na stałe do pierwszej drużyny. Na treningach nikt jednak nie dawał mi taryfy ulgowej. Na początku nie nadążałem za piłką i tylko patrzyłem, jak starsi koledzy podają ją między sobą. To były czasy, gdy nikt się nad juniorami nie litował. Jeśli nie dawali rady, to dostawali opierdol. A jak dawali radę, to... też dostawali opierdol.

Mnie również się to zdarzyło, i to na jednych z pierwszych zajęć. Jechałem jeden na jednego z Darkiem Romuzgą i spróbowałem podać piłkę stojącemu obok zawodnikowi, ale zrobiłem to trochę nieporadnie i Darkowi przywidziało się, że chcę mu założyć siatkę. Na wszelki wypadek wpierdolił się więc we mnie jak tir.

– Ja ci dam, ty mały chuju, dziurę – warknął i pobiegł dalej.

Dodatkowo po zajęciach trzeba było za seniorów zapierdalać. Ja na przykład nosiłem kosze z praniem do pani Lilii, a później rozwieszałem mokre getry i spodenki. Razem z „Lemanem” odpowiadałem też za rozłożenie sprzętu przed treningiem. To było tak oczywiste, że nikt z tym nie dyskutował. Teraz młodzi płaczą, że to nie ich obowiązki, ale wtedy, gdy kapitan Bartek Jurkowski coś powiedział, to traktowało się to jak rozkaz.

Dzień po dniu zyskiwałem jednak zaufanie weteranów. Dodatkowo Broniszewski zamierzał spełnić kolejne dane mi słowo.

– Przygotuj się, wystąpisz przeciwko Widzewowi – powiedział w dniu meczu.

Przeciwko Widzewowi!? Pierwszy raz w koszulce Wisły też grałem z łodzianami... Prawda jest taka, że Widzew zawsze mi leżał, strzeliłem mu swojego pierwszego gola w Ekstraklasie. W reprezentacji takim talizmanem była dla mnie Irlandia. Co z nią grałem, to było dobrze. Tak samo z Widzewem.

W tej mojej ligowej inicjacji na boisko wszedłem na ostatnie pięć minut, zmieniając Grażvydasa Mikulénasa. Byłem strasznie podniecony – na trybunach siedziało osiem tysięcy kibiców, a naprzeciwko mnie stali Jerzy Podbrożny i Kazek Węgrzyn. Mój sen szybko jednak się skończył.

– Synek, jak tylko spróbujesz mnie kiwnąć, to ci, kurwa, nogi połamię, rozumiesz? – przywitał mnie na dzień dobry inny ligowy wyga, Piotr Mosór. Mimo to się nie przestraszyłem. Po zaprawie u Romuzgi znałem już takich Mosórow. Dużo gadali, ale niewiele potrafili i w ten sposób próbowali ukryć swoje ograniczenia.

Co prawda nic wielkiego wtedy nie pokazałem, a Wisła przegrała 0:1, ale w końcu liźnąłem poważnego futbolu. Dwa tygodnie później wystąpiłem jeszcze przeciwko Szczakowiance Jaworzno. Znow przegraliśmy, tym razem 0:2, i Broniszewskiego zwolniono.

Nowym trenerem Wisły został Mirosław Jabłoński. Jego nazwisko znaczyło w piłce sporo: wcześniej pracował w Legii Warszawa, Zagłębiu Lubin, Amice Wronki. Był bardzo sympatyczny, ciągle się uśmiechał i prowadził ciekawe treningi. Dodatkowo polubił mnie od pierwszego dnia. I stawiał na mnie w Pucharze, w którym dotarliśmy do finału.

Tam czekała na nas Wisła Kraków, która w tamtym okresie przypominała tort pełen wisienek. Wiślacy grali futbol z innej planety, byli nieosiągalni dla całej ligi. Niedawno pokonali w Pucharze UEFA Parmę i Schalke 04 Gelsenkirchen, a za chwilę mieli zmierzyć się w eliminacjach Ligi Mistrzów z Realem Madryt.

Wtedy w finale grało się dwa razy – mecz i rewanż. Wystąpiłem w obu spotkaniach, ale chociaż w Krakowie wygraliśmy 1:0, to na Łukasiewicza rozjechali nas 3:0. Strasznie się na ten mecz spięli i zagrali najmocniejszą kapelą: z Maćkiem Żurawskim, Mirkiem Szymkowiakiem, Kamilem Kosowskim, Arkiem Głowackim i Kalu

Uche. Pierwsze trofeum przeszło mi więc koło nosa, ale trudno, dostać lanie od takiej ekipy to był wtedy zaszczyt!

Mecze z Wisłą to były wydarzenia, tak samo jak z Legią. Pamiętam ten pierwszy... Graliśmy w Płocku, a atmosfera była tak napięta, że skurcze łapały mnie już na rozgrzewce.

W szatni podszedł do mnie Jurkowski.

– Co, małolat, stresik jest?

– Straszny. Boję się, że coś zajebię.

– Nie przejmuj się. Ja też.

Krótki dialog poprawił mi humor, bo skoro kapitan się denerwował, to ja też miałem takie prawo. No i udało się wygrać 2:1 po golach Andrzeja Kobylańskiego i Darka Gęsiora.

Po meczu poszliśmy na imprezę.

– Chłopaki, co pijecie? – zapytali kibice, którzy też byli w klubie Enklawa. Pokonanie warszawiaków to było dla nich coś pięknego, więc fundowali nam, co chcieliśmy i ile chcieliśmy. Fajne jest życie piłkarza – po tamtej nocy nie miałem co do tego żadnych wątpliwości.

Przez cały czas jednak zarabiałem miesięcznie trzy stówki. Miłą odmianą były natomiast premie. Za każdy wygrany mecz dostawaliśmy po kilka tysięcy złotych. To była kupa pieniędzy! Kiedyś w dobrym miesiącu wypłacili mi w klubowej kasie osiem koła. Nie miałem jeszcze zawodowego kontraktu i konta bankowego, więc wszystko przekazano w gotówce. Wcisnąłem zwitki banknotów do kieszeni i pojechałem prosto do Jedlicza, żeby oddać pieniądze mamie. Gdy zobaczyła tyle forsy, to złapała się za głowę. Nie rozumiała, że na piłce można tyle zarabiać.

– Dziecko, skąd to masz? Narkotykami handlujesz? Przyznaj się!

– Mamo, to tylko za trzy mecze...

Dopiero po jakimś czasie dotarło do niej, że finansowo futbol dzieli od codzienności szarych obywateli przepaść.

Dzięki premiom w końcu mogłem sobie pozwolić na normalne życie. Sam opłacałem mieszkanie, ogarnąłem trochę ciuchów, zabierałem Anię na kolację i do dyskoteki Crazy. W końcu kupiłem też pierwszy samochód, jasnoniebieskiego opla astrę – zapłaciłem za niego dwadzieścia cztery tysiące złotych. Pierwszy zawodowy

kontrakt podpisałem dopiero w 2004 roku, mając na koncie już kilkanaście meczów w pierwszej drużynie. Kręcił się wokół mnie Robert Kiłdanowicz, menedżer z Olsztyna. Naobiecował mi złotych gór, więc podpisaliśmy kontrakt, zgodnie z którym miał mnie reprezentować w rozmowach z Wisłą. Ostatecznie „wynegocjował” pięcioletnią umowę. Za rok miałem dostać sto tysięcy. Strasznie się ucieszyłem, bo to były poważne pieniądze, za które można było zacząć urządzać sobie przyszłość.

Jednak kilka tygodni później Dmoszyński zagadał mnie na korytarzu.

– Ten twój menago to właściwie nic ci nie pomógł. I tak mieliśmy dać ci stówkę na rok. Wziął, co dawaliśmy, ani złotówki więcej. Bez sensu go zatrudniłeś – powiedział, a mnie zmroziło.

Każdy tyśiak był dla mnie na wagę złota, a on nie spróbował nawet podbić stawki? Nie wywalczył też grosza za złożenie podpisu pod umową. Wkurwiłem się i zadzwoniłem do Kiłdanowicza z awanturą. Tłumaczył mi, że wcale tak nie było, że strasznie się targował i tak dużo dla mnie zrobił, ale brzmiało to jak zwykłe pierdolenie. Po tym wszystkim postanowiłem, że nasze drogi się rozejdą, i jakiś czas później poszedłem z tym cwaniakiem do sądu.

Aleja Gwiazd

Przez sześć lat występów w pierwszej drużynie Wisły poznałem tylu oryginałów, że spokojnie mógłbym napisać *Poczet piłkarzy polskich*. Kogo tam nie było: kozacy i ostatnie ogórki, królowie imprez i pantoflarze, bogacze i goście bez grosza przy duszy, pijacy, hazardziści albo mruki, które wypowiadały jedno słowo dziennie.

Przede wszystkim spotkałem jednak wielu znakomitych zawodników. Bez dwóch zdań piłkarsko najlepszy był Jeleń. Miał nieludzki gaz i nosa do zdobywania bramek. Nigdy nie byliśmy przyjaciółmi, ale na boisku współpracowało nam się świetnie.

W pewnym momencie mieliśmy zresztą w Płocku kwartet, którego bała się cała liga: Jeleń, Mierzejewski, Geworgian i ja. Pamiętam wygrany 4:0 mecz z Polonią. Z Adrianem i Wanem zdobyliśmy po golu, a Irek nam asystował. Jeleń wyróżniał się tak bardzo, że najpierw wymienił opla na bmw, a później Płock na Auxerre. W 2006

roku pojechał na mundial, we Francji sporo znaczył, pograł nawet w Lidze Mistrzów.

Kozakiem był też „Wasył”. Może nie imponował sztuczkami technicznymi, ale na treningach był jak maszyna, angażował się w robotę na dwieście procent. Nikomu nie życzylbym zderzenia z tą napakowaną testosteronem ścianą.

Podobnym typem co Wasilewski, szczególnie pod względem charakteru, był wspomniany już Sobolewski, z którym spotkałem się w rezerwach. Obaj chodzili własnymi ścieżkami, obaj zachowywali do mnie dystans – głównie dlatego, że byli dużo starsi i mieli już swoje poważne życia.

Kilka meczów zagrałem z Kobylańskim, którego jako junior poznałem w Cottbus. Młodzieżówka pojechała wtedy na eliminacyjny mecz z Niemcami, a Andrzej był piłkarzem Energie i pojawił się na stadionie. Po latach trafił do Płocka i zrobił kilka niezłych akcji. Na przykład tę w meczu z Widzewem, po której strzeliłem premierowego gola w lidze.

W pewnym momencie przyjechali też Podbrożny i Mosór, przeciwko którym zagrałem w debiucie. Podbrożny zjeżdżał już do bazy, ale jego umiejętności i tak robiły duże wrażenie. W CV miał przecież występy w Hiszpanii, Stanach Zjednoczonych i Lidze Mistrzów. Jeździł wypasionym audi, którym czasem podrzucał mnie do Rzeszowa, gdzie miał dom. W tym audi woził zawsze wielki... antyradar.

– Lepiej mieć niż nie mieć – mówił ze śmiechem.

Mimo dalekich wspólnych podróży nie mogę powiedzieć, że się zakolegowaliśmy, bo Jurek był typem milczka. Czasem coś mruknął, ale generalnie w trakcie jazdy z nim można było liczyć drzewa.

Przez klub mignął Maciek Terlecki. Mieszkał w Warszawie, więc nie zamierzał wynajmować mieszkania w Płocku. Czasami po meczach wyjazdowych zapraszaliśmy go na nocleg. Maciek w rewanżu kupował kilka butelek czerwonego wina, które uwielbiał. Piłkarzem był bardzo dobrym, technicznie potrafił wszystko, ale cały czas miał problemy z wagą. I jakoś mnie to nie dziwi, biorąc pod uwagę, ile litrów tego wytrawnego trunku pochłaniał.

Terlecki był megapozytywnym gościem, który znał masę świetnych historii, jego przeciwieństwem był natomiast Gruzin Mamia Dżikia,

człowiek-problem. Kurwa, marudził na wszystko! W poniedziałek przeszkadzało mu słońce, we wtorek deszcz, w środę to, że były chmury, a w czwartek, że ich nie było. W piątek narzekał na zbliżający się mecz, w sobotę – że trzeba było grać, a w niedzielę – że bolą go nogi. I od poniedziałku znów zaczynał od pogody. Nie pamiętam, żeby był z czegokolwiek zadowolony.

Kolegą z boiska był też Adam Majewski, który po latach został dyrektorem sportowym Wisły. W moim ostatnim roku gry na Mazowszu zaproponował mi olbrzymi kontrakt, chyba największy w klubie. Gdybym go podpisał, zarabiałbym pięćdziesiąt tysięcy złotych miesięcznie, czyli pięć razy więcej, niż miałem w tamtym momencie. Adam przez kilka tygodni chodził za mną i namawiał, żebym został w Wiśle.

– Adaś, ale ja chciałbym iść do Lecha – powiedziałem mu szczerze pod koniec 2007 roku.

Majewski zrobił smutną minę.

– Trudno... Powiem ci jedno: to dobry ruch. Sam bym tak zrobił!

To był porządny gość i niezły grajek, tak jak wielu innych, których spotkałem w Płocku, choćby Kuba Wierzchowski, Sławek Nazaruk, Patryk Rachwał czy Radek Matusiak.

Przez lata mówiło się, że to miasto nie ma klimatu do gry w piłkę, ale dawaliśmy radę. Mieliśmy zwyczaj, że po domowych meczach jechaliśmy na godzinę czy dwie do siebie, a wieczorem spotykaliśmy się w Karczmie Pod Strzechą. Można się było pośmiać, ale i poważnie pogadać. Działo, bo dogadywaliśmy się nie tylko przy stole, lecz także na murawie.

Niestety w Płocku nie brakowało też przebierańców. Polacy raczej dawali radę, ale obcokrajowcy zazwyczaj byli ciency jak barszcz.

Był zresztą moment, gdy przyjeżdżały do nas całe wagony piłkarzy: czarnoskórych, Litwinów, Serbów, a na końcu Czechów. Tak jakby ktoś akurat organizował promocję i krzyczał: „Weź dwóch Serbów, trzeciego dorzucimy za darmo!”. No i brali tych paralityków, żeby po pół roku odsyłać ich do trzecioligowych klubów. Jeśli myślicie, że przesadzam, to sami zobaczcie:

Mitar Peković? Był lekko głuchy i jeszcze niedowidział. Zero zwrotności, zero dynamiki. Zawsze chciałem grać na takiego

obrońcę!

Sead Zilić? CV nawet ciekawe, z jakimiś epizodami we Włoszech i Niemczech, ale tak naprawdę więcej było w nim lansu niż talentu. Wyróżniał się tylko złotym zegarkiem.

Emmanuel Ekwueme? Ciągłe spóźniał się na treningi.

Marko Grižonič? Miał mnie posadzić na ławce, a nawet z tej ławki nie wstał. Dostał od nas ksywkę „Elektryk”, bo jak tylko leciała do niego piłka, to cały się napinał.

Nikołaj Branfiłow? Kolejny muł, który przewracał się o własne nogi.

Nenad Studen? Podobno był dobrym pomocnikiem, ale jeśli w ogóle był pomocnikiem, to chyba murarza na budowie.

Josef Obajdin? Ze Spartą Praga zdobył sześć mistrzostw Czech, ale do nas przyjechał na koniec kariery i skupiał się bardziej na picu piwka niż strzelaniu bramek.

Gdybym miał tych cyrkowców wymieniać dalej, to mogłoby zabraknąć mi życia. Spośród tego szrotu nadawało się niewiele: Žarko Belada, Lumír Sedláček, Marko Čolaković. No i „Miki” Mikulénas.

W klubie często zmieniali się nie tylko zawodnicy, ale i trenerzy. Razem z Wojno byłem na Cyprze i w Bułgarii, ale te obozy były jak zagraniczne wczasy. U Broniszewskiego załapałem się natomiast na wyjazd w góry, gdzie piłkę widzieliśmy tylko w „Przeglądzie Sportowym”, jeśli ktoś akurat dotarł z gazetą do zasypanej śniegiem Wisły.

– Panowie, biegacie w grupach pięcioosobowych – zarządził „Kaszana” pierwszego dnia, bo okazało się, że klub nie posiada wystarczającej liczby zegarków mierzących odległość i tętno.

Starsi piłkarze mieli jednak sposoby, jak te przyrządy oszukiwać, łącznie z biegnącym za nimi psem. Trudniej było z przewodnikiem górskim, którego Broniszewski wynajął do pilnowania naszych przebieżek.

Dużo lżej zajęcia wyglądały u Jabłońskiego, faceta całkiem innego typu niż Broniszewski. Pan Mirek był... lekko zakręcony. Pamiętam, jak kiedyś nie zauważył, że wpuszcza na boisko szóstego obcokrajowca, a na murawie mogło ich przebywać maksymalnie pięciu. Dmoszyński strasznie się wtedy wkurzył, zbiegł z trybun

i przy wszystkich opierdolił Jabłońskiego. A dzień później cały kraj kpił, że w Płocku potrafią liczyć tylko do pięciu.

Dodatkowo „Jabłuszko” trochę się jąkał. Gdy tłumaczył, co dziś będziemy robić, to czasem nie wiadomo było, o co chodzi.

– Weź te, te, te, i idź tam, tam, tam – zarządzał, a my nie mieliśmy pojęcia, w jakim języku mówi.

Plusem było to, że zamiast wymyślać obozy przetrwania, wolał zabrać nas w jakieś fajne miejsce. W 2005 roku, przy okazji treningów we włoskiej Nursji, zorganizował wypad do Watykanu. Całą drużyną pojechaliśmy na plac Świętego Piotra i mieliśmy okazję zobaczyć ostatnie wyjście Jana Pawła II do okna papieskiego. Nasz papież mocno już wtedy chorował i kilka tygodni później zmarł. Zobaczyć ojca świętego to było dla mnie wielkie przeżycie.

Jabłońskiemu trzeba jednak przyznać, że sportowo sobie poradził. Razem z nim dotarliśmy do finału Pucharu i zajęliśmy czwarte miejsce w Ekstraklasie, do dziś najwyższe w historii klubu.

Jeśli ktoś nie przepadał za Mirkiem, pożałował jego odejścia, gdy Wisła zatrudniła Csaplára. Jabłoński należał do trenerów, którzy nie przeszkadzają piłkarzom, szczególnie starszym, i szło się z nim dogadać. Csaplár był jego przeciwieństwem. Zwracał uwagę na jedzenie, na picie, na sen. Na wszystko. Taki Adam Nawałka, tylko śmieszniej mówił.

Kiedyś wymyślił, że wszyscy młodzi piłkarze mają po treningu iść do supermarketu.

– Każdy z was kupi po dwadzieścia kilo makaronu i dwadzieścia słoików z sosem pomidorowym – nakazał.

Od tego momentu mieliśmy jeść tylko spaghetti, bo Csaplár był wcześniej na stażu we Włoszech i zobaczył, że tam właśnie tak jedzą. Doszedł więc do wniosku, że zapewne dlatego w Serie A tak dobrze gra się w piłkę.

Ale to i tak nie było największe dziwactwo Csaplára. Gdy pojechaliśmy z nim na zgrupowanie, to przez tydzień jeździliśmy na rowerach! I to po górach. Normalnie Tour de Zapierdol. Niektóre podjazdy były tak strome, że rowery braliśmy na plecy i je wnosiliśmy.

Na boisko szliśmy dopiero wieczorem, żeby... biegać. Żadnej gierki, nic, zero, *null!* W kółko robiliśmy za to samobójki, które Czech nazywał „szatoranami”. Polegało to na tym, że biegało się od pierwszej linii do drugiej, później powrót, następnie bieгло się do kolejnej linii, znów powrót i sprint do ostatniej. Można było tak zasuwać godzinami i nabawić się zakwasów albo kurwicy.

Nie ma się co dziwić, że po kilku dniach mieliśmy dość, bo ile można napierdalać miks rowerów i biegania? Każdy z nas dałby się wtedy pokroić za wyjazd z Mirkiem do Włoch. Po tygodniu nie wytrzymałem i jebnąłem swój rower w krzaki.

– Panowie, bierzemy ze sobą po sto koron – zarządziłem następnego dnia, bo miałem już pewność, że nowym Szurkowskim nie zostanę. Góry, słońce, rowery... Wszystko wskazywało na to, że możemy paść z odwodnienia. Po drodze zaczęliśmy więc zajeżdżać do miejscowej knajpki, wypijaliśmy po dwa czeskie pilznerzy i tak zadbawszy o nasze organizmy, wracaliśmy do bazy.

Dziwne metody Czecha jakimś cudem zaowocowały w 2006 roku, gdy w końcu zdobyliśmy krajowy puchar. Zagrałem jednak tylko w pierwszym spotkaniu, które wygraliśmy 3:2. W rewanżu już nie wystąpiłem, bo Manuel Arboleda nie zdążył wyhamować i zmasakrował mi więzadła w kolanie.

Nie tylko ja źle wspominam ten finał, ale także Franciszek Smuda, który prowadził wówczas Zagłębie. Franz do dziś twierdzi, że w drugim meczu coś było nie tak. Lecz nie z piłkarzami, a z sędziami... Smuda ze sto razy opowiadał, że po tym, jak przyniesiono im srebrne medale za drugie miejsce, nie pozwolił ich zabrać, tylko od razu wypierdolił je do kosza na śmieci. Razem z tacą.

Siedziałem wtedy na trybunach z nogą w gipsie i trudno było mi ocenić, czy na murawie kręcono. W pierwszej połowie jednak sędzia faktycznie mógł podyktować dwa karne dla Zagłębia, a nie podyktował. Czy nieuczciwie? Nie wiem. Wydawało mi się, że graliśmy na tyle dobrze, że i tak byśmy sobie poradzili. Ale Franek ma inne zdanie na ten temat.

Zastanawiałem się kiedyś, czy grałem w ustawionym meczu. To była przecież końcówka czasów, gdy punktami handlowało się jak jajkami na straganie. W rewanżu z Zagłębiem, który wygraliśmy 3:1,

nie wystąpiłem. A inne sytuacje? Z ręką na sercu mogę powiedzieć, że nikt nigdy nie zaoferował mi pieniędzy za sprzedanie meczu i ja też nikomu nic takiego nie proponowałem. Kojarzę natomiast spotkanie, w trakcie którego poczułem się nieswojo.

To było w 2004 roku. Przez większość czasu przegrywaliśmy. W końcu młody chłopak strzelił jednak wyrównującego gola i pobiegłem cieszyć się z tej bramki. Kiedy odwróciłem głowę, dostrzegłem, że nie wszyscy koledzy byli tak samo szczęśliwi. Takie przynajmniej odniosłem wrażenie. Może byli już zmęczeni? Może to po prostu nie był ważny mecz? A może powód był inny? Nie mam pojęcia. Dowodów też nie mam, więc nie chcę mówić, kto, z kim i dlaczego. Pamiętam jednak, że coś mi wtedy nie pasowało. I niesmak pozostał do dziś.

Grupa Lambada

Kontuzja odniesiona w meczu z Zagłębiem zabrała mi prawie rok. Moje więzadło poboczne zostało w całości zerwane. Jakby tego było mało, miałem uszkodzone też przednie, a do tego zmiądzoną łąkotkę. Operację przeszedłem w Płocku. I chyba coś poszło nie tak, bo przez pierwsze dwa tygodnie po zabiegu myślałem, że umrę. Noga zsiniała, napuchła jak balon, więc ketonal wcinałem jak landrynki. Pamiętkę mam zresztą do dziś: uszkodzone nerwy i bliznę, której nikomu nie pozwalałam dotknąć. Dziś z taką kontuzją powinienem grać po czterech miesiącach, ale wtedy na powrót czekałem dwa razy dłużej. Takie jednak dwadzieścia lat temu były metody – sierpem i młotem.

Przez uraz straciłem kilka fajnych meczów. Na przykład finał Superpucharu Polski z Legią, który wygraliśmy 2:1. Znow siedziałem na trybunach i patrzyłem, jak koledzy odbierają medale. Albo dwumecz z Czornomorcem Odessa w Pucharze UEFA, z którym dwukrotnie zremisowaliśmy, ale odpadliśmy, bo u nas było 1:1, a na wyjeździe 0:0.

To była zresztą specjalność Wisły. Z tych samych rozgrywek wywalił nas Grasshopper Zürich, który w 2005 roku ograliśmy u siebie 3:2, ale przegraliśmy 0:1 w Szwajcarii. Albo łotewski FK Ventspils w 2003 roku, z którym padły dwa remisy, 2:2 i 1:1, znow

w niekorzystnym dla nas wymiarze. No cóż, w Płocku ewidentnie nie było mikroklimatu na puchary.

Po niezłym okresie przyszły jednak gorsze mecze i zaczęliśmy zmierzać w kierunku drugiej ligi. Csaplára zastąpił Przemysław Cecherz, który po latach został moim trenerem w Wieczystej Kraków. W Wiśle popracował króciutko, tylko kilka meczów. Miał awansować do kolejnego finału Pucharu, co się nam niestety nie udało. Wspominam go jednak dobrze, bo na dzień dobry przekazał mi kapitańską opaskę. Widział we mnie lidera, a ja mu się za to odpląciłem. W pierwszym meczu półfinałowym z Koroną Kielce przegraliśmy co prawda 2:3, ale byłem najlepszy na boisku i strzeliłem dwa gole. W rewanżu u siebie też zdobyłem bramkę, ale tylko zremisowaliśmy 1:1 i to Korona awansowała do finału. A kilka tygodni później spadliśmy z ligi.

Mniej więcej wtedy rozdzwonił się telefon. Pracowałem już z nowym menedżerem, Jarkiem Kołakowskim. To był niezły bajerant, który namówił mnie, żebym rozwiązał kontrakt z „Kiłdanem”. Wiedział, że sprawa skończy się w sądzie, więc od razu zaproponował, że karę zapłacimy pół na pół. I tak było, chociaż chodziło o grosze, Kiłdanowicz dostał chyba kilkanaście tysięcy złotych odszkodowania.

„Kołak” czuł jednak, że robi złoty interes. Chciały mnie wtedy Korona, Zagłębie, GKS Bełchatów, był też jakiś sygnał z Polonii.

– Zostaję jeszcze rok w Płocku – zapowiedziałem.

– Ale mamy dobre oferty – próbował złamać mnie Jarek.

– No to trudno. Odejdę za rok – upierałem się przy swoim, bo wstyd mi było, że spuściłem mój klub z ligi.

Co prawda nie urodziłem się w Płocku, ale byłem już jak miejscowy. Kiedy kibice opierdalali piłkarzy za słabe wyniki, mnie oszczędzali, bo wiedzieli, że na boisku zostawiam serce. Chciałem się za to odwdzięczyć i postanowiłem, że zostanę w drugiej lidze, żeby odpracować tę wpadkę. W tym samym czasie Majewski zaoferował mi wielkie jak na Płock pieniądze, ale o tym też nie chciałem słyszeć.

Pół roku później przyszła oferta, na którą czekałem – z Lecha. Nie wiem, jak długo „Kołak” negocjował z Kolejorzem, ale zgodziłem się

na pierwsze warunki, jakie mi przedstawiono. W maju dyrektor Marek Pogorzelski zaprosił mnie do Poznania na mecz z Jagiellonią Białystok, którą Lech rozjechał 6:1.

Była tam wtedy niezła ekipa. Grali Bartek Bosacki, Marcin Zając, Henry Quinteros i Hernán Rengifo. Na skrzydle szalał inny Peruwiańczyk, Anderson Cueto. Małolat strzelił Jadze dwa gole i wydawało się, że będzie gwiazdą ligi, ale coś poszło nie tak i bramki zdobyte na moich oczach były jego jedynymi trafieniami w Polsce.

Jeszcze zimą Kołakowski przygotował dla mnie trzyletni kontrakt. Miesięcznie miałem dostać dwadzieścia tysięcy złotych, ale dzięki temu, że byłem wolnym zawodnikiem, Lech dał jeszcze czterysta tysięcy za podpis. Pół miliona dostał natomiast „Kolak”. Ja swoją kasę wydałem kilka dni później. Ale spokojnie, nie na żaden melanz czy samochód. Za namową agenta kupiłem mieszkanie na Strzeszynie Greckim, do którego wprowadziliśmy się z Anią zaraz po transferze.

Zanim zmieniłem Płock na Poznań, ostro walczyliśmy o awans. Byłem wtedy w życiowej formie, miewałem kapitalne serie. Na przykład w pierwszych sześciu kolejkach strzeliłem cztery gole. Później zdobywałem bramki w siedmiu meczach z rzędu. W ósmym zrobiłem przerwę, a w dziewiątym... walnąłem dwa razy. Dziewięć trafień w dziewięciu spotkaniach – całkiem niezłe.

Łącznie zdobyłem szesnaście goli i długo ścigałem się z Robertem Lewandowskim o koronę króla strzelców. Gdyby nie „Lewy”, byłbym najlepszym piłkarzem ligi. Ale prawdziwą gwiazdą był on – bez dwóch zdań. Przez chwilę eksperci uważali, że nieco lepszy jest Bartek Wiśniewski, jego partner z ataku Znicza, który później trafił do Płocka, ale Robert już wtedy nie miał sobie równych.

Mniej więcej w tym okresie powstała legendarna grupa bankietowa Lambada. Byłem w niej ja, „Mierzej”, Sobczak, Krzysztof Strugarek, Darek Zawadzki, no i Wan. Nazwę wymyślił Leszek Ojrzyński, który objął Wisłę pod koniec 2007 roku.

„Ojrzyń” dopiero zaczynał poważną trenerską karierę, wcześniej trochę popracował w Zniczu, i na początku nie chcieliśmy pozwolić mu wejść nam na głowy. Jego debiut przypadł na mecz z Odrą

Opole. Na kolacji przed tym spotkaniem dopisywały nam humory. Przy stole Adrian opowiadał takie dowcipy, że spadaliśmy z krzesel. Nie ukrywam: byliśmy głośni, ale nie miało to nic wspólnego z alkoholem. Po prostu było wesoło.

Dzień później wesoło było tylko piłkarzom Odry, którzy strzelili nam trzy bramki. Mój gol nic nie dał i przegraliśmy 1:3. Ojrzyński strasznie się wkurwił.

– No i co? Teraz się, kurwa, śmiejcie. No, śmiejcie się! Nie jest już tak fajnie, jak na kolacji, co? – krzyczał na nas w autokarze.

Popatrzyliśmy na niego jak na wariata; facet uważał, że przed meczem powinniśmy zachowywać się jak w kościele. Innym razem Ojrzyński zabrał nam wszystkim telefony, żebyśmy skupili się przed meczem z Kmitą Zabierzów. Nie podziałało, bo przegraliśmy 0:1, a na dodatek wszyscy się na niego strasznie wkurwiliśmy.

W końcu kilka osób podłapało „Ojrzyńkę”, który robił rozgrzewki jak w szkole: jakieś machanie rękami, rozciąganie w parach, skakanie przez siebie i tak dalej.

– Wuefista idzie! – kpili koledzy, gdy szedł.

Ale gdy Leszek zaczął zajęcia, był ogień. Cały czas krzyczał, przerywał treningi, poprawiał ustawienie. Widać było, że zna się na swojej robocie. I nie ma przypadku w tym, że po latach prowadził Koronę, Górnik Zabrze czy Arkę Gdynia.

Grupa Lambada, o której Ojrzyński czasem opowiada, jest częstym powodem do żartów, ale dużo w tym przesady. Po pewnym czasie wszystko, co złe, szło na nasze konto. Jakieś hałasy? Na pewno Lambada! Ktoś rozbił wazon? Nie ma innej opcji, to oni!

Nie da się jednak ukryć, że w tamtym czasie więcej graliśmy w karty, niż trenowaliśmy. Nad kartami siedzieliśmy przed śniadaniem, po śniadaniu, później po treningu aż do obiadu, po obiedzie znów i dalej, do późnej nocy.

Nie brakowało nam też szalonych pomysłów. Na zgrupowaniu w tureckim Belek Wan wymyślił na przykład, że pojedziemy na *shopping*. Lubiliśmy te klimaty: bazar, targowanie się, turecka herbatka. Szykowała się dobra zabawa. Wahanowi zaświeciły się oczy, gdy na stoisku zobaczył podrobione złote zegarki.

– Jakie zajebiste! Pięć poproszę!

Każdemu z nas nakazał kupić po jednym, sam zabrał kilka kolejnych dla chłopaków siedzących w hotelu. Później na treningu wszyscy graliśmy w dziadka w „rolexach”! A że wcześniej wypiliśmy jakieś piwko i mieliśmy zbyt dobre humory, to Ojrzyński szybko wysłał nas do pokoiów.

Szkoda, że nie udało nam się wrócić wtedy do Ekstraklasy... Zajęliśmy dopiero ósme miejsce, a awans wywalczyły Lechia Gdańsk, Śląsk Wrocław, Piast Gliwice i Arka. Odchodziłem, zostawiając klub w drugiej lidze, ale mimo to Płock pozostał moim domem.

W 2020 roku chciał mnie tam sprowadzić prezes Jacek Kruszewski, którego pamiętam jako... ultrasa. Kiedy ja grałem w piłkę, on trząsał trybunami, czasami zasiadał na gnieździe. Później założył garnitur i przez długi czas rządził Wisłą – z sukcesami, bo to za jego kadencji Jerzy Brzęczek zajął w Ekstraklasie piąte miejsce i został selekcjonerem.

Wtedy się jednak nie udało i w Płocku już pewnie nie zagram, chociaż regularnie pojawiają się tam na trybunach. Na niezbyt pięknym stadionie zawsze spotykam kilka osób, które nigdy nie żałowały mi serca: Wachaczyka, Błaszczyka, trenerów Grzegorza Wenerskiego i Tadeusza Prosowskiego czy panią Lillę z magazynu.

Gdy w 2017 roku zostałem wybrany do jedenastki siedemdziesięciolecia Wisły, razem z Gęsiorem, Jeleniem czy „Wasylem”, każda z nich z czystym sumieniem mogła uważać, że to także jej sukces.

ROZDZIAŁ 3

MIASTO DOZNAŃ

W naszym pierwszym sezonie w Lechu przebywaliśmy ze sobą niemal bez przerwy. Autokar, samolot, hotel, szatnia, boisko... Żartujemy czasem, że ze Sławkiem spędziliśmy wtedy więcej wspólnych nocy niż z naszymi żonami.

Robert Lewandowski

Robert Lewandowski był zrezygnowany.

- Sławek, odpadliśmy...
- No jak, dlaczego?
- Przecież teraz musimy dwie strzelić. Nie zdążymy.
- Dwie? Jedną!
- Jedną?
- No, jedną. Jedna bramka i przechodzimy dalej!

Mijała właśnie setna minuta dogrywki meczu z Austrią Wiedeń, z którą na śmierć i życie walczyliśmy o awans do fazy grupowej Pucharu UEFA. Kilkanaście sekund wcześniej Matthias Hattenberger strzelił szczupakiem w stylu Andrzeja Szarmacha, a „Lewy”, idąc w kierunku środka boiska, spojrzał na mnie smutnym wzrokiem.

W nogach mieliśmy prawie dwie godziny rewanżu; co prawda prowadziliśmy 3:2, ale że dwa tygodnie wcześniej przegraliśmy w Wiedniu 1:2, to gol Hattenbergera przymknął nam drzwi, które prowadziły do raję.

Wiedeńczycy nie byli kelnerami – w składzie mieli Jocelyna Blancharda, Milenko Aćimovicia i Jacka Bąka. Ale mimo to nawet przez moment nie pomyślałem, że nas ograją. Wcześniej wyrzuciliśmy z pucharów Chazar Lenkoran oraz Grasshopper

Zürich, któremu strzeliłem jednego z sześciu goli. Przed rewanżem z Austrią czułem więc spokój, jakbym ostatni rok spędził na medytacji w buddyjskiej świątyni.

Gdy drugiego października 2008 roku wyjeżdżaliśmy na Bułgarską z hotelu Campanile, w naszym autokarze panowała kompletna cisza, tak jakby ktoś na te kilkanaście minut wyłączył dźwięk. Ale to nie była cisza przepętniona strachem i pokorą. To była cisza przed burzą.

Piorun rąbnął w Austriaków już w dziesiątej minucie. Zakradłem się do Mario Majstorovicia jak złodziej i czubkiem buta wykradłem mu piłkę, która trafiła do Hernána Rengifo, a ten minął na pełnym gazie Szabolcsa Sáfára i dał nam prowadzenie.

Trzeba przyznać, że rywale nie spękali i poszli z nami na wymianę ciosów, której nie powstydziliby się Muhammad Ali i George Foreman. Ależ to była batalia! Bomba za bombę, kontra za kontrę. Nas ratował mający tego dnia osiem rąk Krzysztof Kotorowski, ich – poprzeczka. Kibice siedzący na trybunach co chwilę podążali wzrokiem za akcjami pędzącymi od jednego pola karnego do drugiego. Po przerwie goście wcisnęli jednak gola i zrobiło się 1:1 – rzut karny wykorzystał Ačimovič.

– Na nich, kurrrwa! – ryknął szalejący przy linii Franciszek Smuda.

Jego zachęty nie były nam do niczego potrzebne. Wystarczająco motywowało nas dwadzieścia tysięcy gardeł, które na starym stadionie Lecha z łatwością mogło zagłuszyć start rakiety kosmicznej. Bramka Sáfára wydawała się jednak zaczarowana – goście wybijali futbolówkę nawet z linii. Ale zdeterminowani parliśmy do przodu, przyświecała nam dewiza „Maszeruj albo giń”. Ginąć nie mieliśmy zamiaru, więc maszerowaliśmy – w kierunku awansu.

Pięć minut przed ostatnim gwizdkiem Manuel Arboleda posłał wysokie podanie w szesnastkę Austrii. Za siebie piłkę strącił głową Lewandowski, a ja wbiegłem idealnie w tempo, jakbyśmy ćwiczyli to z Robertem od lat. „Gooooooool!” – ryknął stadion, a mi o mało nie pękły bębenki w uszach.

Popatrzyłem na twarze Austriaków: oni poczuli strach, my poczuliśmy krew. „Mamy was, ogóreczki” – pomyślałem z satysfakcją. W przekonaniu o tym, że wygramy, utwierdził nas

„Lewy”. Na początku dogrywki chciałem strzelać, ale obrońca wybił mi piłkę, która trafiła pod nogi Roberta, a ten huknął bez zastanowienia i po rykoszecie pokonał Sáfara. Było 3:1!

Wszystko szło więc po naszej myśli, aż przyszła setna minuta. Hattenberger zdobył bramkę, „Lewy” zwątpił w awans, a Bułgarska zamarła. Czyżby to miał być koniec?

Momentami nie miałem pewności, czy to był mecz, czy uliczna bójka. Cypryjski sędzia pokazał nam sześć żółtych kartek, tyle samo zobaczyli goście w fioletowych koszulkach, a dodatkowo z boiska wyleciał Franz Schiemer. Przez cały czas prowokował nas Bąk, który grał bardzo agresywnie i brał udział w każdej zadymie. Najpierw wyskoczył do Arboledy, później zaczepił Zlatko Tanevskiego. W końcu nie wytrzymałem.

– Jaki z ciebie Polak? Jak ty się zachowujesz? Pojebało cię, człowieku?

Jacek to był pan piłkarz. Szanowałem go za grę w reprezentacji Polski i zagraniczną karierę, ale wkurwił mnie, bo z uśmiechem dolewał benzyny do i tak płonącego ogniska.

– Uspokój się, małolat, i zajmij się grą – zagrał szefa, ale nie miałem zamiaru ustąpić.

Działo się też na ławkach rezerwowych. Nadęty trener Karl Daxbacher cały czas miał problem ze Smudą, który skakał po strefie technicznej i zasłaniał mu widok. W pewnym momencie szkoleniowiec Austrii warknął:

– Spieprzaj stąd, Polaczku!

Biedak nie miał pojęcia, że Franek po niemiecku mówi lepiej niż po polsku. I chętnie z tego skorzysta.

– Pocałuj mnie w dupę, głupi Austriaku – odpowiedział, a Daxbacher zrobił wielkie oczy i z wrażenia sam usiadł na tyłek.

Ostatni cios ekipie Daxbachera wymierzyliśmy jednak sami. Żadne słowa nie oddadzą tego, co wydarzyło się w sto dwudziestej minucie i dwudziestej sekundzie dogrywki... Akcja zaczęła się jeszcze na naszej połowie, od przechwyty Rengifo. Później piłka poszła do Arboledy, od niego wróciła do Peruwiańczyka i powędrowała do Semira Štilicia, który dostrzegł mnie na skrzydle. Ledwo stałem na nogach, byłem wyczerpany, ale zamknąłem oczy i dośrodkowałem

ten ostatni raz. Głową podanie przedłużył Lewandowski, Arboleda zrobił zastonę w stylu Dennisa Rodmana, Hattenberger się obciął, a Rafał Murawski oddał strzał...

Są w życiu wydarzenia, które ludzie wspominają przez pryzmat tego, co robili w danym momencie. Na przykład atak na World Trade Center albo katastrofa w Smoleńsku. Ktoś był w szkole, ktoś inny w delegacji, a kolejna osoba stała akurat w kolejce po bułki. Wielu kibiców Lecha tak samo traktuje rewanż z Austrią – nie każdy siedział wtedy na trybunach, ale każdy żył tym meczem. Do dziś spotykam poznaniaków, którzy wracają do tamtych chwil. Bo decydujący gol Murawskiego w ostatniej akcji dogrywki dał nam wszystkim bezcenne wspomnienia, miliony złotych i dalszą grę w Pucharze UEFA. A to było coś. Odkąd w 2004 roku utworzono fazę grupową tych rozgrywek, przebiły się do niej tylko Amica Wronki i Wisła Kraków. My zostaliśmy trzecią polską drużyną, która to osiągnęła. By zrozumieć wagę tego sukcesu, wystarczy wspomnieć, że z gratulacjami do Smudy zadzwonił po meczu, obecnie już nieżyjący, prezydent Lech Kaczyński.

Święto na stadionie trwało długo po trafieniu „Murasia”. Hitem stała się przyśpiewka „Auf Wiedersehen, auf Wiedersehen, Austria, Austria, auf Wiedersehen”. Wesolo było także w szatni, w której od razu pojawiły się idealnie schłodzone butelki. Zaraz po meczu zajrzał do nas Bąk. Ale tym razem pokazał klasę. Pogratulował nam awansu, każdemu uściśnął dłoń. Podszedł też do mnie.

– A ty się tak nie gotuj. To rywalizacja, emocje. Jak poznasz kiedyś dużą piłkę, to sam się o tym przekonasz – zaczął tłumaczyć.

– Jasne, dzięki – powiedziałem.

– Spierdalaj, dziadu – pomyślałem.

Bąk wrócił do Wiednia, a my imprezowaliśmy do rana, chociaż za trzy dni mieliśmy święty dla kibiców mecz z Legią Warszawa.

– Teraz to możemy dostać nawet piątkę – żartował Kuba Wilk.

Byliśmy jednak zbyt dobrzy, żeby tak się stało. Skończyło się na 0:0, a legioniści pogratulowali nam awansu.

Dwa lata później, kiedy Austria trafiła w pucharach na inny polski zespół, Ruch, w loży stadionu w Chorzowie Smuda wpadł na szefa

wiedeńskiego klubu. Gdy ten zobaczył Franka, podobno złapał się za głowę.

– Byliśmy tak blisko awansu... Taaaaka kupa euro leżała na stole. A później ty otworzyłeś drzwi i przeciąg wszystko nam zdmuchnął... – stwierdził Austriak.

Cóż, tak właśnie było. Nie kojarzę bardziej szalonego meczu Lecha. Zdobyłem w nim bramkę i zanotowałem dwie asysty, zapisując się w historii klubu i pięknie witając się z kibicami, bo przecież w Poznaniu byłem dopiero od czterech miesięcy. Zacząłem więc jak u Hitchcocka – od trzęsienia ziemi. A potem napięcie już tylko rosło.

Czy Smuda czyni cuda?

Pierwszy raz spotkałem go dopiero w Poznaniu. Cały czas nosił dres i chodził lekko przygarbiony. Emanował aurą trenera, któremu nie chciałoby się podpaść. „A więc tak wygląda ten słynny Smuda od cudów” – pomyślałem.

Chociaż od kilku miesięcy mój transfer do Lecha był klepnięty, Franz nigdy nie pofatygował się do Płocka, żeby zamienić ze mną choćby kilka słów. W tym czasie dzwonił dyrektor sportowy Marek Pogorzelszyk, ale Frankowi się to nie zdarzyło. Teraz mieliśmy pracować razem, chociaż – jeśli mam być szczery – w tamtym momencie nie wyczuwałem w nim szczególnej radości z tego powodu.

Wiele lat później dowiedziałem się, że Smuda chciał mnie sprowadzić już do Widzewa Łódź, do którego wrócił w 2004 roku. Jego asystentem był Włodzimierz Małowiejski, przez lata związany z Płockiem.

– Jest w Wiśle fajny chłopak, ma dziewiętnaście lat, ale już widać, że będzie z niego grajek. Weźmy go, nie pożałujesz – zachęcał.

Trener podobno zaczął rozważać ten ruch, ale chwilę później zrezygnował z pracy, bo Widzew się rozpadał, a na dodatek pojawiła się atrakcyjna finansowo propozycja z Cypru.

Jakiś czas później Smuda i Małowiejski spotkali się w Poznaniu. Franz prowadził pierwszy zespół, a pan Włodek pracował w akademii.

– Włodziu, skrzydłowy nam potrzebny. Szybki, dynamiczny, z dobrą kiwką. Znasz takiego?

– Pamiętasz, jak ci kiedyś mówiłem o małolacie z Płocka? Teraz jest jeszcze lepszy, wymiata w drugiej lidze – stwierdził Małowiejski, kolejny raz wystawiając mi laurkę, a trener nie zmarnował drugiej szansy.

Smuda to naturszczyk. Ma jednak to „coś”, chociaż nie wiadomo, co to jest. Przypomina wiejskiego znachora, którego magiczne metody rozumie tylko on sam. Sam kiedyś nazwał siebie zresztą „Cyganem”. Ktoś tę jego czutkę określi „nosem”, ktoś inny „rentgenem w oczach”, ale fakt jest taki, że Franek ocenia piłkarzy w ciągu minuty. I decyduje, czy jesteś kotem czy szrotem. Ze skutecznością bywa różnie, ale jeśli kogoś zaakceptuje, ten ktoś ma z górki. Gdy jednak uzna za słabeusza, to zacznie go niszczyć. Przez lata przekonało się o tym wielu młodych zawodników.

Franz znany jest też z tego, że ma swoich ulubieńców. Tak było z Arboledą, którego trener sprowadził do Zagłębia Lubin, a później do Lecha. „Maniek” mówił na niego „ojciec” i chociaż różnili się kolorem skóry, to faktycznie można było odnieść wrażenie, że łączą ich więzy krwi. I to tak silne, że w pewnym momencie trener chciał zrobić z Arboledy... reprezentanta Polski.

Kolumbijczyk był prawdziwym kilerem. Dlatego od pierwszego dnia został wyznaczony do dręczenia Lewandowskiego. W tamtym okresie Robert do siłowni wchodził tylko wtedy, gdy pomyliły mu się drzwi. „Maniek” przypominał natomiast wyrzeźbiony dłutem greckiego mistrza posąg. No i za każdym razem, kiedy się zderzali, masakrował młodszego kolegę.

– Faul? Jaki faul! Ni ma faulu! Dalej grać! – krzyczał Smuda, chociaż Don Manuel pięć sekund wcześniej przebiegł Lewandowskiemu po głowie.

Po kilkudziesięciu takich łomotach Robert stanął przed wyborem: dać się zatłuc koledze z obrony albo iść na siłownię i się postawić. Wybrał drugie rozwiązanie i po kilku miesiącach poczuł się na tyle pewnie, że jak Arboleda przesadził, to „Lewy” wyskoczył do niego z pięściami. Czas pokazał jednak, że Franz miał rację. Po

kolumbijskiej szkole przetrwania „Lewemu” nie był już straszny żaden obrońca.

Nie każdy miał ze Smudą dobre relacje. Trener nie przepadał na przykład za Piotrem Reissem. „Reksio” był nowym wcieleniem Mirosława Okońskiego, idolem Poznania, któremu ludzie na ulicy kłaniali się w pas. Ale Franek nie potrafił się z nim dogadać. Kiedy Reiss miał rozegrać trzechsetny mecz w koszulce Kolejorza – Lech mierzył się wtedy z Legią na Łazienkowskiej – Smuda wpuścił go na... dwie minuty. Zresztą gdy do klubu dołączył „bombardier z Peru”, czyli Rengifo, Franz powiedział Reissowi z dziką satysfakcją: „Zobaczmy, czy teraz pograsz”. I faktycznie – Piotr grał coraz mniej.

To był jednak świetny napastnik. Kiedyś po jednym z treningów wziął kilka piłek i poszedł postrzelać rzuty wolne. Franek stanął z boku i cierpliwie czekał, aż Reiss coś zepsuje. A tu co strzał to bramka. Najpierw petarda w okienko, później technicznie obok słupka, na końcu prostym podbiciem – Piotrek walił, jak chciał. W normalnej sytuacji trener biłby piłkarzowi brawo, ale nie tym razem. Chodziło przecież o „Reksia”. Smuda w końcu nie wytrzymał.

– Noż kurrwa, nikt mu tego nie zabierze... – syknął i wkurwiony poszedł do szatni.

A Reiss spojrzał kątem oka na odchodzącego trenera i pyk, znów trafił między widły.

Podobnie było z innym zasłużonym lechitą, Maciejem Scherfchenem. Frankowi przeszkadzało w nim wszystko: a to mina nie taka, a to fryzura z dupy. Na obozie we Wronkach „Szeryf” założył słuchawki w trakcie biegania. Gdy Smuda to zobaczył, wpadł w amok i zaczął się wydzierać:

– Co ty sobie myślisz? Muzyka to ma być na boisku, a nie w uszach!

Dwa tygodnie później bez żalu oddał Scherfchena do Ruchu Chorzów.

Latem 2008 roku poza mną, „Lewym” i Arboledą do Lecha dołączył nieznany jeszcze w Polsce Štilić. Od razu było widać, że jest gwiazdeczką – gwiazdy miał zresztą wytatuowane na łokciach. Co zaskakujące, Smuda nie cierpiał tego typu piłkarzy. Bośniak mało

biegał, nie pomagał w defensywie, ciągle robił kółeczka, wcinki, przerzutki. No i nie przemęczał się na treningach.

– Kogo ty mi tu dałeś? Co to za pszczołka? Gruby jest, jakby go pokąsało, patrz na jego dupę! – krzyczał Franek do Andrzeja Czyżniewskiego, szefa skautingu, który przywiózł Štilicia z bośniackich pastwisk.

Semirek w nodze miał jednak celownik laserowy i pojedynczym zagranieniem potrafił odmienić losy meczu. Franek zrozumiał to po kilku spotkaniach i machnął ręką na dreptanie Semira. A Štilić zrewanżował mu się bramkami i asystami.

Treningi Smudy nie były zbyt skomplikowane, zresztą jak cały Franz. Uwielbiał gierki jedenastu na jedenastu, bo uważał, że odwzorowanie sytuacji meczowych pomoże nam w podejmowaniu szybszych decyzji. Dzielił nas więc na dwie drużyny – pierwszą ze znacznikami i drugą bez. Po kilku tygodniach połapaliśmy się, że jeśli do środy utrzymało się znacznik, to w weekend wychodziło się na boisko od początku. Forma z czwartku i piątku nie miała już żadnego znaczenia.

– Byle do środy – żartowaliśmy. – A później już tylko cygarko i whisky.

Mimo to na treningach iskrzyło. Chociaż Franek miał swoich pupili – a znalezienie się w tym gronie właściwie gwarantowało grę – to nikt nie zamierzał przyjmować tego do wiadomości ze spuszczoną głową. Wręcz przeciwnie: zakładało się wkręty i walczyło o swoje. Nie odpuszczali nawet kontuzjowani. Pamiętam chłopaków, którzy walcząc o każdy dzień przybliżający ich do powrotu na boisko, przyjeżdżali do klubu na zabiegi nawet o dziewiętnastej czy dwudziestej.

Dwa lata później taki poziom rywalizacji spotkałem w Bundeslidze. Zrozumiałem wtedy mądrość Smudy: tak jak wiedział, że Lewandowski musi się odbić sto razy od Arboledy, żeby zmęźnieć, tak samo miał świadomość, że aby skutecznie rywalizować w Europie, musimy walczyć o miejsce w składzie jak o przetrwanie.

Po wygranym dwumeczu z Austrią nie mieliśmy żadnych kompleksów, a dodatkowo zaczął kibicować nam cały kraj. Byliśmy jak otwarte okno w dusznym pokoju polskiego futbolu... Prawda jest

jednak taka, że w Europie należeliśmy do outsiderów. Klubowy ranking Lecha nie istniał, w poprzednich latach Kolejorza ogrywali nawet Czeczeni i Mołdawianie. UEFA rozlosowała nas więc z ostatniego koszyka. Po cichu liczyłem, że wpadniemy na Niemców – była szansa na HSV, Stuttgart lub Schalke Gelsenkirchen. Los chciał jednak inaczej i przydzielił nam AS Nancy, CSKA Moskwa, Deportivo La Coruña i Feyenoord Rotterdam.

Przeciwników było czterech, a nie trzech, bo w tamtym sezonie w pucharach nie grało się systemem mecz–rewanż. Zdecydowano, że odbędą się dwa spotkania domowe i dwa wyjazdowe, a z grupy wyjdą trzy najlepsze zespoły.

Na dzień dobry zremisowaliśmy 2:2 z Nancy, a ja już w piątej minucie zakręciłem Jonathanem Brissonem i zdobyłem bramkę. „Ja pierdolę, ale to proste” – śmiałem się w duchu, kiedy cieszyliśmy się z kolegami.

Jak się później okazało, gol strzelony Francuzom był tysięcznym polskim trafieniem w historii europejskich pucharów. W Moskwie było jednak mniej wesoło – przegraliśmy 1:2 i dostaliśmy lekcję pokory.

Działacze Lecha zadbali o nas wtedy, jakbyśmy byli Realem Madryt. Zamieszkaliśmy w hotelu Kempinski, pięć minut od placu Czerwonego, obsługiwało nas kilkanaście osób, mieliśmy nawet własnego kucharza. Nie przyniosło to jednak żadnego efektu, szczególnie że nasi stoperzy zapomnieli tego dnia, jak się broni. Najpierw Arboleda zderzył się z Tanevskim, dzięki czemu sam na sam z Ivanem Turiną wyszedł Alan Dżagojew, a później sprawę samodzielnie zawałił Zlatko, z czego skorzystał Jurij Żyrkow.

Na Łużnikach szaleli przede wszystkim Vágner Love i Miloš Kradić. Ten drugi stemplował niemal każdą piłkę i był jak duch – pojawiał się, robił zamieszanie i znikał. Nie mieliśmy pomysłu, jak go zatrzymać. W ogóle nie zdziwiło mnie, że jakiś czas później Juventus wyłożył za niego blisko dwadzieścia milionów dolarów.

W ostatnich trzydziestu minutach postraszyliśmy CSKA, bo gol Štilicia dał nam nadzieję na remis, ale tego dnia Rosjanie nie dali sobie zrobić krzywdy. Po meczu doszło do spięcia między Smudą a Bosackim, który jakiś czas wcześniej został odstawiony na boczny tor. Franek zarzucił mu, że pomimo porażki jest w dobrym humorze, Bartek coś odfuknął i zaczęła się jatka. Po powrocie do Poznania

trener powiedział przy wszystkich: „Jak ci się tu nie podoba, to możesz wypierdalać”. W szatni zapanowała grobowa cisza. Przecież nie mówił do uczniaka, tylko do uczestnika ostatniego mundialu. Dwa tygodnie później w Krakowie Franz chciał się chyba pogodzić i zażartował: „Mógłbyś być moim synem”. „Bosy” jednak bez zastanowienia odparł: „Nie chciałbym mieć takiego ojca”.

Później zremisowaliśmy u siebie 1:1 z Deportivo. To było przedziwne spotkanie. Na ławce usiadł nie tylko Bosacki, ale i Lewandowski. Na dodatek straciliśmy bramkę już w sześćdziesiątej ósmej sekundzie. W końcówce pierwszej połowy udało się nam jednak wyrównać po bajecznej akcji w stylu Barcelony, którą przeprowadzili Arboleda, Štilić i Rengifo. Później atakowaliśmy, ale tak jak w Moskwie nic z tego nie wyniknęło. Remis z ekipą Juana Carlosa Valeróna nie był zły, ale dało się wyciągnąć z tego starcia nieco więcej.

Do ostatniego meczu podchodziliśmy, mając na koncie tylko dwa punkty. Sprawa awansu była jednak otwarta, bo zwycięstwo z Feyenoordem dawało nam wyjście z grupy. A przecież Holendrzy w trzech pierwszych spotkaniach dostali lanie.

W Rotterdamie problemy ze snem miał nasz defensywny pomocnik Tomasz Bandrowski. Później odsypiał w hotelowym lobby, w jadącym na stadion autokarze, a na końcu nawet w szatni.

– Dajcie mi znak przed rozgrzewką – poprosił, położył się na ławce i zasnął.

Obudziliśmy go dwie minuty przed wyjściem na murawę. Franek zauważył jednak, że coś jest nie tak i skreślił Tomka z wyjściowego składu, chociaż dwa tygodnie wcześniej ten rozegrał dziewięćdziesiąt minut z Depor.

Na szczęście i bez niego daliśmy radę. Pomogła równa co do milimetra murawa. W tym samym czasie w Polsce na części stadionów rosły pastwiska, na które nie wyprowadziłbym psa. Na De Kuip natomiast nie trzeba było patrzeć pod nogi, bo piłka toczyła się jak po stole bilardowym. Rozwinęliśmy więc skrzydła i rozegraliśmy niezłe spotkanie, wygrane 1:0 po bramce Ivana Đurđevića.

Po meczu chciałem się wymienić koszulką z Royem Makaayem, który zrobił na mnie duże wrażenie, ale gospodarze zakończyli puchary z zerowym dorobkiem punktowym i nie wyglądali na

chętnych, aby podarować nam coś więcej niż zwycięstwo. Zresztą kiedy jechaliśmy na lotnisko, w mieście podobno płonęły już samochody i śmietniki. Kibice szturmowali też siedzibę klubu, bo wściekli się na słabe wyniki. To nie był jednak nasz problem. W grupie zajęliśmy trzecie miejsce, za CSKA i Deportivo, więc liczyło się tylko to, że wiosną zagramy w pucharach.

Mistrz Wielkopolski

To, co wychodziło w Pucharze UEFA, nie zawsze udawało nam się w lidze. Już jesienią poznańska lokomotywa miała opóźnienia w drodze do stacji Mistrzostwo, ale naprawdę poważne problemy zaczęły się wiosną. Sytuację skomplikowały trzy remisy z rzędu: z Górnikiem, Arką Gdynia i Wisłą. Inne zespoły zaczęły nam odjeżdżać, a przy Bułgarskiej pojawiła się przyśpiewka „Na puchary się spinacie, w Ekstraklasie chuja gracie”.

Prawda była jednak taka, że nie zabrakło nam zaangażowania, tylko siły. Zimą ze Smudą pojechaliśmy w góry i tym samym wróciły moje najgorsze koszmary z okresu współpracy z Czechem Josefem Csaplarem. W Szklarskiej Porębie czekało nas minimum piłki i maksimum biegania.

– Tylko jajecznicy nie żreć na śniadanie – ostrzegał codziennie Franz i wcale nie robił tego dla jaj, bo wymiotowanie u niego na treningach było normalką.

Dobę rozpoczynaliśmy od czterdziestu minut biegu po tartanie, w trakcie którego co dwie minuty należało przyspieszyć na trzydzieści sekund. Następnego dnia biegaliśmy już przez czterdzieści pięć minut. I tak cały tydzień, aż doszliśmy do blisko pięciu kwadransów. A to wciąż była tylko zaprawa!

Kiedy już wszyscy wyleźli z krzaków, gdzie zwrócili naturze to, co przekazali rano, szliśmy na halę. Tam czekał trening stacyjny, chociaż dla mnie to były zwykłe tortury. Trasa składała się z dwunastu punktów – skoków przez kozła, ćwiczeń z piłką lekarską czy płotków. Na każdej stacji robiło się trzydzieści sekund maksymalnego wysiłku, później był krótki odpoczynek i kolejna stacja.

– Szybciej, jeszcze dwie pompki! – darł się kat Smuda, który chyba przesadnie zainspirował się słynnym Hubertem Wagnerem.

Podobnie jak siatkarze po całym dniu nie mieliśmy siły, aby wejść po schodach.

W Szklarskiej odwiedziła nas kontrola antydopingowa. Zazwyczaj badano jednego czy dwóch piłkarzy, wtedy jednak sikać do probówek musiała cała drużyna. Dowodów na to nie mamy, ale prawdopodobnie doniósł na nas życzliwy przeciwnik z Ekstraklasy. Oczywiście skończyło się wynikami negatywnym, choć niesmak – jak w dowcipie – pozostał.

Przygotowania Smuda wyliczył tak, żebyśmy byli gotowi na lutowy dwumecz z Udinese w Pucharze UEFA. Jak to zrobił bez komputera, wie tylko on. Ale udało się, bo w odpowiednim momencie zaczęliśmy biegać jak Forrest Gump. Pokazaliśmy to w pierwszym meczu z Włochami, który graliśmy w przeraźliwym zimnie. Mróz był taki, że pomimo czapki, rękawiczek i dwóch par kalesonów o mało nie skończyłem z odmrożeniami.

Gorąco było za to na boisku. Włosi prowadzili 2:0 do ostatnich minut, ale wtedy przydała się nam moc przywieziona z gór. Chociaż chłopa mieli w nogach niemal cały mecz, depnęli dwa razy i po golach Rengifo oraz Arboledy doprowadzili do remisu.

W Poznaniu nie mogłem zagrać z powodu kontuzji kostki. Szansa na występ pojawiła się przed rewanżem; w Udine wyszedłem nawet na trening, ale po dwóch minutach musiałem odpuścić. Ból był nie do zniesienia, nie pomogły nawet silne leki. Rewanż zaczęliśmy jednak znakomicie – już w dwunastej minucie strzelił niezawodny Rengifo. Cisnęliśmy Włochów niemożebnie, to chyba najlepsza połowa Lecha, jaką pamiętam, i tylko przez naszą nieskuteczność nie prowadziliśmy do przerwy 3:0. Później jednak Simone Pepe wyrównał i stanęliśmy pod ścianą. Co prawda goniliśmy wynik, żeby powtórzyć finisz z Austrią, ale w doliczonym czasie gry Marcin Kikut potknął się o własne nogi i po błyskawicznej kontrze losy meczu przesądził Antonio Di Natale.

Odpadliśmy więc z pucharów, chociaż nie przynieśliśmy wstydu. Byliśmy pierwszym polskim zespołem od czasów Wisły Henryka Kasperczaaka, który wystąpił w Europie wiosną. Mieliśmy zgraną paczkę i duże apetyty. Należało tylko zdobyć mistrzostwo i za kilka miesięcy spróbować w eliminacjach Ligi Mistrzów.

To teoretycznie proste równanie okazało się jednak szaradą nie do rozwiązania. Energii ze Szklarskiej Poręby starczyło nam jeszcze na GKS Bełchatów i Jagiellonię, ale później baterie padły i przyszła seria remisów. To była zresztą nasza najpoważniejsza dolegliwość, niestety przewlekła. W ten sposób straciliśmy punkty z ŁKS Łódź, Legią i Ruchem.

Szczególnie bolesna była wpadka z łodzianami. W trakcie meczu podszedł do mnie Tomek Hajto, którego nie widziałem dziesięć lat, od spotkania w Makowie Podhalańskim.

– Ty jesteś Peszko?

– Tak, a co?

– Podobno jesteś charakterniak, stara gwardia. Tak mi mówili. To prawda? – zaczął gadkę, jakbyśmy siedzieli pod celą.

– No, chyba tak!

– Jak tak, to słuchaj uważnie. Zaczynij myśleć na boisku. Jak idziesz na mnie, to puść sobie piłkę na trzy metry i zapierdalaj, wtedy nigdy cię nie zatrzymam – tłumaczył. – A jak wejdiesz ze mną w kontakt fizyczny, to nie masz szans, zniszczę cię. Kumaszc?

Zrobiłem wielkie oczy, bo pierwszy raz w życiu przeciwnik radził mi, jak mam go ograć. „O ty staruchu – pomyślałem. – Różnie o tobie mówią, ale w sumie to masz sporo racji”.

Remis z ŁKS na siedem kolejek przed końcem sezonu był gwoździem do naszej trumny. W szatni panowała fatalna atmosfera, a Arboledzie odbiło i zaczął rzucać butami o ścianę. Gdy Smuda to zobaczył, to też się wkurwił.

– Zamknij mordę! – ryknął.

– Sam się zamknij – odpowiedział „Maniek”.

– Siadaj na dupę!

– Spierdalaj!

I tak przez kilka minut. Wiedziałem, że już po nas. Co prawda piłkarsko byliśmy gotowi na zdobycie tytułu, ale mentalnie przypominaliśmy budowlę z zapalek, która została wystawiona na nadchodzący huragan.

Mnie też puszczały nerwy. Po jednym z ostatnich meczów wyskoczyłem do Luisa Henríqueza. Skończyło się remisem, co i tak było moim sukcesem, bo nasz obrońca trenował w rodzinnej Panamie... boks.

Szansę na mistrzostwo straciliśmy niedługo później, po kolejnej serii zremisowanych meczów. Jakby tego było mało, w ostatniej kolejce Tomasz Moskała z Cracovii strzelił nam bramkę w końcówce i po następnym remisie – zebraliśmy ich łącznie jedenaście – zrzucił nas na trzecie miejsce w tabeli. Pierwsza była Wisła, druga Legia. Moje pierwsze podium Ekstraklasy bolało więc jak cholera. Litować się nad nami nie zamierzali nasi kibice, którzy podczas ostatnich meczów na Bułgarskiej nucili złośliwe „Miał być mistrz Polski, a będzie mistrz Wielkopolski”.

Na osłodę dotarliśmy do finału Pucharu Polski. Na Stadionie Śląskim zmierzyliśmy się z Ruchem, który pokonaliśmy 1:0, a ja zdobyłem zwycięską bramkę. W drugiej połowie dostałem podanie od silnego jak niedźwiedź Rengifo; z jedenastu metrów uderzyłem tuż obok bramkarza i mogłem ruszyć w kierunku naszych fanów, którzy wcześniej odpalili tak dużo pirotechniki, że... nie wszyscy na stadionie widzieli mojego gola.

Po meczu Franz wbiegł na murawę i rzucił mi się w ramiona.

– Dziękuję! To mój pierwszy! Pierwszy! Nigdy nie zdobyłem pucharu! – darł mi się do ucha.

Jak to? Wygrywał ligę z Widzewem i Wisłą, grał w fazie grupowej Ligi Mistrzów, a brakowało mu takiego trofeum?

– A nie pamiętasz, jak w finale ojebaliśta mnie z Wisłą Płock? No, to teraz rachunek mamy wyrównany! – odparł ze śmiechem, ciesząc się jak dziecko.

Chociaż zostałem najlepszym piłkarzem meczu z Ruchem, trochę się wkurzyłem. Rok wcześniej MVP finału, którym był Roger Guerreiro, dostał od firmy Remes pięknego mercedesa. Po cichu też liczyłem na nową furkę, ale szybko okazało się, że zamiast auta wręczono mi tylko... małą statuetkę.

„Lewy”

Ludzie zastanawiają się, od czego zaczęła się moja znajomość z Robertem. Jesteśmy od siebie tak różni, że ogień i woda to przy nas bliźniacy. Dodatkowo „Lewy” jest introwertykiem, długo przekonuje się do nieznanomych. Przed wspólną grą w Lechu ledwie

się kojarzyliśmy: ja byłem w Wiśle, on w Zniczu Pruszków. W drugiej lidze został jednak królem strzelców i na rynku zaczęła się wielka licytacja. Legię, Wisłę i Cracovię pogodził w końcu Kolejorz, dzięki czemu niedawni przeciwnicy mieli stać się kumplami z szatni. A jak się później okazało – także przyjaciółmi.

W czerwcu 2008 roku Smuda zabrał nas na zgrupowanie do Wroniek. Z nowymi kolegami – zupełnie jak osiem lat wcześniej w Ustce – przywitałem się dobrą grą w sparingach. Najpierw strzeliłem gola rosyjskiemu Amkarowi Perm, później dołożyłem dublet w meczu z Górnikiem. Dwie bramki strzelił także Robert, z którym przez czterdzieści pięć minut szukaliśmy się jak znajomi z podwórka: Lewandowski mnie, żeby odegrać, a później uciec w pole karne, a ja jego – kiedy już znalazł się w szesnastce. To wtedy pierwszy raz mu asystowałem. Premierowego gola w oficjalnym meczu Lecha też strzelił po moim podaniu – kiedy w Azerbejdżanie pokonaliśmy 1:0 Chazar.

Chemię między nami zauważył w końcu kierownik drużyny Łukasz Mowlik, który wrzucił nas do jednego pokoju.

– Jesteście nowi, młodzi i obaj z drugiej ligi. A do tego wszyscy inni mają już pary. Jakoś się dogadacie – zarządził.

W pierwszym sezonie w Lechu graliśmy na czterech frontach (dodatkowo w Pucharze Polski i Pucharze Ekstraklasy), więc spędzaliśmy razem setki godzin. W autokarze, samolocie, hotelu albo szatni. Gdzie my wtedy nie byliśmy: Baku, Bełchatów, Gdynia, Moskwa, Wrocław, Sankt Gallen... Zaczęły się rozmowy o planach na przyszłość, małżeństwie, kupnie mieszkania, zmianie auta i transferze. Robert już wtedy był megaskupiony na piłce. Lubił obejrzeć horror albo mecz NBA, pogadać o samochodach, które uwielbia, ale generalnie – *calma*. Kiedy mnie nosiło, on wołał spacer. Gdy kombinowałem, jak się wyrwać z hotelu, on spał. Miał też zasadę, że w dniu meczu nie rozmawiał z ludźmi; nie chciał słuchać o ich problemach, bo przeszkadzało mu to w koncentracji. Do dziś zresztą tak ma – kiedy zbliża się ważne spotkanie, nie zawracam mu niczym głowy, bo wiem, że to go irytuje. To właśnie w Poznaniu poznaliśmy się jak łyse konie. Do dziś żartujemy, że „Lewy” spędził wtedy ze mną więcej nocy sam na sam niż ze swoją Anią.

Sympatię z boiska szybko przenieśliśmy poza murawę. Miałem już mieszkanie na Strzeszynie Greckim i Robert często tam zaglądał.

– Byłam niedawno na zawodach karate! Zdobyłam medal! – mówiła z przejęciem Ania, wtedy jeszcze Stachurska.

Robert pytał natomiast:

– Masz batony?

To było na kilka lat przed dietami, które zaczęła opracowywać dla niego Ania. Wtedy „Lewy” non stop jadł czekoladę – snickersy, marsy, ptasie mleczko. Pochłaniał tego całe tony. Gdyby w tamtym czasie Wedel podpisał z nim kontrakt reklamowy, byłby najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi.

Kolegowaliśmy się też z „Wilczkiem” i Grześkiem Wojtkowiakiem. Chodziliśmy razem na dyskoteki, wspólne kolacje, jeździliśmy na gokarty. Raz byliśmy też w Gorzowie Wielkopolskim na żużlu, który jest moją pasją. Chcieliśmy zobaczyć w akcji Tomka Golloba. Działacze dowiedzieli się jednak, że jesteśmy na stadionie i gdy zaczęła się prezentacja drużyn, spiker zaprosił nas na linię startu.

– A dziś Stal wspierają gwiazdy Lecha!

Pomyślałem, że jeszcze wsadzą nas na te motory i każą jechać. Na szczęście skończyło się na owacji od kibiców.

„Lewy”, „Wilczek” i „Dyzio” byli na naszym ślubie, który odbył się dziesiątego stycznia 2009 roku w Płocku. Termin wesela mieliśmy wyznaczony na czerwiec i wtedy zapewne wpadłaby cała drużyna, ale właścicielka sali zaproponowała zrobienie imprezy pół roku wcześniej i skorzystaliśmy z okazji. Zaprosiliśmy więc chłopaków, z którymi trzymaliśmy się najbliżej, a oni... nie przyjechali.

Wesele odbywało się w miejscowości Cekanowo, dziesięć kilometrów od Płocka. Gdy dojechaliśmy na miejsce, byli tam już Wan Geworgian, Adrian Mierzejewski, Paweł Sobczak czy Karol Gregorek. Brakowało natomiast ekipy z Lecha.

– Może coś się stało? – martwiła się Ania, bo nie mieliśmy od chłopaków żadnej informacji.

Okazało się, że spory kawałek dalej jest inne miasteczko o podobnej nazwie. I Robert z paczką po mszy pojechali właśnie tam. Dopiero na miejscu dowiedzieli się, że trafili pod zły adres, i łamiąc wszystkie przepisy ruchu drogowego, popędzili w drugą stronę. Przez to nie widzieli naszego pierwszego tańca.

Później jednak „Lewy” odpracował spóźnienie. Wziął udział w większości oczepinowych zabaw, a najlepiej poszła mu bitwa taneczna. Wodzirej puszczał różne kawałki – od disco polo po hity z lat siedemdziesiątych – a uczestnicy tańczyli swoje układy. Do finału doszli Robert i mój brat Daniel. Zamiast jednak stoczyć bitwę o flaszkę, urządzili wspólne show.

Robert z Anią wytrzymali do rana, co nie udało się „Mierzejowi”. Ten bawił się tak dobrze, że skończył z głową w rosole. A żeby było ciekawiej, to w trakcie wesela wymiotować zaczęła też... moja Ania. Na początku pomyśleliśmy, że może czymś się zatręła, ale niedługo później okazało się, że była w ciąży. Lepszego prezentu ślubnego nie mogliśmy sobie wymarzyć.

Kilka lat później ślub postanowili wziąć Robert i Ania. „Lewy” poprosił mnie wtedy, żebym był jednym z jego czterech świadków. Nie mogło się więc obyć bez kozackiego wieczoru kawalerskiego. Poza „Lewym”, mną, „Gancarem” i Wojtkiem Szczęsnym była jeszcze ekipa przyjaciół Roberta z Warszawy: Tomek Zawiślak, Marcin Kulczyk, Kamil Gorzelnik czy Marek Kalitowicz.

Lewandowski był już dużą gwiazdą, ale nikt z nas nie pomyślał, żeby wyczarterować prywatny samolot i na Lazurów Wybrzeże polecieć regularnymi liniami. Co prawda on, ja i Szczęsny weszliśmy na pokład terminalem VIP, ale i tak nie udało się nam uniknąć ogona. Już w Nicei, kiedy jechaliśmy z lotniska do hotelu Radisson, za naszym bussem pojawił się biały fiat, który co chwilę podjeżdżał, żeby sprawdzić, kto siedzi za zaciemnianymi szybami.

– Paparuchy... – nie mieliśmy wątpliwości.

Kulczyk, zwany „Szyną”, który jest ochroniarzem „Lewego”, w końcu kazał zatrzymać auto.

– Ja ich zablokuję, a wy spierdalajcie. Jakoś was później znajdę.

Tak też się stało. Zahamowaliśmy, a „Szyna” wyskoczył na ulicę i bezczelnie stanął przed fiatem. Dzięki temu nie niepokojeń mogliśmy wybrać się do... McDonalda.

– Ale jestem głodny.

– Ja też...

– Wiecie, dokąd jechać?

– Nie... Ale tam jest Mak! – zauważył „Szczena”. I zamiast wcinać małże w sosie koperkowym albo wykwintne steki z argentyńskiej wołowiny, poszliśmy na cheeseburgery z frytkami za kilka euro.

We Francji spędziliśmy trzy zajebiste dni. Byliśmy w olbrzymim aquaparku, pozwiedzaliśmy też Monako, chociaż do Casino de Monte-Carlo nie zaszliśmy. Wojtek wynajął natomiast łożę w słynny klubie Le Baoli w Cannes. Nasze miejsca znajdowały się na środku dyskoteki, więc rzucaliśmy się w oczy. Obok imprezował jakiś książę z Danii czy Norwegii, który wyglądał na wkurwionego, że to my, a nie on, jesteśmy atrakcją nocy. Kozaczyliśmy jednak tylko przez jakieś dwie godziny.

– O kurwa... – jęknęliśmy po grubym wejściu czterech Arabów. Gdy pojawili się w klubie, cristale i moëty zaczęły latać w powietrzu, do tego zrobiono im pokaz fajerwerków, przyniesiono tace z dzikami czy innymi sarnami. Od razu obsiadło ich ze trzydzieści kobiet, każda wyglądająca jak króliczek Playboya. Nie wiem, ile szejkowie wydali tamtego wieczora, ale na pewno nie graliśmy w ich lidze.

Co prawda bawiliśmy się świetnie, ale Robert nie mógł poszaleć tak, jakby chciał. Mieliśmy świadomość, że jesteśmy obserwowani, nawet gdy płynęliśmy jachtem z Cannes do Saint-Tropez. Zdjęcia robiono nam na plaży, na mieście... Brakowało tylko, żeby paparazzi zajrzeli do kibla. Nadrobiliśmy dopiero na weselu, które „Lewy” z Anią zorganizowali w Trębkach Nowych. Co jednak wydarzyło się w Trębkach, pozostanie w Trębkach...

Z Robertem graliśmy razem przez dwa lata, bo ten nieśmiały chłopak z podwarszawskiego Leszna szybko przerósł Ekstraklasę. Jeszcze w trakcie drugiego sezonu zaczęły pytać o niego zagraniczne firmy.

Pamiętam, jak w kwietniu „Lewy” poleciał na rekonesans do Genui. Obejrzał derby z Sampdorią, spotkał się z prezesem Enrico Preziosim. Na transfer naciskał sam Gian Piero Gasperini, który później pracował w Interze Mediolan i Atalancie. Robert łapał się za głowę po powrocie.

– Człowieku, wszystko tam jest takie stare! Stary stadion, stara baza. Tynk odpada. Masakra, a nie Serie A.

Legenda głosi, że Robert nie trafił do Genui przez Preziosiego, który rozmyślił się, bo uważał, że Polak jest za niski. I w ten sposób popełnił największy błąd w życiu. Prawda jest jednak taka, że Lewandowskiemu do Italii się nie spieszyło.

Bliżej było mu za to do Anglii. Pytały o niego Fulham i West Bromwich Albion, ale najkonkretniej działał Blackburn Rovers. Na Islandii wybuchł jednak wulkan, niebo nad Europą zostało zamknięte i to wstrzymało transfer.

Olbrzymią kasę, osiem milionów dolarów, zaoferowali natomiast Ukraińcy z Szachtara Donieck. Co więcej, przyjechali nawet do Wronek z torbami pełnymi forsy i próbowali przekonać działaczy Lecha, żeby przyjęli ich propozycję.

– Chcą mnie też Ruscy i Turcy – mówił mi w tajemnicy Robert, który te kierunki sam szybko wykluczył.

Ostatecznie z głupoty prezesa Genoi i pecha Blackburn skorzystali Jürgen Klopp i Borussia Dortmund, kupując Lewandowskiego za prawie pięć milionów euro. Ale zanim to wszystko się wydarzyło, przeżyliśmy razem magiczne chwile.

We Are The Champions

Smuda próbował zdobyć mistrzostwo przez trzy lata, ale mu się nie udało. W końcu właściciele stracili cierpliwość i Franza pożegnali. Nowym szkoleniowcem Lecha został Jacek Zieliński, który wcześniej pracował w Polonii Warszawa. Nie był to może trener wybitny, z pewnością stanowił przeciwieństwo Smudy.

– Cześć „Peszkin”, siema „Lewy” – zaczął na dzień dobry.

„Oho, normalny gość” – pomyśleliśmy. Nie miał kija w dupie, nie napinał się jak kulturysta. Przyszedł, zbił z nami piątki i wziął się do roboty. Dodatkowo w debiucie zdobył Superpuchar Polski, w którym pokonaliśmy krakowską Wisłę po rzutach karnych.

Zarząd stawiał przed Zielińskim jasne zadania: wygrać ligę i awansować do fazy grupowej pucharów. To drugie, mimo ogromnych apetytów, niestety się nam nie udało. W pierwszej rundzie eliminacji Ligi Europy (która zastąpiła Puchar UEFA) rozjechaliśmy norweski Fredrikstad 6:1, a ja trafiłem do siatki. Później wpadliśmy na Club Brugge, ale po bojach z Nancy,

Feyenoordem i Udinese Belgowie nie zrobili na nas wrażenia. We Wronkach, gdzie graliśmy, pokazali jednak, że są poważnym zespołem. Męczyliśmy się z nimi okrutnie, aż trzydzieści sekund przed końcem doliczonego czasu gry ułański rajd przeprowadził Seweryn Gancarczyk, a ja dośrodkowałem tak, że... strzeliłem zwycięskiego gola. I straciłem nad sobą kontrolę. Po trafieniu wskoczyłem na ogrodzenie, bo chciałem cieszyć się z kibicami. Nie spodobało się to sędziemu, który ukarał mnie żółtą kartką. A że miałem kilka kartoników z poprzednich meczów, to zostałem zawieszony.

– Co ty odjebałeś? Gramy kluczowy mecz i nie będziesz mógł zagrać... – irytował się Zieliński, który miał pretensje o to, jak zareagowałem.

Nie dziwię się mu, bo w rewanżu mógłbym przesądzić o awansie. Zamiast tego, siedząc w domu, oglądałem, jak Vadis Odjidja-Ofoe i jego kumple wyrzucają nas z pucharów. Co prawda korzystny remis utrzymywał się długo, dodatkowo sędzia nie uznał prawidłowo zdobytej bramki Štilicia, ale w końcówce błąd popełnił bramkarz Grzegorz Kasprzik i Wesley Sonck trafił do siatki. Później była dogrywka i karne, w których przegraliśmy.

Porażka w Brugii bolała nas długo, ale paradoksalnie dzięki niej mogliśmy skupić się na Ekstraklasie. W tamtym sezonie puchary nam zresztą nie szły, bo szybko odpadliśmy także z Pucharu Polski. Do meczu z Stalą Stalowa Wola przegraliśmy z Polonią, Cracovią i Legią. Kompromitacja z pierwszoligowcem, chociaż do dziś pozostaje jedną z najwstydlivszych kart w historii Kolejorza, była jak orzeźwiający deszcz. Zamiast wody na nasze głowy spadły jednak butelki, którymi obrzucili nas kibice. Ale po tej wpadce wydarzył się cud: z ciuchci zamieniliśmy się w TGV, nie przegrywając w dwudziestu dwóch kolejnych ligowych meczach z rzędu.

Poza mną, „Lewym”, Arboledą, Štiliciem i Wilkiem zespół napędzali też Siergiej Kriwec czy „Gancar”, który dołączył do nas na początku sezonu. Uwielbialiśmy podróże jego olbrzymią terenówką, w której zamontował policyjne światła. Seweryn przywiózł je z Ukrainy. Tam jednak panował specyficzny klimat: w Charkowie, gdzie grał przez cztery lata, za sto dolców można było jeździć po

pijaku przez cały tydzień. W Polsce zaś za rajd na sztucznych bomach groził areszt. Ale kto by się tym przejmował.

– Odpalamy fajerwery – zarządzałem i zaczynaliśmy pędzić na sygnale z Wronek do Poznania.

– Jak nas pały zatrzymają, to zabiorą mi prawko i będę miał przejebane – jęczał czasem „Gancar”, ale minutę później naciskał przycisk i znów byliśmy królami szosy.

Z Gancarczykiem nie dało się nudzić. Na zimowym obozie w Hiszpanii mieszkaliśmy w hotelu, który miał pokoje połączone wspólnymi salonami. Każdy salon łączył trzy apartamenty. Ja spałem z Robertem, Wojtkowiak z Bosackim, a „Gancar” z Kotorowskim. Pewnego wieczoru zaczęło nam się nudzić, wpadliśmy więc na pomysł, żeby obudzić towarzystwo i zaprosić je na kielicha. „Lewy” i „Dyzio” wstali, ale „Kotor” zaczął się stawiać.

– Spierdalajcie, zostaję w łóżku!

Ach tak? Proszę bardzo! Skoro Krzysiek miał takie życzenie, to do salonu wyciągnęliśmy... całe łóżko. Chłop się wkurwił, ale nam też włączyła się grzałka i postawiliśmy jasne ultimatum: pijesz albo dziś nie zaśniesz. Kotorowski popatrzył na nas wściekle, wychylił kieliszek, wepchnął łóżko do pokoju i poszedł spać. Dobry wybór!

Chociaż do Lecha trafiali wtedy naprawdę poważni piłkarze – jak Kriwiec, który z BATE Borysów grał w Lidze Mistrzów przeciwko Juve i Realowi – to zdarzały się też kasztany. Szczególnie słaby okazał się zaciąg „talentów”, takich jak Haris Handžić, Gordan Golik czy Ján Zápotoka. Temu ostatniemu osobiście załatwiłem zresztą transfer. Na obozie przygotowawczym w Austrii graliśmy sparing z Iraklisem Saloniki i Zápotoka, który był na testach, rzucił mi dwie prostopadłe piłki. Żaden to wyczyn, bo Grecy stali wysoko, a ja dogrywałem do środka i biegłem sprintem przed siebie, więc wystarczyło trafić w gałę. Słowak trafił dwa razy, zrobiłem z tego bramkę i asystę. „Ale ma pasa” – zachwycali się działacze i podpisali z nim kontrakt. Żartowałem później, że musi mi odpalić z niego dwadzieścia procent, ale to przemilczał. Gdy powiedziałem, że to żart, też nic nie mówił. Był takim mrukiem, że do dziś nie ma pewności, iż w trakcie pobytu w Poznaniu odezwał się do

kogokolwiek choćby jednym słowem. Podobnie było, kiedy miał piłkę przy nodze – totalna cisza...

W tamtym sezonie byłem obok Roberta największą gwiazdą Lecha. W grudniu dostałem Piłkarskiego Oskara dla najlepszego pomocnika Ekstraklasy, a miesiąc później Srebrną Piłkę dla najlepszego piłkarza Wielkopolski w 2009 roku. Mogłem pochwalić się bramkami i asystami, ale także kartkami. Byłem jak mustang, którego nie dało się osiodłać. I w całym sezonie zebrałem dziewiętnaście żółtych kartoników i cztery czerwone...

Pomimo dobrego trenera, mocnej kadry i świetnej gry na finiszu sezonu potrzebowaliśmy odrobiny szczęścia. Przed przedostatnią kolejką mieliśmy pięćdziesiąt dziewięć punktów, o jeden mniej niż Wisła. My graliśmy w Chorzowie z Ruchem, oni w tym samym czasie rozgrywali derby Krakowa z Cracovią. W scenariusz, który napisał ten dzień, sam nie wierzę do dziś.

Jeszcze w doliczonym czasie gry remisowaliśmy 1:1. Lewą nogą sprzed pola karnego uderzył jednak Kriwicz i w końcu pokonał Krzysztofa Pilarza. Nasza ławka wyskoczyła w powietrze, bo dzięki trafieniu wciąż byliśmy w grze o tytuł. Ledwo chorzowianie zdążyli wznowić mecz, a rezerwowi znów zaczęli tańczyć z radości. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje, dopiero po chwili ktoś krzyknął:

– Wisła straciła gola!

To był legendarny samobój Mariusza Jopa, który padł pięćdziesiąt trzy sekundy po bramce Kriwicza. I to przy stanie 1:0 dla Wisły! Piekło nagle zamarzło, bo zwycięstwo z Ruchem i porażka Białej Gwiazdy pozwoliły nam wskoczyć na fotel lidera. I chociaż do zrobienia był jeszcze jeden krok, to wiedzieliśmy, że już się nie wywrócimy.

W ostatniej kolejce graliśmy z Zagłębiem, a Wisła mierzyła się z Odrą Wodzisław Śląski. Na szczęście nasz mecz odbywał się na Bułgarskiej. W 2009 roku wszystkie spotkania rozgrywaliśmy we Wronkach, bo trwała budowa nowego stadionu przed mistrzostwami Europy. Dopiero od marca wróciliśmy do domu, który miał jednak oddane tylko dwie trybuny. Szkoda, bo gdyby nie remont, to za każdym razem wspierałoby nas przynajmniej trzydzieści tysięcy

gardel. Na Zagłębiu też był komplet, chociaż wynosił tylko trzynaście koła.

Ci, którzy kupili bilety, mogą nazywać się jednak szczęściarzami, bo na własne oczy zobaczyli powrót tytułu po siedemnastu latach. Wcześniej jednak Ilijan Micanski, były piłkarz Kolejorza, który w tamtym sezonie walczył z „Lewym” o koronę króla strzelców, walnął prosto w spojenie!

– Co ty odpierdalasz? Nie popsuj nam tego dnia – prosiłem, ale nie miał litości.

– Sorry, Sławek, dziś gram na całego!

Na szczęście tym razem nie był nam w stanie przeszkodzić nawet Micanski. Wygraliśmy 2:0, a ja przez całą drugą połowę myślałem tylko o jednym: dokąd pójdziemy, co wypijemy i ilu ludzi przyjdzie na fetę. Później sędzia skończył mecz, a nieśmiertelny Freddie Mercury poinformował cały kraj, że jesteśmy mistrzami.

Na Starym Rynku było sto tysięcy ludzi, a może i więcej. Nie wiem, czy dało się tam kogoś jeszcze wcisnąć, niektórzy kibice wisieli na latarniach. Miałem wrażenie, że pół Poznania wyszło wtedy na ulice.

Wynajęty przez klub autokar bez dachu przebijał się powoli przez tłum ludzi, którzy podawali nam szaliki, flagi i puszki piwa. Inni pozdrawiali nas z okien, a część fanów przez kilka kilometrów biegła za autobusem. My natomiast odpalaliśmy race i śpiewaliśmy piosenki. Nigdy tego nie zapomnę, bo to było moje pierwsze mistrzostwo – i jak pokazało życie, jedyne.

Okolo północy pojechaliśmy do klubu SQ, gdzie czekały przygotowane dla nas łóżka. Tam nie interesowało mnie, co, ile i z kim – po prostu piłem. Z kolegami z drużyny, kibicami, nawet z barmanami. Ania się wkurzała, że więcej czasu spędzam z obcymi ludźmi niż z nią, ale taka to była noc.

Okolo czwartej odwiozłem ją do domu, a później pojechałem na Bułgarską. Z niedobitkami walczyliśmy tam do białego rana. Wtedy przyjechał po nas autobus, który obrał kurs na stolicę. W trakcie podróży na Galę Ekstraklasy impreza była kontynuowana, co dla niektórych skończyło się fatalnie. Na przykład Kasprzik trzymał się na nogach tylko dlatego, bośmy go podpierali. Gdyby ktoś zbadał go

wtedy alkomatem, mógłby paść rekord świata, a przynajmniej Europy. Ale szczerze mówiąc, to pijani byli wszyscy.

Na scenie w siedzibie PKOl-u poza nami byli jeszcze piłkarze Wisły i Ruchu. Swój medal pokazałem Pawłowi Brożkowi.

– Zobacz, tak wygląda złoto...

– Jak chcesz, to ci mogę jeszcze jeden dać, w domu mam sześć takich. W kartonie leżą – odpowiedział.

To ja od dziecka marzyłem o tym momencie, zapierdalałem na to ciężko cały sezon, a facet mi teraz mówi: „E tam, w kartonie mam sześć takich samych”... Wiem, że „Broziu” był wkurwiony przegranym finiszem, ale kapitalnie rozładował atmosferę. Kto jak kto, ale on miał się czym pochwalić. Ostatecznie licznik jego mistrzostw Polski zatrzymał się siedmiu.

Trzy dni w Atenach

Po tamtym sezonie uznałem, że najwyższy czas spróbować czegoś nowego. Wiedziałem, że „Lewy”, który został najlepszym strzelcem Ekstraklasy, zaraz wyjedzie do Bundesligi. W tym samym czasie także dostałem ofertę z niemieckiego klubu, Wolfsburga. Do rozmów doszło podczas zgrupowania reprezentacji; graliśmy wtedy w Kufstein z Serbią i do Austrii pofatygował się słynny Dieter Hoeneß, który kilka miesięcy wcześniej został szefem VfL. To była gruba ryba, więc skoro wsiadł do auta i osobiście przejechał siedemset kilometrów, musiało mu na mnie zależeć.

Do spotkania doszło w hotelu kadry. Hoeneß przekonywał, że Steve McClaren, były selekcjoner reprezentacji Anglii, zmienia ustawienie i idealnie pasuje do jego nowego systemu z klasycznymi skrzydłowymi.

– Mamy świetny zespół, z Edinem Džeko i Grafite. Odnajdziesz się w nim – kusił.

Hoeneß zaoferował mi trzyletni kontrakt. Co roku miałem zarabiać prawie milion euro brutto, czyli jakieś sześćset tysięcy na rękę, dodatkowo część kasy Niemcy chcieli wypłacić z góry. W pakiecie było też nowe porsche, bo klub sponsorował Volkswagen.

Do dziś nie wiem, co mnie podkusiło, żeby odrzucić taką propozycję. Miesiąc później Wolfsburg kupił z Juve Diego za

piętnaście milionów euro, za dwanaście baniek wziął Simona Kjæra z Palermo, za kolejne siedem Mario Mandžukicia z Dinamo Zagrzeb. Stworzono tam niesamowitą paczkę. Ale mi coś nie pasowało, chociaż trudno powiedzieć co. Może chodziło o to, że na transfer naciskał mój agent, Jarek Kołakowski, do którego powoli traciłem zaufanie.

W głowie zamotali mi też inni menedżerowie...

– Witam, z tej strony Eugeniusz Kamiński. Mam dla ciebie fajną ofertę. Możemy pogadać?

– Jasne, ale jest problem: mam umowę z Kołakowskim.

– Tym się nie martw, my to sobie załatwimy, jak to agent z agentem. Powiedz tylko, czy pasuje ci klub. Chodzi o Panathinaikos.

– Zajebicie!

– No to czekaj na telefon.

Kamiński dostał mój numer od Smudy, który był jego przyjacielem. Sprowadził mu do Lecha piłkarzy z Ameryki Południowej: Henry'ego Quinterosa, Andersona Cueto czy Rengifo. Selekcjoner wystawił Kamińskiemu świetną rekomendację.

– Uczciwy jest, warto mu zaufać – tłumaczył Franek, chociaż wbrew plotkom nie kazał mi wybrać Panathinaikosu. Sam napaliłem się na Ligę Mistrzów, w której Grecy mieli zagrać.

Do Aten poleciałem z Murcji, gdzie zagraliśmy sparing z Hiszpanią. Nie powiedziałem o tym Kołakowskiemu. Nie powinienem był tak robić, ale od jakiegoś czasu nasze relacje mocno się ochłodziły. Czuję, że nie traktuje mnie jak partnera, byłem dla niego kolejną kurą znoszącą złote jaja. I stwierdziłem, że czas się z tego układu zerwać. Kamiński miał to załatwić.

Po meczu z Hiszpanią wszystko potoczyło się błyskawicznie. Taksówka, samolot, taksówka i już byłem pod Akropolem. Z lotniska odebrał mnie Kamiński. Wieczorem spotkaliśmy się z Krzysztofem Warzychą, który był asystentem trenera Nikosa Niopliasa. Wcześniej to właśnie Warzycha przyjeżdżał do Poznania, aby mnie obserwować.

– Wszystko wiemy, przeprowadziliśmy dokładny *scanning*. Wystawiłem ci laurkę i Nioplias jest zdecydowany na transfer –

przekonywał „Gucio”, do którego w trakcie naszej kolacji podeszło ze stu kibiców.

Ktoś później napisał, że przez trzy dni siedziałem w hotelu, bo nikt w klubie nie miał pojęcia, że jestem w Atenach, ale to bzdura. Na miejscu spotkałem nie tylko Warzychę, ale także wiceprezydenta Panathinaikosu.

– *Sławomir is very, very young player* – reklamował mnie partner Kamińskiego, który robił za tłumacza, bo Geniek znał tylko niemiecki.

– Spokojnie, taki młody nie jestem! – mówiłem.

– *Yes, yes... He can play for a lot of years!*

Byłem też w gabinecie Niopliasa, który na tablicy rozrysował mi ustawienie, w jakim mieliśmy grać.

– Tu będzie Georgios Karagounis, mistrz Europy. Trochę wyżej Sotiris Ninis, świetny chłopak, mocno w niego inwestujemy. W ataku Djibril Cissé, nie muszę ci go przedstawiać. A tu jest twoje miejsce – stwierdził i wskazał palcem na prawą flankę.

Później Warzycha oprowadził mnie po ośrodku treningowym Panathinaikosu. Baza była imponująca, ale największe wrażenie zrobił parking. Stały tam fury za kilka milionów dolarów: ferrari, porsche, cadillac czy maserati.

– Ładnie tu piłkarze żyją – zagadałem.

– Jeden piłkarz – poprawił mnie „Gucio”.

– Jak to?

– Wszystkie należą do Cissé.

Opadła mi szczęka. Okazało się, że były gwiazdor Liverpoolu przywiózł ze sobą z dziesięć fur. A że nie miał w domu tak dużego garażu, to trzymał je pod klubem.

Wszystko wyglądało więc zajebiście: piękne miasto, cudowna pogoda, wielki klub, ambitne plany i poważni piłkarze. Nic, tylko podpisać umowę i grać. Ustaliłem kontrakt na trzy lata. W pierwszym roku miałem dostać na rękę sześćset koła, czyli tyle, ile zaoferował mi Wolfsburg.

Przez cały czas wydzwaniał do mnie Kołakowski. Dowiedział się z mediów, że jestem w Grecji, i się wkurzył. Gdybym podpisał kontrakt z Panathinaikosem, uciekłaby mu wielka prowizja za deal z Niemcami. Nie miałem zamiaru z nim rozmawiać, więc ignorowałem kolejne połączenia.

Zaczął się jednak robić nerwowo, bo chociaż w teorii wszystko dogadaliśmy, to brakowało kwitów. W końcu poszedłem do Kamińskiego.

- Panie, podpisujemy czy nie?
- Poczekaj jeszcze jeden dzień, rano będziemy mieli dokumenty.
- Ile można czekać?
- Jutro, okej?

Niech będzie. Zirytowany wybrałem się na spacer po okolicy. Niedaleko hotelu zauważyłem kiosk, a w nim, na pierwszej stronie kolorowej gazety, wielkie zdjęcie... Peszki! Zapytałem sprzedawcę, o co chodzi, a on wyjaśnił, że Panathinaikos kupuje właśnie jakiegoś kozaka z Polski. To mnie uspokoiło, bo skoro informowały o tym miejscowe media, to sprawa faktycznie musiała być na ostatniej prostej.

Wieczorem spotkałem Michała Żewłakowa, który grał w Olympiakosie Pireus. Opowiedział mi trochę o mieście, zasugerował, gdzie poszukać domu, i wrócił do siebie. A ja zacząłem krążyć od knajpy do knajpy.

– *I am Polish tourist* – mówiłem w kolejnych tawernach, gdzie zacząłem poznawać greckie zwyczaje.

Około piątej wpakowałem się do taksówki i ruszyłem do hotelu. Telefon położyłem na tylnym siedzeniu i wysiadając, zapomniałem go wziąć. Później opowiadałem, że zgubiłem go jeszcze na zgrupowaniu w Hiszpanii, bo chciałem mieć święty spokój. Ale tak naprawdę komórka została w greckiej taryfie.

Rano znów poszedłem do Kamińskiego.

- Są dokumenty?
- Nie ma.
- To wyjeżdżam.
- Zostań!
- Nie, pierdolę to. Jadę do domu.

Miałem ogromnego kaca, nie mogłem zadzwonić do Ani i nie chciało mi się czekać w basenie na kolejny ruch Greków. Później się okazało, że zamiast skupić się na moim transferze, działacze walczyli o władzę. W maju ustąpił prezydent klubu i trzech facetów urządziło sobie zapasy – ja byłem w tej grze tylko pionkiem. Chciał

mnie trener, chciał wiceprezydent, ale ktoś ważny postawił weto i z hitu wyszedł kit.

W końcu wróciłem do Poznania. Byłem wkurwiony. Kamiński był wkurwiony. Kołakowski też był wkurwiony. Po trzech dniach wkurwieni byli wszyscy, także ludzie w Lechu, którym oczywiście nic o wyjeździe do Aten nie powiedziałem. Zachowałem się wtedy jak gówniarz – nic nie osiągnąłem, a przy okazji zraziłem do siebie kilka osób. W końcu zadzwoniłem po radę do Bosackiego.

– Co mam robić? Niby chcę odejść, ale mam dość tego całego zamieszania. Może po prostu zostanę?

– No jasne! Odejdiesz za rok i wszyscy będą zadowoleni – doradził „Bosy”.

Kilka tygodni wcześniej Lech złożył mi ofertę nowego kontraktu, więc skontaktowałem się z Pogorzalczykiem.

– Ale robimy to sami, bez żadnych menedżerów – sam zaproponowałem, chociaż nie było to zbyt rozsądne.

Sprawa wyjazdu do Grecji wróciła do mnie jeszcze raz. Po mojej samowolce Kołakowski obraził się na śmierć, a nasza współpraca w praktyce się zakończyła. Kiedy byłem już zawodnikiem FC Köln, odezwał się jednak i zażądał odszkodowania za pominięcie go w negocjacjach z Niemcami. Okazało się, że nasza umowa ma trwać przez kolejne dwa lata, chociaż jej z nim nie przedłużałem. Nie licząc złożonego kiedyś podpisu in blanco... Oczywiście nie mogłem udowodnić oszustwa, więc dogadaliśmy się przed sądem i wypłaciłem mu trzysta tysięcy złotych odszkodowania. Tyle właśnie kosztowały mnie trzy dni w Atenach.

Grupa śmierci

Nie było czasu rozpaczać po transferowej klapie, bo czekały nas eliminacje Ligi Mistrzów. Szybko jednak się okazało, że te rozgrywki nie są nam pisane. Nie wiem, czy to kwestia złych przygotowań, czy zmęczenia poprzednim sezonem, ale mieliśmy zatarty silnik. Już w drugiej rundzie kwalifikacji męczyliśmy się ze słabutkim Interem Baku. Co prawda wygraliśmy 1:0 na wyjeździe po голу wracającego z Niemiec Artura Wichniarka, ale na Bułgarskiej przegraliśmy 0:1 i o awans musieliśmy walczyć w karnych.

Miałem szczęście, że tego dnia mecz życia rozgrywał Kotorowski. Do mojego uderzenia podszedłem z lekceważeniem. Zamiast ustawić piłkę rękoma, jak to zawsze robiłem, posłużyłem się w tym celu nogą, a strzeliłem tak, jakby bramka mi się należała. Brakowało tylko, żebym nonszalancko żuł gumę... No i oczywiście spudłowałem. Niestety, zawiódł także Kriwiec.

Ale na posterunku był Super-Kotor. W pierwszej kolejce obronił strzał Petara Zlatinowa, później wyczuł Dmitrija Krugłowa. W kolejnych minutach do siatki trafiali wszyscy, aż do jedenastej serii, w której uderzać mieli bramkarze. Krzysiek najpierw sam pokonał azerskiego bramkarza, a chwilę później obronił jego uderzenie. Uff, mieliśmy awans...

Po meczu byłem wypruty. Gdy wróciłem do domu, okazało się, że czekają tam na mnie równie wyczerpane Ania i mama. Wyglądały, jakby ostatnie dwie godziny biegały po boisku razem ze mną.

– Co się stało?

– Jak to co? Mało tu nie umarliśmy! Zamiast oglądać, ze stresu chodziłyśmy po balkonie!

Dotarło do mnie wtedy, jak wiele cała ta piłka kosztuje rodzinę. Wcześniej myślałem, że tylko ja naprawdę przeżywam porażki i trudne chwile, ale po karnych z Interem zrozumiałem, że najbliżsi cierpią tak samo, a może nawet bardziej – bo ja miałem wpływ na wyniki drużyny, a oni nie.

Później było niestety tylko gorzej. W kolejnej rundzie wpadliśmy na Spartę Praga, żadną potęgę. Ale w dalszym ciągu graliśmy padlinę i po dwóch bezbarwnych meczach – oba przegranych 0:1 – odpadliśmy z eliminacji Ligi Mistrzów.

W rewanżu czerwoną kartką został ukarany „Bosy”, chociaż to ja powinienem był wylecieć z boiska. W końcówce Bartka uderzył Marek Matějovský, któremu po prostu odbiło. Dосkoczyłem do Czecha i oddałem mu za kolegę. Francuskiemu sędziemu coś się jednak przywidziało i do szatni wywalił Czecha oraz Bartka.

– Mogłeś się przyznać. Jeszcze kartki za ciebie muszę dostawać – denerwował się nasz kapitan.

Już po meczu, w strefie wywiadów, jeden z dziennikarzy spojrzał na mnie smutno i wymamrotał:

– Przyjechałem zobaczyć widowisko, a zobaczyłem... No, właściwie to nic nie zobaczyłem.

To niestety było celne podsumowanie naszych meczarni ze Spartą, która w kolejnej rundzie dostała baty od MŠK Žilina. Mieliśmy wtedy ogromną szansę, aby awansować do Champions League, ale czegoś nam zabrakło. Może świeżości? Może „Lewego”? A może to mnie brakowało koncentracji, bo głowa po ateńskiej wyprawie stygła mi dość długo i po prostu grałem słabo.

Po raz kolejny natomiast nie zawiedli nasi fani, których do Pragi pojechało blisko trzy tysiące. „Modrá lavina”, czyli niebieska lawina – tak mówili o nich Czesi. Kibice Lecha już wtedy znajdowali się na najwyższej europejskiej półce. Byli co prawda bardzo wymagający, nie raz i nie dwa na nas gwizdali, ale wynikało to z miłości do klubu. To ona sprawiała, że wielokrotnie motywowali nas do ostatniego wysiłku, gdy nogi mieliśmy z waty – tak jak w rewanżu z Austrią. Gdy ryknęli, piłkarzowi chciało się jednak dać z siebie coś ekstra.

Po porażce ze Spartą spadliśmy do czwartej rundy kwalifikacji Ligi Europy, w której ograliśmy Dnipro Dniepropietrowsk, chociaż bez mojego udziału, bo UEFA ostatecznie przybiła mi karę za czerwoną kartkę Bosackiego. Na szczęście weszliśmy do fazy grupowej, w której mieliśmy nieźle namieszać. I to pomimo iż trafiliśmy do grupy śmierci, bo naszymi rywalami zostały Juventus, Manchester City i Red Bull Salzburg.

Mnie najbardziej ucieszyło wylosowanie Juve, którego jestem kibicem. To właśnie od wyjazdu do Turynu rozpoczęliśmy naszą europejską przygodę. Strasznie chciałem wystąpić na legendarnym Stadio delle Alpi; dla mnie to była świątynia, w której służyli apostołowie futbolu z arcykapłanem Alessandro Del Piero na czele. Niestety, stadion Juventusu był w przebudowie i musieliśmy zagrać na obiekcie Torino.

W dniu meczu byliśmy zaskakująco odprężeni. W ramach relaksu wybraliśmy się na zakupy do butik Gucci. Sprzedawcy nieźle się zdziwili, że pięć godzin przed spotkaniem piłkarze przymierzają spodnie, zamiast szykować się na lanie od Starej Damy. Tego wieczora nie zamierzaliśmy jednak dostać od niej w twarz i już po pół godziny prowadziliśmy 2:0. Obie bramki zdobył Artjoms

Rudņevs, który dołączył do nas latem, zastępując Lewandowskiego. Na Stadio Olimpico zrobił to w najlepszy możliwy sposób. A pierwszego gola strzelił, wykorzystując jedenastkę podyktowaną po faulu na mnie.

Trafieniami Łotysza sprowokowaliśmy jednak gospodarzy. Nie zdążyliśmy się porządnie okopać pod polem karnym, a dwa gole strzelił Giorgio Chiellini. Później swój rytualny taniec odprawił Del Piero i pokazał nam, dlaczego kochała się w nim cała Italia. Jego bramka po uderzeniu z ponad dwudziestu metrów była przepiękna. Wtedy jednak znów przebudził się Rudņevs i w doliczonym czasie gry strzelił jeszcze ładniej, dając nam remis.

„Jezus Maria!”, jakby krzyknął Dariusz Szpakowski. Wywozimy punkt z Turynu! Dwie godziny wcześniej, gdy po raz pierwszy ujrzelśmy pachnących perfumami Armaniego facetów w eleganckich garniturach, mało kto w to wierzył. A jednak! Dodatkowo wracałem do domu z koszulką Chielliniego, chociaż marzyłem o tej od Del Piero. Wstydziłem się go jednak poprosić i wymieniłem się z Giorgio, który krył mnie w trakcie meczu.

W rewanżu zresztą też nie daliśmy się pokonać i zremisowaliśmy 1:1, a gola dla nas strzelił... Tak, tak, macie rację – Rudņevs. I to on zgarnął relikwię od Alexa.

Artjoms trafił po rzucie rożnym, który ćwiczyliśmy przez cały tydzień. Nawet na oficjalnym treningu kilkanaście razy powtarzaliśmy ten sam schemat, który jeden do jednego skopiowaliśmy w trakcie meczu. Dośrodkował Štilić, ja odciągnąłem od bramki Leonardo Bonucciego, a Rudņevs wbiegł na bliższy słupek. I zadziało.

Niewiele jednak zabrakło, a mecz w ogóle by się nie odbył. Do Wielkopolski dotarły wtedy arktyczne mrozy i Juventus chciał się wykręcić z grania na śniegu. Włosi narzekali, że jest za zimno, i... mieli rację. Gdyby termometr pokazał minus piętnaście stopni, arbiter mógłby odwołać spotkanie. Temperatura wynosiła jednak „tylko” minus trzynaście, chociaż tego samego dnia pracownicy lotniska Poznań-Ławica mówili, że odczuwalna to minus trzydzieści trzy. Po naszej stronie stanął jednak niemiecki delegat. Powiedział, że minus trzynaście to minus trzynaście, a poza tym tydzień wcześniej Rubin Kazań grał w Lidze Mistrzów w znacznie gorszych warunkach i wszyscy przeżyli. Goście nie mieli wyjścia, ale na

rozgrzewce byli wściekli. Claudio Marchisio czy Vincenzo Iaquinta pozasłaniali się czapkami i kominami, jakby do Poznania nie przyjechała drużyna piłkarska, a oddział samurajów. Ja natomiast zagrałem na krótki rękaw. I chyba poszło mi nieźle, skoro po meczu trener Luigi Delneri powiedział, że najbardziej w Lechu podobał mu się zawodnik z siedemnastką.

Sporo emocji dostarczył też wcześniejszy mecz z Red Bullem, któremu towarzyszyło oficjalne otwarcie stadionu w Poznaniu. Kilka godzin przed pierwszym gwizdkiem pojawił się problem, nie było pewności, czy kibice wejdą na trybuny. Zgody na organizację imprezy masowej nie chcieli wydać strażacy, policjanci, a nawet nadzór budowlany. Trudno się dziwić, skoro jeszcze dwadzieścia cztery godziny przed spotkaniem robotnicy układali pod stadionem kostkę brukową. Do ostatnich chwil trwały więc ostre negocjacje. Z tego, co się później dowiedziałem, prezes Andrzej Kadziński zaryzykował i wziął na siebie całą odpowiedzialność. Gdyby się coś wtedy stało, poszedłby siedzieć. Ale zagrał *va banque* i trzy godziny przed otwarciem bram załatwił wszystkie papiery.

Mecz obejrzało wtedy ponad czterdzieści jeden tysięcy kibiców, a my, grając w specjalnie przygotowanych na tę okazję koszulkach, ograliśmy Austriaków 2:0. Pierwszego gola strzelił Arboleda, drugiego ja, ale prawdziwym bohaterem tego meczu i tak został pan Andrzej.

Olbrzymim przeżyciem był wyjazd do Manchesteru. Niemal każdy z piłkarzy podstawowego składu The Citizens był wart więcej niż cały Lech. Grali tam przecież Pablo Zabaleta, Shaun Wright-Phillips, Yaya Touré, Patrick Vieira, David Silva i Emmanuel Adebayor. Ten ostatni walnął nam trzy bramki i w pojedynkę załatwił mecz. A mogło się to potoczyć inaczej, bo w piątej minucie miałem znakomitą sytuację. Dla nas gola – swojego jedyne w Lechu – strzelił niejaki Joël Tshibamba, ale i tak przegraliśmy 1:3.

Do historii przeszli natomiast nasi kibice, którzy na trybunach City of Manchester Stadium bawili się w wyjątkowo efektowny sposób. Stawali tyłem do murawy, łapali się za barki i rytmicznie podskakiwali. Ta forma dopingowania została później skopiowana przez fanów City, którzy przez kilka kolejnych lat śpiewali: „Let’s all do the Poznań”, czyli „Zróbmy Poznań”.

W pierwszych trzech meczach Ligi Europy prowadził nas Zieliński, ale później go zwolniono. W lidze graliśmy bardzo słabo, jesień zakończyliśmy dopiero na jedenastym miejscu. Działacze chcieli ratować Ekstraklasę i stery przejął José Mari Bakero, pracujący dotychczas w Polonii.

Bakero okazał się sympatycznym gościem, który urządzał nam hiszpańskie treningi: dziadki, gierki, dużo krótkich podań. Był legendą Barcelony i czasem sam wchodził do kółka, po czym pokazywał wysokie umiejętności. Nie przypadliśmy sobie jednak do gustu, bo już na początku posadził mnie na ławce w meczu z Ruchem. Tłumaczył mi, że dużo gram i powinienem trochę odpocząć, ale wiedziałem, że to nie jest prawdziwy powód jego decyzji.

Dzień po tym, jak Bakero został zatrudniony, miał zadebiutować w rewanżu z City. Hiszpan nie mógł wtedy przypuszczać, że od razu przejdzie do historii. Bo chociaż Adebayor po raz kolejny trafił do siatki, to tym razem odpowiedzieliśmy z mocą wyrzutni rakietowej. Najpierw strzelił Dimitrije Injac, później poprawił Arboleda, a na końcu młody Mateusz Możdżeń. Najpiękniejszy był trzeci gol – bomba dwudziestolatka w okienko o mało nie zerwała siatki.

Mimo zwycięstwa po meczu byłem trochę wkurzony. Bakero zdjął mnie z boiska na ostatnie dwadzieścia minut, chociaż czułem się świetnie. Na osłodę została mi koszulka Nigela de Jonga.

Na koniec grupowych zmagania ograliśmy jeszcze Salzburg na wyjeździe. Bramkę zdobył wtedy Štilić, któremu asystowałem. W grupie co prawda zajęliśmy drugie miejsce, ale tylko przez minimalnie słabszy bilans bramkowy. Pierwsze było City, a za nami znalazł się Juventus.

Kilka miesięcy później usłyszałem, że na trybunach w Salzburgu siedzieli skauci Kolonii, do której wkrótce miałem trafić. Wtedy jednak nie wiedziałem, że właśnie zagrałem ostatni mecz w koszulce Lecha. Nie planowałem odchodzić, miałem nadzieję, że wiosną powalczymy w Lidze Europy. Gdyby było inaczej, zrobiłbym wszystko, aby odejść jak „Lewy” – przed swoimi kibicami, w meczu pożegnalnym. Życie jednak miało co do mnie inne plany.

ROZDZIAŁ 4

KADRA PIERWSZY RAZ

Na mistrzostwach Europy do lat 19 w Szwajcarii oglądałem jego popisy z ławki. Ja grałem wtedy w czwartej lidze, a Sławek w Ekstraklasie. Ja byłem tylko rezerwowym, który chwilę wcześniej wskoczył do kadry, a on gwiazdą młodzieżówki, w której występował od kilku lat.

Jakub Błaszczkowski

Dwadzieścia minut przed końcem meczu z Brazylią sędzia podyktował dla nas rzut karny. Przez ostatnią godzinę trwał ostrzał naszych pozycji, ale do tej pory nie padła żadna bramka; schowani w okopach modliliśmy się jednak, żeby arbiter zagwizdał po raz ostatni. Ale w końcu zrobiliśmy jakąś przypadkową kontrę i proszę – faktycznie zagwizdał, ale jedenastkę!

Zgadnijcie, kto był wyznaczony do strzelania? Tak jest, przede mną pojawiła się właśnie życiowa szansa – wystarczyło tylko kopnąć piłkę, później zrobić fajną cieszynkę i przejść do historii – jak Grzegorz Lato, który w 1974 roku dał Polakom zwycięstwo w meczu z Brazylijczykami. To było tak proste jak zapłacenie rachunku za telefon. Właściwie dziennikarze mogli już szykować tytuły pomeczowych relacji, w których słowa „Peszek” i „bohater” zostałyby sąsiadami.

Gdy jednak nadszedł moment prawdy... zrobiłem ze strachu w spodenki. Nie wiem, jak to wytłumaczyć, ale przestraszyłem się, że strzelę gola słynnej Brazylii! Nie że spudłuję – o to się akurat nie martwiłem. Jedenastki wykonywałem regularnie, w Płocku nieźle je wyćwiczyłem. Bałem się jednak tego, że dam radę. Być tym, który

ograł Brazylię – i że to niby miałbym być ja? Andrzej Zamilski, selekcjoner młodzieżówki, pocił się za linią boczną i krzyczał, żebym wziął się w garść. Ale nie spieszyło mi się do zakładania peleryny Supermana.

– Sławek, w tej chwili bierz tę cholerną piłkę!

– Trenerze, niech ktoś inny sobie strzeli, ja się w tym czasie napiję...

Z Brazylią zmierzyliśmy się latem 2004 roku, tuż przed młodzieżowymi mistrzostwami Europy. W ramach przygotowań do turnieju poleciliśmy z kadrą do lat dziewiętnastu na kilka towarzyskich spotkań do Korei Południowej. Dwa lata wcześniej kraj ten współorganizował mundial i teraz chciał odkurzyć przygotowane na tę okoliczność stadiony, więc zaprosił kilkanaście reprezentacji, żeby sobie tam pokopały.

Dla mnie to była podróż życia. Lot trwał z dwadzieścia godzin, bo nie było mowy o jakimkolwiek czarterze. Z Warszawy poleciliśmy więc do Frankfurtu, z Frankfurtu do Seulu, a z Seulu do portowego Pusan, gdzie mieliśmy zmierzyć się z Koreą, Stanami Zjednoczonymi, no i właśnie Brazylią.

Na miejscu, zaraz po odebraniu kluczy do naszych pokojów, poszliśmy z kolegami do windy. W środku było już kilku Canarinhos. Oni – opaleni, wypachnieni, w pięknych żółtych trykotach Nike. Każdy z nich mógłby być modelem. My – w spranych i wygniecionych długą podróżą koszulkach Tico. Dodatkowo jebało od nas na kilometr. Brazylijczycy nie zamierzali robić dobrej miny do śmierdzącej gry i pozatykali sobie nosy koszulkami. Widziałem tylko te ich wykręcone od szyderki oczy. Kiedy opuszczali windę, Tomek Szczepan, jeden z liderów naszej drużyny, mruknął coś w stylu: „Zobaczmy, palanty, czy na boisku też będzie wam tak wesoło”.

No i nadszedł upragniony moment zemsty. Najlepszy z możliwych, bo na zimno. Końcówka meczu, rzut karny, a ja dalej udaję, że piję. W końcu piłkę wziął Marcin Kowalczyk i tak walnął, że... nie walnął. Bramkarz wyczuł intencje „Kowala” i odbił piłkę. Jęk Zamilskiego usłyszał po drugiej stronie granicy nawet Kim Dzong Il.

Patrzyłem na całą tę sytuację, stojąc kilka metrów od „Kowala”, i nie mogłem uwierzyć we własną głupotę. Gdybym strzelał, na

pewno kopnąłbym w prawo. Bramkarz po uderzeniu Marcina poleciał w lewo. Mogłem więc być bohaterem, a zostałem błaznem. Pięć minut później Brazylijczycy zrobili kontrę, strzelili gola i zamknęli mecz. *Obrigado*, Polaczki, tak to się robi!

Ten rzut karny śni mi się do dziś, bo drugiej szansy na dokopanie Brazylii nigdy nie dostałem. Szkoda. Ale co zobaczyłem podczas tych wszystkich wyjazdów, to moje. Reprezentacja młodzieżowa była oknem na świat. Dwadzieścia lat temu nie istniały ryanairy i inne tanie linie, lot samolotem stanowił oznakę luksusu. Latali albo bogaci, albo ci, co szukali lepszego życia na saksach. A tu nagle dzięki piłce mogłem podróżować i na dodatek nie trzeba było płacić za bilety! To właśnie dzięki kadrze po raz pierwszy opuściłem Europę i postawiłem stopę na innym kontynencie.

Korea to była wtedy odległa galaktyka. Zrobiła na nas wszystkich niesamowite wrażenie. I to nie tylko ich reprezentacja, która przez cały mecz nie pozwoliła nam wejść na swoją połowę. W porównaniu z tym azjatyckim krajem Polska wydawała się pudłem z szarego kartonu. U nas wszystko było nijakie, trochę tandetne. Tam – piękne, kolorowe i elektroniczne. Raz na spacerze po Pusan zauważyliśmy olbrzymie szyby, za którymi stały kobiece manekiny. Dodatkowo – nagie. I jeszcze się ruszały!

– Ja pierdolę, nawet roboty tu mają...

Zachwycaliśmy się widokiem, aż jeden z kolegów dowiedział się od przechodnia, że to... najzwyklejszy burdel. I nie były to roboty, a żywe kobiety, które w ten nietypowy dla nas sposób zachęcały spacerujących do małego relaksu.

Z tamtej podróży zapamiętałem jeszcze to, że organizator zapewnił nam nieograniczony dostęp do napojów izotonicznych. U nas po meczach piło się co najwyżej wodę, ewentualnie piwko. Koreańczycy dali nam natomiast całe wiadra powerade. Smakował tak bardzo – no i był za darmo – że chlaliśmy go od rana do nocy. Wyjazd do Azji trwał dość długo, chyba ze trzy tygodnie. I pod koniec, po przyjęciu hektolitrowych jagodowych izotoników, zaczęliśmy robić... niebieskie kupy. Niby to zabawne, ale wtedy nieźle się przestraszyliśmy.

Dwa szatany

Zgrupowania reprezentacji mają wyjątkową aurę, niezależnie od tego, czy chodzi o kadrę do lat szesnastu, czy o tę najważniejszą, seniorską. Jednego dnia kilkudziesięciu młodych, wysportowanych facetów zjeżdża się do wskazanego na mapie punktu, aby razem jeść, spać, trenować i rywalizować. Nie muszą się przyjaźnić, nie muszą się nawet lubić – po prostu ma ich łączyć wspólny cel. Klubowe koszulki, na co dzień tak kolorowe, na jakiś czas przestają mieć znaczenie, bo wszystkie barwy zlewają się w zaledwie dwie: biel i czerwień.

Może trochę przesadzam, ale być reprezentantem – to brzmi dumnie. Niektórzy, jak Kuba Błaszczkowski czy Robert Lewandowski, chadzali krętymi ścieżkami, nie zaliczając kolejnych szczebli drabinki. Jeśli dobrze pamiętam, to Kuba zagrał dopiero w kadrze do lat dziewiętnastu, a Robert – jeszcze później. Mnie zauważono w Płocku jako piętnastolatka i wysłano na pierwszą konsultację. Od razu poczułem ten klimat. I wiedziałem, że na pojedynczym razie się nie skończy.

Rok albo dwa lata później na jednym ze zgrupowań spotkałem opalonego chłopaka z kurwikami w oczach. Wołali na niego „Smoła”, ale nie od ciemnego koloru skóry, tylko od nazwiska – Smoliński Marcin, tak się nazywał. Wcześniej widywaliśmy się na obozach kadry województwa mazowieckiego, więc już się kojarzyliśmy.

„Smoła” grał wtedy w GKP Targówek. Pochodził z Warszawy, z Bródna. „To stamtąd jest Wojtek Kowalczyk” – chwalił się cały czas, robiąc tym na wszystkich spore wrażenie.

Marcin zazwyczaj spędzał czas w trzech miejscach: na boisku, w solarium albo na dyskotekach. Był typowym warszawskim cwaniakiem. Kochał smaki życia, a życie pozwalało mu tych smaków kosztować. Jako dzieciak miał ogromny talent, więc szybko wpadł w oko Zamilskiemu. Ja do „Zamila” jeździłem już od jakiegoś czasu i kiedy pierwszy raz zobaczyliśmy się z Marcinem na młodzieżówce, od razu stwierdziliśmy, że fajnie byłoby zamieszkać w jednym pokoju.

Byliśmy całkowicie inni. Ja ze wsi, on ze stolicy. Ja skromny, wycofany, on zawsze hop do przodu. Ja obcięty krótko, jak żołnierz,

on z toną żelu nakładanego na mokre włosy. Połączyła nas energia, której nie wygenerowałaby elektrownia atomowa, i durne pomysły. A tych mieliśmy więcej niż trenerzy cierpliwości. „Dwa szatany” – tak mawiał o nas Zamilski. Koledzy z tamtych lat się śmieją, że nie było zadymy bez udziału Sławka i Marcina.

Nie da się ukryć, nosiło nas. I zazwyczaj ciągnęło tam, gdzie nie powinno. Właściwie od pierwszego wspólnego zgrupowania naszym popisowym numerem stała się ucieczka z hotelu. Szczególnie gdy obozy odbywały się w Warszawie.

– Idziemy na spacer! – mówiliśmy i ruszaliśmy w miasto. A że Novotel jest w samym centrum, to wszędzie mieliśmy blisko.

Marcin jako warszawiak z krwi i kości znał wszystkie ciekawe miejsca, chociaż do tych najbardziej luksusowych – jak „Cyna” czy „Platyna” – nie zaglądaliśmy. Baliśmy się, że ktoś ze środowiska piłkarskiego może nas tam zobaczyć i podpierdolić. Zamiast tego wybieraliśmy więc jakieś bary, puby, a czasem po prostu zwykłe mordownie. Wychylaliśmy po trzy czy cztery piwka i jakby nigdy nic, wracaliśmy do łóżeczek.

Kiedy nie spaliśmy w Novotelu, koszarowano nas w hotelu Twins. To było zadupie, żadne wychodzenie do knajpy nie wchodziło w grę. Siedzieliśmy więc w pokojach. A że gdzie Sławek, tam Marcin, a gdzie Sławek z Marcinem, tam problemy, to w końcu coś poszło nie tak.

Szykowaliśmy się wtedy do jakiegoś turnieju. Zamilski musiał akurat wyjechać na cały dzień i zostawił nas bez opieki. Spojrzeliśmy na siebie ze „Smołą” i wiedzieliśmy, co się kroi; minutę później w naszym pokoju siedziało kilkanaście osób. Zaczęło się od piwa, później były tańce i śpiewy. Rzucaliśmy się też poduszkami. Ta zabawa tak mi się spodobała, że w pewnym momencie chwyciłem metalowe krzesło, które stało przy stoliku, i cisnąłem nim w „Smołę”.

– „Peszkin”, pojebało cię? – krzyknął Marcin, zrobił unik, a krzesło walnęło w ścianę.

Okazało się jednak, że ta nie była betonowa, tylko z płyty gipsowej. I zrobiła się wielka dziura! Nagle przestało być wesoło. Ze strachu zgłupieliśmy, nie wiedzieliśmy, co zrobić. Gdyby selekcjoner się o tym dowiedział, mógłby nas nie zabrać na zagraniczny wyjazd.

Ba, na pewno by tak zrobił. Uruchomiliśmy więc wszystkie nasze szare komórki, a mieliśmy ich wtedy z osiem, i w końcu ktoś wpadł na genialny pomysł.

– Przewiesimy obraz! – zarządziliśmy i po chwili jeleń czy inny zwierzak, który dumnie prężył się na tle lasu, zmienił miejsce zamieszkania i skutecznie zasłonił dziurę. Następnego dnia wyjechaliśmy z Twinsa, jakby nic się nie stało. Sprawa nigdy się nie wydała, chociaż ktoś w końcu musiał się kapnąć, że jeleń wisiał wcześniej w korytarzu.

Innym razem urządziliśmy prywatkę. Skromną, bo byliśmy na niej tylko we dwóch – ja i „Smoła”. Mimo słabej frekwencji bawiliśmy się znakomicie, ale przy okazji zapomnieliśmy zamknąć drzwi. Grubo po północy, gdy zaliczyliśmy już po kilka drinków, do pokoju wbiegł parujący ze złości „Zamil”. Przegapiliśmy moment, kiedy żółte światło zamieniło się w czerwone, i sytuacja stała się nieprzyjemna. Trener wkurwił się tak bardzo, że następnego dnia wysłał nas na trybuny. W Brześciu graliśmy towarzysko z Białorusią i Zamiłskiemu z jakiegoś powodu bardzo zależało na wyniku.

– Jeśli przegramy, to obaj żegnacie się z reprezentacją. Na zawsze! – warknął i trzasnął drzwiami.

Przez dziewięćdziesiąt minut sparingu z Białorusinami w moim brzuchu trwała rewolucja październikowa. Ze stresu i strachu. Po pierwszej połowie utrzymywał się bezbramkowy remis, a rywale ostro nas cisnęli. Byliśmy z Marcinem pewni, że już po nas. Ale wydarzył się cud! Bramkę zdobył obrońca! Gol Błażeja Telichowskiego – który ani wcześniej, ani później nie strzelił już w biało-czerwonych barwach – był jak dłoń, która wyciągnęła nas z głębokiej dupy. Wygraliśmy, a trener o wszystkim zapomniał. Nie pierwszy i nie ostatni raz...

Beka z Iniesty

Mieliśmy wtedy prawdziwą pakę. Byli dwaj Łukaszowie: Piszczek i Fabiański. Byli Piotrek Celeban i Grzesiek Bartczak. W późniejszych latach wszyscy zostaliśmy mistrzami Polski. Ja z Lechem Poznań, „Smoła” i „Fabian” z Legią Warszawa, „Baczo” i „Piszczu” z Zagłębiem Lubin, a „Cebula” ze Śląskiem Wrocław.

Z naszej szóstki w seniorskiej reprezentacji nie zagrał tylko Marcin, chociaż dużo mu nie zabrakło, bo dotarł do kadry do lat dwudziestu jeden.

Czasem udawało nam się wykręcić fajny wynik. Na przykład w 2006 roku pokonaliśmy Hiszpanów z Juanfranem, Andrésem Iniestą i Fernando Torrese w składzie. Wszyscy zostali później mistrzami Europy, a Iniesta i Torres zdobyli jeszcze tytuły mistrzów świata. Ale wtedy, w kastylijskim miasteczku Miranda de Ebro, to my byliśmy górą.

Nasza wygrana była sporą niespodzianką, bo do Hiszpanii poleciliśmy drużyną z łapanki i spodziewaliśmy się raczej okrutnego lania. Pamiętam, jak przed meczem podpuszczał nas Adrian Mierzejewski: „Panowie, jeśli tylko uda nam się wywalczyć jakiś różny, to biegniemy do chorągiewki i robimy cieszynkę jak po голу! Lepszej okazji może nie być!”.

W szatni dobił nas jeszcze trener Jan Urban, który wpadł do nas w odwiedzinach. Zamiast walnąć jakąś mowę motywującą, zaczął wymieniać kluby w których grali nasi rywale – te wszystkie Reale, Barcelony i Valencie – aż zrobiło nam się słabo.

I dokładnie tak to wyglądało na boisku: nie graliśmy zbyt atrakcyjnie. Właściwie to było beznadziejnie i cały czas się broniliśmy. Ale „Fabian” zagrał mecz życia, a jedyną bramkę zdobył „Piszczu”. I wystarczyło. Hiszpanom nie pomógł nawet Iniesta, z którego razem z „Mierzejem” cały czas kręciliśmy bekę. Andrés był wtedy biały jak syn piekarza – nie przesadzam, naprawdę wyglądał, jakby przed chwilą wyszedł z worka z mąką! Pozostali Hiszpanie śniadzi, opaleni, a on – kartka papieru.

– Biedaczek, zbladł ze strachu przed nami! – kpił sobie Mierzejewski, nie mając pojęcia, że Iniesta zakpił z nas kilka lat później.

Po meczu obie reprezentacje spotkały się na wspólnej kolacji. My, Polacy, wiadomo – na stołach tylko woda i nawet nie wolno było pomyśleć o czymś więcej. A u Hiszpanów dwadzieścia butelek czerwonego wina! Patrzyliśmy na te butle, z których, szczerze mówiąc, Hiszpanie niezbyt korzystali, i mówiliśmy między sobą: „Jak tylko pójdą, to kilka zajebimy”. Ale nasze plany omawialiśmy chyba zbyt głośno, bo Zamilski i jego ludzie później nas pilnowali

i przyglądali się dokładnie, czy od stołów odchodzimy z pustymi kieszeniami. Na pocieszenie pozwolono nam jednak zabrać koszulki z tego meczu, co zdarzało się bardzo rzadko.

Niezły turniej zanotowaliśmy także trzy lata wcześniej w Belfaście. To był prestiżowy Milk Cup, na który dostaliśmy specjalne zaproszenie. Graliśmy tam na przykład z USA, gdzie występował Brad Guzan, bramkarz polskiego pochodzenia, który później przez lata radził sobie w Premier League. I to właśnie jemu strzeliłem jedną z najpiękniejszych bramek w karierze.

Nie traktowano nas jako faworytów tego meczu, ale to był czas, kiedy nie obawialiśmy się nikogo. Po prostu wychodziliśmy na boisko i graliśmy w piłeczkę. W pewnym momencie, jeszcze w pierwszej połowie, zauważyłem, że Guzan jest lekko wysunięty. Zamknąłem więc oczy i z trzydziestu metrów prostym podbiciem jebnąłem tak czysto, że gdybym spróbował to powtórzyć tysiąc razy, to i tak by mi się nie udało. Piłka wystrzeliła z prędkością światła i wpadła w samo okienko. Szkoda, że po przerwie Amerykanie fartownie wyrównali...

Między meczami wybuchła nieprzyjemna afera. Od PZPN dostaliśmy po sześćdziesiąt funtów diety na cały turniej. Ja postanowiłem, że całość zawiozę do domu i oddam rodzicom. Schowałem pieniądze do szafki nocnej i pojechałem na trening. Wieczorem siedzieliśmy sobie w jakiejś świetlicy, kiedy przyszedł wkurwiony Bartczak i zaczął krzyczeć, że zginęła mu kasa. No trudno, zdarza się. Ale kilka minut później okazało się, że mojej też nie ma! Czterech czy pięciu chłopaków, w tym Daniel Szewc, z którym wyjątkowo mieszkaliśmy w pokoju, było w tej samej sytuacji. A więc między nami czaił się złodziej! Jerzy Szczęsny, który lata później został prezesem Dolcanu Ząbki, a wtedy kręcił się przy naszej kadrze, zebrał wszystkich na korytarzu.

– Zginęły pieniądze... Jeśli złapiemy tego, kto je ukradł, to wypierdolimy go jeszcze dziś, a później puścimy w Polskę famę, że jest kradziej. I wszyscy się dowiedzą, że ma lepkie ręce – postraszył, ale mimo to nikt się nie przyznał. Kierownictwo kadry poinformowało więc o sprawie szefa hotelu.

– Mamy *big problem* – powiedział pan Jurek swoim łamanym angielskim i zaczęło się wielkie dochodzenie. Przesłuchania, wizja

lokalna, brakowało tylko Scotland Yardu i Sherlocka Holmesa. Złodzieja ostatecznie nie znaleziono, ale kasę podprowadziła prawdopodobnie sprzątaczką, bo przecież w pokojach nie było nas tylko przez kilka godzin. Ostatecznie jakiś Anglik oddał nam po dwadzieścia funtów. Te brakujące czterdzieści to była jednak dla nas spora forsa, więc strata bolała nawet bardziej niż przegrane mecze.

W Milk Cup zajęliśmy szóste miejsce. Szkoda, bo w drugiej kolejce walnęliśmy Szkotów i był apetyt na więcej. Dopiero w trzecim spotkaniu ograli nas Paragwajczycy. W grupie skończyliśmy za nimi i USA, bo Jankesi mieli lepszy bilans bramkowy. Ostatni mecz przegraliśmy z Irlandią Północną, a ja strzeliłem swojego drugiego gola. Byłem wtedy w strasznym gazie, chociaż występowałem jako dziesiątka. I to nie z numerem dziesięć, ale jako ofensywny pomocnik – tak jak w juniorach Wisły Płock.

Zamek z naszymi dupami

Bywało fajnie, ale zdarzały się też katastrofy. Na przykład w spotkaniu eliminacji mistrzostw Europy do lat dwudziestu jeden z Anglią. Kadre prowadził wówczas Władysław Żmuda, legenda, Polak, który przez wiele lat rozegrał najwięcej meczów w całej historii mundialów. Jako szkoleniowiec był jednak niezbyt wymagający. Niby coś tam robiliśmy, ale generalnie kierował się zasadą, że co ma być, to będzie. Żmudę zapamiętałem z odprawy, którą zrobił nam na słynnym Hillsborough. To tam szesnaście lat wcześniej, podczas półfinału Pucharu Anglii pomiędzy Liverpooliem a Nottingham Forest, zginęło dziewięćdziesiąt siedem osób.

Trenerzy w różny sposób motywują piłkarzy. Jedni, jak Jerzy Engel, puszczają im filmy z polską konnicą pędzącą na Krzyżaków, inni, jak Adam Nawałka, zostawiają pole do popisu samym zawodnikom. Żmuda wybrał jednak unikalny sposób zagrzania nas do boju.

Tuż przed meczem w milczeniu podszedł do wielkiej tablicy wiszącej w szatni i zaczął coś na niej malować. Jedna kreska, druga, jakiś szlaczek. Po chwili zaczęliśmy dostrzegać... zamek. Wokół zamku wyrósł płot, a później fosa. Były też drzewa i słońce.

– Panowie, to jest zamek – zaczął tłumaczyć Żmuda. – I w tym zamku jesteście królami. Macie tam wszystko. Macie alkohol, macie najlepsze jedzenie i... dupy. Tyle dup, ile chcecie. Najpiękniejsze kobiety na świecie, wszystkie dla was – mówił selekcjoner, a my nie wiedzieliśmy, czy nas podpuszcza, czy mówi serio. – A więc macie, panowie, swój zamek i te dupy. I ci jebani Angole zamierzają wejść do tego zamku i zabrać wam wszystkie baby! Rozumiecie? Wasze baby! Nie możecie im, kurwa, na to pozwolić! – krzyczał Żmuda.

Chowaliśmy się pod krzesłami, bo baliśmy się wybuchnąć śmiechem. Ale trener naprawdę się wczuł. My chyba mniej, bo Anglicy wbili nam cztery bramki i zniknęli z naszymi dupami.

Na mojej stronie ścigałem się wtedy z Aaronem Lennonem, później gwiazdorem Tottenhamu. Nie miałem pojęcia, że człowiek może biegać tak szybko! Lennona próbowaliśmy zatrzymać razem z „Telichem”, ale nie mieliśmy szans. Chłop wypuszczał piłkę na dwadzieścia metrów i nas objeżdżał. A my patrzyliśmy na jego plecy i zastanawialiśmy się, czy to aby nie słynny sprinter Maurice Greene przebrany za piłkarza. Anglicy mieli wtedy mocny zespół, z Jamesem Milnerem, Carltonem Cole’em i Jermaine’em Pennantem. Nie ma się co dziwić, że baty dostaliśmy także w rewanżu.

Ostro rywalizowałem w tamtym czasie z Sebastianem Szałachowskim. Był mały, rudy, piłkarsko się nie wyróżniał, ale szybkość miał nie z tej ziemi. I nie był świętoszkiem, tak jak dziś. Wiele lat później Sebastian skręcił w stronę Boga i został pomocnikiem egzorcysty, ale kiedyś lubił się zabawić. Raz wypił o dwa browce za dużo i usnął w fotelu. Darek Dudka, mistrz głupich dowcipów, wpadł na pomysł, żeby „Szałacha” wnieść z tym fotelem do windy i z ostatniego piętra spuścić na recepcję. Seba musiał się zdziwić, kiedy obudził go głos wkurzonych pracowników hotelu.

W tamtych eliminacjach nie było nam jednak do śmiechu. Do obrazka pasowały raczej łzy, a przynajmniej zwieszane głowy. Nie daliśmy rady Anglii, nie daliśmy też Niemcom, chociaż w pierwszym meczu z nimi wyszarpaliśmy remis, a bramkę zdobył Karol Gregorek. To był duży talent, szybko zaczął grać w podstawowym składzie Amiki Wronki. Ale przez to uważał, że jest lepszy, niż

faktycznie był. Nosa zadzierał tak wysoko, że chłopaki w kadrze go nie trawili, a Antek Łukasiewicz raz rzucił się nawet na niego z pięściami. Gregorkowi odwaliło totalnie i przepadł, zanim zdążył zapisać się w historii polskiej piłki.

Wystąpiłem też w spotkaniu z Austrią, które wyjątkowo wygraliśmy 3:0 – hat tricka ustrzelił wtedy Paweł Brożek. Po meczu trener Żmuda przyszedł do nas i dał każdemu po dwa czy trzy tysiące złotych premii. To była spora suma, którą przekazał jakiś prywatny sponsor, bo za zwycięstwa w kadrze nie dostawaliśmy siana. Już w Walii, gdzie dzień później mieliśmy kolejny mecz, dla relaksu usiadłem do automatu do gier, który stał w holu. Nie wrzuciłem tam wielkiej kasy, raczej funta czy pięć, ale przyłapał mnie na tym kręcący się po hotelu Żmuda.

– Oho, widzę, że już ci odjechało i całą premię zamierzasz wpierdolić w maszynę.

Spojrzał na mnie tym swoim dziwnym wzrokiem i pokuśtykał dalej. Od razu przeszła mi ochota na grę...

Generalnie jednak Żmuda to był fajny gość i pozwalał nam na dużo. Kiedyś przyszedł do niego Łukasiewicz i wprost powiedział, że drużyna chce jechać na piwo. Żmuda nie tylko się zgodził, ale jeszcze zorganizował nam busa. Warunek był tylko jeden: mieliśmy wrócić do drugiej w nocy. Jeśli ktoś by się spóźnił, wyleciałby z drużyny. I nie spóźnił się nikt. Przynajmniej oficjalnie.

Wielka improwizacja

Jako junior zaliczyłem kilkadziesiąt meczów towarzyskich i eliminacyjnych, ale pojechałem tylko na jedno mistrzostwo. Powinienem być na dwóch takich turniejach, ale Zamilski czasami wcielał się w rolę cezara i musiał niektórym chłopakom pokazać kciuk skierowany w dół. Mnie też to spotkało. Doszło do tego kilka tygodni przed Euro, które w 2002 roku odbywało się w Danii. W kadrze było nas dwudziestu trzech, a na turniej mogło jechać tylko osiemnastu.

Pamiętam odprawę w jakiejś obskurnej hotelowej salce w okolicach Nadarżyna. Selekcjoner opowiadał o ostatnich dniach obozu – wszyscy tylko ziewali.

– A teraz wyczytam tych, którzy nie pojedą do Danii – niespodziewanie wypalił pozbawionym emocji głosem. Najpierw podał pierwsze nazwisko, później drugie i kolejne. Ostatnie było moje.

Koledzy zaczęli się cieszyć, gratulowali sobie nawzajem, a ja czułem się jak kopnięty w dupę kundel. Michał Lemanowicz, który załapał się do finałowej osiemnastki, próbował mnie pocieszać, ale miałem ochotę tylko na jedno – czym prędzej stamtąd spierdalać. W sumie tak zrobiłem, bo tego samego dnia z biletem w dłoni pobiegłem na przystanek PKS i wróciłem do Płocka.

Na turnieju w Danii do pewnego momentu szło nam nieźle. Na dzień dobry chłopaki pokonali Węgrów, później zremisowali z Gruzją. W ostatnim meczu, z Niemcami, potrzebowali przynajmniej remisu. I ten utrzymywał się do ostatnich minut. Wtedy sprawy w swoje nogi wziął siedemnastolatek z Gliwic o nazwisku Podolski. I odesłał Polaków do domu.

Dwa lata później miałem więcej szczęścia i znalazłem się w kadrze, która pojechała na mistrzostwa Europy do lat dziewiętnastu. Na turniej w Szwajcarii wyruszyli z nami Radosław Mroczkowski, asystent Zamilskiego, i wspomniany już Szczęsny. Pan Jurek pamiętał mnie z tej smutnej sceny, gdy „Zamil” wyczytał tylko kilka nazwisk, w tym moje. I robił wszystko, abym tym razem czułem się potrzebny. Grałem wtedy z numerem dziesięć, którego nikt nie chciał. Szczęsny każdemu napotkanemu skautowi mówił z wielkim przekonaniem: „Niech pan koniecznie zwróci uwagę na tego małego z dyszką na plecach. To nasza perełka”.

Menedżerów i łowców talentów w Szwajcarii zresztą nie brakowało. Marcin Tarnowski – nasz Struś Pędziwiatr, szybszy nawet ode mnie – zapłacił za to wysoką cenę. Spotkał się z jakimś obcokrajowcem, który bajerował go Panathinaikosem czy innym Lens, a Zamilski się o tym dowiedział. I w pierwszym meczu posadził „Tarana” na ławce. To była kara za to, że zamiast skupić się na piłce, myśli już o forsie. Do mnie też kilku agentów robiło podchody i w sumie też z nimi luźno gawędziłem, ale o tym selekcjoner na szczęście się nie dowiedział.

Mistrzostwa zaczęliśmy od szalonego meczu z Turcją, który przegraliśmy 3:4. Później było już tylko gorzej: 1:3 z Niemcami i 1:4 z Hiszpanią rozwiały nasze nadzieje na przywiezienie medalu z poważnej imprezy.

Ale nie mogło być inaczej, skoro Zamilski, bardzo specyficzny trener, na pytanie, jak mamy rozgrywać rzuty różne, odpowiadał: „Adam Mickiewicz, wielka improwizacja”. Nie mieliśmy żadnych schematów ani w ofensywie, ani w defensywie. Żadnych! U Nawalki kadra miała przygotowane po cztery kombinacje rzutów różnych z lewej strony i po cztery z prawej. Dopiero później mogliśmy liczyć na przypadek. U Zamilskiego natomiast od początku czekaliśmy na fart. A że ten sprzyja lepszym, to rywale ciągle wbijali nam bramki po rogach.

Tak było choćby we wspomnianym meczu z Turcją. „Smoła” stał na pierwszym słupku, bronił Fabiański. Poszło dośrodkowanie i „Fabian” krzyknął: „Smoła!”. A „Smoła” zrozumiał... „moja”. I przepuścił piłkę. Turek wkręcił ją bezpośrednio, jak kiedyś Kazimierz Deyna z Portugalią. Marcin z Łukaszem przez kilka kolejnych dni kłócili się o to, czy była „moja”, czy może jednak „Smoła”. I z tego, co wiem, do porozumienia nie doszli do dziś.

W tym meczu dwie bramki zdobył „Piszczu”. Jedno trafienie zaliczył plecami. Na koniec turnieju miał cztery gole i zgarnął koronę króla strzelców. Musiał się nią jednak podzielić z Turkiem Alim Öztürkiem, który później nie zrobił kariery.

Wystąpiłem wtedy we wszystkich trzech meczach. Moim zmiennikiem był „Błaszczu”, który chwilę wcześniej dołączył do młodzieżówki. Kuba zagrał tylko w ostatnim spotkaniu, z Hiszpanią, na prawej obronie. I wypadł tak jak my wszyscy – słabo.

Byłem wtedy strasznie zestresowany i po latach wydaje mi się, że nie udźwignąłem ciężaru turnieju. A może zabrakło nam umiejętności? Albo zawiodło podejście? Bo ze „Smołą” częściej siedzieliśmy na balkonie i się opalaliśmy, niż trenowaliśmy. Mieszkaliśmy niedaleko Lozanny, dookoła piękne stoki i widoki, więc aż głupio było nie skorzystać. A z tego naszego leżakowania korzystali rywale.

Zero punktów, jednaście straconych bramek i ostatnie miejsce w grupie – po moich pierwszych mistrzostwach nie było się czym

chwalić. Marnym pocieszeniem okazał się fakt, że w finale spotkały się drużyny z naszej grupy, czyli Turcja i Hiszpania, która została mistrzem Europy.

Koszulki w prezencie

Kadra przydawała się nie tylko do podróżowania i spotykania się z kumplami. Czasem pomagała także w... zdawaniu do kolejnej klasy. W młodzieżowych reprezentacjach nigdy nie było kolorowo ze sprzętem i po zgrupowaniach musieliśmy go w całości zdawać, ale od czasu do czasu coś się podkradało. A to parę getrów, a to spodenki, czasem jakąś koszulkę treningową.

– Gdzie jest bluza? – pytał surowo Andrzej Estkowski, który w PZPN odpowiadał za sprzęt, a my błagaliśmy, żeby pozwolił nam zabrać to czy tamto. Najczęściej wybuchała jednak z tego powodu wielka afera, chociaż to był sprzęt takiej jakości, że w Szwajcarii Turcy wytykali nas palcami.

Po jakimś turnieju rąbnęliśmy jednak kilka trykotów. Dzień później Estkowski zaczął wydzwaniać spanikowany, że mamy je oddać na najbliższym zgrupowaniu, bo nam nie daruje. To były przepocone ciuchy, warte może ze sto złotych, a mimo to o mało się nie popłakał. Ale czasem udało się go wyprosić i wpisywał do protokołu, że coś się zgubiło albo zniszczyło. Z tego, co udało się wyrwać Estkowskiemu, robiłem drobne łapówki. Znaczą się – prezenty. Raz zaniósłem meczową koszulkę dyrektorowi Bernardowi Szymańskiemu. Innym razem podarowałem coś wychowawcy, Bogdanowi Taubemu. Dzięki temu obaj przymykali oczy na moje nieobecności.

Sporo sprzętu wywiozłem też do Jedlicza, którego jestem jedynym reprezentantem w piłce nożnej. Generalnie w szkole nigdy nie mieliśmy prawdziwego wzoru, który ruszył w świat i mógłby być dla nas inspiracją. Jeśli ktoś już miał jakieś sportowe sukcesy, to prędzej w biathlonie niż w futbolu. Dlatego nie ma co kryć, że w młodzieńczych latach byłem lokalną gwiazdką. Kiedy odwiedzałem rodzinne strony, wsadzali mnie czasem do poloneza i wozili po domach kultury, siedzibach gmin czy innych szkołach, żebym

opowiadał dzieciakom, jak to jest być kadrowiczem i co się czuje, słuchając *Mazurka Dąbrowskiego*.

– Uczcie się, pracujcie ciężko, a na pewno do czegoś dojdziecie. Szkoła jest najważniejsza! – powtarzałem banały, które kilka lat wcześniej usłyszałem w Makowie Podhalańskim od Tomka Hajty. Z boku musiało to wyglądać komicznie. Siedziałem w białej koszulce z orzełkiem i mądrzyłem się, chociaż miałem tyle lat, że równie dobrze mógłbym wtedy znajdować się na miejscu słuchaczy.

Leo nie wybacza

Nie znam piłkarza, który nie chciałby zagrać w seniorskiej reprezentacji choćby kilku sekund. To dlatego Emmanuel Olisadebe i Roger Guerreiro zostali Polakami; chcieli pokopać piłkę w kadrze, na co nie mieli szans w Nigerii i Brazylii. Każdy zawodnik pragnie tego najbardziej na świecie – ja też o tym marzyłem. Na ścianie w pokoju w Jedliczu miałem powieszony olbrzymi plakat Marka Citki z meczu z Anglią, do którego prawie się modliłem. Piłkarz Widzewa Łódź był dla mnie jak piłkarski Wielki Brat: patrzył na mnie, gdy szedłem spać, i patrzył, gdy się budziłem. Motywował mnie w trudnych chwilach, chciałem być taki jak on. Zresztą po latach, podobnie jak Hajto, został moim kolegą.

Dziś wiem, że nikt, kto nie przeżył powołania do najważniejszej drużyny sportowej w Polsce, nie zrozumie, co się wtedy czuje. Ja miałem to szczęście, że przekonałem się o tym na własnej skórze.

To był początek listopada 2008 roku. Latem reprezentacja nie wyszła z grupy mistrzostw Europy w Austrii i Szwajcarii, Donald Tusk planował zabić Howarda Webba, a Leo Beenhakker zamierzał przewietrzyć kadrę. I jednym z tych, którzy mieli wnieść do drużyny trochę świeżego powietrza, był młody, dynamiczny skrzydłowy Lecha o nazwisku Peszko.

Na pierwsze zgrupowanie wybrałem się razem z „Lewym”, który wcześniej zdążył rozegrać trzy mecze w eliminacjach mistrzostw świata i strzelił nawet gola San Marino. Drugą bramkę zdobył w meczu z Irlandią, który miał być – i był – moją szansą na debiut w reprezentacji.

Na pewno znacie ten przebój Kobranocki *Kocham Cię jak Irlandię*. Nie mam pewności, ale chyba został napisany specjalnie dla mnie. Reprezentacja tego kraju zostanie w moim sercu na zawsze. Bo zawsze była dla mnie szczęśliwa. Z Irlandią zadebiutowałem w kadrze, z Irlandią strzeliłem jedyne goła dla Polski (trafienia z niepoważnego sparingu z Danią nie liczę), w meczu z Irlandią zapewniliśmy sobie awans na mistrzostwa Europy we Francji. Ale to wszystko było jeszcze przede mną, na razie lecieliśmy z Robertem na zgrupowanie do Warszawy.

Czekałem na to trzy lata. Długo, bardzo długo... W tym czasie kilku kumpli z młodzieżówki odgrywało już w drużynie seniorskiej istotną rolę. Kuba, który nie tak dawno temu patrzył na moje występy z ławki, był u Beenhakkera podstawowym zawodnikiem. Coraz więcej znaczyli „Piszczu” i „Fabian”. Obaj znaleźli się przecież w zespole, który pojechał na Euro, chociaż Łukasz doleciał tam prosto z wakacji na Rodos.

Mnie ograniczała gra w Płocku, który występował w drugiej lidze. Miałem nawet moment, gdy po okresie wkurwienia, a później irytacji przestałem wierzyć, że kiedyś zadebiutuję w kadrze A i do powołań podchodziłem jak do zeszłorocznego śniegu. „Nie chcecie mnie? To nie, spierdalajcie” – myślałem sobie. Ale tymczasem przyszedł transfer do Lecha, w którym zagrałem kilka dobrych meczów. Strzeliłem coś w pucharowych starciach z Austrią Wiedeń i Nancy, zanotowałem kilka asyst w Ekstraklasie. Generalnie robiłem na murawie zamieszanie. O moje powołanie zaczęli dopominać się dziennikarze. Beenhaker z jakiegoś powodu za mną nie przepadał i długo mnie pomijał, ale w końcu dał się namówić. Na początku znalazłem się tylko na liście rezerwowych, lecz ktoś złapał kontuzję i telefon wreszcie zadzwonił.

Holender był wtedy w Polsce postacią pomnikową. Mistrzostwa Europy co prawda okazały się klapą, ale przecież to on zastał naszą piłkę drewnianą, a uczynił murowaną. I wyprowadził nas z „chatek”. Leo zawodowiec: piłkarze go szanowali, kibice kochali, a reklamodawcy się o niego bili.

Muszę przyznać, że kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy, sam stanąłem na baczność. Gdy podałem mu rękę, czułem szacunek, a może nawet strach... Szczerze? Bardziej stresowałem się przed

spotkaniem z Don Leo niż przed debiutem. Jaki wtedy był Beenhakker? Wysoki, postawny, z burzą siwych włosów i idealnie wyprasowaną koszulą. No i Realem Madryt w życiorysie. To robiło piorunujące wrażenie. Miał wśród nas taki posłuch, że gdyby kazał mi wtedy biegać na golasa dookoła hotelu, to bym biegał.

Imponowali mi także doświadczeni kadrowicze: Jacek Krzynówek, Michał Żewłakow, Mariusz Lewandowski, Marcin Wasilewski, Ebi Smolarek. Ten z Bundesligi, tamten z Premier League, inny przed chwilą grał w Lidze Mistrzów. To była elita. Tamto zgrupowanie traktowałem jak wizytę w Disneylandzie. Nie wiedziałem, na kogo patrzeć i kogo słuchać. Mogło się człowiekowi zakręcić w głowie...

Najważniejsze było jednak to, że w Dublinie wyszedłem na boisko – dwadzieścia minut przed końcem meczu zmieniłem Rafała Boguskiego. Gdy stałem przy linii z jakimś asystentem Beenhakkera, trener podszedł do mnie, poklepał po ramieniu i spojrzał mi głęboko w oczy.

– *Just play like in Poznań* – powiedział jedno proste zdanie, które zabrzmiało jak magiczne zaklęcie.

I kilka minut później niewiele zabrakło, aby to zaklęcie wyczarowało bramkę. Z głębi pola piłkę dorzucił Łukasz Garguła. Roger poszukał mnie podaniem, piłka odbiła się od jakiegoś Irlandczyka i przypadkowo spadła mi pod nogi. Należało uderzyć pasówką po długim słupku, gol byłby wtedy formalnością. Ale zagrzałem się i walnąłem na siłę. Kilometr obok bramki. Pamiętam „Wasyła”, który spojrzał na mnie wzrokiem płonącym tak, że w sekundę roztopiłby pół Antarktydy. Nie odezwał się słowem, a mimo to wiedziałem, że zawiodłem. Ostatecznie wygraliśmy 3:2, po голу strzelili Lewandowscy – Mariusz i Robert, a trzeciego dołożył Roger.

Godzinę czy dwie po meczu drużyna poszła do hotelowego baru. Siedziała tam plejada naszych gwiazd: „Wasył”, „Żewłak”, „Krzynek”. Pomyślałem, że to znakomita szansa, aby się przywitać. Kilka dni wcześniej bałem się wypić łyk piwka, na które Leo przecież pozwalał, ale teraz, po zwycięstwie? Bar, luźna atmosfera, noc – to było moje naturalne środowisko. No to lecimy!

– Panowie, zadebiutowałem dziś w kadrze. Chciałbym zaprosić was na drinka. Mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko – zagadałem.

Oczywiście, że nie mieli. Wziąłem więc butelkę jacka danielsa i piwo dla każdego. Kartą kredytową machałem jak muszkieter szpadą i dzielnie stawiałem następne kolejki. W rewanżu zostałem zaproszony do stolika i mogłem posłuchać opowieści tysiąca i jednej nocy. I znów zakręciło mi się w głowie. Nowi koledzy rozmawiali o kontraktach, samochodach, wakacjach – wszystkim na nieosiągalnym dla mnie poziomie. Zarabiałem wtedy w Lechu dwadzieścia tysięcy złotych miesięcznie, a oni potrafili wydać tyle na zakupach w Mediolanie. Odezwałem się raz albo dwa, ale generalnie – słuchałem. I tak się zastłuchałem, że do pokoju wróciłem dopiero o czwartej rano. Robert i kilku młodszych zawodników poszło spać wcześniej, ale ja postanowiłem skorzystać z zaszczytu, jaki mnie kopnął. I niestety, zauważył to Beenhakker.

Selekcjoner urzędował kilka stolików dalej. Co jakiś czas podchodził do nas i rozmawiał ze starszą. Widać było, że mają dobry kontakt. W żadnym momencie nie zapaliła mi się lampka ostrzegawcza, aby iść do siebie, bo Leo może mieć jakieś pretensje. Siedziałem więc do końca, zyskując przychylność kolegów, ale nie trenera. Co prawda Beenhakker nigdy tego nie skomentował, ale na kolejne zgrupowanie już mnie nie powołał. Na następne też nie.

– Ty debilu... – wydusiłem z siebie nad ranem tylko kilka słów. Nie było łatwo, bo miałem ogromnego kaca. Pomieszałem whisky z piwem, więc nie mogło się to skończyć dobrze. Byłem pewny, że na lotnisku dostanę opierdół. Ale Leo nie odezwał się do mnie choćby słowem. To było zastanawiające, bo często rozmawiał z zawodnikami. Sądziłem, że mnie też czeka ten zaszczyt. Ale nic takiego nie nastąpiło. Na boisku w Dublinie dałem radę, a mimo to Holender mnie olał.

Kolejne powołanie dostałem dopiero pół roku później. I to tylko dlatego, że reprezentacja miała polecieć do Republiki Południowej Afryki na wycieczkę. Jeśli mam być szczery, to telefon z kadry niezbyt mnie ucieszył. Albo inaczej: bardziej ucieszyła mnie opcja darmowego wypadu na safari niż samo powołanie. Od początku

wiedziałem, że jest wymuszone. Kilku kolegów nie miało zamiaru tam lecieć, bo mieli zaplanowane wakacje i nie chcieli z nich rezygnować dla ogórkowych sparingów. Leo zabrał więc mnie, Kubę Wilka, Sebka Przyrowskiego czy Piotrka Polczaka. Prawdziwy skład węgla i papy, który na kadrze nie spotkał się już nigdy później. Zresztą zaraz po przylocie do RPA kilku doświadczonych kadrowiczów zorientowało się, w co się wpakowało, i szybko poszło do trenera ponarzekać, że w sumie oni też woleliby się zwolnić. Właśnie taka atmosfera towarzyszyła temu afrykańskiemu tournée.

W Johannesburgu zagraliśmy dwa mecze i wróciliśmy do domu. W obu wystąpiłem od początku, ale porażka z RPA i remis z Irakiem nie miały żadnego znaczenia. I dla kadry, i dla mnie.

To były zresztą moje ostatnie występy pod wodzą Beenhakkera. W RPA, chociaż czasu mieliśmy naprawdę dużo (właściwie nie wychodziliśmy z hotelu, bo baliśmy się porwań, którymi postraszyli nas miejscowi), nigdy do mnie nie podszedł. Nie powiedział mi, że coś robię źle albo dobrze. Nie opierdolił i nie pochwalił. Po prostu mnie zlewał. Byłem dla niego przezroczysty. Wtedy widzieliśmy się po raz ostatni. Jeśli ktoś mnie dziś pyta, jakie miałem relacje z Leo, to zgodnie z prawdą odpowiadam, że żadne.

Jedenastu na trzynastu

Niedługo później kadra zremisowała z Irlandią Północną i przegrała ze Słowenią, a Grzegorz Lato pożegnał holenderskiego maga za pośrednictwem telewizyjnej kamery. Nie było mi z tego powodu smutno, chociaż czuję pewien żal, że Leo nigdy nie dał mi prawdziwej szansy, jaką dostali Paweł Golański czy Radek Matusiak. Nie było jednak czasu na gorzkie żale, bo reprezentację objął Stefan Majewski, który od razu wyciągnął do mnie dłoń i zabrał na mecze z Czechami i Słowacją. Co prawda oba traktowano w Polsce jako nieprzyjemny obowiązek – szans na wyjazd na zbliżający się mundial już nie mieliśmy – ale miło było znów wpaść na zgrupowanie.

Jedno jest pewne: Majewski był dziwakiem. Ale przed tamtym dwumeczem wydawało mu się chyba, że jest futbolowym alchemikiem, bo na treningach potrafił ustawić gierkę jedenastu na...

trzynastu. Biegałem na prawym skrzydle, a obok mnie stał Wilk, też skrzydłowy. I obaj nie mieliśmy pojęcia, co mamy robić. Majewski był jednak z siebie bardzo zadowolony.

Innym razem selekcjoner przekonywał Dudkę, że zacznie trafiać w okienko bramki, jeśli tylko będzie celował w reklamę Pумы, która wisiała na bandzie. Wcześniej Darek dwukrotnie uderzył tak, że piłka o centymetr minęła lewy słupek. Majewski zaczął więc tłumaczyć:

– Dareczku, robisz to źle, bo celujesz w okienko. A ty celuj w tego kota, o, tam. Wtedy piłka sama poleci do bramki. Ja ci mówię, sam tak robiłem i zawsze się udawało!

Jakby tego było mało, Majewski chodził po hotelu we Wronkach, zaczepiał siedzących na kawce chłopaków i opowiadał im bajki.

– Pewnego razu poszedłem do lasu. Szedłem tak sobie, była piękna pogoda i nagle schyliłem się po wielkiego prawdziwka. Na głowie miałem taką śmieszoną czapkę z czótkami przypominającymi zajęcze uszy. Zobaczył je jakiś myśliwy i zaczął strzelać! Jezu, jak ja się bałem! Całe szczęście, że byłem szybki i uciekłem.

Nikt nie traktował tych bzdur poważnie, ale było to dziwne, że dorosły facet, medalista mistrzostw świata, wkręca nam takie pierdoły.

Majewski dał mi wystąpić i w Pradze, i w Chorzowie. Ten drugi mecz był katastrofą. Cały dzień padał śnieg z deszczem, na trybunach zasiadło może pięć tysięcy kibiców. Zagraliśmy beznadziejnie i przegraliśmy ze Słowacją 0:1. Wcześniej wziąłem udział w przedmeczowej konferencji i od razu skończyło się awanturą. Jakiś dziennikarz z TVN zadał głupie pytanie o sens tego meczu.

– Kibice nie chodzą na kadrę, po co więc grać? – dociekał, a ja tłumaczyłem grzecznie, że robię to także dla siebie, dla rodziny. I po prostu chcę się pokazać. Ale on nie odpuszczał, mówił, że na trybunach pustki, że nikogo nie obchodzimy i tak dalej. W końcu się wkurwiłem.

– Panie, nie słyszał pan, co powiedziałem przed chwilą? Jeśli ktoś przyjdzie, to super, a jak ktoś nie chce, to niech nie przychodzi – chlapanąłem bez zastanowienia, za co kilka osób miało później do mnie pretensje.

Pobyty we Wronkach zapamiętałem jednak z innego powodu. Przed wylotem do Czech urodziła się moja córka, Wiktoria. To było nasze pierwsze dziecko, więc za punkt honoru wziąłem sobie obecność przy porodzie. Gdy dostałem telefon od Ani, że akcja już się zaczęła, pobiegłem do Majewskiego i poprosiłem o zgodę na wyjazd ze zgrupowania. Stefan nie miał z tym problemu, dał mi nawet auto z kierowcą, które miało mnie zawieźć do Poznania. W środku nocy pędziliśmy więc do szpitala, a gdy pojawiłem się na miejscu... było po wszystkim. Położne wpuściły mnie jednak do środka i wtedy po raz pierwszy zobaczyłem Wiki. Była taka malutka... Ania się umęczyła, bo rodziła naturalnie, więc umówiliśmy się, że posiedzę z nimi godzinkę czy dwie i wrócę na kadre.

Do tamtego momentu Jurka Dudka znałem tylko z telewizji. Był tym słynnym gościem, który w finale Ligi Mistrzów zatańczył swój równie słynny „Dudek Dance” i zatrzymał wielki Milan. A na porannym treningu to właśnie on skrzyknął chłopaków, żeby urządzili mi gratulacje z okazji narodzin Wiki. Facet z Realu Madryt, który pewnie nie widział jednego meczu, nagle woła: „To dla Sławka!”. Jakbyśmy się znali od lat. Chłopaki wzięli mnie na ręce i zaczęli podrzucać. Nigdy nie zapomnę tego Jurkowi, strasznie się wtedy wzruszyłem.

Wieczorem natomiast to ja wyszedłem z inicjatywą. Gdy zachodziło słońce, zakładałem koronę króla nocy. Zaraz po treningu – w tajemnicy przed Majewskim – zaprosiłem całą drużynę do mojego pokoju, który był wyposażony nie gorzej niż porządny sklep monopolowy.

– Jak ktoś nie będzie chciał, to sam do niego przyjdę i mu do gardła wleję – ostrzegałem całkiem poważnie tych, którzy mogliby nie chcieć skorzystać z wyjątkowej okazji. Stawili się więc wszyscy i zaczęliśmy imprezkę. Większość spędziła ten wieczór spokojnie, ale ja po prostu się najebałem. Następnego dnia ledwo stałem na nogach, ale na szczęście lecieliśmy do Pragi, więc miałem czas, żeby się zregenerować. Wieczorem, na oficjalnym treningu, byłem już w formie: szczęśliwy, trzeźwy, a także z piękną, zdrową córką w moim życiu. No i jeszcze z pralką Amiki, którą w prezencie wysłał mi dyrektor Lecha Marek Pogorzelski.

Po tym dwumeczu Majewski, który od początku był zapowiadany jako trener tymczasowy, pożegnał się z kadrami. Nikt się z tego powodu nie popłakał, bo Stefan zdążył wkurwić kilku chłopaków. W przerwie spotkania ze Słowacją warknął coś do Ludo Obraniaka, a ten wpadł w szal i zaczął wykrzykiwać: „Putain, always Ludo, always me, putain, kurwa”. Wcześniej, jeszcze na odprawie, Majewski wyskoczył z pretensjami do Arka Głowackiego. Obwinił go o sytuację, w której ten nie miał nic do powiedzenia. Gdybyście zobaczyli minę Arka... W ciągu sekundy zrobił się czerwony, głowa nabrzmiała mu jak balon, na czole wyskoczyły grube żyły! Dobrze, że ktoś siedzący obok szybko go uspokoił, bo niewiele brakowało, żeby rozjuszony „Głowa” rzucił się na Stefana. To byłby dopiero skandal: piłkarz jebnął trenerowi. A wcale dużo nie brakowało. Ostatecznie ucierpiała tylko jakaś płyta z analizą, którą Głowacki dostał od sztabu – Arek roztrzaskał ją o podłogę.

Jedyną osobą, która dobrze wspomina tamto zgrupowanie, jest Seweryn Gancarczyk. „Gancar” w meczu ze Słowacją strzelił pięknego samobója. Dzięki temu Słowacy pojechali na mistrzostwa świata, po raz pierwszy w historii, a on został ich bohaterem narodowym. I to dosłownie. Przez kilka miesięcy dostawał zaproszenia do hoteli, SPA, najlepszych restauracji. Gdyby wtedy pojechał do Bratysławy albo Żyliny, mógłby tam przeżyć kilka tygodni zupełnie za darmo.

Gancarczyk odmawiał jednak kolejnym słowackim ofertom, my natomiast ze zniecierpliwieniem czekaliśmy na nadchodzącego zbawiciela. Osiemnastego kwietnia 2007 roku prezydent UEFA Michel Platini z kwaśną miną wyjął kartkę z napisem „Poland & Ukraine” i oznajmił światu, że nasze kraje już niedługo zorganizują mistrzostwa Europy. Mieliśmy więc świadomość, że nowy selekcjoner otrzyma wiekopomną misję poprowadzenia polskich piłkarzy w być może najważniejszym turnieju stulecia.

Pytań było jednak wiele. Kto nim zostanie? Kto weźmie na barki olbrzymią odpowiedzialność? Kto umie... czynić cuda?

ROZDZIAŁ 5

WILLKOMMEN IN KÖLN

W Bundeslidze mógł zrobić znacznie większą karierę, bo do FC Köln trafił w bardzo trudnym momencie. Ale ludzie w Kolonii i tak pamiętają go do dziś. Zyskał ich szacunek, bo na mieście albo w dyskotecce był normalny i z każdym porozmawiał, a na boisku zamieniał się w fightera. Kibice to lubili. I ja też.

Lukas Podolski

Do trzydziestego pierwszego grudnia pozostawało tylko czternaście dni. Siedziałem w restauracji Trattoria Milano i z zaciekawieniem patrzyłem na mężczyznę studiującego dokumenty. Miał gęste siwe włosy świadczące o sporym doświadczeniu i ogromny brzuch. Widziałem go dopiero drugi raz w życiu, bo poznaliśmy się poprzedniego dnia.

– To mój kolega. Pogadajcie, pomoże ci – zapewnił mnie wcześniej Artur Wichniarek.

Teraz ten facet praktycznie znieruchomiał; poruszał tylko oczami, które ze sprawnością akrobaty przeskakiwały po linijkach mojej umowy z Lechem Poznań.

Kolegą Wichniarka był Andrzej Grajewski, prywatnie mąż siostry Artura, a zawodowo organizator walk bokserskich Dariusza Michalczewskiego, agent piłkarski i biznesmen, który kiedyś wprowadził Widzew Łódź do Ligi Mistrzów. Przede wszystkim to był jednak łebski gość. Do tej pory moje przygody z menedżerami – Robertem Kiłdanowiczem i Jarosławem Kołakowskim – kończyły się

katastrofą, ale „Grajek” miał być inny. Pierwsze wrażenie faktycznie zrobił świetne, więc zgodziłem się, żeby przeanalizował mój kontrakt.

- Jesteś pewny, że tak się umówiliście? – zapytał po dłuższej chwili.
- No tak.
- Bo klauzula faktycznie jest, ale jest też problem...
- Jaki?
- Ano taki, że ona obowiązuje tylko do końca roku.
- No jak?
- No, kurwa, tak...

O mało nie spadłem z krzesła. Przecież przechodząc z Wisły Płock do Kolejorza, Kołakowski wpisał do umowy kwotę odstępnego, za którą mógł mnie wykupić każdy zainteresowany klub – wynosiła milion siedemset tysięcy złotych, czyli około czterystu pięćdziesięciu tysięcy euro. To była promocja – pół bani za zawodnika, który pokazał się w fazach grupowych europejskich pucharów, zdobył mistrzostwo Polski i dostał powołanie do reprezentacji? Tylko frajer by z tego nie skorzystał.

Nie ma się co dziwić, że ten zapis był kamyczkiem w bucie szefów Lecha. Gdy latem 2010 roku, po moim powrocie z Aten, doszło do rozmów w sprawie przedłużenia kontraktu, poprosiłem dyrektora sportowego Marka Pogorzalczyka o skopiowanie starych zapisów i zmianę tylko dwóch punktów: długości umowy i wysokości pensji. Zamiast do czerwca 2011 roku porozumienie miało obowiązywać rok dłużej, no i zamiast dwudziestu tysięcy złotych miałem co miesiąc inkasować trzy razy więcej.

– Wyjdź na scenę, a my ogłosimy, że z nami zostajesz – zaproponował mi Pogorzalczyk w dniu prezentacji drużyny na nowy sezon, która odbywała się na Bułgarskiej.

- Ale przecież nawet nie przeczytałem umowy!
- Sławek, nikt cię tu nie chce oszukać.
- A jeśli to ogłosicie i coś nam nie wyjdzie?
- Wyjdzie, wyjdzie. Wszystko jest tak, jak uzgodniliśmy.

Znałem Pogorzalczyka, szanowałem go, więc nie zamierzałem się kłócić. Szczególnie tuż przed galą.

– Drodzy kibice, a oto najważniejsza informacja dnia: Sławomir Peszko zostaje z nami na dłużej! Właśnie przedłużył kontrakt! – wykrzyczał prowadzący.

Stanąłem na scenie, a tłum zaczął wiwatować. Nie miałem wtedy pojęcia, w jakie kłopoty się właśnie wpakowałem. Bo owszem, w nowej umowie była klauzula. I to w ustalonej wysokości. Różnica polegała na tym, że cena wykupu miała obowiązywać tylko do końca 2010 roku! A to zmieniało wszystko.

– Mamy dwa tygodnie, aby skorzystać z tej furtki. Później Lech będzie mógł podyktować za ciebie dowolną cenę... – wyjaśnił mi Grajewski pięć miesięcy później.

Trzeba pamiętać, że poznaniacy potrafili liczyć pieniądze. Gdy Celtic Glasgow zaoferował za Semira Štilicia ponad dwa miliony funtów, nikt w klubie nawet się nad tą ofertą nie pochylił. Borussia Dortmund wyciągnęła Roberta Lewandowskiego dopiero, jak wyłożyła blisko pięć baniek i dorzuciła w pakiecie mecz towarzyski. Za mnie działacze zażądałoby trzech, może czterech milionów. Dlatego miałem tylko kilkanaście dni, aby odejść na moich warunkach.

– Proszę szczerze: jest szansa, że to się uda? – zapytałem „Grajka”, a on zrobił zatroskaną minę i po długiej, dramatycznej pauzie odparł:

– Jedź do domu, spędź czas z rodziną i czekaj na mój telefon.

Nie spieszyło mi się do wyjazdu z Poznania, bo wiosną mieliśmy zagrać ze Sportingiem Braga w Lidze Europy. Czułem olbrzymi niedosyt po dwumeczu z Udinese, a teraz przytrafiła się okazja, żeby osiągnąć z Lechem coś fajnego. Sytuacja z klauzulą zmieniła jednak moje podejście. Ten zapis był zabezpieczeniem, dzięki któremu mogłem skupić się tylko na graniu w piłkę. Przecież z taką kwotą odstępnego – i w formie, w jakiej byłem – znalezienie dla mnie nowego pracodawcy wydawało się proste jak włączenie światła.

Teraz w głowie miałem mętlik. Nie wiedziałem, co zrobić. Odejść? Pogadać z klubem? A może zaryzykować i poczekać do lata? Jeden z kolegów zaproponował, że wykupi mnie drugoligowy Tur Turek, w którym miał zaprzyjaźnionych działaczy. Później z Tura mogłem dalej wyruszyć w świat, oczywiście z odpowiednim zyskiem. Ta opcja mi się jednak nie spodobała, bo nie zamierzałem oszukiwać Lecha. Jeśli miałem wyjechać, to w blasku fleszy, a nie nocą, gdy wszyscy śpią.

W końcu dwa dni przed Wigilią zadzwonił Grajewski.

– Pakuj się szybko i jedź do Warszawy na lotnisko.

– A dokąd lecę?

– Jeszcze nie wiem.

– To po co mam tam jechać?

– Żeby się dowiedzieć. Jak będę miał potwierdzenie, to wyślę ci bilet na maila. Wsiądziesz w samolot do Düsseldorfu albo Hamburga.

– Jakie kluby są w grze?

– FC Köln i HSV.

Większe wrażenie zrobił na mnie ten drugi. Co prawda obie drużyny grały w Bundeslidze, ale nie miałem pojęcia, czym jest ta Kolonia i co sobą reprezentuje. HSV to była natomiast marka; kojarzyłem ich z opowieści o słynnym w Poznaniu Mirosławie Okońskim, który podbił serca kibiców z Hamburga.

Gdy kilka godzin później dojechałem na Okęcie, Grajewski znów zadzwonił.

– Lecisz do Düsseldorfu. Tam cię odbiorą i zawiozą do Kolonii. Znalazł się facet, który zapłaci za transfer. Spotkamy się na miejscu.

Chociaż FC Köln było potężnym klubem, to w tamtym czasie przypominało bogacza, którego los wisiał na włosku. Długi wynosiły łącznie trzydzieści milionów euro i znalezienie choćby stówki było dla działacza wyzwaniem. Ale pojawiło się rozwiązanie. Znalazł je Franz-Josef Wernze, prężny biznesmen, który działał przy Kolonii. Nie mógł stać się właścicielem mojej karty zawodniczej, ale podpisał z klubem porozumienie, że dopóki ten nie odda mu forsy, Kolonia nie będzie mogła samodzielnie decydować o mojej przyszłości. Wernze przelał więc kasę na konto Lecha – dokładnie dwudziestego dziewiątego grudnia, czyli dwa dni przed końcem roku.

Zanim do tego doszło, spotkaliśmy się na miejscu, aby ustalić szczegóły transferu. Poza mną byli jeszcze Grajewski i inny agent, Adam Mandziara, który nam pomagał. Ze strony Kolonii przyszli wiceprezydent Jürgen Glowacz i Wernze. Ten ostatni wcześniej zaangażował się w sprowadzenie Lukasa Podolskiego oraz Pedro Geromela.

Kontrakt miałem podpisać tuż przed Wigilią. Podczas meczu z Duisburgiem dostałem jednak telefon: Ania miała zapalenie

oskrzeli. Rzuciłem wszystko, pojechałem na lotnisko i wróciłem do Polski. Sprawę postanowiliśmy dokończyć po świętach. W ostatniej chwili odezwał się do mnie Bartek Bosacki i zaczął namawiać, żebym został w Lechu jeszcze pół roku. Używał różnych argumentów, ale podjąłem już decyzję. Dzień później znów poleciałem do Niemiec. Chwilę po tym, jak podaliśmy sobie z Glowaczem rękę, zadzwoniłem do Pogorzalczyka.

– Panie dyrektorze, odchodzę. Nie chciałem, ale trochę zaskoczył mnie pan tym numerem z klauzulą... Cuda musiałem wymyślać, żeby się wyrobić w czasie.

– Słuchaj, chcieliśmy cię zatrzymać, żebyś pomógł nam w Europie. To wszystko – tłumaczył się Pogorzalczyk, do którego w zasadzie nie miałem żalu za tę zagrywkę. On chciał zabezpieczyć interes klubu, a ja swój.

– Rozumiem, ale przyszedł na mnie czas – pożegnałem się.

„Pogo” wiedział, jakie są reguły gry. Ciągnęło mnie na Zachód. Nie byłem młodzieniaszkiem, za chwilę miałem skończyć dwadzieścia sześć lat. Dodatkowo w Niemczech występował już „Lewy”. Wkurzył się za to prezes Andrzej Kadziński, który obsmarował mnie w „Przeglądzie Sportowym” i powiedział, że nie potrafię uszanować klubu i kibiców.

Zamieszanie z transferem – nie pierwsze i nie ostatnie w mojej karierze – sprawiło, że kontrakt z Kolonią miał obowiązywać tylko przez sześć miesięcy. W porozumieniu znalazła się za to klauzula przedłużenia umowy o kolejne dwa sezony, a taki układ mi odpowiadał. Tym samym rozpocząłem jedną z najbardziej niesamowitych przygód mojego życia.

Pierdol taktykę!

Na początku 2011 roku w Polsce szalały śnieżyce, co sparaliżowało ruch lotniczy. Kiedy więc Niemcy poinformowali mnie, że w klubie mam się stawić piątego stycznia, pozostało tylko jedno rozwiązanie – pociąg. Pojechałem więc z Poznania do Berlina, a tam przesiadłem się w pędzący jak rakieta Intercity-Express i w końcu dotarłem do Kolonii. W hotelu było już trzech nowych graczy: Niemcy Michael Rensing i Christian Eichner oraz Japończyk Tomoaki

Makino. Kolonia miała walczyć o utrzymanie i szukała wzmocnień gdzie się da. Nasz kwartet miał w tym pomóc.

Jeśli komuś wydaje się, że Bundesliga to tylko Bayern Monachium i Borussia, to jest w błędzie. FC Köln też jest gigantem, i to z piękną historią. Zespół ten trzykrotnie zdobywał mistrzostwo kraju, siedmiokrotnie zajmował drugie miejsce, zdobył też cztery Puchary Niemiec. Szczyt klubu to lata sześćdziesiąte, gdy legendarny Franz Kremer stworzył kapitalny zespół. To także on zainicjował budowę nowoczesnego centrum treningowego Geißbockheim.

To właśnie tam zawieziono mnie dzień po przyjeździe do miasta. Nie zdążyłem wysiąść z busa, a obskoczyło mnie kilku pracowników klubu. Jeden zajmował się mieszkaniem, drugi kontem w banku, trzeci telefonem, a czwarty oprowadzaniem po obiekcie. Tego samego dnia wręczono mi służbowego forda mondeo, bo amerykański koncern był naszym sponsorem.

– Od dziś nic poza piłką cię nie interesuje. Tu jest lista osób, do których zadzwonisz, jeśli będziesz czegoś potrzebował. Są pod telefonem dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ten jest od spraw medycznych, ten od przeprowadzek, ten pomoże ci w urzędach – wytłumaczył mi jeden z dyrektorów.

Tydzień później pojechaliliśmy do Kaiserslautern, a ja przeżyłem kolejny szok. Nasz autokar przypominał limuzynę! Fotele były olbrzymie i każdy dało się rozłożyć jak łóżko. Do tego osobne telewizory, ekspres do kawy, kilka lodówek. Wszystko w skórze, pachnące nowością. W Bundeslidze na większość meczów lata się samolotami, ale jeśli wyjazd jest w odległości stu–dwustu kilometrów, to wystarcza taki autobus. Co prawda już w Poznaniu nie jeździliśmy pekaesem, ale to była inna jakość.

Mecz z Kaiserslautern miałem rozpocząć na ławce rezerwowych, ale chorwacki pomocnik Mato Jajalo w ostatniej chwili zgłosił kontuzję i Frank Schaefer musiał poprzestawiać skład.

– Jak się czujesz? – zapytał po śniadaniu trener.

– *Sehr gut!*

– No to *gut*, dziś zadebiutujesz. Szykuj się.

Tak szybko? Dwa dni wcześniej zapewniał, że spokojnie wprowadzi mnie do drużyny, a teraz nagle miałem grać od pierwszej

minuty. Na odprawie Schaefer długo i zawile tłumaczył coś po niemiecku, ale nic nie kapowałem.

– O co chodziło? Co mam robić? – zapytałem Podolskiego, gdy tylko trener skończył i wyszedł z szatni.

– Nic nie zrozumiałeś?

– No nie, przecież nie mówię po niemiecku.

– To nawet lepiej. Pierdol to, co ten facet mówi, i rób to samo co w Poznaniu.

– Ale co z defensywą? Jak grać w ataku?

– Mówię ci: tak jak w Lechu. Nie będziemy się przecież bronić. Próbuj strzelać, kiwać, zero strachu. A jak nie będziesz wiedział, co zrobić, to zagraj do mnie.

O ja pierdolę... Trafiłem właśnie do Bundesligi, która miała być piłkarskim Oksfordem, a dziesięć minut przed debiutem gwiazda zespołu mówi mi, żeby w chuju mieć taktykę i po prostu się kiwać. Pomyślałem, że „Poldi” robi sobie ze mnie jaja, ale tuż przed wyjściem na murawę Lukas powtórzył: „Zapierdalaj jeden na jednego i będzie dobrze”.

Na boisko wyszedłem jednak zestresowany i zagrałem słabo. Gdyby nie było mnie na murawie, nikt by tego nie zauważył. Na szczęście mój nowy kolega strzelił gola i zremisowaliśmy 1:1.

Dzięki zaskakującemu przetarciu z Kaiserslautern minęła mi trema. Co prawda rywale mieli jakość, ale bez przesady, uznałem, że żadni z nich bogowie. I w drugim meczu, z Werderem Brema, dałem Podolskiemu asystę. Właściwie to powinienem był zdobyć bramkę, bo wyszedłem sam na sam z Timem Wiese, ale za bardzo się rozpędziłem i zatrzymałem się dopiero na linii końcowej. Dostrzegłem jednak cofającego się Lukasa i wyłożyłem mu piłkę, a on strzelił na 3:0.

– Brawo, „Mały” – powiedział, objął mnie i pokazał kibicom, że gol to moja zasługa. Żałowałem trochę, że nie zdecydowałem się na uderzenie, bo tego dnia bramki mieli już na koncie Podolski i Adam Matuszczyk, kolejny Polak grający w Kolonii.

Dwa tygodnie później zanotowałem drugą asystę. To spotkanie wspomina się w Kolonii do dziś. Bo dokonaliśmy właściwie niemożliwego: z wielkim Bayernem przegrywaliśmy już 0:2, ale odrobiliśmy straty i ostatecznie wygraliśmy 3:2. Po moim podaniu

gola zdobył Milivoje Novakovič, zwariowany Słoweniec, który szalał w ataku razem z Podolskim.

Poza asystą udało mi się też wyłączyć z gry Mario Gómeza. Niestety nie dzięki brawurowemu kryciu, a ciosowi z kolana w udo. Zaraz po zderzeniu Niemcowi urósł olbrzymi krwiak i musiał zejść z boiska. Pamiętam jego wzrok, kiedy Louis van Gaal zarządził zmianę – gdyby mógł, to by mnie zajebał na miejscu. Ale nie mógł. I musiał zaakceptować nasze zwycięstwo. Tydzień później w meczu z Mainz dorzuciłem kolejne kluczowe podanie, znów Podolskiemu.

W tym spotkaniu grałem przeciwko André Schürrle. W pewnym momencie odebrałem mu piłkę i nawinałem go dwa razy tak, że chłopu poplątały się nogi. Dostałem za to owację, jaką w Poznaniu słyszałem tylko po golach. „Coś czuję, że się polubimy” – pomyślałem o moich nowych kibicach.

I tak właśnie było. W kolejnych meczach wychodziłem w podstawowym składzie na Hannover, HSV, FC Nürnberg czy Borussię Mönchengladbach. Zbierałem kolejne asysty, głównie przy trafieniach Novakovicia. To był niesamowity baletmistrz. Od poniedziałku do czwartku można było go spotkać w Paschy, burdelu w Kolonii, chyba największym na świecie, albo w serbskiej restauracji na Heumarkt. Ale przed weekendem się wysypiał, a później wychodził na boisko i ładował bramkę za bramką. W tamtym sezonie strzelił ich dla Kolonii łącznie dziewiętnaście.

Od początku zagrałem także ze Stuttgartem, ale już w siedemnastej minucie doznałem kontuzji kolana. Tydzień później Schaefer został przeniesiony z funkcji pierwszego trenera na szefa akademii, a zespół objął Volker Finke. I całe szczęście, bo uratował nam ligowy byt. Cztery ostatnie mecze obejrzałem jako widz – trzy z nich wygraliśmy. To sprawiło, że spokojnie utrzymaliśmy się w lidze, zajmując dziesiąte miejsce. A Kolonia przedłużyła ze mną kontrakt.

Po zakończeniu sezonu odezwał się Eintracht, który właśnie spadł z Bundesligi. Dostałem od nich świetną propozycję umowy na trzy lata. We Frankfurcie montowano ekipę mającą od razu zrobić awans i widziano tam miejsce dla mnie. Na transfer mocno namawiał mnie Bernd Hölzenbein, legenda Eintrachtu i wiceprezydent klubu.

– Stworzymy silny zespół. Nie będziesz żałował, jeśli nas wybierzesz – zapewniał.

– Idź tam. Oni awansują, a Kolonia spadnie – tłumaczył mi natomiast Grajewski, ale wtedy olałem te prorocze słowa.

Duży wpływ na moją decyzję miał Franciszek Smuda.

– Jak pójdziesz do drugiej ligi, to nie będę cię powoływał. To nie jest odpowiedni poziom dla kadrowicza – przestrzegał mnie selekcjoner, a że zbliżały się mistrzostwa Europy, na których chciałem zagrać, to Eintrachtowi grzecznie podziękowałem.

Polski Podolski

Pamiętam nasze pierwsze spotkanie.

– Siema, „Mały” – powiedział z tym swoim twardym niemieckim akcentem „Poldi”.

Kojarzyłem go z mediów. Wiedziałem tylko, że jest Polakiem grającym dla Niemiec i że ma dwa brązowe medale mistrzostw świata. Zanim się zaprzyjaźniliśmy, zrobiłem to samo co z „Lewym” – wyciągnąłem do niego rękę na boisku, asystując mu w meczach z Werderem i Mainz. Podolski to docenił i po każdym dobrym podaniu pokazywał kibicom, że brawa należą się także mnie.

„Poldi” jest Polakiem z krwi i kości. Czasami odnosiłem wrażenie, że cały czas siedzi w nim żal, że nikt z PZPN nie zaproponował mu na czas gry dla naszej reprezentacji i „musiał” walczyć dla Niemców. W Kolonii miał jednak okazję, aby w końcu pokopać sobie z rodakami. I na boisku stworzyliśmy polski gang. My dostarczaliśmy mu amunicję, a on strzelał. Uderzenie lewą nogą ma zresztą nieprawdopodobne. To nie młotek, tylko młot pneumatyczny! Kiedy na treningu strzelał z kilkunastu metrów, bramkarze nawet nie próbowali bronić. Wojtek Szczęsny, z którym Lukas grał później w Arsenalu, do dziś wspomina bomby mogące połamać ręce. Podolski podchodził więc czasem w trakcie meczu i mówił po polsku:

– „Mały”, ja pobiegnę tam, a ty mi podaj. I będzie brama.

Albo innym razem, w meczu z Bayernem, szepnął do Matuszczyka przy rzucie wolnym z dwudziestu metrów:

– Ty tylko dotknij, a ja pierdolnę.

I tak pierdolnął, że pokonał Hansa-Jörga Butta.

Niemcy wkurzali się za te nasze Polaków rozmowy, ale mieliśmy to w dupie. Gdy rezerwowany bramkarz Thomas Kessler powiedział, że w Polsce kradną samochody, we trzech zaczęliśmy robić sobie z niego jaja. Śmiałyśmy się tak głośno, że było nas słychać na rogatkach Kolonii, a Kessler siedział czerwony jak burak i zastanawiał się, co o nim mówimy.

Statusu Podolskiego w Kolonii nie da się opisać. Powiedzieć, że ludzie go tam kochają, to nic nie powiedzieć. Jest tam bogiem, chociaż nazywają go „Prinz Poldi”, księżę.

Gdy w 2009 roku wrócił do klubu po nieudanej przygodzie w Monachium, to kibice nie tylko przywitani go na stadionie – a przyszło ich tam kilkanaście tysięcy – ale jeszcze dorzucili się do transferu. Bayern oczekiwał wtedy dziesięciu milionów euro, a FC Köln miało dziewięć. I fani zrzucili się na tę brakującą bańkę, kupując cegiełki po dwadzieścia pięć euro. Kilkadziesiąt nabył nawet słynny Michael Schumacher.

O ile przebywanie z Lukaszem na boisku było przyjemnością, o tyle wyskoczenie z nim na miasto już niekoniecznie. „Poldi” nie wychodził z domu, jeśli nie miał zarezerwowanego stolika lub łoża. Nie raz i nie dwa zakradaliśmy się do restauracji od zaplecza albo przez kuchnię. Właściciele szykowali specjalny stolik, najczęściej gdzieś schowany. Inaczej się nie dało, bo jeśli ktoś zauważył Podolskiego, tłum od razu wyrastał spod ziemi. Cieszył się taką popularnością, że nie mógł korzystać nawet ze swojego ferrari. Bo gdy ludzie widzieli, że siedzi za kierownicą, to ganiłi go po całym mieście. Z tego powodu chronił swoją rodzinę przed mediami. Ani Monika, przesympatyczna Polka z Legnicy, ani Louis i Maya nie brylowali w świetle kamer. Zresztą dostać się do grona znajomych Lukasa było bardzo trudno. Czasem wydawał się ludziom niedostępny, może nawet gburowaty, ale to był jego sposób, aby zachować minimum prywatności.

Trudno się jednak dziwić kibicom, skoro Podolski to był ich człowiek: jest wychowankiem FC Köln, utożsamia się z tamtejszą społecznością, ma wytatuowany herb miasta, a na słynny finał karnawału nazywany *Rosenmontag*, Różany Poniedziałek, wystawiał ciężarówkę, z której rzucał dzieciakom słodycze.

To on nauczył mnie asertywności. W Poznaniu zawsze zgadzałem się na zdjęcia, nie wyobrażałem sobie, żeby odmówić komuś autografu. A „Poldi” mówił króciutko:

– *Nein.*

– *Bitte.*

– *Nein!*

Zapytałem go kiedyś, dlaczego się tak zachowuje.

– Gdybym godził się na wszystko, to nic innego bym nie robił. A ja chcę normalnie żyć – wyjaśnił.

Tak samo było z alkoholem, bo „Poldi” jest abstynentem. Cały czas ktoś zapraszał go na kielicha, a on za każdym razem odmawiał. Uwielbiał za to herbatę miętową i koktajle waniliowe, które pił przed meczami. Często zamawiał też kebab, aż w końcu założył całą sieć budek z tureckim żarciem.

Mimo miłości do Kolonii – w jakimś wywiadzie powiedział nawet, że chce tam umrzeć – Podolski cały czas mówił mi, że zagra w Górniku Zabrze. „Górnik to, Górnik tamto” – powtarzał do znudzenia. Zresztą na Śląsk jeździł w każdej wolnej chwili. Był milionerem, a mimo to nie wstydził się robić sobie zdjęć w skromnym mieszkaniu świętej pamięci babci Zosi. I wcinać u niej roladę z modrą kapustą. To właśnie babci obiecał kiedyś, że zagra w Górniku – i słowa dotrzymał. Namawiał mnie zresztą, żebym poszedł tam razem z nim. A ja po latach namawiałem go na... Wiczystą Kraków.

Koniec świata

Kto raz zagra w Kolonii, zapamięta to na zawsze. Bycie piłkarzem tego klubu to coś szczególnego. Kiedy po meczach wysyłano mnie do łóż sponsorskich REWE czy Forda, to siedzący w niej ludzie skakali z radości, gdy mogli sobie zrobić zdjęcie albo zamienić kilka słów. Kiedyś na ulicy podeszło do mnie starsze małżeństwo.

– Herr Peszko, niedługo widzimy się na stadionie!

– A na który mecz idziecie?

– Z Hannoverem.

– Przecież teraz gramy z Borussią, Hannover jest dopiero za pięć kolejek.

– Ale wszystkie bilety dawno wyprzedane, udało nam się kupić dopiero na Hannover. I już się nie możemy doczekać!

To było niesamowite – na trybunach regularnie pojawiała się ponad pięćdziesiąt tysięcy fanów. Jeszcze większe wrażenie robiła przedsezonowa prezentacja, która odbywała się w parku niedaleko RheinEnergieStadion i trwała niemal cały dzień. Klub budował tam ogromną scenę, stawiał budki z piwem i park rozgrywki dla dzieci. Czasem przychodziło po sto tysięcy kibiców! Witaliśmy się z nimi, a później siadaliśmy na stanowiska – każda formacja miała jedno – i przez kilka godzin rozdawaliśmy autografy.

Możecie więc sobie wyobrazić, co się działo, kiedy w moim drugim sezonie w Kolonii nurkowaliśmy ku spadkowi. Latem zespół objął Ståle Solbakken, który wcześniej pracował w FC København. Łysy Norweg miał jaja. W Danii podczas pucharowego meczu pokłócił się nawet z Pepem Guardiolą.

Jesień była w naszym wykonaniu całkiem niezła. Wygraliśmy z HSV, Bayerem Leverkusen czy Hoffenheim, „Poldi” ładował bramę za bramą, a ja w czterech pierwszych kolejkach zebrałem trzy kluczowe podania. Później strzeliłem gola z Augsburgiem, a z Freiburgiem dorzuciłem kolejne dwie asysty.

Tamto spotkanie rozegraliśmy dokładnie pół roku przed mistrzostwami Europy. Pamiętam fragment programu sportowego w niemieckiej telewizji, w której spiker powiedział: „Z tak grającym Peszko na jednym skrzydle i z Jakubem Błaszczykowskim na drugim Polacy mogą być rewelacją turnieju”. Nikt wtedy nie przypuszczał, że zaliczymy kompromitację, a ja na Euro nawet nie zagram. Rundę jesienną zakończyliśmy jednak na solidnym dziewiątym miejscu. A później rozpoczął się koniec świata.

Do dziś nie wiem, co się wtedy z nami stało. Od dwudziestego pierwszego stycznia 2012 roku do końca sezonu przegraliśmy dwanaście z siedemnastu meczów. Wygraliśmy tylko dwa... Wszystko się sypało. Grupa portugalskojęzyczna – Geromel, Henrique Sereno i Andrézinho – odcięła się od zespołu. To wkurwiło Niemców, którzy zaczęli ignorować południowców. W pewnym momencie klub zatrudnił psychologa, żeby to wszystko posklejał, ale nikt nie traktował gościa poważnie. Nawet „Poldi” się z niego śmiał. Na treningach nie było jednak wesoło, bo cały czas zdarzały się

jakieś przepychanki, pretensje, kłótnie. Drużyna rozkładała się na naszych oczach.

Dramatyczne wyniki sprawiły, że coraz bardziej agresywni stawali się też kibice. Skończyło się poklepywanie po plecach i zaproszenia na piwo. Najpierw wyzywali nas na stadionie, później czekali na nas przy hotelach, aż wywiesili transparent: „Jeśli spadniecie, to was zabijemy”.

Po przegranym 1:6 meczu z Borussią, w którym po голу strzelili „Lewy” i Łukasz Piszczek, długo nie mogliśmy opuścić stadionu, bo kilka osób położyło się na asfalcie i nie chciało się stamtąd ruszyć. Przepraszaliśmy więc, zapewnialiśmy, że wygramy następne spotkanie, a później znów dostawaliśmy w ryj.

Trzy kolejki później – zdobyliśmy w nich tylko jeden punkt – Solbakken został wyrzucony. Zastąpił go powracający Schaefer, ale nic to nie zmieniło. Dalej graliśmy słabo, a jakby mało było nam problemów na boisku, sami dorzucaliśmy kolejne. Ja rozjechałem taksometr i trafiłem na noc do aresztu, a Mišo Brečko prowadził samochód po alkoholu i wjechał nim na tory tramwajowe.

Smutny finał tej tragifarsy odbył się po kończącym sezon meczu z Bayernem. Żeby się utrzymać, musieliśmy wygrać, ale monachijczycy przyjechali najmocniejszym składem i rozstrzelali nas 4:1. W końcówce spotkania wkurwieni fani odpalili bomby dymne, część z nich wbiegła na murawę. Musieliśmy uciekać do szatni pod eskortą policji. Tego dnia klub, po siedmiu latach w Bundeslidze, spadł na zaplecze najwyższej klasy rozgrywkowej...

Dzień przed meczem odwiedził mnie mój przyjaciel z Płocka. Postanowiliśmy, że uciekniemy z miasta, bo w Kolonii nie było bezpiecznie. Zresztą klub zarekomendował, żebyśmy nie przyjeżdżali do centrum treningowego. Z samego rana poszliśmy więc na Köln Hauptbahnhof. Mieliśmy plan, aby wyskoczyć pociągiem do Paryża i tam odetchnąć. Na dworcu było jednak pełno pijanych z rozpaczki kibiców; Rafał musiał kupić mi czarne okulary i czapkę, bo gdyby ktoś mnie rozpoznał, to miałbym przejebane. Udało się jednak precyzyjnie przejść przez tłum i we Francji przeczekaliśmy najgorsze.

Najlepsza oferta w życiu

Po spadku pojawiło się pytanie: co dalej z Kolonią? Jeszcze w trakcie sezonu Podolski udzielił ostrego wywiadu, w którym skrytykował działaczy. Już wtedy było jasne, że niedługo opuści ukochany dom. I tak się stało – Arsenal wyłożył za niego piętnaście milionów euro i ściągnął go do Londynu.

Również ja przestałem być potrzebny, głównie dlatego, że miałem za sobą fatalną rundę i solidny kontrakt: co miesiąc zarabiałem sześćdziesiąt pięć tysięcy euro brutto, czyli trzydzieści cztery tysiące na rękę. A do tego dochodziły jeszcze wysokie premie za punkty. Poza tym zapadła decyzja, że klub ograniczy liczbę obcokrajowców w kadrze. Dostałem więc zielone światło na poszukanie nowego pracodawcy.

Wtedy pojawiła się oferta Augsburga. Niemcy chcieli zapłacić naprawdę dobre pieniądze i podpisać umowę na trzy lata, ale nie zamierzali przelewać siana na konto Kolonii. Wernze chciał jednak odzyskać forszę. Kiedy pojawił się temat rozliczenia transferu, zaczęło robić się nieprzyjemnie. Negocjacje toczyły się po niemiecku, ale w pewnym momencie Grajewski zaczął mówić po polsku.

– Chcą cię wyjechać na pięćset tysięcy. Normalnie dostałbyś to za podpisanie umowy, ale kombinują, żeby dać je Wernzemu. Ja bym się na to nie godził.

– Ale przecież Wernze musi dostać kasę – kontrował Mandziara, który był tam razem z nami.

Szefowie Augsburga zaczęli się irytować, bo wyczuli, że coś jest nie tak. Nie wiedziałem, co powinienem zrobić. Ja miałem swoje racje, ale Wernze też.

– Musisz zdecydować. Zostajemy czy wychodzimy? – zapytał „Grajek”, gdy cisza w sali stała się nieznośna.

No chuj, trudno, nic z tego nie będzie.

– *Danke, danke, danke... Auf Wiedersehen!*

I to byłoby na tyle. Za mną wyszli Grajewski i wkurwiony Mandziara, który robił wszystko, by odzyskać pół miliona dla swojego bossa. Wtedy zacząłem myśleć o wyjeździe z Niemiec.

Kilka dni po zerwaniu rozmów z Augsburgiem pojawiła się idealna opcja: Kasimpaşa. W gazetach czy internecie nie znajdziecie na ten temat choćby wzmianki. Poczytajcie o moich rozmowach

z Bursaspor oraz Galatasaray Sztambuł, ale o Kasımpaşı – ani słowa. A to dlatego, że Bursaspor i Galata były... ściemami. Pierwsza dla dziennikarzy z Polski, a druga dla tych z Niemiec. Gdy jedni i drudzy podniecali się nieistniejącymi ofertami, ja siedziałem w Sztambule i prowadziłem negocjacje, o których wiedziało tylko kilka osób na świecie.

W hotelowej sali, w której mieliśmy dobić targu, spotkałem się z pięcioma starszymi gośćmi w garniakach od Toma Forda. To byli poważni tureccy biznesmeni, faceci z kasą i klasą. W pewnym momencie elegancka atmosfera zamieniła się jednak w negocjacje wprost z bazaru.

– Rocznie płacimy siedemset tysięcy euro netto.

– Ile? – krzyknął Grajewski.

– No, siedemset tysięcy.

– O kurwa! Siedemset? Słyszałeś, Sławek?

Od godziny udawałem niezainteresowanego tym, co się dzieje w pokoju, i siedziałem z nosem w telefonie. Gdy „Grajek” zaczął awanturę, podniosłem tylko wzrok i uśmiechnąłem się pod nosem.

– A kiedy reszta? – zaczął dopytywać Andrzej.

– Jaka reszta?

– Jak to jaka? Kiedy pozostałe pół miliona? Razem ma być milion dwieście tysięcy.

Turcy, do tej pory śniadzi, nagle zbledli.

– Panie Andreas, o czym pan mówi? Przecież mieliśmy zapłacić siedemset tysięcy.

– Jak nie wiecie, o czym, to cześć. Za taką kasę to chłopak nie zostanie tu choćby minuty dłużej. Mamy inne kluby, łaski bez. Sławek, to są jakieś jaja, wychodzimy!

Nagle przestało mi być wesoło. Kątem oka patrzyłem tylko, czy Turasy nie wyciągają właśnie noży, którymi zakończą nasze negocjacje. No ale skoro „Grajek” mówi twardo, że wychodzimy, to wychodzimy. Wstaliśmy i zaczęliśmy się żegnać. Najważniejszy z Turków, chyba prezydent klubu, doskoczył do mnie i zaczął namawiać, byśmy wrócili do stołu. „Grajek” w końcu złagodniał.

– No jak tak wam zależy, to wracamy. Ale musimy to jeszcze raz omówić.

My trochę zeszliśmy z absurdalnych oczekiwań Andrzeja, oni coś tam dorzucili i stanęło na ośmiuset czterdziestu tysiącach euro rocznie. Z czego połowę miałem dostać jednym przelewem w ciągu kilku dni. A że kontrakt miał obowiązywać przez trzy sezony, to mogłem się poczuć milionerem.

Wieczorem trzeba było to uczcić. Poszliśmy więc na kolację z trenerem Metinem Diyadinem, który chciał poznać nową gwiazdę swojego zespołu. Czujny jak zawsze „Grajek” kazał mi czule objąć Turka i powiedzieć szeptem, że jest zajebistym gościem.

– Mister, ale z pana fajny facet. Chcę grać w pana drużynie. Chcę tu zostać! – mówiłem szczęśliwemu Diyadinowi.

Właściwie czułem się już zawodnikiem Kasimpaşy, ale pozostawał jeszcze jeden problem. Do trzydziestego czerwca Niemcy mieli możliwość przedłużenia mojego kontraktu, czego jednak nie zamierzali robić. Ale gdy wróciłem do Kolonii i zacząłem pakować walizki, krótki cios zadał mi dyrektor Claus Horstmann: „Przedłużyliśmy twoją umowę. Do zobaczenia w klubie”. Opadły mi ręce.

– Ja pierdołę... – jęknąłem.

Byliśmy załamani. Właśnie przechodziło mi obok nosa jakieś dziesięć milionów złotych. Decyzję na Kolonii wymusił jednak Wernze, który ciągle czekał na pieniądze. Tych nie zamierzały płacić jednak ani Augsburg, ani Kasimpaşa. W końcu Turcy wzięli w moje miejsce Holendra Ryana Babela, a ja straciłem najlepszą finansowo ofertę w życiu.

Życie Wilka

Nie chciałem zostać w Kolonii i wróciłem do Płocka. Dzięki uprzejmości trenera Marcina Kaczmarka pojechałem nawet z Wisłą na zgrupowanie. Na początku sierpnia pojawiła się jednak ciekawa propozycja z Wolverhampton Wanderers. Byłem tak zmęczony przeróżnymi negocjacjami, że zgodziłem się grać tam za dziewięć tysięcy funtów tygodniowo – a trzeba pamiętać, że połowę z tego pożerały podatki. Miesięcznie miałem więc jedną trzecią mniej niż w Niemczech, nie wspominając nawet o tym, co mogłem zarobić w Turcji.

– Bierz, co dają – powiedziałem jednak Grajewskiemu, który skontaktował się z trenerem Solbakkenem. Ten po odejściu z Kolonii przeniósł się do Anglii i szybko klepnął moje wypożyczenie do spadkowicza z Premier League.

Championship była dla mnie jak odległa planeta. W Niemczech o piłkarzy dbał sztab ludzi. Wszystko było zorganizowane i pod kontrolą. W Anglii natomiast nikt się niczym nie martwił. Nie masz mieszkania? To twój problem. Nie wiesz, gdzie iść do lekarza? Życie, tyknij paracetamol. Nie masz samochodu? To weź taksówkę. Po to dostajesz wysoką pensję, żeby dać sobie radę – brzmiała ich filozofia.

Ta wyjebka dotyczyła dosłownie wszystkiego. Mogłeś chodzić do klubu go-go, przegrywać forszę w kasynie, rozbijać się drogimi furami. Jeśli trenowałeś, grałeś na poziomie i o twoich ekscesach nie pisali w „The Sun”, miałeś immunitet. Nie raz widziałem, jak trzy godziny przed meczem jeden piłkarz jadł jajko sadzone, które popijał mlekiem, a inny wbijał do klubu z tortillą ze stacji BP. W Niemczech byłaby za coś takiego kara, a tam wszyscy mieli to gdzieś.

Podobnie wyglądało to w kwestii ubioru czy aut. W Bundeslidze było dość konserwatywnie i jeździło się samochodami służbowymi, a w Anglii – czym się chce. Na parkingu stały więc bentleye, maybachy, rolls-royce’y. Jeden z kolegów codziennie przychodził w innym dresie Louis Vuitton, inny obwieszał się złotem i diamentami, jakby był afrykańskim watażką. Ale kiedy obaj wychodzili na boisko, murawa aż płonęła.

Inny świat spotkałem także w szatni. Tam na przykład nikt nie podawał sobie ręki.

– Wchodzisz, mówisz: „Hi, how are you” i to wszystko – wytłumaczył mi Karl Henry, nasz kapitan.

Dostałem miejsce obok George’a Elokobiego. Facet był czarnym potworem. Ważył sto dziesięć kilogramów, nie posiadał nawet jednego grama tkanki tłuszczowej, jego biceps był grubszy niż moje udo, a szyi nie miał w ogóle. Kiedy pierwszy raz usiadłem obok niego, spojrzał na mnie dzikim wzrokiem.

– Skąd jesteś?

– Z Polski.

– *I will eat you...*

O ja pierdołę. Był tak wielki, że naprawdę mógł mnie pożreć.

Elokobi na początku faktycznie wydawał mi się nie do przejścia. Za każdym razem, kiedy się do niego zbliżałem, rozgniewał mnie jak muchę. Wtedy przypominała mi się jednak rada Tomka Hajty. Kiedy zbliżałem się do Kameruńczyka, wypuszczałem piłkę na trzy metry i po prostu go objeżdżałem. Zanim ten wóz z węglem zdążył się odwrócić, byłem już daleko. Jeśli jednak udało mu się mnie zablokować, musieli zdrapywać mnie z boiska.

Generalnie jednak jakości w naszej drużynie nie brakowało. Ja byłem reprezentantem Polski, Stephen Ward grał dla Irlandii, Kevin Doyle dla Irlandii Północnej, Björn Bergmann Sigurðarson dla Islandii, a Wayne Hennessey rozegrał ponad sto meczów dla Walii.

Ciekawym typem był inny reprezentant, Stephen Hunt. Kiedyś graliśmy w Pucharze Ligi z Chelsea w Londynie. Przegraliśmy 0:6, a w ataku szaleli Fernando Torres i Juan Mata. Nie mieliśmy z nimi żadnych szans, bo my graliśmy rezerwami, a Roberto Di Matteo wystawił najmocniejszą pakę z Johnem Terryem na stoperze. Po każdym голу Chelsea trybuny świętowały – kiedy jednak przy piłce był Hunt, zaczynało się niesamowite wycie. Stadion aż wrzał. Widziałem, jak kilkuletnie dzieci pokazywały Irlandczykowi fucki. Nie miałem pojęcia, o co chodzi, i w przerwie postanowiłem zapytać, co jest grane.

– Dlaczego oni cię tak nienawidzą?

– To ty nie wiesz?

– No nie.

– To ja rąbnąłem kolanem w głowę Petra Čecha...

Czeski golkiper grał wtedy w kasku ochronnym, pamiętacie po starciu z Huntem. I teraz ten rzeźnik był moim kumplem z zespołu. W meczu z nami Čech jednak nie wystąpił, zastępował go Ross Turnbull. Wyszedłem z nim nawet sam na sam. Objechałem go z łatwością i pomyślałem: „O kurwa, za chwilę strzelę gola na Stamford Bridge!”. Tak się jednak podnieciłem, że kopnąłem jak ostatni leszcz. I chociaż bramka była pusta, to trafiłem tylko w słupek...

Hunt był nie tylko twardzielem, ale też wielkim fanem wyścigów konnych. Cały czas coś obstawiał. Znał dżokejów, jeździł na słynny

tor Royal Ascot. Kiedyś mnie tam zabrał i wytłumaczył, o co w tej zabawie chodzi.

Raz Hunt podszedł do kilku chłopaków i powiedział szeptem:

– Mam cynk od dżokeja. Wiem, kto wygra.

– Pewniak?

– Pewniak.

Zrobiliśmy więc zrzutkę. Jedni dali po dwa koła, ja zainwestowałem tysiąka. Wyszło tego ponad dwadzieścia tysięcy funtów, a Hunt postawił je na swojego konia. Irlandczyk miał małe radyjko na baterie, z którym się nie rozstawał. I słuchał na nim relacji z toru. Gdy skończył się wyścig, okazało się, że jego faworyt przybiegł szósty. Na sześciu uczestników. Byliśmy wkurwieni, bo przecież to miała być pewna kasa. Okazało się jednak, że koń skaleczył się przy starcie i ledwo doczłapał do mety. Wtedy pierwszy i ostatni raz obstawiłem konie. Ale Hunt to porządny gość, kontakt mamy do dziś. Byłem na urodzinach jego córek, często wpada do Polski. Pracował nawet nad transferem Krzysztofa Piątka do Premier League, wyszło jednak z tego tyle, co z naszego obstawiania.

Podobnie jak w Kolonii, także w Wolverhampton zadebiutowałem z marszu. Mecz z Leeds United zacząłem co prawda na ławce, ale Solbakken postanowił wpuścić mnie już w przerwie. Od razu zacząłem latać nad murawą. Czuję się zajebiście. Miałem nawet okazję, żeby zdobyć bramkę, ale dograłem do Doyle'a, który minimalnie spudłował.

Po Leeds wskoczyłem do podstawowego składu i zacząłem robić zamieszanie. W meczu z Barnsley – asysta przy голу Davida Edwarda. Z Derby County – kolejna asysta, tym razem przy trafieniu Doyle'a. Rywalizowałem z Bakarym Sako i Razakiem Boukarim, ale byłem od nich lepszy i w kolejnych spotkaniach grałem od początku. Pokonaliśmy Leicester City, Ipswich Town, Peterborough i Sheffield Wednesday, dzięki czemu wskoczyliśmy w lidze na trzecie miejsce.

Przed kolejnymi meczami Solbakken robił nam specyficzne odprawy. Na przykład przed Leicester rozpiął skład rywali na tablicy i zaczął omawiać przeciwników.

– Kasper Schmeichel? Średniak. Paul Konchesky? Jest wolny. Danny Drinkwater? Jak ma piłkę, to daje radę, ale bez jest tragiczny.

Jamie Vardy? Niezły, musicie uważać.

W pięć minut omówił całą drużynę, życzył nam powodzenia i tyle. I czasem działało, bo z Leicester wygraliśmy 2:1.

Wszystko szło świetnie, aż nadszedł mecz z Crystal Palace, w którym zerwałem więzadła w kolanie... A Wilki się zacięły. I od tamtego momentu rozpoczęliśmy ostry zjazd w dół tabeli.

Dzięki sezonowi w Championship przeżyłem jednak słynny Boxing Day. W Anglii panuje zwyczaj, że kilka dni wcześniej kluby pozwalają wyjechać piłkarzom na Christmas Party. Nasza balanga odbyła się w Dublinie, ale z powodu kontuzji nie mogłem w niej uczestniczyć. Po powrocie zrobiono więc małą dogrywkę, która – jak się okazało – miała magiczne właściwości. Poszedłem na nią z kulami, a wróciłem bez! Anglicy pokazali mi wówczas nową definicję melanżu. Przez całą noc pili litry drinka Jäger Bum, czyli jägermeistera z red bullem, i jakimś cudem trzymali się na nogach. Ja odleciałem po kilku kolejkach, ale przynajmniej na parę godzin wyzdrowiałem.

W tamtym okresie poznałem Radka Majewskiego, który był piłkarzem Nottingham Forest, innego klubu Championship. Co prawda nigdy nie rywalizowaliśmy ze sobą na boisku, ale pewnego dnia spotkaliśmy się w Birmingham. Poszliśmy więc na kolację, a później do klubu. Raddy dziabnął parę piwek i włączył mu się tryb nieśmiertelności. Wskoczył za bar i sam zaczął robić sobie drinka. Zobaczył to ochroniarz, który dosłownie wyciągnął „Maję” za fraki i wyrzucił na ulicę. Rano chłop był wrakiem, więc zrobiłem mu rosół, chociaż tak naprawdę to wrzuciłem kostkę rosołową do wrzątku. Radkowi to jednak nie przeszkadzało: wypił dwa talerze, otrząsnął się i jeszcze tego samego dnia wziął udział w treningu.

W styczniu nowym trenerem Wilków został Dean Saunders. Nasza znajomość nie zaczęła się najlepiej.

– Jesteś za mały na tę ligę – powiedział na pierwszym spotkaniu.

– Proszę dać mi szansę, poradzę sobie. Nadrobię zaangażowaniem.

– Jesteś po kontuzji. A my walczymy o utrzymanie...

– Trenerze, pomogę. Niech pan spróbuje.

O dziwo, Saunders posłuchał i w czterech kolejnych meczach posłał mnie na boisko, chociaż tylko raz w podstawowym składzie.

Później wpuścił mnie jeszcze na minutę w spotkaniu z Derby i na tym zakończyła się moja angielska przygoda. Saunders utwierdził się w przekonaniu, że mam za słabe warunki fizyczne, i wysłał mnie na trybuny. Na dodatek kazał mi jeździć z drużyną na wyjazdy tylko po to, żebym po meczach robił treningi wyrównawcze. Z widowni oglądałem więc kolejne porażki, przez które zajęliśmy przedostatnie miejsce w tabeli i zostaliśmy wyautowani. A Saundersa zwolnili.

Od jakiegoś czasu wiedziałem, że wrócę do Niemiec, chociaż jeszcze przed kontuzją, we wrześniu, Anglicy rozważali transfer definitywny. Mogłem tam zostać, ale się zawahałem. W pierwszych meczach szło mi tak dobrze, że naszała mnie myśl: „Poczekam do zimy, może zaraz weźmie mnie ktoś z Premier League?”. Nic takiego się jednak nie zdarzyło, chociaż gdyby nie kontuzja, to czuję, że zostałem na Wyspach.

Pożegnanie z Kolonią

Wolverhampton spadło do League One, a Kolonia dalej walczyła o awans do Bundesligi. Nie udało się to trenerowi Holgerowi Stanislawskiemu, który został zwolniony. Zastąpił go Austriak Peter Stöger. Na jednej ze swoich pierwszych konferencji, zapytany o kadrę zespołu, odparł:

– Nie będę ściągał wielu nowych piłkarzy, mam wystarczająco silny zespół. A poza tym jest jeszcze jeden gracz, który był w Anglii. Zobaczymy, na co go stać.

Mnie było stać na wiele, ale Kolonię – niezbyt. Cały czas obowiązywał mój bundesligowy kontrakt, który Niemcy chcieli renegotjować. Ostatecznie stanęło na tym, że obniżą moją miesięczną pensję o czterdzieści procent.

Gdy szykowałem się do sezonu, niespodziewanie zostałem piłkarzem... Parmy. Ten transfer do dziś jest dla mnie zagadką. W pewnym momencie poinformowano mnie jednak, że biorą mnie Włosi.

– Super! – ucieszyłem się, bo zawsze chciałem zagrać w Italii.

Dwudziestego sierpnia 2013 roku Parma przelała Kolonii sześćset tysięcy euro i podpisała ze mną trzyletni kontrakt. Dzień później wy pożyczono mnie do... FC Köln. Co więcej, dyrektor Jörg

Schmadtke zapisał w umowie możliwość odkupienia mnie po awansie. I tak właśnie zrobili! Do dziś trzymam podpisany kontrakt z Parmą, chociaż nigdy nie zagrałem w Serie A... Plus tej sytuacji był tylko jeden: uwolniłem się od Wernzego, który w końcu odzyskał szmal. Przez transferowe zamieszanie ominęło mnie pięć pierwszych kolejek, gdy jednak wróciłem na boisko, znów pokazałem, co potrafię. Chociaż w siedmiu kolejnych meczach byłem ledwie rezerwowym, to strzeliłem trzy bramki i zanotowałem trzy asysty.

Duet naszych napastników tworzyli wtedy Anthony Ujah i Patrick Helmes, którzy zastąpili Podolskiego i Novakovicia. Pomimo braku tamtych gwiazd prezentowaliśmy dużą jakość. W dalszej części sezonu zazwyczaj wychodziłem w podstawowym składzie, chociaż trener często zdejmował mnie po godzinie gry. Bywałem też rezerwowym. Po świetnym początku niestety przestałem notować liczby, aż do finiszu rozgrywek, kiedy znów dwukrotnie asystowałem.

Pomiędzy meczami miałem nieprzyjemną sytuację, bo naszą bazę odwiedziła kontrola antydopingowa. I wskazała mnie do badania. Nie miałem jednak na to ochoty i po treningu wymknąłem się do szatni. Zgodnie z procedurą powinienem był podejść do faceta czekającego pod klubem, a później oddać mocz do próbki. Zanim gość się zorientował, że mnie nie ma, już się przebierałem.

– Dlaczego tu jesteś? – zapytał, gdy mnie znalazł.

– A dlaczego tylko mnie badacie?

– Bo mamy takie wytyczne.

– Aha. I przypadkowo trafiło na mnie...

W końcu zrobiłem, co musiałem, i sobie poszedł. Minutę później do pomieszczenia wparował wściekły Schmadtke.

– *Scheiße!* Przecież jakby ten facet był złośliwy, mógłby napisać w raporcie, że mu uciekłeś. I zostałbyś zawieszony. Dostajesz ode mnie *gelbe Karte*, żółtą kartkę!

Na szczęście graliśmy wtedy znakomicie i Schmadtke szybko zapomniał o sprawie. Od października – poza jednym wyjątkiem – okupowaliśmy pierwsze miejsce w tabeli i szybko zapewniliśmy sobie powrót do Bundesligi. Wiosną na nasze drugoligowe mecze chodziło ponad czterdzieści tysięcy ludzi, a na spotkaniu z FC St. Pauli było pięćdziesiąt koła! Po ostatnim gwizdku tłum wbiegł na

boisko, z którego chciał zabrać cokolwiek: kawałek siatki, fragment murawy, a nawet spodenki piłkarzy. Część z nas schodziła do szatni w samych gatkach.

Po awansie klub zaproponował nam trzydniowy wyjazd na wakacje. Mieliśmy do wyboru Majorkę, Ibizę albo jakiś kurort we Włoszech. Brečko, który był wtedy kapitanem, stwierdził jednak:

– A może Las Vegas?

I działacze się zgodzili.

To był mój pierwszy raz w stolicy hazardu. Kasyna znajdowały się tam na każdym kroku. W wypasionym, pięciogwiazdkowym Cosmopolitanie, w którym zamieszkaliśmy, w drodze do pokoiów stało dziesiątki jednoręcznych bandytów, stoły do pokera, rulety. Gdziekolwiek się skręciło, można było w coś zagrać, więc z tego korzystaliśmy. Zostawiłem tam z siedem tysięcy dolarów, ale znacznie grubiej grał mój kolega Kevin McKenna. Już drugiego dnia poprosił, żebym poszedł z nim do placówki Western Union, bo przegrał wszystko, co miał, a dalej chciał kręcić białą kulką. Kanadyjczyk wyciągnął więc kolejne dziesięć koła, które za kilka godzin także przepuścił. Łącznie oddał maszynom ze sto tysięcy złotych.

Poszliśmy też do legendarnego klubu TAO, w którym bawili się Kanye West, Madonna i gwiazdy z Hollywood. Organizatorzy przygotowali dla nas wypasioną lożę, na telewizorach dookoła niej wyświetlili napis „FC Köln from Germany”. Wcześniej pojechałem na miasto na zakupy i żeby dojechać do dyskoteki, musiałem złapać taksówkę. A do tych były olbrzymie kolejki. Gdy zobaczyłem więc jadącą limuzynę, ogromnego białego lincolna, zatrzymałem go na środku ulicy. Facet jechał na pusto, więc nie pogardził paroma stówkami i zawiózł mnie pod wskazany adres.

Nie wiedziałem jednak, że w TAO tak bardzo pilnują dress code’u. Minimum to była koszula. Ja jednak miałem tylko zwykłą polówkę.

– Nie wejdiesz.

– Proszę mnie wpuścić, mam hotel czterdzieści minut stąd. Jak pojedę po koszulę, to nie zdążę na imprezę.

– Niestety, zasady to zasady.

Zasady? Są przecież po to, żeby je łamać. W końcu wyszedł więc po mnie jeden z kolegów, który zabrał ze sobą zwitek dolarów i dyskretnie wsadził go ochroniarzowi do kieszeni. I magia – już byłem w środku.

Przez te trzy dni w Vegas niezbyt rozróżniałem, czy jest noc, czy dzień. Wszędzie jasno, wszędzie pełno ludzi, kasyn nie zamykano, a muzyka grała non stop. Na koniec naszej podróży przenieśliśmy się do innego hotelu, który akurat zorganizował wielkie *pool party*. Jego gwiazdą był David Guetta, który grał dla ludzi bawiących się w basenie. Nie wiem, ile Kolonia zapłaciła za tę naszą podróż, ale jedno było pewne – opłacało nam się awansować.

Powrót do Bundesligi okazał się jednak dla mnie bolesny. Miałem problem z brzuchem, czasami nie byłem w stanie trenować. Jeździłem do Monachium na specjalne zastrzyki, zastanawiałem się nawet, czy nie założyć siatki przepuklinowej. Brałem tony leków przeciwbólowych, poszedłem też do psychologa. Szukałem pomocy wszędzie, gdzie się dało. Gdyby ktoś mi wtedy powiedział, że wyleczy mnie afrykański szaman z buszu, to założyłbym kapelusz, złapał za maczetę i wyruszył na poszukiwanie znachora.

Przez ból uciekła mi niemal cała runda jesienna. Do końca roku na siedemnaście możliwych spotkań zagrałem tylko sześć. Przełomowe okazało się zgrupowanie w Orlando, gdzie zimą poleciliśmy na tournée. Nie wiem, co się wtedy wydarzyło, może w tej całej Ameryce mają jakieś specjalne powietrze, ale pewnego dnia się obudziłem i poczułem, że jestem w zajebistej formie! Brzuch mi nie dokuczał, ból zniknął. Na treningach zacząłem strzelać z przewrotek, kolegom zakładałem siatki, byłem nie do zatrzymania. W turnieju Orlando Florida Cup, który wygraliśmy, zdobyłem bramkę już w pierwszym meczu, z Corinthians São Paulo. „Maschine” – Niemcy kręcili z podziwu głowami, a ja nie miałem pojęcia, co postawiło mnie na nogi.

Nawet Stöger się do mnie przekonał. Wcześniej czepiał się różnych bzdur, także tego, jak się rozgrzewam. Fakt, w trakcie listopadowego meczu z Herthą Berlin czułem się zirytowany i mowa mojego ciała mogła utwierdzić trenera w przekonaniu, że mam

wyжебane, ale od początku nie byłem faworytem Austriaka. Po obozie w USA mój status uległ zmianie.

Pod koniec stycznia zagrałem z HSV i zanotowałem asystę. Później zaliczyłem dobry mecz ze Stuttgartem. Rozegrałem po dziewięćdziesiąt minut w spotkaniach z Hannoverem, Bayernem i Eintrachtem, a przeciwko Borussii i Werderowi wyszedłem w pierwszym składzie. Nie notowałem co prawda asyst, ale Stöger mi ufał. W lidze utrzymaliśmy się bez kłopotu, zajmując dwunaste miejsce.

Znów grałem regularnie, w Kolonii czułem się znakomicie. Nie tylko w klubie, ale również w mieście. Poznałem dwóch barmanów – Artura i Filipa – z którymi spędzałem sporo czasu. Zakolegowałem się także z konsulem Jakubem Wawrzyniakiem. Dodatkowo w czerwcu 2014 roku na świat przyszedł Marcel. Mój syn miał się urodzić w Kolonii, ale ostatecznie doszło do tego w Płocku. W skali Apgar dostał tylko czwórkę, ale niezbyt się tym przejęliśmy i słusznie – dziś jest okazem zdrowia, nie da się go ściągnąć z boiska.

Miałem wtedy dwoje dzieci i myślałem, że w Niemczech zostanie jeszcze przez kilka lat. Ale latem Stöger sprowadził na moją pozycję kozaków: z Hannoveru kupił Leonardo Bittencourta, a z Borussii Miloša Jojicia. Wtedy po raz pierwszy poczułem, że coś jest nie tak.

Jeszcze w lipcu odwiedziliśmy Polskę, żeby rozegrać towarzyski mecz na otwarciu stadionu w Tychach. Wygraliśmy 1:0, a ja i Paweł Olkowski, który dołączył do drużyny rok wcześniej, wyszliśmy w podstawowym składzie. Stöger zmienił mnie jednak w przerwie, bo prezentowałem się słabo. Sytuacja się więc komplikowała. Kurtyna opadła w sierpniu, kiedy w trzech pierwszych meczach nie znalazłem się nawet na ławce rezerwowych.

Wtedy zadzwonił mój stary znajomy, Tomek Hajto.

– Mam dla ciebie fajny klub w Polsce. Chcą awansować do pucharów – wyjaśnił mi i kilka dni później pojawił się w Kolonii z butelką whisky.

Na początku byłem niezbyt zainteresowany ofertą Lechii Gdańsk, o której mówił Hajto. Woląłem zostać w Bundeslidze. Gdybym wcześniej podjął decyzję o odejściu, na pewno dalej grałbym na Zachodzie, w Niemczech albo jakiejś Belgii. Ale zaryzykowałem

i zaczynało mi brakować czasu. Z każdym dniem przekonywałem się więc, że pozostanie w Kolonii było bezsensowne. W końcu zadzwoniłem do selekcjonera Adama Nawałki.

– Będzie mnie pan powoływał, jeśli wrócę do Ekstraklasy?

– Oczywiście. Jeśli tylko będziesz prezentował się dobrze, to masz miejsce w kadrze – zapewnił.

No dobra, co miałem do stracenia? Lepszy Gdańsk niż trybuny w Kolonii. Trzydziestego pierwszego sierpnia 2015 roku, ostatniego dnia okienka transferowego, zakończyła się moja trwająca cztery i pół roku przygoda z zachodnią piłką.

Gdy na początku 2022 roku odwiedziłem Kolonię, aby obejrzeć mecz z Borussią, okazało się, że Niemcy pamiętają mnie do dziś. Kilku dziennikarzy chciało przeprowadzić ze mną wywiad, kibice przez cały czas prosili o selfiaki. Marcel, który był razem ze mną, nie mógł uwierzyć, że tata jest tam tak popularny. Dodatkowo, chociaż minęło siedem lat, to w klubie pracowało jeszcze kilka osób, które poznałem: dwóch trenerów, magazynier, do tego piłkarze – Jonas Hector czy Anthony Modeste. I fajnie było ich spotkać. Chociaż nie byłem w Kolonii od dawna, czułem się tam jak w domu. Bo właśnie taki to klub. I takie miasto.

ROZDZIAŁ 6

KADRA AFERA ALKOHOLOWA

Ludzie pytali mnie czasem: „Panie redaktorze, po co pan broni tego drewniaka?”. Zawsze mówiłem tak samo: „Bo nie ma kompleksów. A tacy piłkarze robią różnicę”.

Roman Kołtoń

– „Peszkin”, ty jesteś popierdolony...

Adrian Mierzejewski nie gryzł się w język, obserwując, jak miotam się po pokoju. Mieliśmy mieszkać razem, bo Robert Lewandowski, jako gwiazda reprezentacji, tym razem dostał jedynekę. Od teraz moim współlokatorem znów miał być „Mierzej”. Nieźle się zdziwił, kiedy minutę po wejściu do środka wyjąłem z walizki prywatne ciuchy, które zacząłem przymierzać. Było już późne popołudnie.

– Gdzieś się wybierasz? – zapytał.

– Do klubu – odparłem zgodnie z prawdą, jakby była to najbardziej oczywista odpowiedź we wszechświecie. I wcale nie miałem na myśli klubu piłkarskiego.

Pewnie nie byłoby w tym nic zaskakującego – wszyscy wiedzieli, że lubię dobrą zabawę – gdyby nie fakt, że właśnie tego dnia wróciłem do kadry po półrocznej przerwie spowodowanej alkoholową wpadką po meczu z Australią. Za chwilę mieliśmy zagrać sparingi z Litwą i Grecją, a ja dostałem od Franciszka Smudy szansę, aby odkupić stare grzechy. A więc tak, dobrze rozumiecie: natychmiast po powrocie do reprezentacji polazłem na imprezkę. Stało za tym proste założenie: to był tak pojebany pomysł, że nikt się go nie spodziewał!

Adrian też nie dowierzał, a przecież w Płocku widział już wszystko. W końcu zdecydowałem się na jeansy i elegancką koszulę Gucci. Po wskoczeniu w cywilne ciuchy zacząłem wciskać na siebie... reprezentacyjny dres. Prywatne ubrania poupychałem pod nim tak, żeby nie było ich widać. Na nogi wrzuciłem neutralne białe buty i jak Indiana Jones na spotkanie przygodzie ruszyłem w kierunku windy.

Skąd w ogóle ten pomysł? Właściwie to był pomysł... Roberta. Jego znajomy otwierał w Warszawie dyskotekę i poprosił, żeby ten wpadł na chwilę. A gdzie Batman, tam i Robin.

– Sławciu, pójdziemy na dwie godzinki, nie będzie żadnych fotoreporterów, to impreza zamknięta – uspokajał „Lewy”. No to jak tak, to tak!

Umówiliśmy się po kolacji, w garażu czekał już na nas samochód z kierowcą. Odpalony silnik, przyciemniane szyby, klimat jak ze szpiegowskiego filmu. Kiedy wychodziłem z pokoju, „Mierzej” jeszcze raz pokręcił głową.

– Jesteś popierdolony...

Co racja, to racja. Miałem u Smudy żółtą kartkę, może nawet pomarańczową, dostałem jednak koło ratunkowe i od razu – pierwszego dnia – podjąłem ryzyko wielkie jak Pałac Kultury i Nauki. Dla jasności: przez cały wieczór nie wypłem choćby łyka piwa, sączyłem tylko wodę z cytryną. Przekalkulowałem, że nawet jeśli ktoś mnie złapie, to będę trzeźwiutki.

W klubie szalu nie było. Pokręciliśmy się, pogadaliśmy. To wszystko. Przed północą samochód wrócił do hotelu, zaparkował w garażu, a ja wyciągnąłem z bagażnika dres, który znów na siebie zarzuciłem. Lewandowski nie musiał tego robić – był gigantem i nikt nie wpadłby na pomysł wyrzucenia go z drużyny. Ale „Lewy” to „Lewy”, a ja to ja. Kiedy na poziomie minus jeden wsiedliśmy do windy, do mojego mózgu dotarł z opóźnieniem jarzący się na czerwono komunikat: „Baranie, jeśli ktoś cię zobaczy, to znów wylecisz z kadry! I to na długo!”.

W sekundę zrobiłem się biały jak moja koszula. Na czole żyły wyszły mi tak, jakbym próbował wycisnąć na klatkę z dwieście kilo. Gdy drzwi windy się otworzyły, o mało nie zemdlałem. Spacer do pokoju, te kilkanaście metrów, trwał wiecznie.

Gdy wpadłem do środka, Mierzejewski jeszcze nie spał. Popatrzył na mnie i ostatni raz pokręcił głową. Do dziś nie mam pojęcia, po co mi to było, wiem tylko, że nie zachowałem się wtedy zbyt rozsądnie. Ale miałem sporo szczęścia: pod dyskoteką nie było paparazzi, w środku nie spotkałem żadnego dziennikarza, a po korytarzu nie kręcił się nikt ze sztabu. O mojej nocnej eskapadzie wiedziały więc tylko dwie osoby: Adrian i Robert, ale o nich byłem spokojny. Kładąc się spać, nakazałem sobie jednak w myślach: „Sławek, od jutra tylko piłka”. I wiecie co? Dotrzymałem słowa. Przynajmniej przez jakiś czas.

„Szpaczek”

Ten, kto uważa, że ze Smudą się kochaliśmy, nie ma racji. Co prawda przez rok współpracowaliśmy w Poznaniu, ale z chemią pomiędzy nami różnie bywało. Gdy trenerem Lecha był już Jacek Zieliński, wygraliśmy dwa mecze: 3:1 z Piastem Gliwice i 5:0 z Koroną Kielce. Strzeliłem dwa gole i czułem, że sezon będzie należał do mnie. Po spotkaniu z Koroną tak się podnieciłem, że chlapanłem w wywiadzie: „W końcu będziemy mogli powalczyć o mistrzostwo. Mamy trenera, który dobrał odpowiednią taktykę, dogaduje się z piłkarzami”. Co prawda nie wypowiedziałem nazwiska Smudy, ale tylko debil nie połąpałby się, co chciałem w ten sposób przekazać.

Te zupełnie niepotrzebne słowa padły w sierpniu. Trzy miesiące później zarząd PZPN ogłosił, że nowym selekcjonerem reprezentacji został... Smuda. „Franek Smuda czyni cuda” i te bajery sprawiły, że lud wyniósł Franza na piłkarski ołtarz. „O kurwa” – tylko to przyszło mi przez myśl. Miałem przesrane.

Smuda mnie jednak zaskoczył i powołanie wysłał bardzo szybko. Co on kombinuje? Może to alibi? Może chce mnie szybko odstrzelić? W Warszawie mieliśmy wtedy zagrać towarzysko z Rumunią i Kanadą. Przyjechałem do hotelu popołudniu. Nie za bardzo wiedziałem, co i jak mam powiedzieć trenerowi, którego przecież musiałem w końcu spotkać. Przez kilka godzin udawało mi się go unikać, aż wieczorem poszedłem do pokoju Gregora Zieleznika,

naszego fizjoterapeuty, który jak zawsze kogoś masował. Nie zdążyłem usiąść, kiedy za plecami usłyszałem złowieszczy głos z charakterystycznym, niewyraźnym „r”.

– A teraz mi się, kurrrwa, przypomniało! – ryknął Franek. Od razu wiedziałem, że będzie się działo. – Coś ty tam pierdolił w tym telewizorze? Pojebało cię, „Peszkin”? Trenera mata lepszego? I widzisz, jak teraz wpadłeś?

Smuda od razu docisnął mnie, jak bokserski mistrz zapędza rywala do lin już w pierwszej minucie walki. Ale nie pękłem. Spojrzałem mu głęboko w oczy i walnąłem prosto z mostu:

– Trenerze, powiedziałem wtedy... Powiedziałem, co myślałem! Nie wypieram się. Czasu nie cofnę, poszło, to poszło, chuj tam. Jak mnie trener chce wyrzucić, to nie ma sprawy.

Dookoła zapanowała cisza. Atmosfera była tak gęsta, że wrzucona do pokoju piłka sama zawisłaby w powietrzu. A Smuda, zamiast wpaść w szał i wyrzucić mnie na zbity pysk, tylko się uśmiechnął.

– O kurwa, masz jaja, żeby w oczy mi to samo powtórzyć – zaśmiał się. – Masz charakter, szpaczku jeden. Ja też mam skurwysyński charakter. Myślałem, że się wyprzesz i powiesz, żeś się pomylił. Takiego szpaczka to ja będę lubił – powiedział i... wyszedł z pokoju.

Stałem tam jak wryty, tak samo jak Zieleznik i wszyscy inni. Ale od tego momentu moje relacje ze Smudą stały się znakomite. I oficjalnie zostałem „Szpaczkiem”.

One Night in Bangkok

Przed mistrzostwami Europy w Polsce i Ukrainie, które miały się rozpocząć za niecałe trzy lata, mieliśmy rozgrywać tylko spotkania towarzyskie. To przywilej gospodarza, chociaż często brak adrenaliny obraca się przeciwko drużynie. Szczerze mówiąc, to bez tego paliwa nie ma jazdy. Piłkarze nie są w stanie wykrzesać z siebie takiej motywacji na sparing jak na mecz, którego wagą są eliminacyjne punkty. I tej motywacji często nam brakowało. Nie czuliśmy żadnego ciśnienia, żadnej presji. Czy wygrasz, czy

przegrasz, i tak nic się nie dzieje. Najwyżej dziennikarze coś tam pomarudzą, ale kto by się tym przejmował.

Smuda dostał jednak trzy lata na zbudowanie drużyny, która miała stać się dumą czterdziestu milionów Polaków. Ale każdy, kto znał Franza, wiedział jedno: on i tak szybciotko wybierze sobie żelazną jedenastkę. Bo Franek już tak ma. A gdy tak się stanie, to wszyscy inni mogą dla niego przestać istnieć. Myślicie, że przesadzam? Czasem w trakcie gierki Smuda potrafił krzyknąć: „Piłka dla nas!”, tak jakby był selekcjonerem tylko połowy piłkarzy. Nie wszystkim się to podobało, ja na szczęście wpadłem jednak do worka z napisem „Moi ludzie”.

Chociaż z Rumunią byłem jeszcze rezerwowym i na boisko wszedłem dopiero w końcówce, zmieniając Kubę Błaszczykowskiego, to z Kanadą w Bydgoszczy zagrałem od początku. I to pełne dziewięćdziesiąt minut. Wygraliśmy 1:0 po bramce Maćka Rybusa. A ja już wiedziałem, że Franek zaufał swojemu „Szpaczkowi”.

Potwierdziło się to w Tajlandii, do której dwa miesiące później poleciliśmy na towarzyski Puchar Króla. „Poleciliśmy” dotyczyło głównie nas, bo chociaż leciał z nami pilot, to nie poleciał z nami... selekcjoner. Jak to możliwe? Zbiórkę kadry zarządzono we Frankfurcie, skąd mieliśmy ruszyć wynajętym dla nas przez gospodarzy samolotem. A tam *business class*, steki, wino i wszystko, czego dusza zapragnie w trakcie kilkunastogodzinnego lotu. Ale Smuda z żoną Małgorzatą i grupą krakowską, w której byli Piotrek Brożek, Mariusz Pawełek czy Łukasz Mierzejewski, mieli problem ze swoim połączeniem i po prostu się spóźnili.

Z Frankfurtu wylecieliśmy więc bez Franka, z czego nie robiliśmy jednak wielkiej tragedii. Na pokładzie zachowywaliśmy się jak szkolna wycieczka, która przez pierwsze trzy godziny postanowiła skorzystać z nieobecności wychowawcy. Ale lot był tak długi, że imprezka szybko się skończyła, a my poszliśmy spać. Do Bangkoku dolecieliśmy w świetnej dyspozycji. A Smuda z małżonką i chłopakami pojawili się na zgrupowaniu dzień później.

Ten turniej był tak naprawdę wyjazdem turystycznym, niewiele różniącym się od mojej podróży do RPA. Smuda dał niektórym

piłkarzom wybór i większość etatowych reprezentantów olała daleką podróż. Poza Adasiem Matuszczykiem z FC Köln żaden zawodnik z zagranicznego klubu nie zgodził się na wylot do Tajlandii. Dzięki temu w reprezentacji zadebiutował chuderlawy blondynek z Piasta Gliwice, Kamil Glik.

Rozegrałem tam dwa z trzech meczów. Z Danią przegraliśmy 1:3, a ja strzeliłem gola, później pokonaliśmy jeszcze gospodarzy 3:1. W meczu z Singapurem dostałem „wolne”, bo przeciwko Tajlandii sędzia ukarał mnie czerwoną kartką za głupią, niepotrzebną dyskusję.

Jeśli chodzi o bramkę, moją pierwszą w kadrze, to... niezbyt mnie ucieszyła. To nie było trafienie moich marzeń, jakim później zostanie gol w meczu z Irlandią. Niby sztuka to sztuka, ale jednak strzelona rezerwom rezerw Danii gdzieś w dalekiej Tajlandii, na wpół pustym stadionie. Co prawda piłka ładnie mi weszła, bo walnąłem z dwudziestu metrów lewą nogą i dokładnym uderzeniem pokonałem Kima Christensena, ale nie tak to sobie wymarzyłem.

Znacznie ciekawsze rzeczy działy się ostatniego dnia. Niby wcześniej mieliśmy jakieś wycieczki, zwiedzanie buddyjskiej świątyni i inne pierdoły, ale nigdy nie byłem fanem takich atrakcji. Ucieszyłem się więc, gdy po meczu z Singapurem, który wygraliśmy aż 6:1, Smuda powiedział: „Być w Bangkoku i nie spróbować, jak tu jest w nocy, to byłby grzech. Do zobaczenia na śniadaniu!”.

Każdy z nas zrozumiał życiowy przekaz selekcjonera. Zamówiliśmy najprawdziwsze rowerowe ryksze, powciskaliśmy się do każdej po trzech, czterech i ruszyliśmy na spotkanie z egzotycznym światem. Ale to nie mogła być zwykła jazda. Szybko wpadłem na szatański pomysł, że dam naszemu kierowcy sto dolarów, jeśli na miejsce dojedzie jako pierwszy.

– Zapierdalaj! – krzyknęliśmy, a on zrozumiał albo ten prosty przekaz, albo banknot z Benjaminem Franklinem. Tak czy inaczej, przez chwilę czułem się jak James Bond goniący jakiegoś złoczyńcę. Facet nie miał żadnych zahamowań, non stop jechaliśmy pod prąd, ze dwa razy zegnałem się z życiem. Co gorsza, chłopaki z innych rykszy też to podłapali i zaczęły się nocne wyścigi reprezentantów Polski po Bangkoku. Nasz kierowca tak wczuł się w rolę, że za żadne skarby nie chciał zająć drugiego miejsca. Prawdziwy

sportowiec! W końcu jednak wyjąłem studolarówkę i dałem mu ją, błagając, żeby po prostu dowiózł nas do celu żywych.

Tej nocy najbardziej nosiło Patryka Małeckiego, który cały czas flirtował z Tajkami, nie mając jednak pewności, czy przy bliższym poznaniu nie czeka go niespodzianka.

– „Peszkin”, ona mi mówi: „Goł tu kar”. O co jej chodzi? – pytał rozgorączkowany.

– No, że chce iść z tobą do samochodu – przetłumaczyłem, a „Mały”, który z językami obcymi był na bakier, zapalił się jak pochodnia.

– Ale gdzie ona chce ze mną jechać? Mam jechać? Chyba powinienem, co? A jak mnie gdzieś wywiezie?

– Nie wiem, musisz z nią ustalić albo zaryzykować. Tylko tu kibice Wisły mogą cię nie uratować... – podpuszczałem Patryka, który ostatecznie odpuścił podróż z nieznajomą. Kto wie, może ominęła go przygoda życia? Chociaż z drugiej strony, w Tajlandii nie było trudno naciąć się na lady boya, czyli faceta wyglądającego jak kobieta, więc z jego szczęściem może i lepiej, że został z nami.

To była jednak bajeczna noc. Świetny alkohol, muzyka, tańce. Dla miejscowych stanowiliśmy sporą atrakcję. Jeden z kolegów wrócił do hotelowego pokoju z nową koleżanką, którą jednak w nocy podrzucił... śpiącemu obok kumplowi. Mina tego drugiego, gdy obudził się w objęciach nieznajomej, chociaż z imprezy ewakuował się wcześniej niż my, musiała być bezcenna.

Z Tajlandii przywiozłem bramkę, czerwoną kartkę i dwa mecze, w których zagrałem od początku. Nie byłem więc zdziwiony, kiedy w marcu wyszedłem w podstawowym składzie na towarzyskie spotkanie z Bułgarią. Dimityr Berbatow i Stilijan Petrow nie dali nam rady, a ja zagrałem równą godzinę.

Miałem wtedy dobry okres – w Ekstraklasie występowałem regularnie, Smuda wiedział, że zawsze może na mnie liczyć. W końcu zbudowaliśmy zdrową relację. Nieraz przychodziłem do niego, żeby zwolnił mnie ze zgrupowania na godzinę czy dwie „do fryzjera”. Podpuszczałem go i mówiłem:

– Trenerze, zapraszam ze mną, trenerowi też by się przydał. Ja stawiam!

– „Szpaczek”, weź mnie nie wkurwiał. Spierdalaj i wracaj tu przed kolacją – mówił ze śmiechem i przymykał oko. Często z niego żartowałem, ale nigdy nie przekraczałem granic. Nawet jak walił te swoje językowe lapsusy i krzyczał do Rybusa: „Co tak szczerzysz ten swój klawiatur?!”.

Zemsta Iniesty

W drodze na Euro kilka odpowiedzi miało dać rozpoczynające się pod koniec maja 2009 roku zgrupowanie, w trakcie którego mieliśmy zaplanowane aż trzy spotkania: z Finlandią w Kielcach, z Serbią w Kufstein i z Hiszpanią w Murcji.

Ten ostatni mecz miał przejść do historii polskiej piłki. Po latach myślę, że sparing z Hiszpanią był błędem. Wszyscy czuliśmy się już zmęczeni obozem, który trwał od kilkunastu dni. Chcieliśmy jechać na wakacje, a nie biegać za piłką. Hiszpanie natomiast byli spakowani na mundial, a do tego wkurzeni na krytykę, jaka spadła na nich po ostatnich meczach. Niby je wygrywali, ale niezbyt przekonująco: zaliczyli jakieś 3:2 z Arabią Saudyjską i tym podobne rezultaty.

Ale po kolei. Najpierw bezbramkowo zremisowaliśmy z Finami. Wszedłem na ostatnie trzydzieści minut, bo wcześniej testowanych było kilku zawodników, którzy nie zdobyli jeszcze u Smudy takiego kredytu zaufania jak ja.

Później było dużo ciekawsze spotkanie z naszpikowaną gwiazdami Serbią. Kto tam wtedy nie grał: Dejan Stanković, Nikola Žigić, Aleksandar Kolarov, Neven Subotić, Branislav Ivanović, a nawet Miloš Krasić, mój znajomy z europejskich pucharów.

W tym meczu o mało nie zajebał mnie Stanković. To był pan piłkarz: Lazio, Inter Mediolan... A ja mu założyłem trzy siatki! Nie jedną, ale właśnie trzy. Pierwszą przypadkowo, przyjmując piłkę. Drugą – w trakcie podania. A trzecią z pełną premedytacją, przepuszczając mu futbolówkę delikatnie między nogami. Już po drugiej dziurze spojrzał na mnie tak, jak tygrys patrzy na następną ofiarę. A po trzeciej nie wytrzymał i chociaż piłka była już kilka metrów dalej, wjechał we mnie sankami. A ja nie miałem zamiaru sprawdzać, co by się stało, gdybym założył mu siatkę numer cztery.

Mówiłem już, że mecz z Hiszpanią był zbędny? Tak uważam. Ja sam nie potrafiłem się na nim skupić, bo cały czas wisiłem na telefonie i ustalałem szczegóły transferu do Panathinaikosu. Zaraz po zgrupowaniu miałem polecieć z Hiszpanii prosto do Aten, aby na miejscu dogadać kontrakt. Koledzy z kadry też niezbyt podniecili się możliwością grania z Hiszpanami, którzy byli przecież mistrzami Europy. Mieszkaliśmy wtedy w świetnym kurorcie, więc większość z nas, zamiast koncentrować się na meczu, wybierała leżing i smaizing na basenie.

– Toż oni piją taką samą wodę jak wy, to czego tu się bać? – tłumaczył nam fachowo na przedmeczowej odprawie Smuda i przekonywał, że z Hiszpanami od początku trzeba zagrać agresywnie, wysokim pressingiem i pójść na wymianę ciosów. Świetny, kurwa, pomysł.

Zresztą mianownikiem, który łączył mecze z Finlandią, Serbią i Hiszpanią, a właściwie to także wszystkie inne w tamtym okresie, była właśnie taktyka. Smuda jej w ogóle nie zmieniał. U Adama Nawałki raz graliśmy wysokim pressingiem, raz średnim, a raz niskim, nawet jeśli ktoś mógł z tego kpić po meczu z Japonią na mundialu. Tymczasem Smuda z każdym rywalem chciał grać tak samo. To było 4-4-2, ze środkiem w formie rombu. Klaty do przodu, press i napierdalamy. W Murcji też mieliśmy zagrać bez kompleksów. „Peszkin” na jednym skrzydełku, Kuba na drugim, w środku „Mierzej”. Było z kim pokopać piłeczkę, co nie? Z ekipą Vicente del Bosque na równi byliśmy jednak tylko do pewnego momentu – mianowicie do pierwszego gwizdka sędziego.

Później zaczęła się rzeź baranów. To było niemożliwe! Biegaliśmy tak, jakby ktoś przywiązał nam do nóg dziesięciokilogramowe worki z cementem. Gdy jakiś Hiszpan przyjął piłkę, a ja chciałem go docisnąć, to zanim zareagowałem, piłka była już dziesięć metrów dalej. Za minutę znów taka sama sytuacja. Później kolejna. W końcu się wkurwiłem i chciałem któregoś z nich sfaulować, ale... też się nie dało. To znaczy, mogłem to zrobić, ale bez piłki, więc dostałbym czerwoną kartkę.

Przed meczem powtarzaliśmy sobie, że musimy przetrwać pierwsze piętnaście minut. Gola numer jeden dostaliśmy już

w dwunastej, a drugiego dwie minuty później. I było po wszystkim. Gdy Xabi Alonso zagrywał prostopadłe piłki, to bałem się wystawić nogę, bo siła zagrań była tak duża, że by mi ją chyba urwało. Piłkę mieliśmy więc tylko wtedy, kiedy Hiszpanie ją tracili.

W przerwie Smuda wciąż zagrzewał nas do walki. Tłumaczył, że jeszcze nic straconego, że trzeba zaatakować. Ale my wiedzieliśmy, że nasze dupska wyruszają właśnie na spotkanie z ciężkim skórzanym pasem. W drugiej połowie dostaliśmy jeszcze cztery klapsy: od Alonso, Cesca Fàbregasa, Fernando Torresa i Pedro. Niby walczyliśmy, ja oddałem nawet strzał, który Iker Casillas odbił na rzut różny, ale byliśmy jak załadowany węglem jęcz przy bolidzie Fernando Alonso.

Na ostatnie dziesięć minut zmienił mnie Tomek Jodłowiec, ale nie miało to żadnego znaczenia. Po meczu pomyślałem o wymianie koszulek, szybko przyszła jednak refleksja: „A chuj wam w dupę, jak będę chciał, to sobie kupię”. Nie interesowały mnie pamiątki z takiego wpierdolu. A przecież spotkałem tam ziomków, których kiedyś ogralem – Andrésa Iniestę i Torresa.

Jedno trzeba Hiszpanom oddać: nie upokarzali nas. Robili to wszystko z dziecięcą radością, dla swoich kibiców. Chcieli ich ładnie pożegnać przed afrykańskim mundialem, który zaczęli od porażki ze Szwajcarią, a zakończyli z Pucharem Świata. Niby to jakieś pocieszenie, ale tak naprawdę żadne. Ta ich tiki-taka nas załatwiła. Przeszliśmy do historii jako gamonie, których od lat nikt nie może przebić, nawet kadra Czesława Michniewicza, która w Belgii przegrała 1:6. Oni potrafili jednak strzelić bramkę, my bramki nie byliśmy nawet blisko.

To wtedy dotarło do mnie, że nigdy nie zbliżymy się do takich drużyn, jak Hiszpania, Włochy czy Niemcy. Jasne, możemy czasem sprawić niespodziankę, zaskoczyć i z pomocą szczęścia zremisować, może nawet wygrać. Ale umiejętności, które posiadają piłkarze z tych krajów, są dla nas czymś tak odległym jak wyprawa na Marsa. Może kiedyś coś się zmieni, ale raczej nieprędko.

Przypowieść o fenigu

W tamtym okresie zazwyczaj wychodziłem w podstawowym składzie kadry. Czasem jednak Franek dawał szansę komuś innemu. Tak było w meczu z Kamerunem, który w Szczecinie przegraliśmy 0:3. Zagraliśmy słabo, a na boisku królował Samuel Eto'o, piłkarz Barcelony, który na wszystkich zrobił wielkie wrażenie.

Eto'o nie przyleciał jednak do Polski z kolegami, tylko sam wylądował w Berlinie. Kameruńczycy poprosili PZPN, żeby ktoś z naszej strony go odebrał i przywiózł na mecz. Po snajpera pojechał więc wydelegowany do tego pracownik. W drodze powrotnej Eto'o poprosił, aby zatrzymać się na stacji benzynowej, bo zgłodniał. I po kilku chwilach kupił sobie... dwa hot dogi.

– To taki piłkarz je hot dogi? – dziwił się kierowca.

– *My friend, remember my words* – powiedział Kameruńczyk. – *Two hot dogs, two goals.*

I wiecie co? Faktycznie strzelił dwie bramki.

Dla mnie to spotkanie skończyło się wypadkiem samochodowym. Postanowiłem, że od razu po meczu wskoczę do auta i pojedę do Płocka, gdzie czekała na mnie Ania. Miałem wtedy nowiutkie bmw gt za prawie ćwierć miliona złotych. Gdzieś około czwartej rano – gdy na liczniku było ze sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę – z krzaków wyskoczyła sarna. Nie miałem żadnych szans na hamownię, więc zamknąłem oczy i skasowałem auto. Cała maska została zmiażdżona, wystrzeliły poduszki powietrzne... I tak ktoś nade mną czuwał, bo nie poleciałem na drzewa i ze zdarzenia wyszedłem bez zadrapania.

Niedługo później na miejsce przyjechali policjanci, którzy nawet mnie nie rozpoznali. Całe szczęście, bo jeszcze puściliby dalej hot newsa, że reprezentant rozbił się na sarnie. Dmuchałem więc w alkomat – o dziwo, miałem zero promili – i po cichutku, razem z lawetą, ruszyłem do Płocka. A bmw niedługo później sprzedałem, bo kilka innych razy też przyciągało zwierzęta i uznałem, że jest pechowe.

Kolejne dwa testy miały nadejść we wrześniu. Najpierw mieliśmy zaplanowany sparing z Ukrainą, a później z Australią. W jednym z nich miał zadebiutować Sebastian Boenisch, lewy obrońca Werderu Brema, w którym Smuda się zakochał. Inni kadrowicze

średnio, bo Boenisch nie za bardzo mówił po polsku i generalnie trzymał się na uboczu.

Zresztą wszystkie „farbowane lisy” zyskały średnią przychylność Polaków. Ludovic Obraniak był introwertykiem i cały czas przesiadywał w pokoju, właściwie spotykając się z nami tylko na treningach i posiłkach. I chociaż jako jedyny z całej czwórki miał duże umiejętności piłkarskie, to rzadko kiedy je prezentował. Damien Perquis znał po polsku może trzy słowa, w tym „kurwa”, więc czas spędzał sam albo z Obraniakiem. Eugen Polanski zaś co prawda mówił w naszym języku całkiem nieźle, ale jakoś nigdy nie kwapił się do integracji.

Kilku chłopaków patrzyło więc krzywo na przybyszów z Niemiec i Francji, szczególnie ci, którzy stracili przez nich miejsce w składzie. Na przykład Jakub Wawrzyniak, który nie był słabszy od Boenischa, ale miał ten feler, że... nie mówił po niemiecku. A Smuda właśnie w tym języku komunikował się z Boenischem i Polanskim. To były prawdziwe jaja. Polski trener na treningu polskiej kadry mówił do Polaków po niemiecku...

Szczególnie zabawna była jego przypowieść o jednym fenigu, którego Niemiec przed wydaniem oglądał zawsze dziesięć razy. I my tak samo jak ten Niemiec mieliśmy się dziesięć razy zastanawiać, zanim kopniemy futbolówkę.

– Lepiej podaj koledze, a nie wal przed siebie jak debil – tłumaczył nam Franek swoją filozofię utrzymywania się przy piłce.

Z Ukrainą zremisowaliśmy 1:1, a ja zagrałem kolejne dziewięćdziesiąt minut. Z Australią też wyszedłem od początku. Przegraliśmy 1:2, ale nastroje nie były najgorsze. Szczególnie że siódmego września, w dniu meczu, zdarzyła się wyjątkowa okazja do świętowania: dwudzieste drugie urodziny obchodziła Ania Stachurska.

Urodziny Ani

Na kolacji po meczu z Australią Smuda podziękował wszystkim reprezentantom i wyraźnie oświadczył, że zgrupowanie dobiegło końca. Chcesz wcześniej wrócić do klubu? Proszę bardzo, jedź na lotnisko. Ktoś inny woli ruszyć na dyskotekę? Droga wolna.

Większość chłopaków skorzystała z tej okazji, spakowała bagaże i rozjechała się w cztery strony świata. W krakowskim Novotelu została niewielka grupa, w tym ja. Wcześniej „Lewy” zaprosił nas na wspomniane urodziny. O umówionej godzinie spotkaliśmy więc w wynajętym pokoju.

Poza Robertem, Anią i mną byli tam jeszcze „Ryba”, „Glikson”, Kamil Grosicki, Maciek Iwański, Grzesiek Wojtkowiak i Rafał Murawski. Matuszczyk chyba też przyszedł, ale tylko na chwilę. Ania przygotowała pyszny tort, odśpiewaliśmy *Sto lat* i złożyliśmy życzenia, a później ruszyliśmy do akcji. Tempo okazało się mocne – bursztynowy płyn lał się strumieniami. Cały czas domawialiśmy szklanki whisky z baru. Zgrupowanie się skończyło, a i okazja była zacna, więc hamulce puściliśmy.

O trzeciej w nocy zostali już tylko najmocniejsi zawodnicy. Robert i Ania około północy poszli do siebie, zniknęli też „Dyzio” i „Muraś”. „Glikson” już spał, drugi Kamil też przysypiał. Mnie jednak jeszcze było mało. W całkiem niezłej formie wydawał się też „Iwan”, więc stwierdziliśmy, że pójdziemy do baru na rozchodniaczka. Gdy wyszliśmy z pokoju, na końcu korytarza zauważyliśmy Jacka Zielińskiego, asystenta Smudy, który dyskutował z Konradem Paśniewskim. A właściwie to oni zauważyli nas.

Iwański, którego pokój znajdował się naprzeciwko, wystraszył się, szybko otworzył drzwi i wskoczył do środka. A Zieliński przerwał rozmowę z Paśniewskim, wziął mnie na radar i zaczął: „Sławek, ty może już lepiej idź spać do pokoju, co?”. Miałem jednak inne plany, więc prowokacyjnie krzyknąłem w kierunku drzwi „Iwana”:

– Dawaj jeszcze na drinka!

Do rozmowy ostro włączył się Paśniewski, menedżer kadry:

– Kurwa, „Peszkin”, nie słyszałeś, co trener powiedział? Do pokoju!

Słabo już kontaktowałem, ale wybełkotałem jeszcze pod nosem: „Dobra, dobra, idę, ale jaki tam z niego trener...” i poszedłem do łóżka.

Kilka miesięcy później dowiedziałem się od samego Zielińskiego, że tego nie usłyszał.

– Jakbym usłyszał, to bym cię tam chyba zajebał – powiedział mi ze stoickim spokojem, trochę w żartach, ale chyba jednak na serio.

Następnego dnia miałem straszego moralniaka. W restauracji na śniadaniu było nas kilku, same zwłoki. Gdy skończyliśmy jeść, Smuda podszedł do mnie, podał mi rękę i powiedział, że... jestem tu po raz ostatni. Czyli Zieliński musiał mu o wszystkim powiedzieć!

– Trenerze, przecież sam trener powiedział, że to koniec zgrupowania. Niektórzy pojechali do domu, inni ruszyli w miasto. Przecież nie byłem w ciuchach kadry, po prostu zostaliśmy w pokoju i się bawiliśmy – broniłem się, ale Smuda nie chciał odpuścić. – Jakbym wiedział, że będzie z tego afera, to też bym sobie pojechał.

– Nie będzie mi tu imprezować! – rzucił, pogroził palcem i odwrócił się na pięcie.

Nie był jednak zdeterminowany i myślę, że w końcu by mu przeszło. Wkurzyłem się trochę na Zielińskiego, że on, były piłkarz, podpierdolił mnie do trenera. Ale z drugiej strony, znajdował się już w sztabie i pewnie chciał być lojalny wobec Smudy. Tak czy inaczej, godzinę później rozjechaliśmy się do domów. Sprawa by ucichła, gdyby nie Michał Kołodziejczyk.

Nie wiem skąd, ale pracujący wtedy w „Rzeczpospolitej” dziennikarz dowiedział się o wszystkim i opisał to w gazecie. Nie był pierwszym reporterem, który znał temat. Wcześniej zadzwonił do mnie Antoni Bugajski z „Przeglądu Sportowego”, ale powiedział, że ta historia go nie grzeje. Kołodziejczyk nie mógł jednak przepuścić newsa i rąbnął mnie swoją dziennikarską maczugą.

To było tydzień po zgrupowaniu. Jechałem na trening Lecha i słuchałem radia. „Reprezentanci Polski Sławomir Peszko i Maciej Iwański zostali usunięci z kadry” – usłyszałem głos spikera i przeszył mnie prąd. Od razu wiedziałem, co się zaraz wydarzy... Gdy dojechałem na Bułgarską, czekało na mnie z dwudziestu dziennikarzy: kamery, aparaty, dyktafony.

Rozpętało się prawdziwe piekło, bo oto podstawowy kadrowicz miał wylecieć z drużyny za chłanie. Dziennikarze oszaleli z radości, zrobili z tego medialne przedstawienie. I Smuda nie miał już wyboru. Znalazł się pod taką presją, że musiał pokazać, kto jest szefem. Pożegnał więc i mnie, i Iwańskiego, którego pech polegał tylko na tym, że pokonał trzy metry korytarza i dał się zobaczyć. Próbowałem coś Smudzie tłumaczyć, ale był tak nagrany całą sprawą, że nie zrobił kroku w tył.

Kołodziejczyka spotkałem kilka lat później na zgrupowaniu przed meczem z Anglią. Siedział w hotelowym lobby i robił wywiad z Tomkiem Kuszczakiem, z którym chyba dobrze się znał. Podszedłem do nich i na cały głos zacząłem mu docinać. Chciałem zrobić show przed innymi kadrowiczami, żeby zobaczyli, że nie pękam.

– No i co, kurwa, jesteś zadowolony, że tamto napisałeś? Lepiej ci z tym, że byłeś pierwszy?

Kołodziejczyk coś tam stękał, że napisał to dla czytelników, że ta wiedza im się należała. Ale uważam, że mógł ten temat przemilczeć. Bo właściwie co się stało? Dorośli ludzie po zakończeniu zgrupowania wypili trochę alko. Niczego nie zdemolowali, niczego nie ukradli, nie zrobili nikomu krzywdy. Wyszli z pokoju i ktoś ich zauważył. Oto cała tajemnica tej wielkiej afery alkoholowej. Prawdziwy burdel zrobił się dopiero po artykule. Dziś nie chowam do Kołodziejczyka urazy, zrobiliśmy od tamtego czasu kilka niezłych materiałów, ale wtedy jego tekst strasznie mi zaszkodził.

Przez taką głupotę pożegnałem się z kadrami na sześć miesięcy. Ominął mnie między innymi słynny wyjazd za ocean, do Chicago i Montrealu, gdzie zremisowaliśmy po 2:2 z USA i Ekwadorem. W trakcie drogi powrotnej swój reprezentacyjny los przypieczętowało dwóch kolejnych kadrowiczów: Michał Żewłakow i Artur Boruc. W samolocie zrobili trochę hałasu, wypili za dużo wina i roztrzęsiony moją sprawą Smuda, usunął także ich. Wygnańców było więc już czterech, tak jak tych z afery na Okęciu sprzed trzydziestu lat.

Trzy setki

Na początku marca 2011 roku Smuda się złamał. I ku mojej radości podjął decyzję, że mogę znów nazywać się kadrowiczem. Najpierw dostałem od niego telefon, a później zaproszenie na towarzyskie mecze z Litwą i Grecją.

– Jestem jak ojciec i potrafię dać drugą szansę – tłumaczył.

To właśnie wtedy wróciłem do kadry i od razu przez hotelowy garaż uciekłem na imprezę z „Lewym”...

Wcześniej Franek przeprowadził ze mną wychowawczą rozmowę w cztery oczy. Dostałem opiernicz, ale najważniejsze było to, że mi

wybaczył. Teraz musiałem być jednak świętszy od papieża. Smuda zresztą ostro mnie pilnował. Gdy już przenieśliśmy się z Warszawy do Grodziska Wielkopolskiego, wracałem ze sklepu z torbą, w której miałem pastę do zębów. Franz zawołał mnie do siebie i zajrzał do niej dyskretnie, żeby upewnić się, czy aby nie ma tam kilku browarków.

Jeśli jednak mam być szczery, to przez kolejne miesiące nie tykałem alkoholu. Może raz czy dwa wypłem winko do kolacji, ale nic więcej. Robiłem wszystko, aby nie zawieść Franka. Wiedziałem, że jestem obserwowany w dzień i w nocy. Byłem saperem, którego najmniejszy błąd wysadziłby w powietrze tak, że zatrzymałby się tysiąc kilometrów dalej.

Z Argentyną i Francją nie mogłem zagrać przez kontuzję, ale w meczach z Gruzją i Meksykiem zameldowałem się na boisku. Nie miałem wprawdzie tego samego statusu co wcześniej, ale niedługo pojawiła się olbrzymia szansa, aby go odzyskać. Szóstego września rozgrywaliśmy w Gdańsku mecz z jedną z najlepszych drużyn na świecie, niepokonanymi nigdy przez Polaków Niemcami, z moim przyjacielem Lukaszem Podolskim w składzie. I Smuda postanowił zainstalować mnie w wyjściowej jedenastce. Pomyślałem sobie: „No, »Szpaczek«, to może być twój dzień!”.

Można przedstawiać różne teorie: o zmianie pokoleniowej, o otwartych granicach, o zjednoczonej Europie. Ale prawda jest taka, że z Niemcami mamy kosę od zawsze. I mecze przeciwko tej reprezentacji – podobnie jak przeciwko Anglii i Rosji – generują w Polakach dodatkowe pokłady adrenaliny. A kiedy w drużynie rywali gra twój klubowy kolega i przyjaciel, tym bardziej chcesz zwyciężyć. Ja chciałem tak bardzo, że przedobrzyłem.

Z seniorską reprezentacją Niemiec rywalizowałem czterokrotnie. W Hamburgu zremisowaliśmy 0:0, na Euro też padł remis, a we Frankfurcie przegraliśmy 1:3. Nie wystąpiłem w legendarnym meczu na PGE Narodowym, gdy po trafieniach Arkadiusza Milika i Sebastiana Mili wygraliśmy z aktualnymi mistrzami świata. Zanim to się jednak stało, mieliśmy starcie na otwarcie pięknego stadionu w Gdańsku, który kilka lat później stał się moim domem.

Do Polski przyjechali Niemcy z Podolskim i Mirosławem Klose w składzie, który aż kłuł po oczach nazwiskami gwiazd. Kto nie kojarzył wówczas Philippa Lahma, Mario Götze czy Toniego Kroosa, ten nie mógł się nazywać kibicem.

Mecz był zwariowany. Pierwsza połowa zakończyła się bez bramek, a ja kilka razy objechałem Christiana Träscha, którego kilka miesięcy wcześniej Wolfsburg kupił za dziewięć milionów euro. W drugiej części gola strzelił „Lewy”, ale Niemcy szybko odpowiedzieli. Błaszczykowski wykorzystał rzut karny tuż przed końcem i znów prowadziliśmy. W doliczonym czasie gry Wawrzyniak poślizgnął się jednak na mokrej trawie i pozwolił strzelić wyrównującego gola Cacau...

Co za katastrofa. Cały kraj był wkurwiony, tak jak kilka lat wcześniej po kontrowersyjnej decyzji Howarda Webba. Mogliśmy przecież pokonać Niemców po raz pierwszy w historii! Mieliśmy ich na widelcu! Tego dramatu by jednak nie było, gdyby nie mój popsuty celownik.

Nigdy nie imponowałem liczbami. Nie byłem snajperem jak Tomek Frankowski ani turboasystentem jak „Grosik”. To nie przypadek, że przez tyle lat grania w reprezentacji strzeliłem dwa gole i zanotowałem tylko kilka asyst. Gdybym miał nieco więcej spokoju, umiejętności albo szczęścia, lepsze liczby wykręciłbym w tym jednym meczu. Bo tamten bój z Niemcami powinienem był zakończyć z trzema golami na koncie. Wszystkimi zdobytymi jeszcze do przerwy!

Najpierw dostałem podanie od „Lewego” i na pełnym gazie wpadłem w pole karne Niemców, ale mój strzał prawą nogą obronił Tim Wiese. Kwadrans później idealnego pasa dostarczył mi Mierzejewski; dobrze przyjąłem, znów wpadłem w szesnastkę, ale trafiłem w boczną siatkę. Najlepszą sytuację miałem jednak pod koniec pierwszej połowy. Robert dograł mi precyzyjnie jak zegarmistrz, wystarczyło opanować piłkę, podbiec kilka metrów i dać nam prowadzenie. Ale po dwóch pierwszych pudłach byłem tak roztrzęsiony, że samo przyjęcie okazało się dla mnie wyzwaniem porównywalnym do wejścia na K2 w klapkach.

Chociaż nikt mnie nie atakował, bo Niemcy byli już pogodzeni z utratą gola, to przez prosty błąd techniczny dałem Wiesemu

szansę na doskok. Po chwili nie miałem już z czego strzelić i Niemiec ze spokojem zaliczył udaną interwencję. A ja mogłem tylko złapać się za głowę. *Scheiße!*

Po meczu Podolski, który sprezentował mi piękną czarną koszulkę ze złotym numerem, żartował, że musi zabrać mnie na specjalny trening strzelecki. Dokuczał mi zresztą przez kilka kolejnych tygodni, śmiejąc się, że nie potrafiłem pokonać trzeciego bramkarza reprezentacji Niemiec, więc co by było, gdyby bronił Manuel Neuer...

Mnie do śmiechu jednak nie było. I to mimo że większą część krytyki „przejął” Wawrzyniak, któremu wypominają ten mecz do dziś. Gdyby nie on, to ja byłbym grillowany przez kolejne lata. Po remisie z Niemcami po raz pierwszy zostałem jednak piłkarzem-memem. Ta forma żartów dopiero rodziła się w internecie, a moje zmarnowane okazje stały się powodem do śmiechu. „W barze nigdy nie marnuje setki, dlaczego zmarnował w meczu z Niemcami?” – pytali kibice, a ja... miałem to gdzieś. Znacznie mocniej siedział we mnie fakt, że przyczyniłem się do zmarnowania szansy na historyczne zwycięstwo Polski.

Spotkanie z Cristiano

Kolejne mecze nie miały jakiegś wielkiej historii. W październiku zremisowaliśmy w Seulu 2:2 z Koreą Południową, a później pokonaliśmy 2:0 Białoruś. Jakiś spryciarz z PZPN wymyślił, że ten mecz zagramy na stadioniku w Wiesbaden. Mało kto tam dotarł, był też problem z transmisją. Generalnie był to dziwny mecz, w którym jednak zaliczyłem asystę – przy голу, jakżeby inaczej, „Lewego”.

Z Białorusią zacząłem od początku, tak samo miesiąc później z Włochami we Wrocławiu. Miałem wtedy rywalizować z Ignazio Abate z Milanu. Przed meczem Wasilewski ostrzegł mnie, żeby na niego uważać, bo to prawdziwy topór.

– „Wasył”, spokojnie, dam radę – grałem szefa.

Nie minęło jednak pięć minut meczu, a Abate tak mi się wpierdolił w achillesa, że zawyłem z bólu. Później kilkakrotnie uciekałem przed Włochem, bo cały czas na mnie polował.

Generalnie jednak wrócił stary, dobry „Peszkini” – znów podstawowy piłkarz reprezentacji. Wiedziałem, że jestem w domu.

Wyceniano mnie wtedy na prawie pięć milionów euro. Miałem oferty z Feyenoordu Rotterdam i Spartaka Moskwa. Czułem, że jestem w sztosie. Na tamtym zgrupowaniu też byłem w formie, chociaż szyki popsuł mi trochę Ståle Solbakken, szkoleniowiec FC Köln, który zadzwonił do Smudy i uprosił go, żeby zwolnił mnie z meczu z Węgrami. A Smuda – nie wiadomo dlaczego – się na to zgodził. I zamiast zagrać w moim ukochanym Poznaniu, poleciałem do Kolonii, żeby pomóc zespołowi w lidze.

Po przerwie zimowej Smuda powołał mnie jeszcze na mecz z Portugalią, który był otwarciem przepięknego Stadionu Narodowego. Od lat grałem w Bundeslidze i pucharach, widziałem już ładne obiekty, ale ten robił ogromne wrażenie – i był nasz! Chcieliśmy utrzyć nosa Cristiano Ronaldo. Nasi kibice strasznie go wygwizdali, ale to akurat świadczyło tylko o jego klasie. To wielki piłkarz, jeden z największych w historii. Chociaż dał się upolować „Wasyłowi”, który tak wjechał w Cristiano, że porozrywał mu wszystkie sznurowadła.

Niewiele brakowało, abym z Portugalią zdobył bramkę. W końcówce meczu miałem znakomitą okazję, ale z siedmiu metrów trafiłem w nogi Rui Patrício. Tak jak w meczu z Niemcami... Mogłem więc być pierwszym piłkarzem, który strzeli gola na Narodowym, jednak znów coś poszło nie tak. Szkoda mi było tej sytuacji, szczególnie że padł bezbramkowy remis. „Ale przecież przede mną jeszcze tyle spotkań” – pocieszałem się wtedy.

Kiedy żegnałem się z kolegami i Smudą, nie miałem pojęcia, że żegnam się także z wielkim marzeniem. Gigantyczna burza – a właściwie kosmiczny rozpiędoł – dopiero nadchodziła.

ROZDZIAŁ 7

KADRA AFERA TAKSÓWKOWA

Zadzwoił Podolski i jęczał: „Niech mu pan wybaczy”. A ja na to: „Łukasz, a ty myślisz, że Jogi Löw by ci wybaczył?”. I tyle było z tej rozmowy. Płakać mi się chciało, że mam Sławka wyrzucić z kadry, ale nie miałem wyboru.

Franciszek Smuda

Popełniłem w życiu wiele błędów. Jedne nadają się na kabaretowy skecz, o innych wstyd nawet myśleć. Czasem po moich wyskokach płakali najbliżsi, a czasem sam uroniłem kilka łez. Wielokrotnie miałem fart i nie ponosiłem konsekwencji wyczynianych głupot, kilka razy jednak dostałem lanie, po którym tyłek był siny. Każdemu z nas w tańcu mogą pomylić się kroki – mnie zdarza się to cały czas. Ale niczego nie żałuję. No, prawie niczego.

Jest jedna historia, która zmieniła moje życie. To blizna na zawsze. Gdybym dostał bilet na lot wehikułem czasu albo szansę od złotej rybki na jedno życzenie, to bez zastanowienia cofnąłbym się do szóstego kwietnia 2012 roku. Wiecie, co bym wtedy zrobił? Nic. Po prostu nie odebrałbym telefonu. Ale odebrałem. A wszystko, co wydarzyło się później, to wielkie gówno, o którym chciałbym zapomnieć.

Półtora promila

– Co będziesz robił w Wielkanoc? – zadzwonił Marcin Wasilewski, a ja, zgodnie z prawdą, opowiedziałem, że nic. Dzień wcześniej, w Wielką Sobotę, graliśmy ligowy mecz z Werderem Brema

i niedziela miała być wolna. „Wasył”, który był piłkarzem Anderlechtu Bruksela, stwierdził, że zamiast siedzieć w pustym domu w Belgii, spędzi trochę czasu z kumplem.

Z Brukseli do Kolonii prowadzi piękna autostrada A4. Wystarczy dwie godziny, żeby przemieścić się z miasta do miasta. Umówiliśmy się więc, że „Wasył” przyjedzie po meczu i w końcu pogadamy dłużej, bo chociaż dzieliła nas niewielka odległość, to do tej pory jakoś nie było okazji na odwiedziny.

Z Werderem szauła nie było, szybko złapałem żółtą kartkę i Ståle Solbakken zdjął mnie po pierwszej połowie. Ostatecznie zremisowaliśmy 1:1, a gola strzelił Ammar Jemal. Mecz rozgrywaliśmy w środku dnia, więc mieliśmy dla siebie cały wieczór. Po ostatnim gwizdku „Wasył” przyjechał swoim wypasionym mercedesem, a ja wskoczyłem do auta i pojechaliśmy na makaron do włoskiej knajpy w centrum miasta. W drodze zadzwoniłem do Pawła Sobczaka, dałem go na głośnik.

– „Sopel”, zgadnij kto u mnie jest? – zagadałem naszego kumpla z Płocka.

Kiedy Paweł usłyszał, że przyjechał „Wasył”, rzucił tylko złowieszczo:

– O ja pierdołę... Żebym ja was jutro na paskach w TVN nie widział.

Pieprzony jasnowidz.

Godzinę później zadzwonił Lukas Podolski, który też chciał wyskoczyć na miasto. Wynajął już nawet łożę w klubie Einundfünfzig, jednym z najmodniejszych w Kolonii. Razem z nim miał być Jemal, który kilka godzin wcześniej zdobył dla nas bramkę na wagę punktu, i jego kumpel Adil Chihi, także piłkarz FC Köln. Werder znajdował się wtedy w górnej połowie tabeli, a my szorowaliśmy o dno, więc po remisie atmosfera była niezła.

Miałem tak dobry humor, że na starcie zamówiłem dwa drinki, za które zapłaciłem zielonym banknotem o nominale stu euro. Kilka minut później barman, który powinien być tym przecieź zachwycony, podszedł do Podolskiego i przyniósł mu siedemdziesiąt euro reszty, tłumacząc, że jak Peszko chce zostawić napiwek, to może dać pięć euro, a nie siedem dych. Rozumiecie? Kibic się wkurzył, że piłkarz

jego ukochanego klubu zostawia tak duży, że aż za duży napiwek, a przecież dla niego zrobienie mi drinka to przyjemność.

Póki siedzieliśmy w Einundfünfzig, wszystko było pod kontrolą. Noc dopiero zaczynała się rozkręcać, ale „Poldi” około północy stwierdził, że jedzie na chatę. Walnęliśmy już wprawdzie po siedem czy osiem luf, ale na pewno nie zamierzaliśmy kłaść się spać. Nie po to kozacy się spotkali, żeby wieczór zakończyć na kilku drinkach. Postanowiłem więc zostać kapitanem naszego imprezowego okrętu i obrałem zaskakujący kurs – Düsseldorf. Tam, przy Königsallee, było kilka prestiżowych dyskotek, znacznie lepszych niż ta w Kolonii. Odległość nie robiła na nas wielkiego wrażenia, bo autostradą podróż do Düsseldorfu zajmowała maksymalnie czterdzieści minut.

– Pojedziemy na dwie godziny, potańczymy i wrócimy. Co ty na to? – zapytałem Marcina, a jemu nie trzeba było powtarzać tego drugi raz. Znałem ten wzrok: był głodny nocy. Podobnie jak ja.

Z taksówek w Kolonii korzystałem rzadko. Chociaż lubię dobrą zabawę, to mam jednak zasadę, której nigdy nie złamałem: nie wsiadam za kierownicę po alko. Dlatego pod klubem złapaliśmy najzwyklejszą niemiecką taryfę, jakiegoś białego merca czy volkswagena, i pojechaliśmy do Düsseldorfu. Gdzieś w połowie drogi zaczęła do mnie wydzwaniać Ania.

– Sławek, gdzie, do cholery, jesteście? Przecież mieliście być w domu około północy, co się z wami dzieje? Kiedy wrócisz? – dopytywała, a ja irytowałem się coraz bardziej, bo nie miałem ochoty na spanie. Moja żona potrafi jednak być uparta. Zadzwoniła więc drugi raz, ósmy, dziesiąty, napisała w tym czasie z dwadzieścia wiadomości. W końcu mnie złamała.

– Kurwa, „Wasył”, wracamy, bo mnie Ania zajebie – nie zostawiłem wątpliwości, dlaczego nasz wieczór już się kończy.

– Chciałem ten klub zobaczyć... – jęczał Marcin, ale decyzja była już podjęta, więc wzruszył tylko ramionami.

Gdzieś około pierwszej w nocy, blisko miejsca docelowego, zawróciłem taksówkarza i kazałem mu jechać pod wskazany adres. Po drodze zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej i kupiliśmy kilka puszek jacka danielsa z colą. Po zmieszaniu tej dawki z tym, co wypiliśmy wcześniej, byliśmy już nieźle narąbani i zaczęliśmy przysypiać. Marokański kierowca postanowił to wykorzystać

i zamiast zjechać w kierunku domu prosto z autostrady, popędził do ścisłego centrum Kolonii, z którego startowaliśmy.

Chociaż byłem pijany, to zauważyłem, że gość próbuje nas wydoić. Licznik pokazywał już sto, może sto dwadzieścia euro. Zaczęła się awantura. Krzyczałem, że ma jechać pod wskazany adres, a nie kręcić się w kółko po mieście. Najpierw mówiłem po niemiecku, później już po polsku. On tłumaczył, że pomylił trasę, że nie wiedział, jak jechać, ale ewidentnie kręcił. A do tego w pewnej chwili warknął pod nosem: „Scheiße Polacken”.

„Jebane Polaki”? O ty chuju złamany! Ze złości wychyliłem się w kierunku kierowcy i... zacząłem wyrywać taksometr, który po chwili rozpadł się na kawałki. Dostałem szajby, bo w domu czekała na mnie wkurzona żona, zmarnowaliśmy prawie dwie godziny na jeżdżenie taksówką i nie pobawiliśmy się tak, jak mogliśmy. A na dodatek ten fiut nas obraził.

W końcu atmosfera się uspokoiła i pojechaliśmy przed siebie. Po dziesięciu minutach kierowca się jednak zatrzymał, zgasił silnik, wyskoczył z auta i... zaczął uciekać. Jednocześnie zatrzasnął kluczykiem drzwi. Co jest, kurwa? Druga w nocy, my najebani, wkurwieni, a do tego uwięzieni w taksówce, której właściciel biegnie chuj wie gdzie.

A żeby było jeszcze ciekawiej, z tyłu pojawiło się niebieskie światło, jakby za nami wylądował statek kosmiczny. Siedzący w nim przybysze faktycznie okazali się zieloni, ale nie mieli wielkich oczu i chudych nóżek. Byli wysocy, szerocy i mieli złowrogie mundury z napisem „Polizei”.

Mogliśmy wtedy zrobić sto różnych rzeczy. Mogliśmy udawać, że śpimy. Mogliśmy cierpliwie siedzieć i czekać, aż nas uwolnią. Albo też wołać o pomoc. Ale nie, ja musiałem wpaść na najgłupszy pomysł na świecie. Zabarykadowany samochód, uciekający taksówkarz, policja... Zadziałałem jak automat i wrzasnąłem:

– Trzeba spierdalać!

Ten komunikat, chociaż krótki, był moim wyrokiem. Wtedy o tym nie wiedziałem, ale ze wszystkich słów, które znam, na myśl przyszło mi akurat najgłupsze.

Później akcja przypominała scenariusz kiczowatego gangsterskiego filmu. Szarpnęliśmy za klamki, wyskoczyliśmy z auta

i zaczęliśmy biec. Udało mi się pokonać jakieś trzy metry, zanim kilku potężnych drabów powaliło mnie na ziemię i zakuło w kajdanki. Poderwali mnie w powietrze i właściwie zanieśli na komisariat, który był dosłownie obok. Ten cwany Marokańczyk zamiast zadzwonić na policję, pojechał z nami pod posterunek i zaczął wołać o pomoc, jakbyśmy obdzierali go ze skóry. A to on chciał obedrzeć nas z kasy.

Na komisariacie w Kalk, dzielnicy Kolonii, do której przyjechaliśmy, wytrzeźwiałem w minutę. Adrenalina, strach, podniecenie – cała ta zmiksowana chemia stworzyła substancję o niesamowitych właściwościach. Próbowałem wytłumaczyć Niemcom, że jestem piłkarzem, że znam Podolskiego, że jestem ofiarą, a nie oprawcą. Ale nic ich nie interesowało.

Kazali mi dmuchać w alkomat, ale odmówiłem. Niby dlaczego miałbym to zrobić? Przecież to nie ja prowadziłem.

– Dmuchaaj!

– *Nein*.

– No, dmuchaj!

– Jebcie się.

Przez kilka minut przekomarzaliśmy się jak dzieci. W końcu zagrozili, że siłą zaprowadzą mnie na badanie krwi. Machnąłem więc ręką i dmuchnąłem. Wynik – półtora promila. Spoko, myślałem, że będzie gorzej. Funkcjonariusze zamknęli mnie w celi i sobie poszli.

Byliście kiedyś w celi? Tamta miała może z pięć metrów kwadratowych. Na ziemi leżał brudny materac. Do tego w rogu mały kibelek, który był właściwie dziurą w ziemi, i zlew. Nic więcej. Nie wiedziałem, co się teraz stanie, nie wiedziałem też, co się dzieje z Wasilewskim. Uciekł? Też go zamknęli? Został mi tylko krzyk.

– Płacę tu podatki, jestem tu zameldowany, wypuście mnie! – przekonywałem funkcjonariuszy, ale oni mieli moje argumenty w dupie.

Nie uwzględnili też wniosku o jeden telefon – nie, nie do prawnika, ale do Podolskiego, który mógłby opanować sytuację. W końcu nad ranem zasnąłem na tym syfiastym materacu i poczułem się jak Michael Scofield z serialu *Prison Break*. Różnica między nami polegała jednak na tym, że ja nie miałem żadnego planu ucieczki.

Ledwo zmrużyłem oko, a policjanci mnie obudzili.

– Wstawaj, wychodzisz – wrzasnęli i jakby nigdy nic, odprowadzili mnie do drzwi.

Nie dali do podpisania żadnego protokołu, po prostu wydali rzeczy, które wcześniej zabrali, i cześć.

Był poranek, siódma rano ósmego kwietnia. „Zajebista Wielkanoc” – pomyślałem.

Stałem przed komisariatem w potarmoszonej kurtce i wiedziałem, że mam przejebane.

Do domu pojechałem... Tak, tak, taksówką. Pamiętam jak dziś moment wejścia do naszej kuchni. Ania siedziała przy lodówce i płakała. Mała Wiki miała niecałe trzy lata, ale mimo to czuła, że coś jest nie tak. „Wasyła” już nie było. Okazało się, że przesłuchali go i wypuścili, a on prosto z komisariatu przyjechał do Ani. Wy tłumaczył jej, co się stało, powiedział, gdzie jestem. Razem obdzwonili pół Polski: Tomka Rżasę, który w kadrze odpowiadał za kontakt z mediami, Andrzeja Grajewskiego, Bartka Bosackiego. W końcu Ania skontaktowała się z „Poldim”, który poruszył niebo i ziemię, żeby wydostać mnie z za krat. Myślę, że to on sprawił, że protokół, który powinienem przecież podpisać, zaginął. Nigdy się do tego nie przyznał, ale wiem, że w Kolonii mógł wszystko.

„Wasył” natomiast przez trzy godziny pił wodę, aż wytrzeźwiał, i nad ranem wyruszył w drogę do Brukseli. Później przyznał, że bał się reakcji działaczy Anderlechtu.

Wziąłem szybki prysznic i pojechałem do klubu. Wiedziałem, że będzie zadyma, bo policja nie omieszkała opublikować komunikatu, w którym poinformowała cały świat o nocnych wybrykach Herr Peszki. Działacze już wiedzieli, co się stało, czekali na mnie razem z kilkudziesięcioma żądnymi krwi reporterami. Zupełnie jak półtora roku wcześniej w Poznaniu.

Minąłem bez słowa całą tę grupę i od razu udałem się na rozmowę z Solbakkenem. Wyjaśniłem mu sytuację, a Norweg powiedział tylko, że muszę pokazać, że żyję, a później odkupić winy w meczu Bundesligi, który mieliśmy dwa dni później.

– Jaki mecz, trenerze, nie ma szans. Jestem roztrzęsiony, nie mogę skupić się na czymkolwiek... – tłumaczyłem, ale Solbakken uważał, że to najlepsze rozwiązanie.

Tymczasem skontaktowałem się z Grajewskim, który przez dwa kolejne dni siedział w szlafroku i wykonywał dziesiątki telefonów, aby uchronić mój skacowany łeb.

Andrzej jest w Niemczech znaną postacią i może tam naprawdę dużo. Na tyle dużo, że kiedy Kolonia ukarała mnie potężną grzywną w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy euro, to Grajewski dał radę to powstrzymać. Zaczął dopytywać, za co jest ta grzywna, skoro policja nie ma nawet raportu, który dowodziłby mojej winy. Działacze zmiękli i zamrozili karę, której ostatecznie nigdy nie zapłaciłem. Zamiast tego chłopaki z drużyny mogli złożyć u mnie zamówienie na cokolwiek chcieli. Ktoś poprosił o ekspres do kawy, ktoś inny chciał nowy głośnik. Wydałem na wszystko jakieś trzy tysiące euro, więc nie wyszedłem na tym tak źle.

Bałem się jednak tego samego co „Wasył” – że klub może chcieć rozwiązać kontrakt z mojej winy. Miałem już nawet przygotowaną przez niemiecką prawniczkę linię obrony. Ostatecznie jednak wszystko rozeszło się po kościach. Przynajmniej w Kolonii. Bo w reprezentacji byłem skreślony.

Telefon, który zabrał marzenie

Franciszek Smuda wpadł w szal. Co za, kurwa, niespodzianka. Moja kolejna afera alkoholowa wybuchła tym razem z siłą bomby atomowej. Dziennikarze w Niemczech i w Polsce znów dostali prezent. Sprawa nie schodziła z czołówek „Bilda”, „Expressu” i polskich mediów. Mój telefon palił się od połączeń od reporterów, którzy marzyli o jednym cytacie skruszonego Peszki, ale wszystkich ignorowałem.

Zadzwoiłem natomiast do Smudy. Chciałem wytłumaczyć całe to zamieszanie, ale było już za późno.

– „Szpaczku”, dałem ci już szansę, a ty ją zmarnowałeś. Ile razy można? Nie mam wyboru, muszę z ciebie zrezygnować – mówił, a ja broniłem się tym, że przecież nie byłem na kadrze, tylko w klubie. Dlaczego więc moje zachowanie miałoby wpłynąć na jego decyzję?

– Przyznaj się, „Wasył” też pił? Bo jak tak, to i jego wyjebię – groził Smuda.

– Trenerze, nawet piwa nie wychylił, przecież wrócił od razu do Brukseli. Pijany by nie pojechał! – ściemniłem bez drżenia w głosie.

Rozmowa ze Smudą skończyła się tym, że zastanowi się, co dalej, i wtedy podejmie decyzję. Media patroszyły mnie jednak z wprawą zawodowego rzeźnika. Ania, która najpierw była gotowa mnie rozszarpać, po dwóch dniach niespodziewanie zaczęła przechodzić na moją stronę. Pytała, czego właściwie chcą od jej męża, dlaczego mówią o nim od rana do wieczora.

– Nie zabiłeś przecież człowieka – płakała i przytulała mnie, zamiast krzyżeć. – Dlaczego nie dadzą ci spokoju?

Dramat przeżywała także moja mama, do której zadzwoniłem z samego rana, tuż po wyjściu z aresztu.

– Mamuś, zjadłaś już śniadanie wielkanocne? Tak? To dobrze. A siedzisz? To usiądź – powiedziałem i jak na spowiedzi zacząłem streszczać jej ostatnią noc.

Nie zdążyłem jeszcze nic wyjaśnić, a telefon prawie wypadł jej z rąk. Znała mnie i wiedziała, co się święci. My w Niemczech mogliśmy zasłonić kotary w oknach i udawać, że nas nie ma, ale ona w Jedliczu była codziennie zagadywana przez dziesiątki sąsiadów, przyjaciół, znajomych i nieznanym o to, co zrobił jej syn, reprezentant, a za moment banita-recydywista. Przez jedną imprezę, na którą zresztą nie dojechaliśmy, cierpiały moja żona i dziecko, mama i tata, cała rodzina, a także reputacja klubu i kadry. No i ja sam też.

Aż za dobrze pamiętam powrót po meczu Viktorii Köln. Jej właścicielem był Franz-Josef Wernze, który zatrudniał wtedy Mariusza Kukiełkę. To był wtorek. Obejrzałem sobie meczyk Viktorii i jechałem moim białym range roverem do domu, gdy na telefonie zobaczyłem numer Rząsy. Od razu poczułem, że nie dzwoni z dobrą nowiną. Zjechałem na pobocze i włączyłem głośnik.

– Tomek, powiedz mi od razu, jak wygląda sytuacja.

– Nie wygląda to najlepiej, Smuda jest wściekły. Podjął decyzję, że nie powoła cię na Euro.

Milczałem. Jedną sekundę, dwie, pięć.

– Na pewno nic nie da się zrobić? – zapytałem w końcu, ale bez wiary w happy end.

– Nie, próbowaliśmy. Zdecydował, że nie będzie cię w kadrze na turniej.

O ja pierdołę... Marzyłem o tym Euro. Naprawdę marzyłem. Nie miałem szans zagrać na mistrzostwach kontynentu w 2008 roku, gdy kadra pojechała do Austrii i Szwajcarii. Nie awansowaliśmy na mundial w RPA. Teraz występ na turnieju mieliśmy zagwarantowany. A ja mogłem walczyć na nim w imieniu całego narodu. I teraz, siedząc w aucie, dowiedziałem się, że jednak nie zagram.

Rozłączyłem się i rozkleiłem. Siedziałem przez kilka minut i płakałem. Wiem, że już kilka razy opowiedziałem o łzach, ale generalnie rzadko płacę, nawet na *Titanicu* mi się nie zdarza. Wtedy jednak jakiś niewidzialny gość odkręcił śluzę, która uwolniła potok łez. Moje Euro zniknęło jak kropla deszczu spadająca na rozgrzany piasek.

Do nikogo nie dzwoniłem – nie potrzebowałem litości. Dopiero później próbowałem wytłumaczyć Smudzie, że na to wszystko nie zasłużyłem. W mojej sprawie telefonował też Podolski, z selekcjonerem rozmawiał Kuba Błaszczykowski. W teorii było przecież jeszcze trochę czasu, powołania miały być wysłane dopiero na początku maja, więc chłopaki próbowali interweniować.

– Nie da się nic zrobić. Zaciął się i nie ma opcji, żeby zmienić zdanie. Mówi, że możemy rozmawiać o wszystkim, ale o tym nie – tłumaczył mi Kuba.

– Próbowałem to załatwić, ale nie ma o czym gadać – dodawał Robert Lewandowski, który też o mnie walczył.

Tymczasem selekcjoner pojechał na wycieczkę do Kolonii, spotkał się z policjantami, zrobił sobie z nimi pamiątkowe zdjęcie. A po wszystkim powiedział dziennikarzom: „Peszko nie był pijany. On się po prostu nawalił!”.

Miał czas na fotki z niemiecką policją, a nie znalazł pół godziny, żeby porozmawiać ze mną. Mógł pojechać na posterunek, a nie chciał iść na kawę ze swoim piłkarzem. I wiecie co? Znienawidziłem go za to. Nie rozumiałem, dlaczego mi to robił. Czym sobie na to zasłużyłem? Gdyby przyłapał mnie na zgrupowaniu z butelką wody w ręku, nie byłoby dyskusji. Ale napiłem się w wolny wieczór, kilkaset kilometrów od Warszawy, bez żadnego związku z kadrą. Po latach ktoś mi powiedział, że Smudę zabolął fakt, iż sprawa ujrzała światło

dziennie akurat w Niemczech, gdzie zawsze chciał pracować. I dlatego musiał im pokazać, że jest szeryfem – nie chciał, by pozostało wrażenie, że nie daje sobie rady z niesfornymi piłkarzami.

Wtedy jednak nie byłem w stanie myśleć o nim dobrze, nie podałem mu ręki. Wydawał mi się zwykłym chujem. Dopiero po latach wszystko zaczęło się zacierać, a ja zrozumiałem, że pretensje mogę mieć tylko do siebie.

Na początku miałem je też do „Wasyła”. Chociaż może to był tylko chwilowy żal. Cierpiałem przecież za nas dwóch. On zagrał na mistrzostwach, ja nie. Ale z drugiej strony, co miał zrobić? Szturmować posterunek jak antyterrorysta? Zgłosić się do Smudy na ochotnika, żeby stracić szansę na turniej życia? Co by to dało? Zrobił, co mógł: pojechał do Ani, ostrzegł ją, a później wrócił do Brukseli.

Afera taksówkowa to nie wina Smudy i Wasilewskiego. To nie wina policjantów ani nawet tego taksówkarza. To wina Peszki. To jedyny błąd, którego chciałbym nie popełnić. Ale czasu nie cofnę. Czasem zakładam uśmiechniętą maskę – jak podczas rozpoczęcia karnawału w Kolonii, gdy przebrałem się za taksówkarza, co media okrzyknęły genialnym pomysłem, na który nie zdobyłby się żaden sztywny Niemiec. Albo wtedy, gdy podczas meczów trybuny Kolonii śpiewały mi „Wir wollen mit dir Taxi fahren” (Chcemy jeździć z tobą taksówką). Tak naprawdę jednak pod tą maską kryją się ból i cierpienie. Przez kolejne lata żaden polski piłkarz nie zagra na turnieju, który zorganizuje Polska. Ja miałem taką szansę. Zabrakło mi do tego dwóch miesięcy. Ale wszystko spierdoliłem.

Ciche mistrzostwa

Mistrzostwa obejrzałem w Jedliczu. Obok mnie byli tylko rodzice i Ania. Obraziłem się na cały świat, z nikim nie chciałem rozmawiać. Przez dziewięćdziesiąt minut meczu z Grecją nie odezwałem się nawet słowem. Ani wtedy, gdy „Lewy” zdobył pierwszą bramkę, ani wtedy, gdy Wojtek Szczęsny dostał czerwoną kartkę, ani wtedy, gdy Przemek Tytoń obronił strzał Geórgiosa Karagoúnisa z rzutu karnego. Nie to, że nie cieszyło mnie trafienie Roberta. Cieszyło, bardzo. Ale nie byłem w stanie tego okazać. Moja twarz

przypominała twarz mima. A bliscy wiedzieli, że nie warto prosić mnie o zmycie tego mrocznego makijażu. Patrzyłem więc tępo na szklany ekran i myślałem, co zrobiłbym w tej sytuacji, a co w tamtej. Skupiłem się na bocznym sektorze boiska, w głowie rozgrywając swój prywatny mecz. Tak samo było podczas zremisowanego 1:1 spotkania z Rosją. Znowu gapiałem się na wszystko bez emocji, nawet po przepięknym gołu Kuby.

Nieco lepiej było podczas meczu z Czechami, po którym... poczułem ulgę. Po ostatnim gwizdku pomyślałem: „A może nie straciłem tak dużo, jak mi się wydawało? Nie wygrali żadnego meczu, przegrali z Czechami, zajęli ostatnie miejsce w grupie. I teraz zacznie się jazda. A ja mam spokój”. Ale dziś wiem, że to było jak szklanka wódki wypita na raz po rozstaniu z dziewczyną. Pomaga, lecz tylko na chwilę. Sam próbowałem oszukać Sławka Peszkę, który w środku cierpiał jak tropikalny ptak zamknięty w małej, ciasnej klatce. Przecież powinienem był zacząć mecz z Grecją w podstawowym składzie. A w starciu z Czechami mogłem wejść z ławki i odmienić jego losy. Znowu była szansa zostać bohaterem i znowu nic z tego nie wyszło.

Humor poprawiał mi tylko jeden fakt: wiedziałem że zaraz pojawi się nowy selekcjoner.

Czekałem więc na człowieka, który mógł dać mi kolejną szansę. I się doczekałem. Grzegorz Lato pogonił Smudę – tak jak wcześniej Leo Beenhakkera – a kadre objął Waldemar Fornalik, którego... w ogóle nie znałem. Kojarzyłem co prawda jego nazwisko, osiągnął coś tam z Ruchem Chorzów, ale grałem wtedy w Niemczech i niezbyt interesowały mnie mecze Ruchu. W tamtym momencie liczyło się tylko to, czy Fornalik do mnie zadzwoni.

Pechowy Fornalik

Pan Waldek na pierwszy rzut oka przypomina nauczyciela wychowania fizycznego. Młodzi piłkarze, którzy przyjeżdżali na zgrupowania, z większym podziwem patrzyli na Wasilewskiego czy Lewandowskiego niż na selekcjonera. To cichy, spokojny facet bez naturalnej charyzmy. Taki był i zapewne wciąż jest Fornalik. Ale

jednocześnie to dobry trener, który w Ekstraklasie osiągnął spore sukcesy. I porządny człowiek.

Już na początku kadencji nowy selekcjoner zaczął wypytywać o moje plany. W maju spadliśmy z Kolonią do drugiej ligi i zdecydowałem się na wypożyczenie do Wolverhampton Wanderers. Niedługo później Fornalik przyleciał na Wyspy Brytyjskie obejrzeć kilku piłkarzy, w tym Tomka Kuszczaka, Radka Majewskiego i mnie.

Championship to była liga skrojona pode mnie. Czułem to od pierwszego dnia. Biegałem jak nakręcony, zanotowałem dwie czy trzy asysty, miałem udział przy kilku innych bramkach Wilków. Wcześniej kadra rozegrała eliminacyjne mecze z Czarnogórą i Mołdawią, a przed nami była bitwa z Anglią. I Fornalik stwierdził, że kapral Peszko w tej formie na pewno mu pomoże.

Szczerze? Wiedziałem, że mnie powoła. Jego wizyta na Molineux Stadium była tylko formalnością. Graliśmy z Crystal Palace, a ja czułem się świetnie. Drugiego października musiałem tylko utwierdzić Fornalika w przekonaniu, że jestem tym, kogo szuka. Miałem spotkać się z nim i Grajewskim po meczu, a później spokojnie poczekać na powołanie i powrót do reprezentacji. Proste, prawda? Zamiast tego trafiłem do szpitala.

Wszystko wydarzyło się w drugiej połowie. Przez jakiś czas prowadziliśmy po голу Sylvana Ebanksa-Blake'a, ale wyrównał Wilfried Zaha, który dziś jest żywą legendą Palace. Wznowiliśmy więc grę od środka. Jedno podanie, drugie i piłka trafiła do mnie. Mogłem ją od razu oddać, ale czułem się pewnie. Kiedy więc zobaczyłem Angoli biegnących w moją stronę z wściekłością wypisaną na czole, postanowiłem się zastawić. Zastawić się zdążyłem. Ale odegrać już nie...

W moją prawą nogę wpadł z całym impetem Jonathan Williams. Później błysk, trzask i już wiedziałem, że jest źle. Złapałem się tylko za kolano, poczułem, że nie jest stabilne. „Znowu zerwałem więzadło...” – sam postawiłem sobie diagnozę. Na stadionie na chwilę zrobiła się cisza, a ja od razu poprosiłem o lekarza. Ostatnie, co pamiętam, to brawa, które bili kibice, gdy znoszono mnie z murawy.

Fornalik do mnie nie zszedł, bo i po co. Zadzwoił tylko później i próbował pocieszać, że przed nami jeszcze wiele meczów, że na mnie poczeka i takie tam dyrdymały. Ale gdzieś miałem to jego pocieszenie. Miałem wrócić do kadry, wysłuchać hymnu i zrobić kilka szalonych akcji, a znów coś stanęło mi na drodze.

Niedługo później Polsat Sport zaprosił mnie do studia przed meczem z Anglikami. Skoro i tak nie mogłem być na boisku, to pomyślałem, że będę chociaż na stadionie. Leciałem z Birmingham, jakimś tanimi liniami, w których moja usztywniona noga wyła z bólu. Żadnej klasy biznes, żadnego dodatkowego miejsca. Lądowaliśmy w Modlinie, więc czekało mnie jeszcze kilkaset metrów spaceru o kulach. Gdy spocony i zmęczony dotarłem na stadion, musiałem się wytłumaczyć z niebieskiego dresu Dolce & Gabbana, który na sobie miałem. Romek Kołtoń, Bożydar Iwanow czy Wojtek Kowalczyk – wszyscy byli pod krawatami, w garniturach. A ja w dresiku. Może więc nie wyglądałem jak na weselu, ale przynajmniej było mi wygodnie.

Gdy wydawało się, że wszystko jest już na swoim miejscu... mecz odwołano. Tak, to była ta słynna ulewa, która zamieniła PGE Narodowy w basen. Na koniec dwóch kibiców urządziło sobie rajd po mokrym boisku i było to najciekawsze wydarzenie wieczoru. Niedawno pomyślałem sobie, że może ja też kiedyś zbiegnę z trybun i pobiegnę do „Lewego”, żeby zrobić sobie z nim selfie. Z moją szybkością niełatwo byłoby mnie złapać. To byłby numer! A może przy okazji zrobiłbym jeszcze reklamę mojej wódki? Bądźcie czujni!

Wracając do meczu z Anglią, to z Warszawy pojechałem prosto do Płocka. I tam, u teściów, dzień później obejrzałem, jak remisujemy 1:1. Nie ma co, ten mecz nie był mi przeznaczony.

Po latach życie napisało niesamowitą puentę historii z kontuzją. Gdy dziesięć lat później, w czerwcu 2022 roku, prezes PZPN Cezary Kulesza zaprosił mnie do Wrocławia, aby wręczyć koszulkę na pamiątkę występów w reprezentacji, Polska miała zagrać z Walią w Lidze Narodów. Odebrałem prezent, zrobiłem sobie zdjęcie i wracałem już do łóża Kuleszy, z którym od razu się polubiłem, gdy niespodziewanie podszedł do mnie krępy, lekko uśmiechnięty łysol w żółtym trykocie.

– *Do you remember me?* – zagadał, a kiedy zrobiłem wielkie oczy i pokręciłem przecząco głową, rozłożył mnie na łopatki. – Nazywam się Jonathan Williams. To ja zrobiłem wślizg, po którym zerwałeś więzadło. Wiem, że jest trochę późno, ale chciałby cię przeprosić... – powiedział, a mnie zamurowało.

– Stary, nie ma sprawy. Nie mam do ciebie pretensji – ledwo to z siebie wykszusiłem, ale Williams nie dawał za wygraną.

– Nie, nie, naprawdę chcę cię przeprosić. Siedziało to we mnie przez te wszystkie lata. Często myślałem o tym, że mogłeś grać w kadrze, a przeze mnie straciłeś taką szansę. Nie mogłem sobie tego wybaczyć. Naprawdę nie chciałem...

To było tak surrealistyczne, że stałem tylko i patrzyłem na Williamsa jak na kosmitę. W końcu się pożegnaliśmy, a Jonathan i jego koledzy przegrali z Polską 1:2. No cóż, chociaż tyle...

Czekając na zbawcę

Zerwane więzadła przedłużyły moją reprezentacyjną przerwę o kolejne dwanaście miesięcy. Od ostatniego meczu mijało już sześć, więc łącznie koledzy czekali na mnie półtora roku. W tym czasie drużyna Fornalika przegrała 1:3 z Ukrainą, zremisowała 1:1 z Mołdawią i Czarnogórą, a także pokonała 5:0 San Marino. Eliminacje mistrzostw świata nie szły najlepiej, ale w teorii była jeszcze matematyczna szansa na grę w barażach. Ja natomiast powoli wracałem do formy.

W styczniu zagrałem kilka meczów w Wolverhampton, ale generalnie nie mogłem liczyć na nic więcej i wróciłem do Niemiec. Tam znów pokazałem, że nie warto mnie skreślać. W szóstej kolejce – gol i asysta z Erzgebirge Aue. Kolejną później – bramka z Energie Cottbus. W dziesiątej – dwie asysty z Karlsruher. Panie i panowie, *Damen und Herren*, oto wrócił stary, dobry „Peszkin”.

Fornalik nie mógł tego zignorować, szczególnie że rozpoczynał właśnie operację „Kto może, niech pomoże”. Pogadaliśmy i wiedziałem, że znajdę się na liście powołanych. Mieliśmy zagrać z Ukrainą i Anglią na wyjeździe. Żeby spróbować załapać się do samolotu lecącego do słonecznej Brazylii, trzeba było ograć Ukraińców i przynajmniej zremisować z Anglikami. Niby wyglądało to

na misję w stylu Toma Cruise'a, ale nie takie rzeczy futbol już widział. Telefon od Fornalika był dla mnie więc wyczekany sygnałem, że kadra znów mnie potrzebuje.

Przed meczem Mariusz Lewandowski, który tak jak ja został powołany w ramach akcji ratowniczej, sięgnął po najcięższe motywacyjne działa.

– Panowie, jak wygramy, to załatwiam prywatny samolot i po meczu lecimy z Charkowa do Doniecka. Albo i Kijowa! Ja wam pokażę, co to znaczy prawdziwe życie. Najlepsze kluby, najlepsze alko, najlepsze towarzystwo – kusił „Lewy”, który w Ukrainie był królem.

Przez lata występów w Szachtarze, z którym zdobył nawet Puchar UEFA, wyrobił sobie niesamowitą renomę, zarabiając do tego olbrzymie pieniądze. Propozycja została skierowana do mocnej grupy: do mnie, „Wasyla”, Kamila Glika, Artura Boruca. Śmialiśmy się z Mariusza i mówiliśmy, że przecież pokonanie Ukrainy nic nam nie da, bo cztery dni później jest jeszcze mecz z Anglią. A on całkiem poważnie zapewniał:

– Sam załatwię to z PZPN. Polecimy do Kijowa, zabawimy się i prosto stamtąd private jetem wrócimy do Warszawy albo i Londynu. Wszystko ogarnę, tylko wygrajmy!

Mecz z Ukrainą był jednak ciekawy jak foliowa torebka. Wszedłem na ostatnie trzydzieści minut, zmieniając Waldka Sobotę. Zapamiętałem głównie bezczelną siatkę, jaką założył mi Andrij Jarmołenko. Zrobił to w stylu Ronaldinho, tak zwanym wężem – lewą stopą odciągnął piłkę w lewą stronę, a później błyskawicznym ruchem skręcił nogę w przeciwnym kierunku i posłał mi ją między nogami. Byłem tak zaskoczony, że nie zdążyłem zareagować. A wcześniej, tuż po moim wejściu, to właśnie Jarmołenko, gwiazdor Dynama Kijów, zdobył dającą Ukrainie zwycięstwo bramkę. I ambitne plany Mariusza poszły do kosza.

Chociaż, szczerze mówiąc, „Lewy” i tak nie zawiódł. To było dopiero nasze drugie spotkanie na kadrze. Pierwsze, za Beenhakkera, długo odbijało mi się czkawką, ale i tak wiedziałem, że Lewandowski to solidna firma. Po powrocie do Warszawy Mario zaprosił nas do swojego apartamentu na nieoficjalne pożegnanie

z reprezentacją. Nie mówił tego głośno, ale wszyscy mieli świadomość, że na kolejne zgrupowanie już raczej nie przyjedzie.

O tym, jakim szacunkiem chłopaki darzyli Mariusza, świadczy fakt, że przyszło dwudziestu czterech z dwudziestu sześciu zawodników. Nie było tylko Eugena Polanskiego, a młody Grzesiek Krychowiak wpadł na momencik, bo jest abstynentem. Reszta stawiała się w szeregu jak kompania braci, aby godnie pożegnać pana piłkarza Lewandowskiego, który z Anglią miał zagrać w biało-czerwonej koszulce po raz sześćdziesiąty szósty. I ostatni. Tak też zresztą się stało.

Anglicy zagrali z nami na pół gwizdka, ale mieli taką jakość, że to wystarczyło. Na stadionie siedziało kilkanaście tysięcy Polaków, naprawdę mocna ekipa. Wielu z nich spotykaliśmy od pierwszych chwil na angielskiej ziemi. Na lotnisku – sprzątaczką z Gdyni. W autobusie – kierowca z Myszyńca. W hotelu – barman z Podlasia. Czuliśmy się, jakbyśmy naprawdę grali u siebie.

W meczu znów złapałem ostatnie pół godziny. Sprowokowałem nawet dwie żółte kartki dla Anglików, którzy nie mogli mnie dogonić. Najpierw rady nie dał Frank Lampard, który tak jak ja wszedł na boisko po przerwie, a później Wayne Rooney. Mimo to przegraliśmy 0:2 i fatalnie zakończyliśmy fatalne eliminacje. Mojej winy w tym nie było, ale kiedy już mogłem pomóc, to nie pomogłem. Po meczu Fornalik podszedł do każdego z nas, podał rękę i ze smutną miną podziękował. Wiedział już, że wyrok w jego sprawie wydano. A później poszedł udzielać wywiadu telewizji.

I wtedy wydarzyło się coś, co zapamiętam na długo. Do naszej szatni niespodziewanie wparował Zbigniew Boniek, nowy prezes PZPN. Chwilę wcześniej rozgromił w wyborach Latę i teraz to on miał zarządzać piłkarską łajbą. Jako samiec alfa od razu chciał pokazać, kto tu rządzi.

– Co to w ogóle jest? Przegrywacie mecz za meczem. To wstyd, kompromitacja. Koniec tego, od jutra to się zmieni. Teraz będzie po mojemu...

– A to nie trener powinien decydować? – przerwał Bońkowi Glik.

– Ty się lepiej skup na sobie. A w ogóle to jak nie masz sił się wracać po pięćdziesięciu minutach, to poproś o zmianę! – ryknął

Zibi, a Kamil, który jest twardzielem, nie pozostał mu dłużny.

– A co pan, kurwa, do mnie wyskakuje? To ja gram sam? Sam tam na boisku byłem?

Zrobiła się z tego niepotrzebna pyskówka. Wszyscy pospuszczaliśmy głowy, chociaż każdy wiedział, że to „Glikson” ma rację. Boniek nie powinien był go atakować przy wszystkich, bo winę ponosiła cała drużyna, a nie sam Kamil. Nie powinien też robić tego na gorąco po meczu. Byłem nawet lekko zdziwiony, że Glik nie wyzwał Bońka na... solo.

Kamil z Bońkiem się nienawidzą. To żadna tajemnica. Niechęć między nimi da się wyczuć na kilometr, nawet jeśli przed kamerami obaj podają sobie ręce i potrafią się wyściskać. Zresztą nie ma przypadku w tym, że dwóch selekcjonerów na początku swoich kadencji niespodziewanie pomijało Glika – albo przy powołaniach, albo przy wyznaczaniu składu. Trudno uwierzyć w to, że Boniek nie miał z tym nic wspólnego...

Taka była jednak wtedy nasza reprezentacja: pokonana, smutna, z którą jechali kibice i dziennikarze, a nawet nasz własny prezes. Na słynnym Wembley, które wszyscy znaleźmy z powtarzanej od dekad baśni o Domarskim i Tomaszewskim, sądziliśmy, że jesteśmy w głębokiej dupie. Nikt wtedy nie miał prawa przypuszczać, że lada moment rozpocznie się najpiękniejszy okres od trzydziestu lat.

ROZDZIAŁ 8

KADRA EURO

Jeśli ktoś sądzi, że Robert Lewandowski zasugerował kiedykolwiek, żebym powołał Peszkę, bo to jego kumpel, to nie zna żadnego z nas. Ja bym tej rady nie posłuchał, „Lewemu” w ogóle nie przeszłaby ona przez gardło, a Sławek z pewnością takiego powołania by nie przyjął.

Adam Nawałka

Pod koniec treningu Adam Nawałka zawołał nas na środek boiska.

– Panowie, poćwiczmy rzuty karne – zarządził.

Byliśmy trochę zaskoczeni, bo nie robiliśmy tego od zgrupowania w Arłamowie; ani przed meczem z Irlandią Północną, ani przed Niemcami, ani przed Ukrainą. Teraz jednak miało być inaczej.

Podszedłem do pierwszego strzału – kopnąłem mocno po ziemi, tuż obok słupka. Druga próba – znów pewny gol, Łukasz Fabiański poleciał w lewo, a piłka w prawo. Trzeci raz – bum, bezbłędnie. Dzięki, panowie, idę pod prysznic!

Boisko, na którym trenowała reprezentacja, przypominało terminal lotniska. Kamery były dosłownie wszędzie: jedna za bramką, kolejna z boku, trzecia na specjalnym stelażu. Po każdych zajęciach asystenci selekcjonera wszystko dokładnie analizowali. I z analizy wyszło im, że przed meczem ze Szwajcarią mam pewną stopę. Nawałka poinformował mnie więc, że w przypadku rzutów karnych szóste uderzenie będzie moje.

Wieczorem zajrzał do mnie Kamil Grosicki. Mieliśmy zwyczaj, że na zgrupowaniach „Grosik” wpadał do mojego pokoju na bajerę. W pewnym momencie rozmowa zesłała na zbliżający się mecz ze

Szwajcarią, który był naszą bramą do ćwierćfinału mistrzostw Europy.

– Wyobraź to sobie: po dziewięćdziesięciu minutach mamy remis. Później jest dogrywka i znów remis. Zaczynają się karne, my strzelamy jako drudzy. I po pięciu seriach dalej jest remis – tłumaczyłem, ale po minie Kamila widziałem, że nie za bardzo rozumie, co chcę mu przekazać. – W szóstej Szwajcar strzela gola. No i kto weźmie na klatę los reprezentacji?

– Co wtedy zrobisz?

– Nic nie zmieniam, walę jak na treningu – zapewniłem, ale po chwili przyszło zawahanie. – Ty, a jak nie trafię? Człowieku, przecież jakbym spartolił, to by mnie kibice...

– Eee tam, pierdolenie, na pewno tak nie będzie – rzucił „Grosik” z tą swoją flegmą, machnął ręką i poszedł spać.

Od początku Euro graliśmy w pięknych miastach. Nicea, Paryż, Marsylia... Do każdego z nich moglibyście zabrać rodzinę na wakacje lub dziewczynę na weekendową randkę i wszyscy byliby zadowoleni. Nigdy w życiu nie wpadlibyście natomiast na pomysł, żeby kilka wolnych dni spędzić w Saint-Étienne. A to właśnie w tym górniczym miasteczku – pełnym swojsko brzmiących nazwisk z końcówką „-ski” – mieliśmy rozegrać mecz, który później okazał się dla reprezentacji najważniejszym starciem od trzech dekad.

Saint-Étienne jest dość specyficzne. Niezbyt ładne, niezbyt kolorowe, chociaż z trudnym do opisanie klimatem. Przypominało mi trochę miasta na Śląsku. Dodatkowo na każdym kroku można było spotkać polskie akcenty. I nie ma się co dziwić, bo tam, gdzie dziś stoi zielonkawy Stade Geoffroy-Guichard, sto lat wcześniej pochodzący z terenów Polski robotnicy wydobywali węgiel. A ich potomkowie mieszkają w Saint-Étienne do dziś.

Biało-czerwono było też na stadionie. Ale dwudziestego piątego czerwca 2016 roku świętować miała tylko połowa kibiców w tych barwach. Reszta miała przeklinać ten dzień.

Przyjaznej atmosfery między nami a Szwajcarami nie było od początku: ani na trybunach, ani na murawie. Już podczas rozgrzewki w oczach rywali zauważyłem wściekłość. Chyba uważali, że awans im się po prostu należy, i byli gotowi zagryźć nas za wejście na ich

teren. Ale tabliczka z ostrzeżeniem „Tu waruje szwajcarski pies pasterski” wcale nas nie przestraszyła.

Ze Szwajcarią zagraliśmy nieźle, chociaż od początku drugiej połowy rywale ostro nas przycisnęli i gdyby nie szósty zmysł „Fabiana”, nie dotrwalibyśmy nawet do dogrywki. A przecież Łukasz rozpoczął Euro jako rezerwowo! Strasznie przeżył to, że Nawałka postawił na Wojtka Szczęsnego. Zdenerwował się tak bardzo, że przez moment obraził się na selekcjonera i myślał, czy nie wrócić do Polski. Ale na szczęście wytrzymał ciśnienie i został z nami. Został też jednym z bohaterów turnieju. Co prawda nie dał rady przy strzale Xherdana Shaqiriego – który później został wybrany najładniejszym golem mistrzostw – ale w kilku innych sytuacjach uratował nam tyłki.

Na boisku pociliśmy się nie mniej niż lata temu polscy emigranci na szychcie, ale jeszcze w pierwszej połowie gola strzelił Kuba Błaszczykowski. Generalnie jednak to Szwajcarzy mieli inicjatywę. W końcu akrobata Shaqiri wyrównał i mieliśmy dogrywkę. A w niej Nawałka zdecydował się wpuścić mnie za „Grosika”. Usłyszałem tylko krótką instrukcję: „Przede wszystkim skup się na zablokowaniu Stephana Lichtsteina”. Facet grał wtedy w Juventusie i nie było w tym przypadku, bo miał płuca jak silnik Boeinga.

Gorsze od niezatrzymującego się Lichtsteina wydawało mi się coś innego – z każdą kolejną minutą wypełniała się moja przedmeczowa przepowiednia, którą podzieliłem się z Kamilem. Był remis. Była dogrywka. Były rzuty karne. I mieliśmy je strzelać jako drudzy!

Zanim poszliśmy na środek boiska, Robert Lewandowski skrzyknął nas przy linii bocznej.

– Od teraz pełne skupienie. Wiemy, co ćwiczyliśmy na treningu. Teraz trzeba to powtórzyć. Jak się czujecie pewnie, strzelajcie, jak chcecie. Ale bez pomyłek. Jak ktoś ma wątpliwości, to niech już teraz wybierze róg i zapierdoli z całej siły.

Patrzyłem na „Lewego” i widziałem w nim prawdziwego lidera. Wystarczyłoby mu dać ładną pelerynkę i buławę, żeby przypominał wodza odprawiającego wojska przed kluczową bitwą. Tyle było zamieszania z opaską kapitańską, którą Nawałka zabrał Kubie, ale

w tamtej chwili Robert potwierdził, że selekcjoner podjął dobrą decyzję. Gdy skończył, niespodziewanie odpalił się Michał Pazdan.

– Panowie, kurwa, jazda z nimi! Wytrzymamy! Od początku mocno, nie odstawiamy nogi. Damy radę!

Zaskoczeni spojrzeliśmy na „Pazdiego”, a on dalej tłumaczył nam, jak mamy zagrać w... trzeciej połowie dogrywki.

– Ale mecz się skończył, zostały tylko karne... – schłodził Michała „Lewy”, a my zagryzaliśmy wargi, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Przez kolejne dni to był jeden z naszych ulubionych żartów. „Panowie, jazda z nimi!” – krzyczał ktoś w autokarze, a „Pazdek” od razu robił się czerwony.

W serii jedenastek, już w drugiej kolejce, spudłował Granit Xhaka i do końca mieliśmy przewagę. Ale kiedy Grzesiek Krychowiak podszedł do piątego karnego, byłem... przerażony. Przecież gdyby nie trafił, stałoby się dokładnie to, co przewidziałem: kadra zaczęłaby tonąć, a ja miałbym w rękach koło ratunkowe! A właściwie w nogach, bo nasza dalsza gra zależałaby od tego, czy wybrałbym właściwy róg albo czysto trafił w piłkę. Spojrzałem na ławkę rezerwowych i zobaczyłem bladego „Grosika” – wiedział, że ja wiem. Przypomniało mi się, jak w młodzieżówce mogłem strzelić karnego Brazylii, ale spękałem. A teraz? Nikt mnie nie uratuje. No, chyba że...

„»Krycha«, błagam” – pomyślałem, a sekundę później Grzesiek strzelił pod ladę, tak że nie było czego zbierać. Tak jest! Mieliśmy to! Mieliśmy awans!!! „Fabian” pobiegł do kibiców, a my pobiegliśmy do niego. W tym całym zamieszaniu zaczęliśmy świętować obok sektora Szwajcarów, co strasznie wkurzyło Shaqiriego i jego kumpli. Podeszli do nas z pretensjami, ale mieliśmy ich w dupie. Adrenalina sprawiła, że byliśmy na haju. My, reprezentacja, która trzy lata wcześniej spadła na najniższe miejsce Polski w historii rankingu FIFA. My, ćwierćfinałiści mistrzostw Europy!

Dyktator czy kreator?

Pamiętacie zdjęcie, na którym jako chłopiec jestem razem z Nawalką? Może trudno w to uwierzyć, ale przez kolejne kilkanaście

lat nigdy się nie spotkaliśmy. Jak przez mgłę kojarzyłem tylko, że pan Adam był kiedyś piłkarzem, grał w Wiśle Kraków. I to by było na tyle.

– Znasz tego Nawałkę? Został selekcjonerem. To dobrze? – zapytała Ania, gdy dwudziestego szóstego października 2013 roku wróciłem do domu po jakimś treningu. W tle grał telewizor, a dziennikarze analizowali zaskakującą decyzję Zbigniewa Bońka.

Nie za bardzo wiedziałem, co mam odpowiedzieć. Wszyscy sądziliśmy, że Boniek – wykorzystując zagraniczne kontakty, którymi lubił się chwalić – weźmie do kadry obcokrajowca, najpewniej z Włoch. Ja sam liczyłem po cichu, że szansę dostanie Jan Urban, z którym zawsze chciałem pracować. A tu bomba: selekcjonerem został „jakiś tam” Nawałka.

Kiedy Franciszek Smuda objął kadrę, mimo pewnych napięć między nami, powołał mnie już na pierwsze zgrupowanie. Waldemar Fornalik też zadzwonił od razu. A Nawałka milczał. Milczał tydzień, drugi. Milczał miesiąc. Wiedziałem od chłopaków, że już się z nimi kontaktował, a u mnie ciągle cisza. Nie było mnie też na liście powołanych na obóz w Grodzisku Wielkopolskim. Zresztą nie tylko mnie, bo Nawałka pominął również Kamila Glika, Eugena Polanskiego czy Sebastiana Boenischa.

– Chyba mamy problem – pomyślałem.

Później przyjrzałem się dokładnie liście powołanych i zdębiałem. Tomasz Hołota, Adam Marciniak, Rafał Kosznik... No i Rafał Leszczyński – kto to, kurwa, jest? I dlaczego zostali kadrowiczami moim kosztem? W ogóle nie kojarzyłem tych chłopaków. Nic do nich nie miałem, ale wkurzyłem się, że oni są w reprezentacji, a ja nie.

Nawałka odezwał się dopiero w lutym. Kiepska gra w meczach ze Słowacją i Irlandią poskutkowała wymuszonym powrotem do tych, o których nowy selekcjoner wcześniej zapomniał.

– Przyjedzie do ciebie Jarek Tkocz albo Bogdan Zając, to moi asystenci. Sprawdź, jak sobie radzisz w Kolonii. Później zobaczymy co dalej – zapowiedział Nawałka i tak się właśnie stało.

Nie pamiętam już, z kim wtedy graliśmy, ale pokazałem się z niezłej strony. Kilka rajdów, zaangażowanie, dobra gra w defensywie – to było to, co Nawałka lubił najbardziej. Po meczu

spotkałem się z Tkoczem, który powiedział tylko, że w raporcie wystawi mi wysoką notę.

– No dobra, ale niech trener powie, czy weźmiecie mnie do kadry – dopytywałem.

Tkocz uśmiechnął się tajemniczo i rzucił:

– Bądź pod telefonem.

Byłem. I kilka tygodni później dostałem powołanie.

Nawałka to wulkan energii. Entuzjazm, z jakim przyjmował każdego kadrowicza, sprawiał, że na boisko mogliśmy biec prosto z hotelu. „No witam, jest forma?” – dopytywał, ściskając po męsku dłoń. Czasem miałem wrażenie, że przed chwilą wypił pięć puszek red bulla, bo ten facet w eleganckich, włoskich szalikach wigorem mógłby obdzielić nie jedną, a dwie reprezentacje.

Gdy przed towarzyskim meczem ze Szkocją w Warszawie zaprosił mnie na rozmowę, najpierw przepytał porządnie o żonę i dzieci, a dopiero później przeszedł do konkretów. Uwielbiał te swoje small talki: „A gdzie byliście na wakacjach?”, „A dzieciaki dobrze się uczą?”. Zawsze patrzył człowiekowi prosto w oczy i równie wprost mówił, czego oczekuje. Kiedy rozmawialiśmy po raz pierwszy, czułem respekt porównywalny do tego, jaki wywoływał Leo Beenhakker, który był jego inspiracją. Po opuszczeniu sali pomyślałem: „Potrzebuje mnie”. I tak było, skoro niedługo później wybiegłem na murawę od pierwszej minuty.

Z tego meczu pamiętam ostre starcie ze Scottem Brownem, łysym skurwielem, który wyglądał jak połączenie szafy z pitbullem. Kapitan Szkotów był tak nieprzewidywalny, że prawie każdy mu ustępował. Ale kiedy się go kopnęło albo poskrobało po achillesie, to zaczynał płakać. Po którymś razie, zirytowany zachowaniem Browna, syknąłem do niego coś w stylu „stop fucking crying”. Łysol skoczył do mnie i... się zdziwił. Stałem z nim oko w oko i rzuciłem mu w twarz kilka kolejnych „fucków”. Podziałało, bo chociaż obaj dostaliśmy po żółtej kartce, to Brown usiadł na dupie. Niestety, ale później dorzucił jeszcze ładną bramkę, która pozwoliła Szkotom wygrać 1:0.

Kiedy jechałem na pierwsze zgrupowanie, kilku kolegów ostrzegło mnie przed Nawałką. Mówili, że to maniak traktujący piłkarzy jak rekrutów. I na początku faktycznie przypominał sierżanta, który za cel swojego życia obrał utrudnienie życia innych. Pomylił chyba kadrę z Górnikiem Zabrze, gdzie zachowywał się jak dyktator pełną gębą. Jak w krajach demokracji ludowej – on był od mówienia, inni od robienia. Na przykład przed śniadaniem kazał zawodnikom spacerować między drzewami, żeby nawdychać się tlenu. Bezrękawniki były obowiązkowe, żeby się nie przeziębic. Na posiłki trzeba było wchodzić o równej godzinie. Żadnej dowolności: dzień meczowy – biała koszulka polo, zwykły dzień – czerwona. Lecisz samolotem – zakładasz specjalne getry. Na odprawie pijesz wodę, bo „ona daje życie”. Na treningu nosisz ochraniacze, a na przerwę zbiegasz, a nie schodzisz. Z naszych słowników miało też zniknąć słowo „problem”. Bo nie było problemów, były tylko wyzwania.

W jednej chwili pojawiły się zasady i reguły, które część zawodników po prostu irytowały. Szczególnie tych, którzy na Zachodzie pracowali z wielkimi trenerami: Jürgenem Kloppem, Arsène’em Wengerem, Mauricio Pochettino. Tam było normalnie, a tu jakiś dziwak bawi się w Phila Jacksona i każe łaźać po parku.

W końcu Kuba poszedł do Nawałki, żeby poprosić go delikatnie, aby ten trochę wyluzował. Na szczęście trener wziął to sobie do serca, bo gdyby przez kilka kolejnych miesięcy jego pomysły dalej zatruwały atmosferę, wśród piłkarzy wybuchłby bunt. Ale to inteligentny facet, potrafi reagować. I zareagował. Część „zasad Nawałki” zniknęła na zawsze, ale część – jak zakładanie białych koszulek w dniu meczowym – stała się rytuałem.

Nawałce trzeba oddać jeszcze jedno – od początku miał konkretny plan. Te wszystkie spacery, pogadanki i zasady miały jeden cel: odbudować w kadrze dyscyplinę i pożegnać najśłabsze ogniwa. Albo zawodników, którzy nie chcieli dostosować się do życia grupy. Jeśli ktoś nie pamięta, to w pierwszych miesiącach kadencji Nawałki byliśmy na siedemdziesiątym ósmym miejscu w rankingu FIFA. Za Haiti, Sierra Leone i Togo. Nigdy nie znajdowaliśmy się bliżej dna. I selekcjoner uznał, że terapia plastrami już nie wystarczy. Potrzebny był szok. I szok nie tylko był. Szok zadziałał, chociaż dopiero jakiś czas później.

Ze Szkocją chyba nie zagrałem tak źle, skoro w maju wyszedłem w podstawowym składzie na towarzyskie spotkanie z Niemcami. W Hamburgu zremisowaliśmy bezbramkowo, a ja miałem w tym swój mały udział – uratowałem nas od straty gola, bo głową wybiłem piłkę, która po strzale Antonio Rüdiger zmierzała do pustej bramki.

Dziennikarze napisali jednak, że wynik tego meczu nie ma większego znaczenia, bo Niemcy zegrali rezerwami. Nieźle rezerwy, myślę sobie, patrząc dziś na tamte nazwiska: Marc-André ter Stegen, Benedikt Höwedes, Leon Goretzka, Julian Draxler i wspomniany Rüdiger. Po latach ten remis nabrał wartości – ale my już wtedy czuliśmy, że zaczyna rodzić się coś fajnego.

Z Hamburga wyjechałem zadowolony, bo u kolejnego trenera zbierałem punkty. Co prawda nie zagrałem w meczu z Litwą w Gdańsku, ale wtedy trwało wielkie testowanie i szansę dostali inni. Ja szykowałem się już na eliminacje mistrzostw Europy, które miały być dla mnie kolejną okazją, aby pojechać na poważny turniej. Nie udało mi się w 2008 roku, nie udało się w 2010 i 2012. Więc może teraz?

Będzie się działo!

Dwudziesty drugi sierpnia, zagraniczne powołania na eliminacyjny mecz z Gibraltarem. Nawałka nie znalazł dla mnie miejsca w kadrze.

Dwudziesty szósty września, zagraniczne powołania na eliminacyjne mecze z Niemcami i Szkocją. Nawałka znów mnie nie powołał.

Trzydziesty pierwszy października, zagraniczne powołania na eliminacyjny mecz z Gruzją i towarzyski ze Szwajcarią. Tak, kurwa, dobrze myślicie. Kolejny raz nie było mnie na liście.

W tamtym czasie wróciliśmy z Kolonią do Bundesligi, ale wcale nie była to dla mnie dobra wiadomość. Już na początku sezonu złapałem drobny uraz kolana, później grałem tylko ogony albo siedziałem na trybunach. Mówiąc wprost: miałem przejebane. Trener Peter Stöger na mnie nie stawiał, a Nawałka nie miał zamiaru się nad tym rozczulać. Któregoś dnia zadzwonił i wyłożył kawę na ławę: „Sławo, jeśli nie będziesz zbierał minut, to nie będę cię powoływać.

Dopiero jak uregulujesz sytuację w Kolonii, znów zacznę o tobie myśleć”.

Jakby tego mało, pod nieobecność Peszki kadra radziła sobie znakomicie. Rozstrzelała Gibraltar 7:0, pokonała mistrzów świata Niemców 2:0, Gruzji wbiła cztery bramki i do tego dołożyła remis 2:2 ze Szkocją. Cztery mecze, dziesięć punktów, piętnaście strzelonych goli i tylko dwa stracone. To była drużyna monstrum, a jej gra nie miała nic wspólnego z dziadostwem, które prezentowaliśmy za Smudy czy Fornalika. Tyle że mnie w niej nie było.

Przez jakiś czas miałem też kłopoty z brzuchem, które przeszły dopiero na zgrupowaniu w USA. Po nim znów przypomniałem się kibicom. Zaliczyłem asystę z Hamburgiem, regularnie wychodziłem w podstawowym składzie Kolonii. Zauważył to selekcjoner, który dzwonił do mnie co kilka tygodni. Byłem w życiowej formie i Nawałka nie miał wyjścia – musiał dać mi szansę. A kiedy już dostałem ją w Dublinie, w meczu z Irlandią, nie zmarnowałem jej. Bramka strzelona na Aviva Stadium okazała się przełomem.

Od tamtego momentu grałem także w kadrze. Z Gruzją, Grecją i z Niemcami we Frankfurcie, gdzie przegraliśmy 1:3, ale zanotowaliśmy bardzo dobre spotkanie. Ja wypadłem trochę gorzej i trener miał pretensje, że w którymś momencie nie spełniłem jego założeń. Jakby tego było mało, do nieprzyjemnej sytuacji doszło już po meczu. W hotelu Kempinski, w którym spaliśmy, jeden z kibiców próbował nam potajemnie zrobić zdjęcie. Zauważyłem to, wyrwałem mu telefon i... rozjechałem o ścianę. Zrobiło się małe zamieszanie, Nawałka dowiedział się o sprawie. Za karę kolejny mecz, z Gibraltarem, przesiedziałem na ławce rezerwowych. Na szczęście później wszystko sobie wyjaśniliśmy. A na pamiątkę została mi koszulka mojego kumpla z Kolonii, Jonasa Hectora.

Po tym wszystkim znów przyszła Irlandia. Ach, ta Irlandia. Jak ja ją kocham!

Przed rewanżem na Narodowym strasznie mi zależało, żeby zaliczyć w tym spotkaniu choćby minutę. Awans na mistrzostwa był tuż-tuż, przygotowano wielką fetę, szampan się chłodził. Chciałem być tego jak najbliżej. No i graliśmy z moją Irlandią.

Od samego początku mecz się nam ułożył. Zaczęło się od akcji katowanej na treningach. U Nawałki mieliśmy przeciwczonych kilka schematów stałych fragmentów gry. I potrafilismy z nich korzystać. Pamiętacie piękną bramkę Milika z meczu z Gruzją, gdy po rozegraniu rzutu rożnego Arek huknął w samo okienko? To samo zrobił dzień wcześniej, i to kilkakrotnie. Zero przypadku.

Identycznie było przy голу „Krychy”. Z Irlandią też mieliśmy różny, którym uspiliśmy czujność rywali, robiąc pewną sekwencję ruchów. Przy kolejnym zrobiliśmy identyczną sekwencję, ale tym razem „Grosik” nie zagrał krótko, tylko posłał długą piłkę do stojącego na dwudziestym metrze Grześka. Niekryty Krychowiak pięknie uderzył na bramkę Darrena Randolpha i dał nam prowadzenie. Irlandczycy szybko wyrównali z karnego (po słynnym kung-fu faulu Pazdana), ale „Lewy” znów udowodnił swoją wielkość i głową strzelił drugiego gola.

W końcu było gorąco, graliśmy na czas, a Nawałka zaczął robić zmiany. Na rozgrzewce stałem obok Pawła Wszółka. Obaj występowaliśmy na skrzydle, dlatego stało się jasne, że selekcjoner wybierze tylko jednego. Wiedziałem, że trener lubi piłkarzy przygotowanych, więc założyłem ochraniacze, zdjąłem narzutkę i przesunąłem się o kilka metrów w lewo, tak aby rozciągać się blisko Nawałki. „Wszół” tego nie zauważył i spokojnie oglądał mecz. A to była chwila, która zmieniła losy tamtej zmiany! Nawałka stał z palcem przy brodzie i myślał, co tu zrobić. Wszółek czy Peszko? Peszko czy Wszółek? W końcu spojrział w prawą stronę, a ja już tam stałem. Selekcjoner mechanicznie zapytał:

– Sławo, gotowy?

– No jasne, że gotowy!

– No to wchodzisz za Kamila – zadekretował, a ja chwilę później wbiegłem na murawę. Zagrałem tylko pięć minut, ale i tak zdążyłem wyłapać żółtą kartkę. Najważniejsze jednak, że wygraliśmy 2:1, a ja wystąpiłem w meczu, po którym kadra dostała bilety do Francji. To właśnie wtedy krzyknąłem do kamery, że „będzie się działo”, co do dziś pozostaje moim mottem.

„Będzie się działo” było tylko początkiem. Po meczu odwiedził nas prezydent Andrzej Duda. Nie ma znaczenia, czy ktoś reprezentuje

PiS, PO czy SLD, prezydent to prezydent, najważniejsza osoba w państwie. I budzi szacunek. Gdy Duda wszedł do szatni, od razu dało się to wyczuć. Po kilku słowach gratulacji zaczął ścisnąć nam dłonie, a kiedy podszedł do mnie, wypalił: „A będzie 500+ dla piłkarzy?”. Później była z tego beka, ale przecież prezydent też człowiek, lubi pożartować. Zresztą Duda miał luz. Kiedyś Szczęsny zaproponował mu papieroska, „bo z prezydentem jeszcze nie palił” i pan Andrzej Wojtkowi nie odmówił.

Prawdziwa impreza czekała nas jednak w hotelu. Pierwszego szampana obaliliśmy jeszcze na murawie. Drugiego – na powitanie w DoubleTree by Hilton. A później w Piekiełku zaczęło się prawdziwe piekło! Na świętowaniu było ze sto osób: piłkarze, sztab, rodziny, kilku dziennikarzy, w tym Mati Borek i Marcin Feddek. Później dostaliśmy opaski dla naszych przyjaciół, którzy także mogli wejść. Na stole stały piwka, obok coolery z chłodzącymi się buteleczkami alkoholi. Światło było przyziemnione jak w dyskotecce. Jednym słowem: klimacik!

To była jedna z lepszych zabaw w historii tej kadry. W pewnym momencie zrobiło się jak na weselu: wężyki, lambady, chyba nawet greckie sirtaki.

– Pokaż, jak szoruje po parkiecie Michael Jackson – zacząłem podpuszczać Roberta, który uwielbia Jacksona. W końcu dał się namówić, złapał jakiś kapelusz i poprosił didżeja o *Smooth Criminal*. Gdybyście zobaczyli ruchy Roberta, to nie uwierzylibyście, że to piłkarz, a nie zawodowy tancerz. „Lewy” ma dopracowane te wszystkie obroty, kopnięcia i moonwalki, którymi zachwycał na scenie legendarny piosenkarz. Lewandowski wskoczył wtedy do kółeczka i zrobił takie show, że do dziś lubi to wspominać.

Później za konsolę wszedł „Grosik” i salę wypełniły rytmy z Podlasia. Impreza skończyła się chyba o szóstej rano. Do tej pory wszyscy poszli spać. Niemal wszyscy, bo na placu boju pozostali trzej muszkieterzy: ja, Grosicki i Glik. Walczyliśmy do samego końca i brawurowo zamknęliśmy tamtą balangę.

Po imprezie czułem się tak zniszczony, że ledwo doczłapałem do pokoju. Dobrze, że w hotelu były windy, bo po schodach chyba nie dałbym rady. Przy okazji awansu miałem jeszcze spotkanie z trenerem Thomasem von Heesenem (latem wróciłem z Kolonii do Gdańska),

który w trakcie zgrupowania zażądał, abym dzień po meczu z Irlandią stawiał się na treningu Lechii. Człowieku, ja ledwo trzymałem się na nogach, a ty chciałbyś, żebym biegał za piłką? Puk, puk – popukałem się tylko w głowę. A później zapukałem do drzwi pokoju i poszedłem spać.

Dziś mogę powiedzieć, że to był moment, gdy czułem się naprawdę szczęśliwy. W końcu zostałem istotnym elementem reprezentacji, grałem regularnie, zdobyłem ważną bramkę i byłem przeświadczony, że pojedę na Euro. Miałem też fantastyczną relację z kolegami i Nawałką, który lubił mnie nie tylko jako piłkarza, ale także jako człowieka.

Niech żyje bal!

Występowałem w reprezentacji za kadencji kilku selekcjonerów: Beenhakkera, Fornalika, Smudy, a nawet Stefana Majewskiego. Z ręką na sercu mogę powiedzieć, że nigdzie nie było tak dobrej aury jak u Nawałki. Mówi się, że atmosferę tworzą przede wszystkim wyniki i to prawda, ale wtedy zapracowaliśmy na nią nie tylko na boisku, lecz także na parkiecie. Impreza po awansie była wstępem do następnych baletów. A każdy kolejny wydawał się lepszy od poprzedniego.

Umieliśmy się bawić – to nie podlega żadnej dyskusji. Udowodniliśmy to w Juracie. Pojechaliśmy tam w maju, miesiąc przed mistrzostwami. Oficjalnie ten wyjazd nazwano zgrupowaniem regeneracyjnym, ale ja bym go nazwał integracyjnym. Po raz pierwszy Nawałka pozwolił nam zabrać ze sobą rodziny: żony, dziewczyny, dzieciaki. Wszystko na koszt PZPN. W hotelu Bryza, o którego plażę rozbijały się fale Bałtyku, nie brakowało niczego. W trakcie dnia były zabawy z dziećmi na basenie, spacer po piasku, wycieczki rowerami. Wieczorem – niezapomniane grille. Niby trochę przeszkadzali nam paparazzi, którzy czaili się za każdą wydumą – a było ich ze stu – ale staraliśmy się o nich nie myśleć i korzystaliśmy z wolnego czasu.

Nasze partnerki były zachwycone pomysłem Nawałki. Samym trenerem zresztą też. Pan Adam to dżentelmen w przedwojennym stylu, w każdym jego geście da się zauważyć *charm*. Tu puścił oko,

tam pochwalił fryzurę i dziewczyny od razu wzdychały. Bardzo sympatyczna okazała się także małżonka selekcjonera, pani Kasia. Nie wstydziła się wskoczyć w legginsy i razem z naszymi żonami wzięła udział w treningu fitness, który na specjalnie przygotowanej scenie zorganizowała Ania Lewandowska.

My też mieliśmy naszą scenę – i to zupełnie prawdziwą. W namiocie ustawionym od strony morza Tomek Iwan, kiedyś reprezentant, a wtedy dyrektor kadry i świetny organizator, zaplanował nam koncert zespołu De Mono.

Zaczął się delikatnie, od *Statków na niebie* i tak dalej. Ale szybko przeszliśmy do tańców. Dołączyli do nas członkowie sztabu: Hubert Małowiejski, Zając, Tkocz. Nigdy wcześniej ani nigdy później nie bawili się z nami w taki sposób, zawsze zachowywali pewien dystans. Ale wtedy dostali chyba specjalne zezwolenie od szefa. I naprawdę ruszyli w tango! Złapaliśmy się za barki, zaczęliśmy tańczyć kozaka. Bawił się nawet selekcjoner, któremu w pewnym momencie zamówiłem jego ulubiony utwór: *Moje jedyne marzenie*.

– Uwaga, uwaga, ważny komunikat! To specjalna dedykacja z okazji rocznicy ślubu! – zapowiedziałem przez mikrofon, a Nawałka dał się namówić na mały spontan i zaprosił żonę do kółeczka. Po godzinie czy dwóch za konsolę znów wszedł DJ Grosik. I znad morza przenieśliśmy się na wschód kraju. Ale nie brakowało też innych przebojów: *Autobiografii*, *Nic nie może wiecznie trwać* czy... *Makumby*. Nawet młodzież, jak Bartek Kapustka, Mariusz Stępiński i Karol Linetty, bawiła się, jakbyśmy znali się od dziesięciu lat. Spokojny i grzeczny zazwyczaj Karolek skończył zresztą imprezę na balkonie swojego pokoju, gdzie nad ranem śpiewał serenady.

Równie fajnie, a może jeszcze fajniej, było w Arłamowie. Po Juracie dostaliśmy dwa dni wolnego, żeby odwieźć do domów rodziny i się przepakować, a potem mieliśmy stawić się w bieszczadzkiej głuszy. Był tam piękny hotel, który przypominał twierdzę. I jak to w twierdzy bywa, toczyły się w niej prawdziwe boje – głównie na treningach. Na koniec zorganizowano jednak imprezę pożegnalną wyłącznie w męskim gronie.

Odwiedził nas wtedy piosenkarz Rafał Brzozowski. I wraz z zespołem zrobił niezłe show. W pewnym momencie zaczęliśmy zarzucać różne kawałki, a jego ekipa poznawała je po jednej albo

dwóch nutkach. Krzyczeliśmy: *Agnieszka*, a oni to grali. Nuciliśmy: *Zawsze z tobą chciałbym być* i już leciało Ich Troje. To byli muzycy z krwi i kości. To chyba na tamtej imprezie „Grosik” połamał konsolę didżeja, chociaż nie specjalnie, bo sprzęt w ferworze walki po prostu spadł ze stojaka.

Na balecie w Arłamowie znów siedzieliśmy do rana i rozmawialiśmy o tym, co czeka nas na Euro. Byli ze mną wieczni kompani – dwaj Kamilowie. Glik nie grał na turnieju w Polsce i Ukrainie, tak jak ja. „Grosik” natomiast był wtedy tylko rezerwowym. Mieliśmy więc coś do udowodnienia.

Sympatyczne imprezy odbywały się także po awansie na mundial w Rosji, ale ich energia była całkiem inna. Brakowało euforii z 2016 roku. Wtedy każdą sekundę chcieliśmy zamienić w magiczne wspomnienie. Później tego czegoś nie było. Chociaż nigdy nie zapomnę, jak w trakcie koncertu Lady Pank, zespołu, na którym się wychowałem, stanąłem na scenie razem z „Panasem” i... „Grosikiem”!

Zaczął się niewinnie. Janusz Panasewicz zaśpiewał kilka piosenek, a my z każdą kolejną – i z każdym kolejnym drinkiem – coraz śmielej robiliśmy za chórki. Około północy „Panas” zawołał na scenę „Grosika” i zaprosił go do duetu. Muzycy zagrali Kamilowi *Kryzysową narzeczoną*, a on poszedł na maksa, chociaż do najlepszych śpiewaków nie należy. Może dlatego długo sam nie wytrzymał.

– „Peszkin”, dawaj do mnie! – zawołał, a ja uznałem, że drugiej takiej okazji może już nie być, więc... będzie się działo!

Zabrałem gitarę Jankowi Borysewiczowi – gość wydawał się trochę zdziwiony, ale co tam. Była dosyć ciężka i nie umiałem na niej grać. „Kurwa, jak ją rozjebię, to facet mnie zabije” – pomyślałem, bo byłem już lekko cyknięty. A potem samo się potoczyło. W końcu raz się żyje, prawda? Zespół zagrał, ja zacząłem solówkę, a „Grosik” swoim zachrypniętym głosem pokazał, co to znaczy być frontmanem. Zrobiliśmy megashow! Dołączyłem do Kamila, zaczęliśmy śpiewać razem, później podbili do nas Artur Boruc, który dorwał jakieś klawisze, perkusista Szczęsny i „Glikson”. Tamtej nocy pokazaliśmy Lady Pank, jak to się robi! Nawet Panasewicz był pod wrażeniem, jakimi rockendrolowcami jesteśmy.

Atmosferę budowało też granie w karty. A mieliśmy mocną grupę, którą tworzyliśmy ja, Grosicki, Boruc i Tomek Jodłowiec, a od czasu do czasu także Łukasz Teodorczyk. Pamiętam wieczory, gdy w naszym pokoju – a tak naprawdę w moim – było po kilkanaście osób. Mówię „naszym”, bo chociaż mieliśmy jedyńki, to „Grosik” w swojej właściwie nie bywał. Dzwonił do mnie wieczorami i mówił: „Idę do fizjo, a później rozpoczynamy naszą bajerę”. I jak już przychodził, to nie wracał do siebie. Bywały zgrupowania, w trakcie których w jego pokoju nawet raz nie musieli zmieniać pościeli, bo przez siedem dni kimał u mnie. O czym gadaliśmy? Głównie o tym, gdzie i ile można zarobić. Kamil brał tabletkę z melatoniną, pobajerzył coś przez kwadrans i zasypiał. To na jednej z tych bajer niemal przewidziałem scenariusz meczu ze Szwajcarią.

Ale wracając do kart: graliśmy w pokera, w texas hold'em, a koledzy patrzyli na te zmagania, popijając drineczki. Mieliśmy jedną zasadę: nie można się było odzywać na temat gry. Jeśli ktoś spróbowałby podpowiadać, wyleciałby za drzwi. Z kartami nie było żartów, bo w grę wchodziła duża kasa. Wpisowe wynosiło dziesięć tysięcy złotych. Zawsze w gotówce. Żadnych zapisów, kredytów, kresek. Kto nie miał siana, ten nie grał. Jak przegrał, mógł znów się wpisać – kolejną dychą. Wszystko wrzucaliśmy do szuflady szafki stojącej przy łóżku, bankierem często zostawał Kuba Wawrzyniak. Pamiętam, jak raz w banku było ze dwieście tysięcy!

Zazwyczaj grałem bezpiecznie, po drugim wpisie odpuszczałem, więc nigdy nie przegrałem więcej niż dwadzieścia koła. Ale „Arczi” potrafił walczyć ostro. Im więcej wypił, tym mocniej grał. Umiał też blefować, nigdy nie było wiadomo, czy coś ma, czy tylko ściemnia.

Wymarzone mistrzostwa

O atmosferę dbał także Nawałka. I nie chodzi wcale o te nasze wypadki integracyjne na ścianki wspinaczkowe czy inne strzelnice, lecz o małe rzeczy, psychologiczne triki, które jak prawdziwy szuler trzymał w rękawie.

Pamiętam, że na jednym z treningów „Grosik” był beznadziejny. Totalna klapa – piłka odbijała się od niego jak od drewnianego kołka,

walił w bandy za bramką, zapomniał, jak się robi zwody. Po tamtych zajęciach Kamil był totalnie rozbity.

– No co jest? – zagadał nagle Nawałka.

– Nie idzie mi dziś – pomruczał pod nosem „Grosik”, a Nawałka eksplodował.

– Co nie idzie, jak nie idzie!?! Przecież widziałem, że jest gaz, jest moc! Klata do przodu, za dwa dni mecz. Na boisku będziesz fruwać. Ty jesteś Kamil Grosicki! – krzyczał.

I minutę później najgorszy na treningu Kamil zszedł do szatni z przekonaniem, że w trakcie zajęć wyczyniał cuda. Tak samo selekcjoner potrafił zbudować Artura Jędrzejczyka, Krzyśka Mączyńskiego czy „Pazdiego”. Niektórzy z nich byli niedoceniani, ale te nasze fusy okazały się równie istotne jak Krychowiak czy Błaszczkowski.

Co to fusy? To piłkarze z klubów Ekstraklasy albo jakichś egzotycznych lig, na przykład chińskiej. Chociaż fusami nazywali się też Milik czy Teodorczyk. Ten żartobliwy kryptonim wymyślił kiedyś „Mączka”, chociaż medialnym liderem grupy został „Jędza”. Chłopaki nie tylko umieli grać w piłkę, ale także mocno dbali o atmosferę.

W drodze do Francji rozegraliśmy kilka spotkań towarzyskich. Zagrałem siedemnaście minut z Czechami, trzynaście z Holandią i tyle samo z Litwą. Po tym ostatnim meczu, w którym wyglądaliśmy słabo i zremisowaliśmy 0:0, „Lewy” wrzucił na naszą grupę na WhatsAppie emocjonalny post. Brzmiał mniej więcej tak: „Przed nami wielki turniej. Jeśli będziemy grać tak jak z Litwą, to nic z tego nie będzie i szybko wrócimy do domu. Od teraz skupiamy się tylko na Euro. Do zobaczenia na lotnisku!”. To była ważna wiadomość, bo lider wysłał do nas jasny sygnał – pobudka!

Co prawda nie byłem pierwszoplanowym aktorem reprezentacji, ale miałem w tym spektaklu swoje miejsce. Na skrzydłach pierwsze skrzypce grali Błaszczkowski i Grosicki, ja zaś pełniłem funkcję suflera. Najważniejsze jednak, że byłem z drużyną w kluczowym momencie – na zgrupowaniach w Juracie i Arłamowie. Nie czułem więc żadnego zdziwienia, gdy znalazłem się w gronie dwudziestu trzech piłkarzy powołanych na Euro.

Kiedy startowaliśmy do Francji z podkrakowskich Balic, czuliśmy się jak dzieci przed wizytą w parku rozrywki. Dla Łukasza Piszczka

były to już trzecie mistrzostwa Europy, a dla wielu chłopaków – drugie. Mieliśmy więc odpowiednie doświadczenie. Chodziło jednak o coś więcej: o arsenał, z jakim lecieliśmy nad Loarę. Czuliśmy, że mamy tę moc. Byliśmy w formie, graliśmy regularnie w klubach. Kiedy patrzyliśmy za siebie, widzieliśmy pokonanych mistrzów świata, eliminacje, które przeszliśmy jak burza, i sparingi, w których nastrzelaliśmy bramek Czechom czy Islandczykom.

We Francji zamieszkaliśmy w La Baule. To położone tuż nad Oceanem Atlantyckim maleńkie miasteczko przez najbliższe dni miało być świadkiem najpiękniejszych chwil w naszym reprezentacyjnym życiu.

Hotel L'Hermitage też był bajkowy, chociaż przypominał fortecę. We Francji wciąż żywe były bolesne wspomnienia z listopada 2015 roku, kiedy terroryści zaatakowali kilka miejsc w stolicy Francji i z zimną krwią zabijali ludzi. Chcieli się dostać także na Stade de France. Nie udało im się to, więc poszli do baru w dzielnicy Saint-Dennis i tam się wysadzili. Dziesiątki osób zostało rannych. Gospodarze stawali więc na głowie, aby zapewnić bezpieczeństwo w trakcie turnieju.

Na miejscu przydzielono nam kilku agentów z oddziału antyterrorystycznego Francuskiej Żandarmerii Narodowej, którzy udawali członków kadry. Do tego dochodziło kilkanaście osób zabezpieczających hotel. No i oczywiście „Siwy” z „Marchewą”, czyli ochroniarze reprezentacji. Pamiętam, że jeden z policjantów przez cały czas siedział w hotelowej windzie – miał tam nawet krzesło. Każda podróż po Francji odbywała się pod silną eskortą policji. I nie były to środki na pokaz. Kiedy podczas jazdy na oficjalny trening przed meczem z Niemcami do autobusu zbliżył się jakiś przypadkowy samochód, żandarmi w ciągu sekundy podjechali do niego, zablokowali pojazd i... wycelowali w kierowcy karabiny. Nie wiem, czy prezydent Barack Obama był wtedy zabezpieczony tak dobrze jak my.

W hotelu mieliśmy niezmałony niczym spokój, bo cały obiekt wynajęto tylko dla nas. Dodatkowo każdy pokój połączony był z dwoma sąsiednimi wewnętrznymi drzwiami. Jeśli więc ludzie z jednej i drugiej strony przekręcili kluczyk, mogli przejść do apartamentu obok, nie wychodząc na korytarz. Od razu

poprosiliśmy, żeby pokoje zostały przydzielone nieprzypadkowo. I tak mój znajdował się obok „Lewego” i „Grosika”. Z Kamilem w ogóle nie zamykaliśmy drzwi, cały czas były otwarte. Dalej mieszkali zaś Glik i Boruc. To sprawiało, że mogliśmy widywać się cały czas. I nie kręcić się po korytarzu, co w przeszłości odbiło mi się czkawką.

W La Baule warunki – zarówno do grania w piłkę, w karty, jak i po prostu do życia – były na światowym poziomie. Mieliśmy swojego kucharza, Tomka Leśniaka, który nad patelnią zamieniał się w magika potrafiącego wyczarować prawdziwe cuda. Czasami po meczu – bywało, że o drugiej czy trzeciej w nocy – dzwoniliśmy, błagając go o coś do jedzenia.

– A Stroganow może być? – pytał zaspany Tomek, a my już wiedzieliśmy, że za chwilę w naszych pokojach wyląduje szamka jak z drogiej restauracji.

Tomek to znakomity kucharz, w swojej długiej karierze gotował Realowi Madryt i Barcelonie, więc jak każdy artysta jest czuły na swoim punkcie. Kiedyś dla jaj zaczęliśmy marudzić po jakimś makaronie czy ryżu. Leśniak tak bardzo wziął to do siebie, że jeszcze tydzień później dopytywał: „Ale o co dokładnie wam chodziło? Za dużo soli? Smak nie taki?”. My się śmialiśmy i tłumaczyliśmy mu, że to tylko wygłupy, a Tomek cały czas analizował, gdzie popełnił błąd.

Jeśli chodzi o członków sztabu, to jeden z nich przeżył szczególnie mecz z Irlandią Północną, którym rozpoczęliśmy mistrzostwa. Chodzi o Pawła Kosedowskiego, który był naszym magazynierem (a prywatnie synem boksera Krzysztofa Kosedowskiego, znanego z legendarnej sceny z piątakiem w *Chłopaki nie płaczą*).

Z Irlandczykami mieliśmy grać w Nicei, na południu, jakieś tysiąc kilometrów od La Baule. Tuż po przyjeździe na piękną Allianz Rivierę „Kosa” poszedł do Lewandowskiego, Krychowiaka oraz Glika i zabrał ich na stronę.

– Chłopaki, musimy pogadać. To dość poważna sprawa.

Paweł to kozak, cały czas pakuje na siłowni i raczej nie pęka. Ale wtedy tak się trząsł, jakby ostatnie pięć godzin spędził w lodówce.

– Dałem dupy – przeszedł od razu do rzeczy. – Zabrałem ze sobą tylko jeden komplet strojów...

Dzień wcześniej w hotelu mieliśmy sesję zdjęciową dla UEFA. Oczywiście w meczowych koszulkach kadry. Po sesji nasz kitman spakował wszystko do torby, a torbę... zostawił pod stołem. I tylko z jedną poleciał do Nicei!

Komuś może się wydawać, że to żaden problem, bo przecież mieliśmy drugi komplet, ale sytuacja była poważna. W przerwie zazwyczaj zmieniamy spocone koszulki. Szczególnie kiedy na zewnątrz jest trzydzieści stopni, a właśnie taka temperatura panowała w Nicei. Ta rezerwowa jest także na wypadek, gdyby ktoś zakrwawił trykot albo go rozerwał, co na tamtym turnieju cały czas zdarzało się Szwajcarom. Jeśli koszulka jest poplamiona krwią albo porwana, należy ją zmienić. Ale jak mogliśmy to zrobić, skoro mieliśmy jeden zestaw? Gdyby Irlandczycy się zorientowali, że mamy taki kłopot, mogliby specjalnie niszczyć nam stroje. Nie zdziwiłbym się, gdyby sami łamali sobie nosy tylko po to, żeby poplamić Glika czy „Krychę”. Wtedy Nawałka musiałby zdejmować piłkarzy w zabrudzonych T-shirtach. A zmiany były tylko trzy. Mówiąc w skrócie – zrobiłby się niezły gnój.

Kosedowski, który zawsze był porządnym facetem, zastanawiał się, czy ma powiedzieć o wpadce Nawałce. Zdecydowaliśmy jednak, że wszystko zostanie między nami. To była wielka tajemnica, nie wiedział o tym nikt ze sztabu. I chyba nie wie do dziś. Paweł należał do drużyny, więc wzięliśmy go w obronę. Ustaliliśmy tylko, żeby grać ostrożnie, nie dać się sprowokować i... pobrudzić. Tak zresztą było – chociaż „Pawka” i tak przez cały mecz się modlił, żeby w żadnej koszulce nie pękła choćby nitka. I nie pękła. A my po bramce Milika wygraliśmy 1:0!

Przed meczem do ostatniej chwili nie było wiadomo, na kogo zdecyduje się Nawałka – na mnie czy na młodego Kapustkę. Grosicki miał rozwaloną kostkę i choć fizjoterapeuci odprawiali czary, żeby postawić go na nogi, trener musiał wybrać innego skrzydłowego. Wierzyłem, że w pierwszym składzie wyjdę ja, ale selekcjoner wolał Bartka. Nie miałem z tym problemu. Nie że brakowało mi ambicji, po prostu dobro drużyny było dla mnie najważniejsze. Chciałem grać, ale skoro Nawałka uznał, że

Kapustka da drużynie więcej, zaakceptowałem to. I jak się okazało, trener miał rację, bo Bartek pokazał się w tym meczu i zapracował na transfer do Leicester City.

Z Irlandią Północną zagrałem więc tylko kilka minut. Te kilkaset sekund było jednak dla mnie spełnieniem dziecięcych snów. Znalazłem się właśnie na oczach całej Europy! Kiedy stałem przy linii, czekając na zmianę, przypomiinałem sobie różne momenty mojej kariery: okradzioną kawalerkę w Płocku, wygłupy na młodzieżówce, wyrzucenie z kadry Smudy, zerwane więzadła na oczach Fornalika... I w końcu dostałem to, o czym tak długo marzyłem. Uczestniczyłem w wielkim turnieju. I grałem na nim. A to był – jak lubił powtarzać selekcjoner – dopiero początek.

Wkurwiony Lewandowski

W drugim meczu graliśmy z Niemcami. Do Paryża poleciliśmy po trzy punkty. Dla kogoś może to brzmieć jak żart, ale nie czuliśmy przed nimi żadnego strachu. To raczej oni obawiali się nas – bo oni musieli, a my tylko mogliśmy. Zresztą Nawałka na przedmeczowej analizie w ogóle nie mówił o silnych stronach Niemców. Punktowo wskazał tylko sposoby odcinania ich kluczowych graczy.

Lukas Podolski śmiał się przed tym spotkaniem, że przegrać z Polakami raz na dziesięć razy to żaden wstyd, ale wiem, że porażka w Warszawie ich zabolala. We Frankfurcie też zegraliśmy dobrze. A na Euro po raz kolejny potwierdziliśmy, że jesteśmy kozakami. Gdyby Arek wykorzystał dwustuprocentową sytuację, to byśmy wygrali.

Po raz kolejny wszedłem w końcówce. Tym razem zmieniłem „Grosika”, który wrócił do zdrowia. I dwadzieścia sekund przed końcem doliczonego czasu gry złapałem żółtą kartkę. „No, to w historii Euro już się zapisałem” – pomyślałem, a chwilę później zamarłem ze strachu.

Faulowałem Mesuta Özila. Trochę bez sensu, bo stał odwrócony tyłem do bramki. Byłem jednak tak zaaferowany, że dopiero później dostrzegłem, że popełniłem przewinienie tuż przy linii końcowej boiska, w miejscu idealnym na dobre dośrodkowanie. O kurwa!

Stałem w murze i zamknąłem oczy. „Panie Boże, proszę cię, nie pozwól im strzelić, bo Nawałka nie da mi już zagrać choćby minuty” – błagałem w myślach. Byłem przerażony, że przez moją głupotę możemy stracić cenny wynik, szczególnie że selekcjoner kilkakrotnie uczulał na niepotrzebne faule. Na szczęście ktoś na górze mnie wysłuchał, „Fabian” wybił wrzutkę Toniego Kroosa i skończyło się na 0:0.

Na słynnym Stade de France siedzieli wtedy moi rodzice, bracia, a także szwagier ze szwagierką. Dzień wcześniej Radek oświadczył się Dorocie pod wieżą Eiffla. Wiedziałem o tym i chciałem im zrobić piękny prezent w postaci trzech punktów, ale jeden też był niczego sobie.

Trzeci mecz – z Ukrainą w Marsylii – obejrzałem z ławki. Najważniejszy był w nim gol Kuby i zwycięstwo 1:0, które pozwoliło nam wyjść z grupy w znakomitym stylu. Pamiętam, że po tym spotkaniu strasznie wkurwiony był „Lewy”. Spotkaliśmy się na siłowni już po powrocie do La Baule. Robert wściekle przerzucał jakieś nieludzkie ciężary. Złość wręcz z niego parowała.

– Co się dzieje? – zapytałem dyskretnie.

– Nic.

– Nie pierdol, co jest?

– Jak to co? Trzeci mecz, a ja dalej nie mam bramki, kurwa jego mać!

Zacząłem mu tłumaczyć, że to przecież bez znaczenia. Był kapitanem, liderem i naszą największą gwiazdą, która absorbowала czasem trzech obrońców. To dzięki niemu „Błaszczu” czy Arek mogli zdobywać gole. Ale „Lewy”, jak prawdziwy napastnik, czekał na swoją bramkę.

– Potrzebuję jej – wymamrotał tylko i poszedł dalej ćwiczyć.

Pełen emocji był nie tylko mecz, ale i powrót z Marsylii do Saint-Nazaire, gdzie mieliśmy wylądować. Gdy dolatywaliśmy na miejsce, okazało się, że jest straszna mgła. Pilot poinformował nas, że spróbuje posadzić maszynę, ale jeśli się nie uda, to nie będziemy ryzykować i polecimy dalej. Kiedy wyjrzelismy przez okna, okazało się, że w ogóle nie widać ziemi. Jedna wielka biała plama! Pilot zrobił próbę, zszedł dość nisko, ale w pewnym momencie poczulismy, jak zwiększa ciąg silników, i odlecieliśmy.

– Niestety, nie uda nam się wylądować w Saint-Nazaire, musimy lecieć do Rennes – usłyszeliśmy komunikat, który nieco rozładował napiętą atmosferę. W Rennes grał wtedy „Grosik”, więc od razu zaczęły się teksty, że po lądowaniu Kamil zabierze nas na chatę.

– Zobaczmy, czy naprawdę jesteś tam królem – podpuszczaliśmy go i zaczęliśmy zamawiać dodatkowe wino, bo kilka osób słabo znosiło samolotowy stres.

Lądowanie w Rennes na szczęście poszło gładko. Do tego czasu Iwanowi udało się zamówić chyba wszystkie taksówki z okolicy. Auta czekały na nas na lotnisku; pakowaliśmy się do nich po cztery osoby i jechaliśmy do La Baule. Były wtedy z nami nasze partnerki, bo Nawałka się zgodził, żeby towarzyszyły nam w podróży powrotnej z Lazurowego Wybrzeża.

Generalnie jednak lubiłem te powroty. Wygrywaliśmy, więc atmosfera była znakomita. Na pokładzie pojawiały się szampan i piwo, chociaż raczej symbolicznie. Dogrywki robiliśmy już w hotelu. Kilkanaście osób schodziło się do jednego pokoju i tam spędzaliśmy wspólnie czas. Grubiej poszliśmy tylko raz – po Szwajcarii. Mieliśmy wtedy kilka dni przerwy do następnego meczu, a cały czas trzymała nas adrenalina, więc postanowiliśmy posiedzieć w hotelowym barze. Wtedy wyjątkowo pobawiliśmy się mocniej. Poza tym było bardzo grzecznie.

Pamiętam rozmowę z Tomkiem Hajto, który komentował mecze dla Polsatu. Powiedziałem mu coś w tym stylu: „Wiesz, czym różni się nasza kadra od waszej? My po wygranej siedzimy kilka godzin dłużej, pośmiejemy się, wypijemy po kilka piwek. Ale rano wszyscy są na analizie, a później na siłce. A wasza kadra piłaby wodę przez dwa dni”. Tak, to była nasza siła: potrafiliśmy znaleźć balans, o który Nawałka walczył od samego początku.

Selekcjoner nam ufał, co okazywał w ciekawy sposób. W trakcie mistrzostw pozwolił kilku piłkarzom... negocjować transfery. Chodziło o finalizowanie rozmów z klubami. I tak na przykład Krychowiak poleciał do Paryża, żeby podpisać umowę z Paris Saint-Germain, a Glik kilka razy spotykał się z działaczami AS Monaco, do którego później trafił. Trener wiedział, że to ważne dla nas sprawy – i że jednocześnie nie odciągają nas od najważniejszego celu.

A mógł być finał...

Lewandooooooooooooooooooooooooooooooooowski!!!

Czekał, czekał i się doczekał – a jak się doczekał, to w najlepszym możliwym momencie! Mecz z Portugalią Robert rozpoczął od trafienia, które sprawiło, że przez najbliższą godzinę byliśmy o krok od półfinału mistrzostw Europy! Piłkę na skrzydło rzucił Piszczek, „Grosik” sprytnie wyczekał Cédrica Soaresa i idealnie dograł do nabiegającego Roberta. A ten uderzył w swoim stylu – zostawiając bramkarzowi jedną możliwość: wyciągnięcie piłki z siatki.

To miał być nasz wielki dzień. Portugalia została później mistrzem Europy, ale do spotkania z Polską nie radziła sobie rewelacyjnie. Ba, w grupie nie wygrała ani razu! Ledwo zremisowała 3:3 z Węgrami, nie pokonała także Islandii i Austrii, czyli drużyn, z którymi my poradziłibyśmy sobie bez problemu. W kolejnej rundzie Portugalczycy ograli co prawda Chorwatów, ale dopiero po dogrywce i голу Ricardo Quaresmy w końcówce. Czego więc mieliśmy się bać? Po Portugalii w półfinale czekała na nas osłabiona brakiem Aarona Ramseya Walia. Do Marsylii przylecieliśmy więc jak po swoje, czyli po kolejny awans. Na tym meczu pojawiły się także nasze rodziny. W większości zamieszkały w tym samym hotelu co Portugalczycy. Ania z tego wyjazdu ma zresztą fotkę z Cristiano Ronaldo.

Myślę, że każdy z nas jeszcze przed meczem ze sto razy rozegrał to spotkanie w myślach. W drodze na stadion widziałem, jak Pazdan – będący wtedy w życiowej formie – przyglądał się karteczce, którą wcześniej wyjął z kieszeni. Zajrzałem mu przez ramię, a on analizował ruchy Ronaldo. Że tu przekłada piłkę na lewą nogę, a tam najczęściej dośrodkowuje. Sztab rozpisał mu wszystko, co było potrzebne do zatrzymania CR7, a Pazdan nauczył się tego na pamięć. I na boisku wykorzystał to, bo Cristiano sobie przy nim nie pograł. Kilkukrotnie widziałem, jak portugalski gwiazdor wkurzał się po interwencjach „Pazdiego”, który był jak mucha. Ronaldo machał ręką i machał, ale nie mógł Michała trafić. Zresztą Pazdan miał na Cristiano patent, bo niedługo później, w meczu Legii Warszawa z Realem w Lidze Mistrzów, też dał radę.

W Marsylii powtórzył się scenariusz z Saint-Étienne: znów prowadziliśmy, znów straciliśmy gola i znów była dogrywka. Myślałem, że Nawałka postawi na mnie kolejny raz, ale tym razem wybrał Kapustkę. I to właśnie Bartek miał sytuację, w której mógł zdecydować o losach tamtego meczu. Po jednej z akcji piłka przeszła przez całą długość pola karnego, ale „Kapi” nie poszedł na maksa. Gdyby to zrobił, byłby gol i zapewne byśmy wygrali. Zamiast tego bramkę strzelił jakiś Renato Sanches, po jakimś rykoszecie... Strasznie to zabolowało.

W dogrywce wynik 1:1 się nie zmienił, ale tym razem happy endu nie było. W karnych szło nam nieźle, ale czułem, że Portugalczycy są trochę lepsi. Uderzali tak, że nie było pytań. Piłka po każdym strzale przypominała pocisk artyleryjski, a dodatkowo Fabiański leciał zwykle w inną stronę. Na koniec Kuba zmienił róg, w który miał uderzać, i nasza przygoda na Euro dobiegła końca.

Szybko zrozumieliśmy, że straciliśmy szansę na finał mistrzostw. Łukasz się popłakał, ale wszyscy byliśmy rozbici. Pamiętam szatnię, w której przez dwadzieścia minut nikt się nie odezwał. Jeden siedział na podłodze, inny pod prysznicem, kolejny na ławce.

– Szkoda, panowie, ale to koniec – powiedział Nawałka, a my dalej przeżywaliśmy porażkę, która przez kolejne lata była dla nas jak drzazga pod skórą.

Czasem ludzie pytają mnie, czy Nawałka nie powinien był wpuścić w sto dziewiętnastej minucie Boruca, który spośród trzech naszych bramkarzy zdecydowanie najlepiej bronił rzuty karne. Sam się długo nad tym zastanawiałem i doszedłem do wniosku, że gdyby trener podjął taką decyzję, to Portugalczycy byliby zdezorientowani. „Fabiana” mieli rozczytanego jak elementarz, a Artur w bramce by ich zaskoczył. Rozumiem, że selekcjoner chciał dać Łukaszowi wykazać się po karnych ze Szwajcarią, ale gdyby zdecydował się na taką rozsadę, nasze szanse chyba by wzrosły. A pamiętajcie, że do wykorzystania była jeszcze jedna, ostatnia zmiana... Tak się jednak nie stało i do końca świata ludzie będą mogli pytać: „A co by było, gdyby do bramki wszedł Boruc?”.

Zaraz po meczu mieliśmy małe spięcie z Bońkiem. Prezes poinformował nas, że samolot będzie dopiero za dwa dni, więc

musimy wrócić do La Baule i tam poczekać na lot. Lewandowski i kilku chłopaków poszło jednak do Bońka i w ostrym tonie wyjaśniło mu, że nie mamy zamiaru przeżywać porażki, siedząc w basenie. Chcieliśmy już wrócić do Polski i ostatecznie stanęło na tym, że PZPN szybciej sprowadzi nam z kraju jakiś czarter.

Tymczasem słyszeliśmy od rodzin i znajomych, co dzieje się nad Wisłą. Ludzie podobno zwariowali na punkcie kadry! We Francji jednak tego nie odczuwaliśmy. Co prawda czasami spotykaliśmy naszych kibiców albo miejscowych Polonusów, którzy dziękowali nam za dobre mecze, ale nikt nie przypuszczał, że wszystko przybrało taką skalę.

Gdy wylądowaliśmy na Okęciu, czekało na nas dziesięć tysięcy ludzi! Byli wszędzie, nigdy nie widziałem tylu osób na lotnisku! Dodatkowo strażacy zrobili szpaler wodny, tak jakbyśmy przywieźli z Francji medal.

– Panowie, rozdawajcie autografy, róbcie zdjęcia, ale cały czas przesuwajcie się do przodu. Autokar będzie na was czekał – poinstruował nas Iwan.

Miał rację, bo gdybyśmy mieli podpisać kartkę czy koszulkę każdemu kibicowi, który przyjechał nas przywitać, musielibyśmy tam siedzieć ze trzy dni. Ale kiedy zobaczyliśmy tych wszystkich szczęśliwych ludzi, wróciły nam humory. Skoro mimo porażki z Portugalią tyle osób przyszło, żeby nas zobaczyć, to znaczy, że naprawdę daliśmy im dużo radości. Poczułem się wtedy jak mistrz Europy. Co prawda bez mistrzostwa, ale za to z mistrzowskimi kibicami.

Po wszystkich pojechaliśmy jeszcze na wspólny obiad, a po godzinie czy dwóch rozjechaliśmy się do domów. I tyle, Euro dobiegło końca.

Z Francji wróciliśmy jako inni ludzie. Staliśmy się prawdziwymi gwiazdami. Pazdana знаła każda gospodyni domowa. Krychowiak został celebrytą. Ja też nie mogłem spokojnie wyjść na miasto, bo z każdej strony słyszałem: „Peszko to”, „Peszko tamto”.

W 2016 roku wybuchła moda na reprezentację, która trwa do dziś. To, co wydarzyło się we Francji, rezonuje na piłkę nawet kilka lat po turnieju. I nie chodzi tylko o kwestie materialne. Za awans na

mistrzostwa dostałem sto dwadzieścia tysięcy złotych, drugie tyle zgarnąłem w premiach za Euro. Oddałbym jednak to wszystko za zwycięstwo w karnych z Portugalią. Bo jestem przekonany, że po nim pokonalibyśmy Walię i zagrali w finale mistrzostw Europy.

ROZDZIAŁ 9

ZAŚLUBINY Z MORZEM

Kiedy graliśmy w rezerwach, po każdym meczu do Sławka biegł tłum kibiców. Czasem ktoś mnie poprosił o autograf, czasem Wojtkowiaka, ale polowano głównie na „Peszkina”. W internecie ludzie się z niego śmiali, a w rzeczywistości go kochali. W Gdańsku widziałem to na własne oczy.

Miloš Krasić

Poza mną w gabinecie siedzieli jeszcze Adam Mandziara i Piotr Stokowiec. Atmosfera była fatalna. Będący od kilku lat prezesem Lechii Gdańsk Mandziara patrzył na mnie niepewnym wzrokiem, jakby obawiał się mojej reakcji na słowa, które za chwilę miały paść z jego ust. Stokowiec natomiast stał z boku i się nie odzywał.

– Rozwiążemy twój kontrakt i od pierwszego grudnia będziesz wolnym zawodnikiem – wymamrotał prezes.

– A niby dlaczego?

– Bo taką podjęliśmy decyzję.

– Kto?

– Ja i trener.

– Ty czy trener? – spytałem szorstko, bo nie zamierzałem ułatwić mu sprawy. Nawet bez wykrywacza kłamstw wiedziałem, że wyrok na mnie wydał Stokowiec, a nie Mandziara.

– Ja i trener – dalej ściemniał prezes.

Tego było już za wiele. Nie wytrzymałem i zacząłem krzyczeć:

– Kurwa mać, Adam, co ty odpierdalasz?! Tyle razem przeszliśmy, pomagałeś mi w Kolonii, zapraszałem cię na urodziny, a teraz masz to gdzieś i wierzysz w każde jego słowo, wykonujesz każde jego

polecenie. To kto w końcu rządzi tym klubem? Ty czy on? – wskazałem głową na Stokowca.

Mandziara nie odpowiedział nic sensownego. W takich momentach miał swoją dyżurną wymówkę – powtarzał wtedy, że jako prezes nigdy nie staje pomiędzy drużyną a szkoleniowcem. Wiedziałem jednak, że blefuje. Po mistrzostwach Europy we Francji przedłużył ze mną kontrakt do czerwca 2020 roku. W zamian za moją zgodę na obniżenie zarobków do umowy dodał klauzulę, dzięki której pięć lat po zakończeniu grania w piłkę miałem przepracować w Gdańsku w dziale skautingu lub marketingu. Gdyby klub chciał się mnie pozbyć, musiałby więc wypłacić mi kasę, jaką zarobiłbym do końca trwania porozumienia i klauzuli, czyli przynajmniej półtora miliona złotych. A na to nikt normalny by się nie zgodził.

Dalsza rozmowa była bezcelowa. Powiedziałem, że jeśli Lechia chce, to może mnie wyrzucić choćby i dziś.

– Ale spotkamy się w sądzie – dodałem i wyszedłem, zostawiając w gabinecie Mandziarę oraz Stokowca, który w milczeniu przypatrywał się tej niezbyt przyjemnej scenie.

Wszystko, co złe, zaczęło się tuż po moim powrocie z mundialu w Rosji. Gdy inni piłkarze smażyli się na Santorini albo imprezowali na Ibizie, ja spędziłem ponad miesiąc, trenując z reprezentacją Polski. Poprosiłem więc trenera o dwa tygodnie urlopu, który należał mi się jak psu buda. Zamiast tego dostałem zgodę na... trzy dni. Nie chciało mi się kłócić, więc machnąłem na to ręką. Ale skoro miałem mieć tak krótkie wakacje, złożyłem jeden mały wniosek: aby nie brać mnie pod uwagę na mecz z Jagiellonią Białystok, którym mieliśmy rozpocząć sezon Ekstraklasy. Nie czułem się gotowy do gry, po fatalnych mistrzostwach potrzebowałem resetu, także emocjonalnego. Jak możecie się jednak domyślać, Stokowiec miał moją prośbę w dupie i nakazał mi wsiąść do autokaru jadącego na Podlasie.

Gdy w drugiej połowie wpuścił mnie na boisko za Michała Maka, ktoś z naszego sztabu szkoleniowego szepnął mi do ucha: „Idź na drugą stronę i trzymaj się jak najdalej od tego Litwina”. „Tym Litwinem” był Arvydas Novikovas. Dwudziestośmioletni skrzydłowy słynął z szybkości, dryblingu i bezczelności. Jakiś czas wcześniej

zakpił ze mnie na Instagramie; nie mógł zrozumieć, dlaczego do Rosji z kadrą pojechałem ja, a nie jego klubowy kumpel Przemek Frankowski. Żeby nie prowokować głupich pyskówek, miałem więc unikać pojedynków z Novikovasem. I udawało mi się to aż do dziewięćdziesiątej pierwszej minuty. Wtedy Litwin dostał podanie na środku boiska, zastawił się, a ja... zajebałem mu kopa. W ogóle nie byłem zainteresowany piłką, nawet nie udawałem, że o nią walczę. Po prostu wyprowadziłem cios w stylu Bruce'a Lee, po którym Arvi padł znokautowany.

Dziennikarze twierdzili później, że to była moja vendetta za docinki Novikovasa w internecie, ale po latach sam nie wiem, czy to prawda. Nie mam pojęcia, co chciałem w ten sposób ugrać. Po mundialu czułem się zmęczony i sfrustrowany, dodatkowo Stokowiec mnie wkurwił. Chyba to wszystko sprawiło, że odezwała się moja nieobliczalna natura – zamknąłem więc oczy i puściłem kierownicę. Niech się dzieje...

Wyrok był rekordowy: faul, za który sędzia Łukasz Szczech pokazał mi czerwoną kartkę, Komisja Ligi wyceniła na trzy miesiące zawieszenia. I to bezwzględnie, co oznaczało, że nie mogłem występować nawet w rezerwach. Dostałem też grzywnę w wysokości trzydziestu tysięcy złotych. Ale to i tak nic przy tym, co chciał mi zabrać Mandziara. Jego pierwsza propozycja wynosiła aż trzy pensje. Na szczęście trochę ponegocjowaliśmy i stanęło na tym, że zabierze mi dwie wypłaty. Kopnięcie Novikovasa kosztowało mnie ostatecznie dwieście tysięcy. Później próbowałem się odwoływać od kary Komisji Ligi, mój prawnik napisał nawet jedenastostronicowe wyjaśnienie, ale nic z tego nie wyszło. Wyrok uważałem jednak za przesadnie surowy; gdyby chodziło o kogoś innego, na pewno byłby niższy. Ale że numer wywinął Peszko, to zrobiono pokazówkę.

Od meczu z Jagiellonią moje relacje ze Stokowcem stawały się coraz gorsze. Nigdy nie były świetne – w najlepszym momencie nazwałbym je co najwyżej poprawnymi – ale po moim zawieszeniu właściwie przestaliśmy rozmawiać. Co prawda w trakcie kolejnych tygodni wciąż trenowałem z pierwszym zespołem, nie mogłem jednak grać, więc „Stoki” traktował mnie jak powietrze. Myślałem, że już gorzej być nie może, ale jak się okazało – kolejny raz byłem w wielkim błędzie.

Na tamtym treningu Stokowca akurat zabrakło, bo pojechał do Chorzowa oglądać mecz reprezentacji z Włochami albo Portugalią. Podczas gierki czterech na czterech Maciej Kalkowski, asystent trenera, porządny facet, który wychował się na Lechii i w Lechii, pomylił się i źle policzył bramki. Zawsze zależy mi na wygrywaniu, nieważne, czy chodzi o mecz na mistrzostwach, czy na osiedlowym boisku. Kiedy więc po moim golem Kalkowski powiedział, że przegrywamy 2:5, a nie 3:4, zwróciłem mu uwagę.

– Skup się na boisku, bo chuja grasz – warknął w odpowiedzi. Temperatura dyskusji zaczęła niebezpiecznie szybko się podnosić.

– Chłopie, nie wiesz, że jest trzy do czterech, a nie dwa do pięciu? – spytałem, ale Kalkowski twardo trzymał się swojego.

– Zamknij się i graj – odparł w końcu. I to była iskra, która podpaliła lont. Straciłem nad sobą kontrolę.

– Zaczynij się odzywać do mnie z szacunkiem. Gdzie ty, kurwa, grałeś, co? – krzyknąłem i tym tekstem zakończyłem trening.

Stokowiec dowiedział się o wszystkim tego samego dnia. Kalkowski zarzekął się później, że to nie on doniósł szkoleniowcowi, tylko ktoś z jego sztabu. Zresztą przed kolejnymi zajęciami podałem mu rękę i przeprosiłem. „Trener coś chlapnął w emocjach, ja dołożyłem swoje i wyszło kiepsko. Ale i tak przesadziłem. Sorry...” – powiedziałem i temat był zakończony. A przynajmniej tak mi się zdawało.

Najwidoczniej Stokowiec uważał inaczej, bo od razu – taki miał zresztą zwyczaj – popędził do Mandziary i zażądał, żeby klub rozwiązał ze mną umowę. Dodatkowo odegrał w szatni żenującą scenkę: zapytał przy drużynie, czy ktoś ma coś do powiedzenia. Oczywiście chodziło o mnie, ale nie zamierzałem kajać się kolejny raz, bo sprawę z Kalkowskim już wyjaśniłem. Stokowiec jednak nie odpuszczał.

– Ktoś chce coś powiedzieć?

Gdy znów nikt się nie odezwał, spojrzał na mnie z obojętnością i syknął:

– Zabierz rzeczy i wyjdź z szatni. A o trzynastej zamelduj się u prezesa.

Resztę historii już znacie. Nie dało się jednak zerwać umowy z powodu głupiego tekstu rzuconego w nerwach do drugiego

trenera. Mandziara i Stokowiec byli bezradni, a więc zrobili to, co im zostało – nieprawnie zesłali mnie do drugiej drużyny.

Następnego dnia wynająłem za dwadzieścia tysięcy złotych ogromny jacht, na który zabrałem kilku kolegów z drużyny i ich rodziny. Popłynęliśmy z Sopotu do Juraty, napiliśmy się szampana, zjedliśmy dobry obiad. Dzięki temu przynajmniej na chwilę zapominałem o wielkim syfie, w którym w ostatnich miesiącach utknąłem. A miało być tak pięknie...

Bolesny powrót

Do Ekstraklasy mogłem wrócić kilkakrotnie, chociaż nigdy nie było mi to w smak. Tuż po spadku z Bundesligi zadzwonił do mnie Mandziara i zaproponował transfer do Legii Warszawa, ale miałem wtedy znacznie ciekawsze oferty i zignorowałem temat. Jakiś czas później odezwali się też ludzie Bogusława Leśnodorskiego, nowego prezesa Legii, który zuchwale poszukiwał wzmocnień. Gdy żegnałem się z FC Köln, na powrót do Lecha Poznań namawiał mnie natomiast Piotr Rutkowski, syn Jacka Rutkowskiego, właściciela klubu. Byłem już jednak dogadany w Gdańsku.

Lechia była konkretna od samego początku. Wysłała po mnie nawet prywatny odrzutowiec, co nigdy wcześniej mi się nie zdarzyło. Poza tym, szczerze mówiąc, przycisnęła mnie sytuacja – w Kolonii miałem małe szanse na grę, a zbliżało się Euro. Wcześniej ominęły mnie wszystkie wielkie turnieje, więc nie chciałem stracić kolejnej okazji. Oczywiście mógłbym kozaczyć i udawać przed światem, że wszystko jest okej, ale musiałbym wtedy liczyć na cud. A ja wolałem mieć los w swoich nogach. W końcu któregoś wieczoru usiadłem z Anią przy stole i ustaliliśmy, że wracamy do Polski.

Szczegóły transferu zostały dogadane w sopockim hotelu Mera. Podpisałem kontrakt na trzy lata, miesięcznie miałem zarabiać sto tysięcy złotych brutto, czyli znacznie mniej niż wynosiła moja podstawa w ostatnim sezonie w FC Köln. Ale to nie było dla mnie najważniejsze. Liczyła się tylko regularna gra. Przed transferem zadzwoniłem zresztą do selekcjonera Adama Nawałki i zapytałem, czy po powrocie do Polski wciąż będzie mnie powoływał. Kiedy przyznał, że tak, miałem spokojne sumienie.

Po Merze kręcili się już inni nowi zawodnicy: sprowadzony z Catanii Michał Chrapek czy Aleksandar Kovačević z Crveneje zvezdy Belgrad. No i on – Miloš Kradić... Serba kojarzyłem od lat, rywalizowaliśmy przecież w pucharach, gdy był piłkarzem CSKA Moskwa i Juventus. Tacy gracze nie zaglądali wówczas do Ekstraklasy. „Kraso” miał na koncie Puchar UEFA, ćwierćfinał Ligi Mistrzów i mistrzostwo Italii. Dodatkowo nie był dziadkiem, który opowiada przy kominku bajki o dawnych czasach, miał dopiero trzydzieści jeden lat. Co prawda nie poszło mu w Fenerbahçe Sztambuł, ale przecież dla większości piłkarzy jego podłoga to był sufit. Gdy zobaczyłem go spacerującego leniwie po lobby, pomyślałem: „Nadszedł czas, byśmy w końcu zagrali razem”.

Na finiszu negocjacji spotkałem się na obiedzie z trenerem Jerzym Brzęczkiem.

– Potrzebuję twojej przebojowości i doświadczenia. Mamy naprawdę fajny zespół. Chcemy powalczyć o mistrzostwo Polski – zapewnił mnie, a ja nie pozostawiłem mu wątpliwości:

– To się dobrze składa, bo ja też chcę być mistrzem. Tęsknię za tym uczuciem...

Na rozmowie z Brzęczkiem był ze mną Tomek Hajto, który reprezentował mnie w negocjacjach z Lechią, bo z Andrzejem Grajewskim nie wiązała mnie już żadna umowa. Razem z „Giannim” do Gdańska przylecieli także dwaj Niemcy, koledzy Lukasa Podolskiego, którzy pomogli dopiąć deal. Nie było z tym żadnego problemu, bo w Lechii spotkałem starych znajomych: poza Mandziarą także Franza-Josefa Wernzega, który w 2014 roku kupił klub od Andrzeja Kuchara i teraz inwestował pieniądze w Polsce.

Perspektywy wyglądały więc naprawdę dobrze. W Lechii grali już kadrowicze: Sebastian Mila, Kuba Wawrzyniak czy Grzesiek Wojtkowiak. Poza mną, Chrapkiem, Kovačevićem i Kradićem sprowadzono także wracającego z zagranicy Ariela Borysiuka, Chorwata Mario Maloćę czy utalentowanego Słowaka Lukáša Haraslína.

Nie zdążyłem jednak rozpakować walizek, gdy z tej układanki wyleciał Brzęczek. Właściwie to zwolniono go kilkanaście godzin po tym, jak podpisałem kontrakt. Późniejszy selekcjoner w pierwszych

siedmiu meczach sezonu wygrał tylko raz i został zastąpiony przez Thomasa von Heesena. „Brzęczka nie ma, ale i tak jest zajebiście” – przeszło mi przez myśl, gdy w mediach pojawiła się oficjalna informacja o zatrudnieniu Niemca. Przecież właśnie wracałem z Bundesligi, więc von Heesen na pewno wiedział, na co mnie stać.

Gdy w końcu zjawiłem się nad morzem, spotkała mnie niemiła niespodzianka. W Niemczech na lotnisku zawsze czekał komitet powitalny, który zajmował się wszystkim. Teraz hala przylotów była pusta. Nie znałem nawet adresu klubu i gdyby nie zorientowany taksówkarz, zamiast na ulicę Traugutta, gdzie trenowała Lechia, pojechałbym na nowy stadion, oddalony od naszej bazy o kilka kilometrów.

Humor poprawili mi dopiero Mila z Wojtkowiakiem, którzy już na miejscu powitali mnie po staropolsku, tradycyjną półtoralitrową butelką ballantine’sa.

– To na twoje zaślubiny z morzem!

W Lechii zadebiutowałem w meczu z Koroną Kielce i rozegrałem dziewięćdziesiąt minut, tak samo jak tydzień później z Piastem Gliwice. Początek miałem jednak kiepski, byłem cieniem samego siebie. Piłka mi odskakiwała, strzelałem za słabo, a rywale zmienili się w jasnowidzów przewidujących każdy mój zwód. Powrót do Ekstraklasy okazał się więc zaskakująco bolesny – do Kolonii wyjeżdżałem jako gwiazda ligi i sądziłem, że po pięciu latach spędzonych na Zachodzie poradzę sobie w Polsce z łatwością. Zamiast na czołówki gazet trafiłem jednak na ławkę rezerwowych.

Występowałem wtedy z nietypowym dla mnie numerem dwadzieścia jeden, bo siódmkę zabrał Krasić, a siedemnastkę miał Haraslín. „Trudno, dajcie mi blackjacka” – stwierdziłem i machnąłem ręką, ale ten numer nie pasował mi tak samo jak Michaelowi Jordanowi czterdzieści pięć. Bez szczęśliwej siódemki na plecach nie byłem sobą i w kolejnych spotkaniach zaliczałem tylko ogony. Do łask von Heesena wróciłem dopiero pod koniec października. W meczu z Bruk-Betem Termalicą Nieciecza zrobiłem akcję, w której zostałem sfaulowany w szesnastce, i sędzia podyktował rzut karny. Strzeliliśmy dzięki temu zwycięską bramkę i Niemiec znów zaczął na mnie stawiać. Moja obecność na boisku zmieniła jednak niewiele;

przegrywaliśmy jedno spotkanie za drugim i niebezpiecznie zbliżaliśmy się do krawędzi przepaści.

Niestety, nie pomagał nam trener. Okazało się, że niemiecki paszport to trochę za mało, aby być drugim Jürgenem Kloppem. Zresztą trudno było spodziewać się cudów, bo przed Lechią von Heesen pracował na Cyprze i w Austrii, gdzie spuścił klub do drugiej ligi. W Gdańsku uparcie kombinował z taktyką, na treningach zachowywał się arogancko, jak mędrzec z dalekiego kraju, który naucza wioskowych przygłupów, w rzeczywistości jednak nadawał się co najwyżej do zabaw z dziećmi. Dodatkowo przez swoje wielkie ego nie potrafił dogadać się z weteranami: ze mną, Miłą, Krasiciem i „Wawrzynem”.

Ostatecznie szatnia odwróciła się od von Heesena na początku listopada. Przegraliśmy 2:3 z Ruchem Chorzów, trzy bramki straciliśmy już do przerwy, kiedy zostałem zmieniony. Po meczu byliśmy zdołowani. Przebrałem się i ze spuszczoną głową szedłem do autokaru.

- A ty gdzie? – zapytał Niemiec.
- No, do autobusu.
- Masz jeszcze rozbieganie.
- A nie możemy jutro zrobić treningu?
- *Nein* – zadekretował.

To była zagrywka poniżej pasa, cios wyprowadzony, gdy uważałem, że jest już po gongu. Ale przecież to on był szefem. Przebrałem się więc karnie, znów założyłem śmierdzącą koszulkę i poszedłem biegać. Kiedy razem z kolegami rozciągaliśmy się w narożniku boiska, dostrzegliśmy dyrektora sportowego Marka Józwiaka. Zazwyczaj wesoły „Beret” minę miał taką, jakby właśnie ukradziono mu rower.

– Rozmawiałem z prezesem. Zdecydowano, że do końca roku nie dostaniecie ani jednego dnia wolnego. Będziecie trenować do świąt. Do domów możecie jechać dopiero w Wigilię rano. Ja się z tym nie zgadzam, ale muszę wam to przekazać – powiedział, spuścił głowę i poszedł w swoją stronę. Szybko ustaliliśmy, że palce w tej decyzji faktycznie maczał nie Józwiak, a von Heesen. I wtedy stało się jasne, że jego czas jest policzony.

Niemiec poprowadził nas zaledwie w dwunastu meczach, z których przegraliśmy aż siedem. Niemal każdy nasz występ był przykładem tego, jak nie powinna grać profesjonalna drużyna. Gdy Legia Stanisława Czerczesowa przyjechała do Gdańska, nie potrafiliśmy wyjść z piłką z własnej połowy. A to nie był wyjątek. Po kolejnych fatalnych meczach Mandziara zrozumiał wreszcie, że jeśli nie chce skończyć w 1. Lidze, to szybko musi coś zmienić. I niemieckiego bajeranta odesłał za Odrę, gdzie ten już nigdy nie poprowadził żadnej drużyny.

Muszę jednak przyznać, że z nim na ławce czy bez niego grałem beznadziejnie. Nie przypominałem faceta, którego kiedyś obawiali się wszyscy ligowi obrońcy. Powrót do optymalnej formy zajął mi pół roku. Czego mi wtedy brakowało? Przede wszystkim dynamiki, pewności siebie i zaufania do własnych umiejętności. To wszystko dał mi w komplecie nowy trener Lechii, z którym już niedługo naprawdę mieliśmy powalczyć o mistrzostwo.

Madafaker z Ameryki

Piotr Nowak spokojnie mógłby grać w westernach. Czasami żartowaliśmy, że brakuje mu tylko colta u boku i kowbojskiego kapelusza. Reszta się jednak zgadzała: swobodny krok, bystre spojrzenie i cięty, często niewybredny dowcip. Do tego co jakiś czas w swoje wypowiedzi wplatał angielskie słówka, najczęściej „right” albo „motherfucker”.

– Trenerze, co dziś robimy? – pytaliśmy dziesięć minut przed treningiem.

– A co to cię interesuje, ju madafaker? Zaraz się dowiesz.

I tak codziennie.

– Co ty robisz, faking siet?

– Idziemy postrzelać, ju madafaker.

– Tu zagraliśmy naprawdę nieźle, rajt?

Nowak był jednak światowcem, na wysokim poziomie grał w piłkę w Niemczech, Turcji, Szwajcarii i Stanach Zjednoczonych. W końcu osiedlił się w USA, na Florydzie ma zresztą dom z basenem. Tam też rozpoczął pracę szkoleniowca: był asystentem słynnego Boba Bradleya, zdobył mistrzostwo z DC United, współtworzył klub

Philadelphia Union. Lechia była pierwszym polskim zespołem, który objął po tym, jak w latach dziewięćdziesiątych wyjechał z kraju.

– „Peszkin”, no jak jest? W gazie jesteś, rajt? – zapytał, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Tuż po Nowym Roku graliśmy w halowym turnieju Amber Cup, który zresztą wygraliśmy, a Nowak – jeszcze incognito – siedział na trybunach i obserwował nas czujnym wzrokiem szpiega. W pewnym momencie wpadliśmy na siebie w przeszklonej windzie i właśnie tam się dowiedziałem, że niedługo będziemy współpracować. Co prawda rundę jesienną dokończyliśmy z asystentem von Heesena, Dawidem Banaczkim, który wygrał nawet dwa mecze, ale na obóz do Turcji poleciliśmy już z Nowakiem.

Byłem ciekaw jego metod, szczególnie że w Ameryce niemal oficjalnie nazywano go dyktatorem i zarzucano mu, że na treningach zachowywał się jak wariat, nie pozwalając piłkarzom pić wody. To ostatnie nie zrobiło na mnie większego wrażenia, bo Franek Smuda też tak robił. Ale faktycznie w ostrych opiniach było sporo prawdy i w Side ćwiczyliśmy po trzy, cztery razy dziennie. Zaczynaliśmy od biegania o siódmej rano. Dopiero po tym było śniadanie. Następnie trenowaliśmy wytrzymałość, później zaczynały się intensywne gierki. Dodatkowo Nowak wymagał, żeby część z nas wieczorami chodziła na siłownię. Czasami sam wskazywał palcem tych, którzy musieli dodatkowo poprzierać ciężary. Nie mogę powiedzieć, że rzygaliśmy wtedy w krzakach jak u Franza, ale to był bardzo wymagający obóz. Najważniejsze jednak, że amerykańsko-niemieckie metody Nowaka szybko przyniosły efekty.

Nie mam żadnych wątpliwości, że gdyby *coach* prowadził Lechię od początku sezonu, skończylibyśmy na pudle. Ale przejął rozbitą i poobijany zespół, który trzeba było posklejać na szybko. I udało mu się na tyle, że wygraliśmy kilka ważnych meczów, w tym 5:0 z Podbeskidziem Bielsko-Biała (debiut Nowaka, strzeliłem w nim mojego pierwszego gola dla Lechii, i to po uderzeniu głową!), 3:1 z Piastem i 5:1 z Jagiellonią. Zremisowaliśmy też 1:1 z Legią na jej terenie. Borysiuk, który zimą przeniósł się do stolicy za milion euro, opowiadał mi później, że jak Czerczesow zobaczył nasz skład, to złapał się za głowę.

– *Ani tak budut igrat? Eta szutka ili szto?*

Ale to nie była „szutka”, czyli żart. Nowak, przyjaciel Czerczesowa z okresu wspólnych występów w Dynamie Drezno, naprawdę wystawił trzech obrońców i siedmiu ofensywnych piłkarzy – i to na Łazienkowskiej! Zero kalkulacji, żadnego bronienia się – na tym polegał jego styl. Legioniści byli tak zaskoczeni naszą brawurą, że udało się nam wywalczyć cenny remis, a później – w fazie finałowej, która rozpoczynała się po trzydziestu kolejkach – ograliśmy ich 2:0. To był mój najlepszy mecz w tamtym sezonie. Nie tylko zdobyłem cudowną bramkę po uderzeniu z siedemnastu metrów, ale jeszcze asystowałem przy trafieniu Krasicia. Zostałem wtedy MVP spotkania, ale to nie we mnie, ale właśnie w Krasiciu zakochał się Czerczesow. Rosjanin długo namawiał go na transfer, ale Serb od pełnej betonu Warszawy wolał rozgrzany piasek w Sopocie.

Tryby w naszej drużynie zaczęły pracować, bo Nowak podjął kilka sensownych decyzji. Zmienił ustawienie, do podstawowego składu wstawił „Milowego”, mózg Lechii, a jakiś czas później przesunął Krasicia ze skrzydła do środka pola, co część komentatorów uznało za przejaw szaleństwa. W rzeczywistości to był strzał w dziesiątkę, bo jak za dotknięciem magicznej różdżki zaczęliśmy atakować i dominować. W niektórych meczach mieliśmy nawet po siedemdziesiąt procent posiadania piłki.

Pamiętam moją rozmowę z Milą. Siedzieliśmy w jego apartamencie na osiedlu Neptuna, na którym obaj mieszkaliśmy, i popijaliśmy piwko.

– Do mistrzostw zostały trzy miesiące. Jak dobrze pójdzie, to we trzech pojedziemy – powiedziałem, mając na myśli siebie, Sebka i Wawrzyniaka.

Szkoda, że selekcjoner na Euro zabrał ostatecznie tylko mnie i Kubę, ale dla Lechii to i tak było wielkie wyróżnienie – jako pierwszy zawodnik w historii klubu zagrałem na wielkim turnieju. Dodatkowo Ekstraklasę skończyliśmy na piątym miejscu, do końca walcząc o awans do europejskich pucharów. Biorąc pod uwagę fakt, skąd w tę podróż wyruszał Nowak, to był niemal cud. A on wciąż miał apetyt na więcej. My zresztą też.

O bramkę od mistrzostwa

Krasić wszedł do szatni jak zwykle ostatni, rozejrzał się leniwie dookoła i rzucił, jakby sprzedawał właśnie starą sofę:

– Kto chaci pokupit porsche?

Większość z nas w ogóle na to nie zareagowała, głowy podniosło tylko kilka osób.

– Nu, kto chaci? – dopytał swoim śmiesznym polsko-rosyjsko-serbskim dialektem. Przed klubowym budynkiem stał jego nowiutki, mający może pół roku biały cayenne. Już mu się jednak znudził, a że nie miał zamiaru zawracać sobie głowy chodzeniem po dealerach czy wystawianiem auta w internecie, to postawił na sprzedaż bezpośrednią. W końcu nieśmiało odezwał się Grzesiek Kuświk.

– A ile chcesz?

– A skolko dasz?

– No nie wiem, mam sto koła – powiedział Kuświk, chociaż auto warte było trzy razy więcej.

– Dobra, brate, ty mienia dasz sto, a potem, jak coś budiesz miał, to mi dasz coś ekstra, charaszo? Sprzedane!

W taki oto sposób nasz napastnik zrobił najlepszy interes w życiu. A Krasić najpierw pojechał do salonu Mercedesa, z którego po godzinie wyjechał nowiutkim modelem, a rok później... odkupił od Kuświka swoje porsche. Za sto tysięcy.

Nigdy nie spotkałem piłkarza, który na boisku byłby tak zacięty i zdeterminowany, a poza nim miałby na wszystko tak wywalone. Krasić przypominał Greka albo Włocha, bo ciągle powtarzał „jutro”, „później”, „zaraz”. Nic mu się nie chciało, wszystko było nieistotne. Opowiadał mi kiedyś, że raz dostał list z informacją, że ma konto w tureckim banku. Poprosił kolegę, żeby sprawdził, czy to prawda, a jeśli tak, czy coś tam leży. Okazało się, że leży – osiemset tysięcy euro! Gdy „Kraso” to usłyszał, wrzuszył ramionami, jakby chodziło o dwie dychy.

– Brate, ja nawet nie znaju, skąd tam tyle jewro...

Był niepowtarzalny.

Serb uwielbiał wychodzić do knajp i restauracji, jego życie wyznaczał rytm miasta. Znał jak własną kieszeń nie tylko Gdańsk, ale i Sopot, w którym zamieszkał. Gdy jednak musiał coś załatwić, najczęściej dzwonił do Haraslína, który pomagał mu w prostych sprawach. Jeśli Krasić chciał założyć kablówkę, ogarniał to Lukáš.

Jeśli potrzebował nowych głośników, też dzwonił do Słowaka. Pewnego dnia „Kraso” wziął go do sypialni swojego apartamentu, wyjął spod łóżka kartonowe pudełko po butach i je otworzył. „Brate, to za twoją pomoc, bierz, który chcesz” – powiedział, oferując kumplowi jednego z kilku oryginalnych rolexów.

Cały luz zniknął jednak, gdy Miloš wychodził na murawę. Wtedy przechodził metamorfozę, jakby chwilę wcześniej wskoczył do budki telefonicznej i założył strój Supermana. Biegał, walczył, przepychał się, robił nawet wślizgi na sztucznej murawie. Z piłką przy nodze był demonem – nie dało mu się jej odebrać, nawet jak trenował z rozsznurowanymi butami, co zdarzało się regularnie. Dzięki wielkim umiejętnościom został jednym z architektów sezonu, w którym byliśmy o bramkę od wygrania ligi. Po przesunięciu do środka pola odżył, bo nie musiał już ścigać się na skrzydle z młodszymi ogierami. Zamiast tego wykorzystywał technikę i doświadczenie, które przez lata zbierał w Rosji, Włoszech, Francji czy Turcji. Dodatkowo Nowak dał mu opaskę kapitana, co okazało się świetnym ruchem, bo „Kraso” szanowali wszyscy. A i jemu chciało się wtedy jeszcze bardziej.

Nowaka na tle innych trenerów wyróżniało to, że posiadał konkretny plan, jak rozjechać Ekstraklasę. Udowodnił to w meczu z Legią, gdy zaskoczył Czerczesowa, pokazał to także w kolejnych spotkaniach. Za każdym razem chciał narzucać rywalom nasz styl. Wymyślił na przykład, że będziemy grać „umbrellą”, czyli parasolką. Mieliśmy zamykać przeciwnika w hokejowym zamku i tak długo podawać po obwodzie od lewej strony do prawej i z powrotem, aż pojawi się przestrzeń, w którą będzie można wcisnąć piłkę.

– *Umbrella, umbrella!* – krzyczał w trakcie meczów Nowak, wymagając kolejnego obłężenia pola karnego rywala. Działo i po raz pierwszy na pozycji lidera ligi znaleźliśmy się już pod koniec sierpnia.

Efektowną grę docenili kibice, którzy w końcu zaczęli chodzić na Stadion Energa (dziś to Polsat Plus Arena). W Gdańsku zawsze był problem z frekwencją, bo ludzie nad morzem mają sporo ciekawych rzeczy do roboty: plażę, kawiarenki, dyskoteki, galerie handlowe, mogą też kibicować siatkarzom Trefla czy żużlowcom Wybrzeża.

Wtedy jednak na nasze mecze zaglądało po piętnaście, a czasem dwadzieścia tysięcy fanów. Rekord padł na meczu z Legią, gdy przyszło blisko czterdzieści kół! Nie ma się jednak co dziwić, bo graliśmy efektownie i efektywnie; w fazie finałowej pokonaliśmy 4:0 bardzo mocną Jagę, która przewodziła ligowej stawce (w tym meczu zaliczyłem dwie asysty). Takim samym wynikiem zakończyło się spotkanie z Pogonią Szczecin. Pamiętam je dobrze, bo w pewnym momencie goście wychodzili z niebezpieczną kontrą, a ja na sprincie przebiegłem czterdzieści metrów i wślizgiem wybiłem piłkę Spasowi Delewowi, za co kilkanaście tysięcy widzów nagrodziło mnie owacją na stojąco.

Byłem wtedy w topowej formie. W trakcie całego sezonu zanotowałem dziesięć asyst i zdobyłem trzy bramki. Mój dorobek mógłby być okazalszy, gdyby nie poważna kontuzja mięśniowa, której doznałem jesienią. Na nogi stawiała mnie wtedy słynna Marijana Kovacević, lekarka z Belgradu, którą polecił mi „Kraso”. Jego rodaczka leczyła niekonwencjonalnie: za pomocą prądu albo... łożyska klaczy. Z jej usług korzystali giganci futbolu: Diego Costa, Robin van Persie czy Frank Lampard. A nawet słynny tenisista Novak Đoković.

– Brate, to magia, zobaczysz, wsio budiet charaszo – zapewniał Miloš i w końcu namówił mnie na podróż do Serbii.

Jeśli mam być szczerzy, to na miejscu spodziewałem się ukrytego w gęstym lesie szałasu na kurzej nóżce, przed którym znachorka gotowałaby coś w garze nad ogniskiem. Zamiast tego trafiłem do zwykłego gabinetu, niczym nieróżniącego się od podobnych miejsc w Polsce, w którym zadbana brunetka z dużymi oczami obłożyła mi nogę łożyskiem, a potem skasowała mnie na pięćset euro.

Do Belgradu wybrałem się na trzy dni, razem ze mną był jeszcze inny lechista, Bartek Pawłowski. Poza zabiegami mieliśmy masaże i rehabilitację w basenie. Zajmowało to jednak tylko kilka godzin dziennie, więc szybko zaczęło nam się nudzić i rozpoczęliśmy zwiedzanie miasta. A że stolica Serbii to żaden Paryż, to w końcu trafiliśmy do kasyna. Tam problemem okazała się wymiana euro na miejscowe dinary. To znaczy sama wymiana nie była kłopotem, ale przeliczanie pieniędzy już tak. W pewnym momencie po prostu kładliśmy na stole kupki kolorowych banknotów i obstawialiśmy

czarne lub czerwone. Kiedy jednak dookoła nas pojawili się Serbowie w skórzanych kurtkach, którzy nie wyglądali, jakby po wojnie na Bałkanach mieli czyste sumienia, wróciliśmy do hotelu i spędziliśmy tam resztę czasu.

A co z efektem leczenia doktor Kovacević? Cóż, trochę mi pomogło i przyspieszyło gojenie się urazu, ale jeśli mam być szczerzy, to żadnych czarów w tym nie dostrzegłem. Za to uszczuplony o kilka tysięcy złotych stan konta już tak.

W Gdańsku dowiedziałem się, czym tak naprawdę są derby. W Poznaniu nigdy nie zagrałem przeciwko Warcie, w Kolonii rywalizowałem co prawda w derbach Nadrenii Północnej-Westfalii z Borussią Mönchengladbach, ale przy gorącej jak wrzątek walce o prymat w Trójmieście to była co najwyżej letnia herbata.

Nad morzem od razu zaczęło się z grubej rury. Nie zdążyliśmy zaparkować pod stadionem Arki Gdynia, która po pięciu latach wróciła do Ekstraklasy, a na nasz autokar spadł deszcz kamieni i butelek. Wcześniej słyszałem opowieści o takich incydentach od kolegów grających w lidze tureckiej, ale teraz doświadczyłem tego na własnej skórze. I nie było to przyjemne.

Zaraz po pierwszej salwie autokar wycofał się o kilkanaście metrów i przez kolejne dwadzieścia minut siedzieliśmy w milczeniu, czekając na policję. Dopiero kiedy przyjechały radiowozy, a ochroniarze osłonili nas wielkimi parasolami, zaczęliśmy pojedynczo wybiegać do klubowego budynku. Nigdy wcześniej ani później nie obrzucono mnie tyłoma „kurwami”. Chujami okazali się nawet stewardzi, którzy złośliwie podstawiali nam nogi, żebyśmy się wywracali. Nawet w derbach Krakowa – w których grałem jako piłkarz Wisły – było kulturalniej. W Gdyni nienawiść dosłownie unosiła się w powietrzu. Jakby emocji było mało, tuż przed meczem do naszej szatni wszedł Mandziara i powiedział:

– Jeśli wygracie, płacę dodatkowe dwieście tysięcy do podziału na drużynę.

Oho, tak rodzaj motywacji to ja lubię. Ogień w oczach mieli jednak także nasi rywale. Jeszcze w tunelu Krzysztof Sobieraj, doświadczony obrońca Arki, który częściej korzystał z łokci niż z talentu, zaczął ryczeć jak zwierzak:

– Kuuuurwa, jedziemy z nimi!

– Jebnij się w łeb, człowieku. Pojechać to możesz ze swoją rodziną na wakacje, a nie z nami – powiedziałem mu prosto w twarz, chociaż on udawał, że mnie nie słyszy.

Cyrki działały się także w trakcie meczu. Na przykład kibole Arki powiesili na płocie dmuchaną lalkę z sex shopu w koszulce „Milowego”. Nasi fani natomiast szturmowali pleksę, która odgradzała ich od murawy, i niewiele brakowało, aby mecz został przez to przerwany. Na szczęście derby dograliśmy do końca; padł w nich remis 1:1, a ja zaliczyłem asystę przy голу Marco Paixão.

W rewanżu na naszym stadionie zwyciężyliśmy 2:1, a ja kolejny raz szalałem na murawie. W drugiej połowie przechwyciłem źle wybitą piłkę, przebiegłem z nią dwadzieścia pięć metrów i strzeliłem kluczową bramkę, chociaż w statystykach zapisana jest ona jako samobój Michała Marcjanika. Nic mnie to jednak nie obchodziło, liczyło się tylko to, że dzięki temu trafieniu w Trójmieście rządziła Lechia!

Sezon później graliśmy z Arką trzykrotnie – także w fazie finałowej Ekstraklasy – i wygraliśmy wszystkie trzy spotkania. W dwóch z nich nie wystąpiłem – z powodu kontuzji i zawieszenia za kartki – ale w trzecim, najbardziej efektownym, bo wygranym aż 4:2, strzeliłem gola. Przy okazji tego meczu wybuchła gównoburza, bo przechodząc obok trybuny, kopnąłem dmuchaną lalę, tym razem ubraną w koszulkę Arki. Niektórzy kibice mieli do mnie o to pretensje, ale taki jest właśnie klimat derbów – kto w nich nie grał, nie zrozumie. Dla mnie istotniejsze od urażonych uczuć kilku fanów z Gdyni jest to, że gdy byłem na boisku, Lechia nigdy z Arką nie przegrała.

Cieniem na tamten sezon rzucają się niestety moje żółte i czerwone kartki – zebrałem ich aż trzynaście. Szczególnie jedna z nich ciągnie się za mną do dziś. Dostałem ją w meczu z Lechem. I to na Bułgarskiej...

Generalnie w Poznaniu wypadałem blado. Potrafiłem tam grać tylko w niebieskiej koszulce, w biało-zielonej miałem już problem. Sam sobie zresztą nie pomagałem, tak jak piątego marca 2017 roku, gdy pod koniec pierwszej połowy spotkania z Kolejorzem Tomek Kędziora podszedł do leżącego Rafała Wolskiego.

– Wstawaj, kurwa, nie udawaj.

Stałem w obronie kolegi.

– Ty, odpierdol się od niego. Jak ty się odzywasz?

– Wypierdalaj, debilu – warknął Kędziora.

„O, to gnojek bezczelny” – pomyślałem. I zaraz po gwizdku kończącym pierwszą połowę złapałem szczyla za ucho.

– Małolat, szanuj mnie, bo trochę więcej tu przeżyłem niż ty – wyjaśniłem Kędziorze jak surowy belfer, ale sędzia Szymon Marciniak nie docenił walorów edukacyjnych tego zachowania i ukarał mnie żółtą kartką. Chwilę później wdałem się w ostrą sprzeczkę z Nenadem Bjelicą, trenerem Lecha, który miał do mnie pretensje, że po rzucie sędziowskim kopnąłem piłkę w kierunku bramki poznaniaków. Chorwat strasznie się zagotował i za karę Marciniak wyrzucił go na trybuny.

Od początku drugiej połowy lechici mieli jasny plan – chcieli mnie sprowokować. Świetnie wiedzieli, że jeśli się postarają, to w końcu eksploduję... Przodowali w tym Kędziora i Jan Bednarek, którzy przez cały czas rzucali w moim kierunku gówniarskie teksty. I w końcu osiągnęli, to co chcieli. Dostałem piłkę i zobaczyłem czekającego na mnie „Kendiego”. Zastawiłem się, on mnie zaatakował i w tym momencie wykurwiłem z łokcia prosto w twarz, o mało nie łamiąc mu nosa. Przyznaję, zrobiłem to celowo. Była końcówka meczu, przegrywaliśmy 0:1, a Tomek chwilę wcześniej złośliwie stanął mi na stopie. I z frustracji wyłączył mi się zdrowy rozsądek, tak jak rok później w Białymstoku, gdy bandycko kopnąłem Novikovasa.

Tamten mecz był zresztą chuliganką w piłkarskim wydaniu, w mediach pisano nawet o Bitwie Poznańskiej. Za kopnięcie leżącego Bednarka z boiska wyleciał także Kuświk, po mnie czerwien zobaczył siedzący na ławce bramkarz Vanja Milinković-Savić, młodszy brat grającego w Lazio Sergeja, który nigdy nie przepuścił okazji, aby pokłócić się z przeciwnikiem.

Najbardziej – co za niespodzianka – dostało się jednak Peszce. Komisja Ligi ukarała mnie trzema meczami zawieszenia. Nie czułem się specjalnie winny i nie zamierzałem przeproszać Kędziory, bo sam zapracowałem na tamtego łokcia. Jakiś czas później spotkaliśmy

się na zgrupowaniu reprezentacji, gdzie od razu wziąłem go na stronę.

– I co, zadowolony jesteś, że mnie zawiesili? Mówiłem, że jeszcze się spotkamy. Teraz też chcesz pokazać? – zapytałem.

Nie chciał. Zrobił się czerwony i poszedł do pokoju.

Losy mistrzostwa miały zdecydować się w ostatniej kolejce. My graliśmy na Łazienkowskiej z Legią, a w Białymstoku Lech mierzył się z Jagą. I każda z tych drużyn mogła wygrać ligę. Tytuł był w naszych nogach – gdybyśmy wygrali w Warszawie, a Lech zremisowałby z Jagiellonią, mielibyśmy złote medale. Nowakowi przed finiszem zabrakło jednak jaj i dał nam najgorszą możliwą radę: „Grajcie na remis”. A przecież w poprzednich dziesięciu meczach zdobyliśmy szesnaście bramek, tracąc tylko pięć! Trener powinien wtedy klepnąć w dupę mustanga, którym byliśmy, i dać nam rozdeptać rywala. Zamiast tego Nowak złapał za lejce.

Po czterdziestu pięciu minutach remisowaliśmy z Legią 0:0, a Kolejorz prowadził 2:0. To utwierdziło naszego szkoleniowca w przekonaniu, że trzeba zachować spokój. W szatni powiedział tylko:

– Lech pewnie będzie mistrzem. Już tego nie wypuszczą, faking siet. A żeby załapać się do pucharów, musimy utrzymać wynik, rajt? Więc dalej gramy mądrze, spokojnie i nie szarpiemy bez sensu...

Nie kupowałem tego zachowawczego podejścia, podobnie jak kilku bardziej doświadczonych chłopaków, w tym Mila. Ale skoro mówił tak nasz dowódca, widocznie tak trzeba było grać. Minuty więc mijały i realizowaliśmy plan Nowaka. W trakcie drugiej połowy nikt nie informował nas jednak o tym, co działo się w Białymstoku. I finalnie, tak jak Nowak chciał, zremisowaliśmy 0:0. Tylko że w tym czasie Novikovas i Jacek Góralski z Jagi zdobyli bramki, zabierając tytuł Lechowi, a nam zabierając puchary!

Do dziś mam przed oczami widok Artura Jędrzejczyka, Michała Pazdana i kilku innych kolegów, którzy na monitorze w tunelu oglądali ostatnie dwie minuty meczu toczącego się na Podlasiu. A później jak wariaci skakali po murawie, ciesząc się z tytułu. Chciało mi się wtedy beczeć. Wystarczyło strzelić jednego gola i to my świętowalibyśmy mistrzostwo. Zamiast tego zostaliśmy frajerami

sezonu i śmiał się z nas cały kraj, bo ani nie wygraliśmy ligi, ani nie awansowaliśmy do pucharów. Wywaliliśmy się na ryj metr przed metą. My, drużyna, która przez cały sezon była o krok od tytułu, która przez siedemnaście kolejek znajdowała się na czele tabeli. Sami podstawiliśmy sobie nogę, chociaż właściwie zrobił to Nowak.

Szkoda, że w tym kluczowym momencie trener nie okazał się prawdziwym kowbojem. A przed meczem był tak pewny siebie... Po raz pierwszy kazał nam założyć garnitury, poprosił też Mandziarę o samolot zamiast autokaru. Do Warszawy poleciliśmy zresztą dopiero w dniu meczu. Nic to jednak nie dało. Przygotowana feta okazała się stypą, a garnitury założyliśmy na swój własny piłkarski pogrzeb...

Jakby tego było mało, kolejny raz dostałem czerwień. Tym razem nie zrobiłem tego złośliwie – po prostu spóźniłem się z interwencją i wyprostowaną nogą brutalnie sfaulowałem Vadisa Odjidję-Ofoe, najlepszego piłkarza Ekstraklasy. Później przeprosiłem za to Belga, do dziś nie mogę patrzeć na ten faul, ale Komisja Ligi miała mnie od dawna na celowniku i od razu wlepiła mi cztery mecze kary. Kolejny sezon miałem więc zacząć na trybunach.

Burza nad morzem

Stracona szansa całkowicie rozbiła nasz zespół. Złe rzeczy zaczęły dziać się także z Nowakiem, który zmieniał się na gorsze. Wymyślił na przykład, że on i cały jego sztab będą siedzieć na... końcu autokaru. Na całym świecie ostatnie fotele zarezerwowane są dla starszyny, ale trener stwierdził, że postawi tę zasadę na głowie i wyśle nas wszystkich bliżej kierowcy. Kazał też wyciągnąć krzesła z pomieszczenia fizjoterapeutów, gdzie często siadało się na kawie i rozmawiało z tymi, którzy akurat leżeli na stole i się masowali. Nikomu to nie przeszkadzało, wręcz przeciwnie – rozmowy budowały atmosferkę – ale Nowakowi zaczęło to przeszkadzać. Szybko doszły do nas słuchy, że te wszystkie ruchy miały na celu... rozbić składającą się z doświadczonych zawodników grupy spiskowców, która – zdaniem naszego szkoleniowca – chciała go zwolnić. Co oczywiście było totalną bzdurą.

Trener zaskoczył nas także na imprezie wigilijnej w Dworze Oliwskim, gdzie odpiął wrotki. Wcześniej powtarzał, że jest niepijący, a już na pewno nie pije z zawodnikami. Kiedy przyłapał kogoś na spożywaniu alko, biegł do Mandziary i się skarżył. Dałoby się to nawet zrozumieć, gdyby był konsekwentny. Ale na tamtej Wigilii poczuł się tak pewnie, że wychlał ze dwa wiadra piwa, wina czy whisky, wszystko mieszając. On bawił się świetnie i tańczył do rana, a kilku z nas zaczęło się drapać po głowie i zastanawiać: co się stało z gościem, który rok temu trafił do naszych serc i umysłów?

Atmosferę psuły też problemy finansowe klubu, które nawarstwiały się od dłuższego czasu. Kasa, a właściwie jej brak, była w Lechii tematem codziennym, bo cały czas istniały jakieś zaległości. Zaczynało mnie to wkurwiać – ile można czekać na forszę? Zresztą nad morzem na czas dostałem tylko dwie pensje – pierwszą i drugą. Co prawda na koniec wszystko było regulowane, ale dopiero wtedy, gdy zbliżał się termin uzyskania licencji na kolejny sezon.

Irytowało mnie to podwójnie, bo przecież w 2016 roku razem z Wawrzyniakiem pojechaliśmy na Euro, gdzie nie tylko doszliśmy do ćwierćfinału, ale jeszcze zarobiliśmy dla Lechii kupę szmalu. Za nasz pobyt na turnieju UEFA przelała na gdańskie konto dwa miliony złotych. Dwa lata później dorzuciłem do klubowej puli kolejną bańkę za wyjazd na mundial. Oczywiście nikt z tego tytułu nie wypłacił mi choćby części zaległych pensji. A od każdej należało zapłacić skarbowce podatek liniowy i podatek VAT. Przy stówce miesięcznie dawało to ponad czterdzieści koła od faktury. A czasem chodziło nawet o trzy faktury! Co prawda ja, Mila czy Krasić mogliśmy sobie pozwolić na wyłożenie takiej kasy, ale co mieli powiedzieć młodszy zawodnicy? Normalką było więc pożyczanie pieniędzy. Chociaż pożyczki w szatni to fatalny pomysł, sam kilkakrotnie dawałem chłopakom po pięć czy dziesięć tysięcy złotych, bo koledzy musieli przecież mieć na żłobek dla dziecka czy paliwo.

Kiedyś dyskusja o zaległościach zmieniła się w prawdziwą bójkę. I to z „Milowym”! Zaczęło się niewinnie, gdy po jakimś meczu ja, Sebastian, Wojtkowiak, Wawrzyniak i Błażej Augustyn poszliśmy do pokoju fizjoterapeutów na drinka. Rozmawialiśmy, pijąc whisky; okazało się, że Mila, nie wiadomo dlaczego, nagle zaczął bronić Mandziary. Podpaliłem się i zacząłem go prowokować:

– Nie widzisz, co tu się dzieje? Że nam nie płacą, że na wszystko brakuje pieniędzy? Że prezes ciągle mówi, że kasa już jest, a później i tak nie ma przelewów? Że ciągle nas robią w chuja? Nie przeszkadza ci to?!

Prowokacja okazała się skuteczna, bo po chwili zaczęliśmy się wyzywać, aż w pewnym momencie nie wytrzymałem i rzuciłem w kierunku Sebastiana szklankę, która rozbiła się o ścianę. Mila wstał, podszedł do mnie, a ja... dałem mu w mordę. I zaczęła się prawdziwa walka. Pomiedzy nas od razu wskoczyli Kuba i Grzesiek; w końcu się uspokoiiliśmy, chłopaki nas puścili, a my znów się na siebie rzuciliśmy. W ruch poszły ręce i nogi, a że byłem zaprawiony w ulicznych bójkach, to złapałem „Milowego” w stylu Mameda Chalidowa i zacząłem go dusić. Zadyma skończyła się jednak remisem.

– Ania, pobitem się z Sebkiem... – powiedziałem, gdy godzinę później przekroczyłem próg mieszkania. – Napierdalaliśmy się, i to tak na serio.

– O co? – zapytała moja żona z niedowierzaniem.

– No właśnie sam nie wiem...

Rano trzeba było sprawę wyjaśnić. Spotkaliśmy się w szatni. Mila miał podbite oko, do tego siną szyję po duszeniu. Kiedy usiadłem na ławce, popatrzyłem na niego i wybuchłem śmiechem. Współczułem mu, ale widok był tak abstrakcyjny – mój spokojny zazwyczaj kumpel wyglądał, jakby poprzedniego dnia stoczył walkę w klatce – że nie mogłem się powstrzymać.

– Kurwa, Seba, co nam odjebało? – zapytałem w końcu. On też nie miał pojęcia.

Dziś wydaje mi się, że destrukcyjnie zadziałała na nas mieszanka alkoholu, frustracji i zmęczenia. Dzień później – kiedy ciśnienie z nas zeszło – problem zniknął. Podaliśmy sobie ręce i umówiliśmy się, że po treningu pojedziemy do niego na piwo. I tak temat się zakończył. Niestety z zaległościami równie łatwo nie poszło.

Powoli psuły się nie tylko atmosfera, ale i wyniki. W pierwszych kolejkach Ekstraklasy nie wystąpiłem z powodu kary po faulu na Odjidji-Ofoe. Po zawieszeniu od razu wróciłem na boisko – dostałem nawet od Nowaka opaskę kapitana – ale i tak szło nam fatalnie. Na

dodatek w spotkaniu z Wisłą uszkodziłem kolano, przez co wypadłem z gry aż do listopada.

Gdy wróciłem do zdrowia, w Lechii sporo się pozmieniało. Przede wszystkim Nowak przestał być naszym trenerem. Ale choć zwolniono go za słabe wyniki, to pozostał w klubie na stanowisku dyrektora sportowego. Wśród jego zadań było między innymi nadzorowanie pracy nowego szkoleniowca, Adama Owena, który wcześniej pełnił funkcję jego asystenta. Jakby ten eksperyment nie był już wystarczająco osobliwy, to Owen – specjalista od przygotowania fizycznego, który w przeszłości pracował w Celticu Glasgow czy reprezentacji Walii – nigdy wcześniej nie funkcjonował jako pierwszy szkoleniowiec. Bardziej niż trenera przypominał naukowca albo wykładowcę akademickiego. A Mandziara nakazał mu ugasić pożar, chociaż Owen wąż gaśniczy widział tylko na filmach o strażakach.

Muszę jednak przyznać, że choć Owen nie okazał się wielkim trenerem, to przynajmniej był przyzwoitym człowiekiem. Przekonałem się o tym kilka miesięcy później, po innym spotkaniu z Wisłą, w którym strzeliłem bramkę dającą nam remis. Odwiedził mnie wtedy Paweł, kumpel z Warszawy, z którym po meczu pojechaliśmy do mojego mieszkania na drinka. Posiedzieliśmy do pierwszej w nocy, wypijając dwie butelki czerwonego wina, i zaczęliśmy się zbierać. W pewnym momencie na wyświetlaczu mojego telefonu pojawił się numer stacjonarny. Byłem pewny, że to taksówka, którą zamówiłem Pawłowi kwadrans wcześniej, więc odebrałem. Po drugiej stronie odezwał się znajomy głos – ten ktoś przedstawił się jako „Wiśnia”, czyli Łukasz Wiśniowski z kanału Łączy nas piłka. A że humor miałem doskonały, to zacząłem się wygłupiać. „Nie przerywaj mi, jak polewam, łobuzie” i takie tam. Gdy po dwóch minutach rozmowa się skończyła, zadzwonił Sebastian Staszewski, współautor tej autobiografii.

– Sławek, przecież to nie był „Wiśnia”... – powiedział, a mnie zmroziło.

Dopiero po chwili dostrzegłem wiadomości otrzymane w trakcie tej rozmowy od znajomych: „Rozłącz się!”, „Wkręcają cię”, „To Weszło dzwoni!”. Okazało się, że młody dziennikarz radia Weszło FM podszył się pod Wiśniowskiego i wkręcił mnie w audycji nadawanej

na żywo w internecie. To jednak nie było dziennikarstwo, a zwykłe kurestwo, z którego zasłynęło Weszło. Jakby tego było mało, gówniarz próbował mnie wypuścić na Kamila Glika, który tego wieczora – jak zapewniał – też się napił. „Gliksona” strasznie to ruszyło i nie odpuścił; chłopak musiał za karę wpłacić pieniądze na cel charytatywny. Mnie też po jakimś czasie próbował przeproszać, podszedł nawet podczas gali „Piłki Nożnej” i wyciągnął rękę na zgodę, ale nie miałem ochoty z nim rozmawiać i po prostu go splawiłem.

Następnego dnia Owen wziął mnie na rozmowę i zapewnił, że nic się nie stało.

– Jestem po twojej stronie, niczym się nie martw – stwierdził.

Porządnie zachował się także Nawałka, do którego zadzwoniłem, żeby przeprosić za całą sytuację.

– Nie przejmuj się prowokacją jakiegoś szczura. Zapomnij o tym i rób swoje – powiedział selekcjoner.

Problem z nocnym telefonem miał tylko Janusz Melaniuk, nowy dyrektor sportowy, który tydzień wcześniej zastąpił zwolnionego na dobre Nowaka. Uznał, że działałam na szkodę wizerunku klubu i musi ukarać mnie grzywną.

– Co ja wam zrobiłem? Że dałem się wkręcić? No, dałem – od razu naskoczyłem na Melaniuka. – A jak byłem na Euro, to też psułem wam wizerunek? Jak wysyłacie mnie do szkół i szpitali na akcje marketingowe, to jest źle? Nikt za to nawet nie podziękuje. Ale gdy tylko zdarzy się okazja, to chcecie mnie karać. To normalne?

Janusz trochę się zdziwił i szybko zakończył naszą rozmowę. Chyba później przemyślał sprawę i postanowił odpuścić, bo już nigdy do niej nie wrócił.

Niestety pocziwy Owen zbyt długo w Gdańsku nie popracował. Na szesnaście meczów wygrał tylko cztery i po kilku miesiącach musiał pakować walizki. Drużyna pod jego wodzą była trochę jak sam trener – fajna, sympatyczna, ale bez ikry. I Mandziara uznał, że potrzebny jest nam wstrząs.

Początek końca

Stokowiec został nowym trenerem Lechii piątego marca 2018 roku. Pochodzący z Kielc szkoleniowiec miał już za sobą pracę w Polonii Warszawa i Jagiellonii, a z Zagłębiem Lubin awansował nawet do europejskich pucharów. W teorii ruch ten wyglądał dość obiecująco. W praktyce wręcz przeciwnie – w moich oczach okazał się człowiekiem małostkowym, który nie potrafi współpracować z mocnymi osobowościami.

– Przestańcie się lizać po fiutach. Za sielankowo tu macie. Teraz zobaczycie, jak się pracuje. Musicie w końcu dźwignąć swoje kontrakty – powiedział już pierwszego dnia. I jeśli mam być szczery, od razu poczułem, że czekają nas trudne chwile.

Stokowiec jest jednak przebiegły. Mimo braku sympatii nie mogę mu odebrać inteligencji, z jaką stawia kolejne kroki. Tuż po wejściu w styl szeryfa zrobił zmyłkę. Wziął na rozmowę Milę, z którym jako piłkarz grał przez chwilę w Grodzisku Wielkopolskim, i naobiecował mu cudów nie z tej ziemi.

– Powiedział, że mnie odbuduje, ty też będziesz miał u niego zajebiście. Gość ma szacunek do starszych piłkarzy, będzie dobrze – przekazał nam Seba, nie mając pojęcia, jak naiwna była to wiara.

Jednak na początku Stokowiec nas potrzebował. Miał utrzymać Lechię w lidze, więc gdybyśmy spadli, zapewne poleciałaby i on. W pierwszych tygodniach maskował więc swój charakter i wysyłał w naszym kierunku pozytywne sygnały, chociaż im bliżej było szczęśliwego zakończenia, tym robiło się dziwniej. Na finiszu rozgrywek obiecał na przykład Wawrzyniakowi, że po utrzymaniu klub przedłuży z nim kontrakt, po czym poszedł do Mandziary i powiedział, że Kuby w drużynie nie chce. Mnie potrafił objąć czule jak przyjaciela i powiedzieć: „Sławuś, no jak tam twój bentley, ile pali?”. A dzień później szeptał w gabinetach, że za dużo zarabiam.

Po latach myślę, że Mandziara albo ktoś z klubu musiał pokazać Stokowcowi listę naszych pensji. Jeśli to prawda, był to ogromny błąd. Przez kolejne miesiące trener cały czas czepiał się nas w sprawie pieniędzy. Tak jakby to była nasza wina, że sam podpisał umowę za mniejszą kasę niż nasza. Pamiętam, jak przed jakimś treningiem powiedział do Wawrzyniaka: „Zamiast gadać, spójrz lepiej

w swój PIT”. Zawsze wygadanego i mającego pod ręką celną ripostę Kubę zamurowało.

– Trenerze, ale przecież to moja praca. Sam sobie tego kontraktu nie dałem, nie ja sobie płacę – wydukał w końcu „Wawrzyn”, a ja stanąłem w jego obronie.

– A co się trener przypierdala? To pan jest trenerem czy dyrektorem finansowym? – zapytałem. – Wawrzyniak pojechał na Euro, przyniósł do Lechii milion złotych i sam zapracował na swój kontrakt. A pan coś do klubu przyniósł?

Moja bezczelna odpowiedź chyba Stokowca zdziwiła, bo od razu się zamknął. Widział zresztą nasze jarzące się od wkurwienia oczy.

Dyskusje o kasie pojawiały się jednak regularnie. Innym razem, jakoś przed świętami Bożego Narodzenia, trener wszedł do szatni i zaczął swój pseudomotywacyjny wywód:

– Sprawy finansowe musicie oddzielić od tego, co się dzieje na boisku. Nie możecie ciągle narzekać na to, że wam nie płacą. To naprawdę taki problem, że trochę poczekać? Przecież na końcu i tak przeleją wam kasę.

Jestem pewny, że w tamtym momencie większość kolegów zastanawiała się w myślach, co on pierdoli.

– A trenerowi płacą na czas? – zapytałem w końcu, bo któż inny mógłby się w takiej sytuacji odezwać.

– No, płacą – przyznał bez wstydu.

W szatni zapanowała niewygodna cisza. Wszyscy mieli na końcu języka najgorsze epitety, ale woleliśmy milczeć. Spojrzeliśmy jednak na Stokowca jak na ostatniego idiotę. Ten typ nie tylko bezczelnie zajmował się naszymi pensjami, ale jeszcze robił to, dostając regularne przelewy.

Powracające gadki o zarobkach powodowały coraz większe napięcia. A że najwięcej zarabiali najbardziej doświadczeni, czyli najstarsi gracze, to oni jako pierwsi popadli w otwarty konflikt ze Stokowcem.

Pierwszą ofiarą został Paixão, król strzelców poprzedniego sezonu. „Stoki” jeszcze w marcu skasował go za to, że Portugalczyk w wolną niedzielę nie stawił się na rehabilitacji, tylko poleciał do ojczyzny. Wcześniej Marco nie zagrał w meczu rezerw, bo zgłosił uraz. Trener podejrzewał, że tylko symuluje, więc w wolny dzień

nakazał mu przyjść na ćwiczenia. Paixão tego nie zaakceptował, bo uważał, że wolne to wolne, więc Stokowiec nie zaakceptował jego dalszej gry w Lechii. Najpierw odsunął go od pierwszego zespołu i posłał do ćwiczenia z juniorami, a później oddał do drugiej ligi tureckiej, gdzie Marco trzy razy z rzędu został najlepszym strzelcem rozgrywek.

Krwawa lista Stokowca jest jednak znacznie dłuższa. Poza Paixão znaleźli się na niej także Wawrzyniak (mimo obietnicy nie przedłużono z nim kontraktu), Augustyn (ta sama sytuacja, później zesłany do rezerw), Wojtkowiak (także wysłany do rezerw, gdzie grał ponad rok), Wolski (rozwiązał umowę, bo klub miał wobec niego zaległości, ale też zdążył popaść w konflikt ze Stokowcem) czy Artur Sobiech (zesłany do rezerw, ostatecznie sprzedany do Turcji).

Stokowiec nie oszczędził nawet szanowanego przez wszystkich Krasicia; trener bez słowa wyjaśnienia obwieścił mu, że nie chce go w drużynie. Nie zabrał go nawet na obóz do Cetniewa, żeby sprawdzić, czy „Kraso” jeszcze się do czegoś nadaje. A gdy Miloš odmówił podpisania papierów rozwodowych, wysłano go – jakżeby inaczej – do rezerw. Facet mający na koncie blisko pięćdziesiąt meczów w reprezentacji Serbii – i zarabiający miesięcznie ponad sto tysięcy złotych – biegał po pastwiskach w Kolbudach i Lipuszu.

– Brate, jak ja igrał w Serie A, to Antonio Conte mówił, że chce mnie Real Madryt. Dzwonili do niego i pytali, czy mnie puści. Nu, a siejczas Stokowiec traktuje mnie jak gówno... Nie panimaju tego, brate, nie panimaju... – żalił się czasami „Kraso”, który niedługo później zakończył swoją piękną karierę.

Ktoś może powiedzieć, że jestem do Stokowca uprzedzony. To prawda, nigdy nie zostaniemy kolegami. Spójrzmy jednak na fakty: facet w ciągu kilku sezonów skasował niemal wszystkich zawodników z jajami, dodatkowo samych reprezentantów. Przypadek? Nie sądzę. Stokowiec nie jest złym szkoleniowcem. Ma warsztat, potrafi przeprowadzić ciekawy trening. Ale jednocześnie uważam, że ma też trudny charakter, który odpowiada wszystkim stereotypom dotyczącym rudego koloru włosów. Słyszałem od jego znajomych, że przy piwku to świetny gość, który sypie anegdotami jak z rękawa. Ja nie miałem okazji się o tym przekonać. Pamiętam za to jego błękitne oczy, w których dostrzegałem tylko fałsz. W twarz

mówił mi jedno, za plecami robił coś innego. Ciągłe na kogoś donosił. Bez przerwy wtykał nos w nie swoje sprawy. Przez całą karierę nie spotkałem nikogo, komu tak łatwo przychodziłoby robienie świństw. Gdyby nie to wszystko, Stokowiec mógłby pracować w topowych polskich klubach. Ale pewnie nigdy do tego nie dojdzie, bo w każdym z nich są gracze zarabiający wielką kasę i mający jeszcze większe ego. A z takimi ludźmi „Stoki” potrafi tylko walczyć.

Nie jest więc żadną niespodzianką, że nie umiał dogadać się także ze mną. Ze wszystkich wad świata miałem tę, która Stokowca najbardziej irytowała: mówiłem, co myślę, bez kalkulacji i aktorstwa. To zupełne przeciwieństwo postawy trenera. Przecież po spięciu z Kalkowskim mógł wziąć mnie na rozmowę w cztery oczy i wytłumaczyć – nawet w brutalnych słowach – że nie mam prawa tak odzywać się do trenera. Zaakceptowałbym to. On jednak wolał pobiec z płaczem na skargę do Mandziary i zażądać rozwiązania mojego kontraktu. Odbił się jednak od ściany, bo Lechii nie było stać na tak desperacki ruch. A więc grałem w czwartoligowych rezerwach, strzelałem gole, rozdawałem autografy i się uśmiechałem. W środku jednak się we mnie gotowało... Przecież kilka miesięcy wcześniej dostawałem sygnały od pracującego jako menadżer Jurka Kopca, że obserwują mnie kluby z USA, dzwoniło też z Turcji. A teraz musiałem biegać po wiejskich klepiskach... Tuż po Nowym Roku dostałem jednak telefon od Mandziary, który poprosił, abym poszedł na wypożyczenie.

– Nie róbmy cyrku. Nie powinieneś występować w czwartej lidze...

– Adam, nie ma sprawy, też wolę pograć w Ekstraklasie – odpowiedziałem i poprosiłem go, by znalazł mi nowy klub.

Na szczęście chętnych na moje usługi nie brakowało.

Biała Gwiazda

W styczniu 2019 roku krakowska Wisła przeprowadziła dwa głośne transfery. Bohaterem jednego był Jakub Błaszczykowski, a drugiego ja. Oczywiście znacznie większym echem odbiła się decyzja Kuby – kończył właśnie piękną przygodę z niemieckimi boiskami i wracał do

klubu, z którego ponad dziesięć lat wcześniej ruszył na wyprawę po złote runo.

Wisła nie była już potęgą, którą zbudowali kiedyś Bogusław Cupiał i Henryk Kasperczyk. Klub miał duże problemy, i to na każdym polu. Zimą zespół opuściło sześciu czy siedmiu piłkarzy, pojawiły się kłopoty z finansami, do tego od jakiegoś czasu trwał żenujący teatrzyk ze sprzedażą klubu, który najpierw trafił w ręce hochsztaplera Jakuba Meresińskiego, a później miał zostać kupiony przez kambodżańskiego oszusta Vannę Ly.

Mimo to Wisła miała coś, co mnie przyciągnęło – niepowtarzalny klimat. Na Reymonta grali już moi kumple z reprezentacji: Marcin Wasilewski, Paweł Brożek czy Rafał Boguski, dyrektorem sportowym był Arek Głowacki, a trenerem Maciek Stolarczyk, czyli moi dawni ligowi rywale. No i wracał „Błaszczu”.

– Wybieraj, co chcesz: wino, piwo. Co ci polać? U nas wszystko jest – mówił ze śmiechem „Stolar” podczas mojej pierwszej kolacji na zgrupowaniu w tureckim Belek, dokąd pojechałem zaraz po ustaleniu z Lechią szczegółów półrocznego wypożyczenia.

Z otwartymi ramionami przywitał mnie także „Wasył”. Żartował, że zaraz po tym, jak się pojawiłem, popsuta się pogoda i nadchodziło tornado. Może chodziło mu o to, że dostałem pokój z innym nowym zawodnikiem, Łukaszem Burligą, który w przeszłości miał problemy z hazardem i alkoholem. „To się nie uda” – od razu ocenił Marcin, gdy dowiedział się, że mam spać z „Buryem”.

Atmosfera w samej drużynie była zajebista. Chciało się tam grać i trenować. No i bawić. Pamiętam, że na wkupnym w Turcji kilku chłopaków zaśpiewało piosenkę o Vannie Ly. „Ja jestem Vanna Ly, pół Polski ze mnie kpi, ja jestem Vanna Ly, Wisła Kraków mi się śni” – nuciła młodzież. Ja poszedłem w klasykę i zaśpiewałem *A wszystko to... Ich Troje*.

Pierwsze skrzypce w tamtej drużynie grał Stolarczyk. Dla mnie praca z nim była jak łyk wody po długiej podróży pustynią, bo okazał się przeciwieństwem Stokowca: zamiast psuć atmosferę, robił wszystko, aby o nią zadbać. Za jego czasów w Wiśle było co prawda biednie, ale przynajmniej wesoło. Maciek miał na przykład zwyczaj, że

każdemu piłkarzowi dawał na urodziny prezent. Mnie wręczył... atrapę granatu.

– Jak cię coś wkurwi, to odbezpiecz zawleczkę i rozpierdol, co chcesz – wyjaśnił ze śmiechem.

Ciekawe były także jego treningi. „Stolar” przez wiele lat grał w piłkę na wysokim poziomie, występował w drużynie z takimi zawodnikami jak Maciek Żurawski czy Mirek Szymkowiak, wiedział, co piłkarze lubią najbardziej, i dlatego na co dzień nie rozstawaliśmy się z piłkami. Kiedy jednak w Belek ulewa załała nam boisko, wymyślił, że zrobimy tabatę, czyli bardzo intensywne zajęcia interwałowe składające się z kilku ćwiczeń; zawsze miał w głowie sto ciekawych pomysłów, dzięki czemu nigdy nie było nudno.

Maćka wyróżniało coś jeszcze, coś, czego nie da się nauczyć nawet na najlepszym uniwersytecie – był liderem z krwi i kości. W przeciwieństwie do Stokowca budził niewymuszony respekt. Chociaż ja, „Wasył” czy Kuba byliśmy jego kolegami, to gdy przychodził moment pracy, Stolarczyk nie miał sentymentów. Pamiętam odprawę po jednym z meczów, gdy przy całej drużynie zaczął tłumaczyć Błaszczkowskiemu: „Kuba, zajebicie zrobiłeś akcję do przodu, strzeliłeś na bramkę. Ale zobacz: poszła kontra i nie wróciłeś. A drużyna potrzebowała cię właśnie w tamtym momencie. Wiemy, że zrobisz szum w ofensywie, po to tu jesteś. Ale nie możesz zapominać o pracy w defensywie. Gola widzą kibice, a błędy w obronie – my. Musisz pomagać drużynie”.

Dla Maćka nie było świętych krów. Zresztą w klubie wszyscy bez wyjątku mówiliśmy do niego per „trenerze”, chociaż po godzinach pracy znów stawał się dla nas „Stolarem”.

O ile koledzy i sztab przywitali mnie znakomicie, o tyle sceptyczni co do mojego transferu byli kibice. „Po co biorą tego pijaka?”, „Przecież rozjebie drużynę”, „Dostanie kupę kasy, a gówno pomoże” – to tylko kilka komentarzy z tamtego okresu. Niewiele osób cieszyło się z mojego przyjazdu pod Wawel, dlatego zrobiłem to, co potrafiłem najlepiej – udowodniłem swoją wartość na boisku.

Od pierwszego wiosennego meczu byłem podstawowym zawodnikiem. Zaliczyłem asysty z Koroną i Cracovią. Świetnie zagrałem i strzeliłem gola w niesamowitym meczu z Legią, który wygraliśmy aż 4:0. Później dwa razy trafiłem do siatki w spotkaniu

z Wisłą Płock i dwa razy asystowałem w meczach z Zagłębiem Sosnowiec. Nagle przestałem być menelem czy mącicielem, a stałem się jednym z liderów Wisły. W trakcie któregoś ze spotkań, gdy schodziłem z boiska, fani skandowali: „Sła-wo-mir, Sła-wo-mir”.

Chociaż niektórzy eksperci obawiali się o ligowy byt Wisły, to graliśmy zaskakująco dobrze. Na skrzydle świetnie współpracowało mi się z Rafałem Pietrzakiem (później trafił nawet do kadry), Kuba dawał jakość po drugiej stronie boiska, „Wasył” czyścił tyły jak odkurzacz, chociaż tylko do końca marca, bo później nabawił się kontuzji kolana. Poza tym mieliśmy też kilku niezłych obcokrajowców, jak Vullnet Basha czy Marko Kolar.

Niestety na finiszu sezonu zasadniczego zabrakło nam trochę szczęścia i w trzydziestej kolejce przegraliśmy z Zagłębiem 1:3, przez co zajęliśmy w tabeli dziewiąte miejsce, czyli najwyższe w tak zwanej grupie spadkowej. Od Lecha i Pogoni dzielił nas tylko jeden punkt... Chociaż nie było w nas obawy o spadek – mieliśmy w drużynie zbyt dużo jakości – to w fazie finałowej musieliśmy zapewnić sobie utrzymanie. I zrobiliśmy to bez problemu, pewnie utrzymując dziewiąte miejsce. Niestety w dwóch ostatnich meczach nie mogłem pomóc, bo jeden z graczy z Korony tak się we mnie wpierdolił, że rozciął mi but i złamał palec stopy. Przez kolejne dni ledwo mogłem chodzić, więc finisz rozgrywek obejrzałem z trybun.

W Krakowie poznałem Wojciecha Kwietnia, wielkiego kibica Wisły, właściciela sieci aptek Słoneczna, który od lat wspierał borykający się z problemami klub. Gdy podpisywałem umowę z Wisłą, Kwiecień zagwarantował, że jeżeli Biała Gwiazda nie będzie w stanie płacić mi pensji, to weźmie mój kontrakt na siebie. To był piękny gest, chociaż zgodziłem się grać w Krakowie za trzydzieści tysięcy miesięcznie. Zarabiałbym ponad dwa razy więcej, siedząc na tyłku w Gdańsku, więcej proponowały mi także dwa inne kluby z Ekstraklasy, ale bardziej niż pieniądze interesowało mnie udowodnienie, że wciąż jestem w stanie grać na wysokim poziomie.

Kwiecień od razu zrobił na mnie duże wrażenie. Nie tylko kibicował, ale także znał się na piłce. Po każdym meczu na Reymonta chodziłem do jego łóży i rozmawialiśmy o tym, co się wydarzyło. Pamiętam jego zachwyty po meczu z Legią. „Najlepszy od

czasów Kasperczaka!” – mówił z uznaniem. Po latach ludzie pamiętają, że w kryzysowym momencie Wisłę uratowali Błaszczkowski, Tomasz Jażdżyński i Jarosław Królewski, ale tylko nieliczni mają świadomość, ile pieniędzy wpompował w klub Kwiecień. A to kwoty idące w grube miliony.

Przez kilka miesięcy przekonałem się także, jak wielką marką jest Wisła. Dla tysięcy ludzi Biała Gwiazda to całe życie, zupełnie jak Lech w Poznaniu czy FC Köln w Kolonii. Zaledwie po kilku dobrych meczach miałem problem, żeby wyskoczyć na Rynek Główny i spokojnie wypić drinka, bo cały czas podchodzili nasi kibice, prosząc o zdjęcie czy autograf.

To wszystko sprawiło, że chciałem zostać w Małopolsce na jeszcze jeden rok. Kłopotem był co prawda mój kontrakt z Lechią, ale Mandziara ze Stokowcem pozbyłoby się mnie z przyjemnością, więc dało się to załatwić. Kiedy szedłem do gabinetu Piotra Obidzińskiego, nowego prezesa, który miał być powiewem świeżości i zbawcą z Warszawy, sądziłem, że czeka mnie tylko formalność. Tymczasem usłyszałem:

– Widzę, że dobrze się czujesz w Krakowie, jesteś lubiany w szatni, trybuny też za tobą przepadają. Tym bardziej jest mi szkoda, że... musimy się pożegnać.

O mało nie spadłem z krzesła.

– Dlaczego?

– Nie mamy pieniędzy. Nie stać nas na ciebie.

Byłem w szoku. Facet miał być łebskim gościem od rozwiązywania kwestii niemożliwych, a nawet przez minutę nie poszukał wyjścia w mojej sprawie. Wyciągnął tylko kartkę z wyrokiem i jak urzędnik przeczytał go beznamietnie. Zacząłem tłumaczyć, że wszyscy byśmy skorzystali, gdybym pozostał w Wiśle, ale Obidziński był głuchy na argumenty. W końcu stwierdziłem, że zostanę nawet na tych samych warunkach co teraz, chociaż z mojej perspektywy była to wyjątkowo głupia deklaracja, bo rocznie straciłbym na takim posunięciu ponad pół miliona złotych.

– To idź do Kwietnia i pogadaj z nim, żeby opłacił twój kontrakt. Jak się zgodzi, to możesz zostać... – usłyszałem w końcu w odpowiedzi.

Jeśli wcześniej Obidziński mnie zszokował, to teraz wręcz obraził. To ja – a nie on – mam iść do prywatnego biznesmena i prosić o kasę, żebym mógł pozostać w Wiśle? Jakby Obidziński dobrze ze mną pogadał, to grałbym w Krakowie i za dwie dychy miesięcznie, ale usłyszałem tylko: „Idź i sam to załatw”. A na to nie mogłem się zgodzić.

Do dziś żałuję, że nie podpisaliśmy wtedy nowego kontraktu. Ale nie miałem wyjścia. Poszliśmy z Marcelem zrobić sobie ostatnie zdjęcie na stadionie Wisły i wróciliśmy do Gdańska. Gdy kilka tygodni później dowiedziałem się, że dwaj solidni ligowcy dostali na Reymonta dwa razy więcej, niż sam chciałem, zrozumiałem, że nie chodziło o kasę, tylko o mnie. Uważam, że Obidziński popełnił błąd – wystarczyło, żeby wsłuchał się w głos kibiców. Ci sami ludzie, którzy zimą pytali: „Po co ten pijak tu przyszedł?”, wzdychali wtedy: „Szkoda, że Sławek odchodzi”.

Pożegnanie z Ekstraklasą

Podczas wakacji zadzwonił telefon. Spojrzałem na wyświetlacz, a tam zobaczyłem imię i nazwisko, które mogło spierdolić mi nawet najlepszy urlop. Dzwonił Stokowiec. Pokazałem to Ani, a ona przecząco pokręciła głową, dając mi znak, żebym nie odbierał. Tak też zrobiłem, chociaż po jakimś czasie uznałem, że wypada oddzwonić.

– No cześć. Chyba będzie trzeba się spotkać i porozmawiać, co? – wymamrotał Stokowiec.

– Możemy, jak wrócę z wakacji.

– Dobra, to czekam.

Nie miałem pojęcia, czy poszedł po rozum do głowy, czy dalej zamierzał toczyć ze mną wojnę. Ale skoro chciał pogadać, to w końcu przyjechałem do hotelu Mera, tego samego, w którym cztery lata wcześniej podpisałem kontrakt z Lechią. Trener zaczął jednak rozmowę od swojej psychologicznej sztuczki, żeby mi pokazać, kto z nas dwóch jest ważniejszy. Przy stole wyjął więc telefon i lekceważąc mnie, rozmawiał z kimś przez kilka minut. Miałem ochotę skorzystać z prezentu, który dał mi Stolarczyk,

i wsadzić go Stokowcowi tam, gdzie by nie chciał. Wytrzymałem jednak, a „Stoki” zaraz później zakończył kiepskie przedstawienie.

– Widziałem twoje mecze w Wiśle. Tylko co z tych wszystkich asyst, jeśli przegrywaliście... – powiedział, wprawiając mnie w zakłopotanie. Chciał mnie obrazić czy to jednak był komplement? Nie, chyba próbował wbić mi szpilę. Ale zanim zdążyłem zareagować, dodał: – Dobra, słuchaj, nie ma się co kłócić. Masz ważny kontrakt i w tej formie chciałbym cię mieć w drużynie. Jeśli nie chcesz, to rozwiążemy umowę. Nie musimy ci płacić.

Aha, a więc nic się nie zmieniło – znów ta sama gadka o forsie. Nie zamierzałem owijać niczego w bawełnę i powiedziałem, co leży mi na wątrobie. Już raz pokazałem mu, że nie może rozwiązać ze mną umowy tylko dlatego, że ma taki kaprys. Teraz też nie mógł tego zrobić ot tak. Na szczęście Stokowiec w końcu odpuścił. I postawił sprawę jasno: podajemy sobie ręce albo się rozchodzimy. Oczywiście podałem mu dłoń, bo nie czułem się piłkarskim emerytem i chciałem grać w piłkę. I tak po wielomiesięcznej banicji znów zostałem członkiem pierwszej drużyny Lechii.

Trzeba Stokowcowi oddać, że pod moją nieobecność osiągnął świetny wynik: w Ekstraklasie zajął z klubem trzecie miejsce, a to nie udało się nawet Nowakowi. Zespół, który zbudował „Stoki”, był naprawdę ciekawy. W bramce stał mój stary druh Dušan Kuciak, w obronie szarpał charakterny Filip Mladenović, w środku pola zasuwał Jarek Kubicki, a w ataku brylowali Flávio i Sobiech. Dzięki temu Stokowiec zdobył też Puchar Polski, pokonując w finale Jagiellonię 1:0. Później – już ze mną w składzie, chociaż mecz zacząłem na ławce – zdobyliśmy także Superpuchar.

Do Gdańska w końcu zawitały też europejskie puchary, a dokładnie eliminacje Ligi Europy. W drugiej rundzie mieliśmy zmierzyć się z duńskim Brøndby. Strasznie mnie to rajcowało, bo to miał być mój pierwszy występ w pucharach od blisko dziesięciu lat!

W meczu, który wygraliśmy 2:1, zagrałem tylko jedenaście minut. W rewanżu w Kopenhadze wszedłem na murawę już po godzinie gry i kilka minut później zanotowałem asystę przy голу drugiego z braci Paixão. Dzięki tej bramce przedłużyliśmy na chwilę nasze szanse na awans, bo przegrywaliśmy już 0:2. Miłe było to, że już po meczu komentatorzy podkreślali, że należałem do nielicznych zawodników

Lechii, którzy nie przestraszyli się silniejszego rywala. W dogrywce zabrakło nam jednak jakości. Wykończył nas młodzieńcy Jesper Lindström, który później trafił do Eintrachtu Frankfurt, i przegraliśmy 1:4. Na pewno nie pomogło nam to, że przed meczem połowa drużyny nie spała. Jakiś spryciarz zarezerwował nam hotel bez klimatyzacji, dodatkowo położony tuż obok autostrady. A więc ci, którzy w nocy otwierali okna, słyszeli ciągle hałas, a ci, którzy okna mieli zamknięte, mieli jak w saunie.

Co prawda szybko odpadliśmy z pucharów, ale mimo to złapałem wiatr w żagle. W szóstej, siódmej i ósmej kolejce zdobyłem trzy bramki, dzięki którym zainkasowaliśmy siedem punktów. Grałem naprawdę dobrze, napędzałem zespół, skupiałem się tylko na piłce. Dla Stokowca znów stałem się Sławusiem, trener mówił nawet dziennikarzom: „U mnie PESEL nie ma znaczenia, liczą się tylko umiejętności”.

Później jednak pojawiły się gorsze wyniki, porażki z Zagłębiem czy Cracovią, a ja co jakiś czas siadałem na ławce. Po dwóch czy trzech miesiącach zaczęło się niestety to samo co kiedyś – trener przypierdalał się do wszystkiego. A to ktoś nie zaznaczył jakiegoś punktu w specjalnej aplikacji, w której oceniano się na przykład jakość snu, a to ktoś w nieodpowiedni sposób się odezwał. Poza mną na celowniku znaleźli się także Wolski i Sobiech, któremu Stokowiec wprost zarzucił, że zamiast skupić się na dwumeczu z Brøndby, myślał o transferze do Niemiec. Szukanie problemów na siłę przez szkoleniowca znów zaczęło irytować zespół, może nie licząc żołnierzy Stokowca – takich jak Tomek Makowski, Michał Nalepa czy Kubicki – którzy nigdy jednak się nie odzywali.

Ze Stokowcem wytrzymaliśmy razem do grudnia. Ostatni mecz w koszulce Lechii zaliczyłem tuż przed świętami, z Rakowem Częstochowa, który był beniaminkiem. Przegraliśmy u siebie 0:3, a ja grałem tak jak cały zespół – fatalnie.

Wiosną chciałem wziąć na Rakowie rewanż, ale na początku okresu przygotowawczego, tuż po Nowym Roku, klub wysłał do mediów komunikat, że wydłuża urlopy mnie, Wolskiemu oraz Sobiechowi i daje nam wolną rękę w poszukiwaniu nowych pracodawców. A to oznaczało, że nikt nas w Gdańsku już nie chce.

Oficjalnie decyzja miała zapaść „w porozumieniu ze sztabem szkoleniowym”, ale przecież było wiadomo, że podjął ją Stokowiec.

Do końca umowy pozostawało mi już tylko pół roku i nie chciałem się z nim szarpać. Zimą rozmawiałem więc z obiema Wisłami, dzwonili przedstawiciele drugoligowego Widzewa Łódź, były też sygnały z greckiego Atromitosu i tureckiego Fatih Karagümrük, ale ostatecznie nic z tego nie wyszło. Gdy myślałem nad tym, co dalej, Stokowiec nie zabrał mnie na zgrupowanie do Turcji i po raz kolejny zostałem zdegradowany. Przez jakiś czas biegałem więc po parku w Brzeźnie. Moim partnerem od przebieżek został wówczas Augustyn, też odsunięty od pierwszej drużyny, z którym czasem – zamiast dreptać po parku – siadaliśmy nad morzem i popijaliśmy prosseco.

Miarka przebrała się pod koniec marca. Nie mogłem grać w piłkę, Lechia od dawna mi nie płaciła, dodatkowo właśnie wybuchła pandemia. W końcu złożyłem do PZPN papiery o rozwiązanie kontraktu z winy klubu. Jak pokazało życie, zrobiłem słusznie, bo Izba do spraw Rozwiązywania Sporów Sportowych przyznała mi rację i Lechia musiała zapłacić mi wszystko co do złotówki. Tak samo zresztą jak Wolskiemu, który poszedł tą samą drogą.

Koniec mojej przygody z gdańskim klubem naznaczył więc niesmak. I chociaż nie mogę o sobie powiedzieć, że przez te pięć lat byłem bez winy – czerwone kartki w meczu z Jagiellonią czy Lechem były bezsensowne, tak samo jak zbędna pyskówka z Kalkowskim – to na pewno nie zasłużyłem na traktowanie, jakie spotkało mnie ze strony Stokowca. Przecież jako pierwszy lechista w historii zagrałem na Euro i mundialu, czytelnicy serwisu Trojmiasto.pl wybrali mnie w plebiscycie Ligowcem Roku 2016, byłem ambasadorem finału Ligi Europy, który odbył się w Gdańsku, a poza tym ponad sto razy wystąpiłem w koszulce Lechii.

Dlatego zabolalo mnie to, że w trudnych chwilach nikt z klubu nie stanął w mojej obronie. I chociaż do dziś czuję z tego powodu żal, to wolę pamiętać tylko dobre chwile, których nad morzem nie brakowało. Zresztą wciąż uwielbiam wracać do Gdańska. Nie tylko ze względu na piękną plażę.

ROZDZIAŁ 10

KADRA MUNDIAL

W Arłamowie zrobiliśmy zdjęcie, jest na nim czterech chłopaków: ja, Sławek, Kuba Błaszczkowski i Łukasz Fabiański. Wszyscy z rocznika 1985. Nazwaliśmy je „Dinozaury”, bo wiedzieliśmy, że nasz czas właśnie mija.

Łukasz Piszczek

W pokoju zrobiło się strasznie nerwowo. Z twarzy doktora Jacka Jaroszewskiego zniknął uśmiech, jakby właśnie otrzymał telegram z przykrą wiadomością.

To był pierwszy dzień zgrupowania w Katowicach, czekały nas towarzyskie mecze z Koreą Południową i Nigerią. Do mistrzostw świata pozostawały już tylko trzy miesiące i Adam Nawałka zamierzał przetestować kadrę w starciach z egzotycznymi rywalami. W mundialowej grupie mieliśmy się przecież spotkać z Japonią, Senegalem i Kolumbią. Kilka miesięcy wcześniej zagraliśmy już z Meksykiem i Urugwajem, ale na tamte sparingi nie byłem powołany. W końcu dostałem jednak szansę, aby uczciwie zapracować na miejsce w drużynie, która już niedługo miała wyruszyć na Wschód.

Standardową procedurą były badania, które na początku każdego obozu przeprowadzał Jaroszewski wraz ze sztabem medycznym. Wśród wyników była między innymi kinaza kreatynowa, tak zwane CPK. Polega to na zbadaniu krwi, w której można znaleźć enzym świadczący o uszkodzeniach mięśni albo stanie zapalnym. Norma to około dwieście, tysiąc to już bardzo wysoki wynik, który jednak

czasem zdarza się po meczach. Moje pierwsze badanie wykazało aż dziesięć tysięcy!

– Będziesz musiał pojechać do szpitala – usłyszałem ponury komunikat.

– Ale co się właściwie dzieje?

– No właśnie tego musimy się dowiedzieć...

Po kilkugodzinnych badaniach okazało się, że w mojej krwi pojawiła się złośliwa bakteria, która zabrała mi całe zgrupowanie. Pierwsze trzy dni leżałem pod kroplówką, później tylko krzątałem się po hotelu Monopol, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Zabroniono mi grania i trenowania. Oba mecze obejrzałem więc jako widz.

Jakby tego było mało, jeszcze przed badaniami dostałem reprimendę od selekcjonera. Jakiś czas wcześniej razem z Lechią Gdańsk pojechaliśmy na ligowy mecz do Poznania. W trakcie spotkania jeden z kibiców wstał z miejsca, podszedł do barierki i zaczął mnie prowokować. Wymachiwał buteleczką wódki i wrzeszczał:

– Flaszka jest, chodź do nas!

W końcu się wkurwiłem i kopnąłem piłkę w jego stronę tak, że ta odbiła się od trybuny. Natarczywy kibol trochę się wystraszył, ale nie zrozumiał ostrzeżenia, bo krzyczał dalej. Jeszcze raz zamarkowałem kopnięcie, aż w końcu uznałem, że zajmowanie się tym durniem nie ma sensu.

Okazało się jednak, że inny kibic nagrał to zdarzenie, a media podłapały sprawę. W komentarzach była ze mną jazda jak za starych, niedobrych czasów. „Reprezentantowi nie wypada!” – brzmiało główne oskarżenie internetowych bohaterów. A czy reprezentant nie ma żadnych praw? Czy nie należy mu się szacunek? Może go obrażać pierwszy lepszy cham, który chce się popisać przed kolegami? Zresztą z tego, co wiem, liczący się w kotle kibice Lecha urządzili sobie rozmowę wychowawczą z tym gagatkiem i dobitnie wytłumaczyli mu, że zostawiłem dla Kolejorza tyle zdrowia, że nie wypada traktować mnie jak śmiecia, na który można sobie splunąć. A facet właśnie tak mnie potraktował. Ja natomiast nie miałem zamiaru udawać, że to deszcz.

– Niestety, ale zaczynasz zbaczać z dobrych torów... – powiedział chmurnie Nawalka, który ewidentnie nie był zadowolony z mojego zachowania.

– Trenerze, ale co miałem zrobić? Cały czas mnie prowokowali.

– No i co? Jesteś kadrowiczem. Musisz wytrzymać ciśnienie i pokazywać klasę. Nawet w takiej sytuacji. My wszystko widzimy, obserwujemy każdy twój mecz. I nie wyobrażam sobie, żeby taka reakcja się powtórzyła, rozumiemy się? – dodał selekcjoner, a ja wziąłem jego słowa głęboko do serca.

Mistrzostwa miały zacząć się lada chwila. W Rosji nie chcieli mnie widzieć kibice i dziennikarze – cały czas słyszałem, że w kadrze jestem tylko dzięki protekcji Roberta Lewandowskiego. Ale mimo to wiedziałem, że wciąż mam wsparcie trenera, jego sztabu i kolegów z drużyny. Byłem już na Euro, do kompletu brakowało mi jeszcze mundialu. Żeby na niego jechać, musiałem zrobić jednocześnie tak wiele i tak niewiele. Musiałem po prostu niczego nie spierdolić.

Kolejna afera

Po mistrzostwach Europy każdy z nas urósł o kilka centymetrów. Mogliśmy wszystko, nie baliśmy się niczego i nikogo. Bo jak nie my, to kto? Skoro daliśmy radę Niemcom, to dlaczego mieliśmy się obawiać Duńczyków czy Rumunów, na których trafiliśmy w eliminacjach? No, bez jaj.

Po turnieju we Francji Nawalka nie zrobił rewolucji w drużynie – wprowadził tylko małe modyfikacje, więc na starcie walki o kolejne mistrzostwa nasze procesory były zaprogramowane na sukces. Nie brakowało nam ani umiejętności, ani pewności siebie. Tej pewności było zresztą trochę za dużo, co we wrześniu udowodnili nam Kazachowie.

Do Astany nie mogłem polecieć z powodu kontuzji – mięsień uda miałem rozbity jak schab na kotlety – ale przecież rywal nie robił na nas żadnego wrażenia. Miało pójść gładko i tak się zresztą zaczęło. Najpierw trafił Bartek Kapustka, później poprawił „Lewy” i prowadziliśmy 2:0.

Oglądałem ten nasz popis i zastanawiałem się, czy dociągniemy do piątki. Nie dociągnęliśmy. Zamiast tego Siergiej Chizniczenko,

były piłkarz Korony Kielce, dwa razy wykorzystał błędy naszych obrońców i doprowadził do remisu.

To był pierwszy sygnał, że w trybach naszej biało-czerwonej maszyny pojawił się piach. Ale miesiąc później zagraliśmy świetny mecz z Danią, wygraliśmy 3:2, a Robert ustrzelił hat tricka. I znów poczuliśmy spokój – wszystko było jednak na swoim miejscu. Duńczycy mieli wtedy naprawdę niezłą paczkę – z Christianem Eriksenem na czele – nie na tyle wszakże silną, żeby ograć ćwierćfinalistów Euro.

– Dawaj na szampana, wypijemy za twoje brameczki – zaproponowałem, gdy wróciliśmy do hotelu. Okazja była przecież wyjątkowa: to był trzeci hat trick Roberta w kadrze. Ale „Lewy” zjadł bataty, trochę ryżu, poklepał się po brzuchu i... poszedł spać.

– Gdzie idziesz? Nie chcesz odreagować? Posiedź z nami!

– Zmęczony jestem, jutro pogadamy – mruknął tylko i pomaszerował do pokoju, jakby nic się nie stało.

Nie było wyjścia, musieliśmy wypić zdrowie Lewandowskiego bez niego.

Na tamtym zgrupowaniu czekał nas jeszcze jeden mecz – także w Warszawie. Mieliśmy zagrać z Armenią. „Z Kazachstanem była wpadka, ale Ormian rozjedziemy” – tak sobie myśleliśmy.

Z Danią mierzyliśmy się ósmego października, dwa dni wcześniej zaś wypadały imieniny Artura. A że w kadrze Arturów mieliśmy dwóch – Boruca i Jędrzejczyka – to chłopaki wpadli na pomysł zorganizowania imprezki pomiędzy spotkaniami. Plan wydawał się genialny: wynajmiemy apartament na tym samym piętrze co nasze pokoje, ale w innym skrzydle hotelu. Tam nie musielibyśmy się martwić, że ktoś ze sztabu usłyszy śmiechy czy muzykę. Zresztą Nawałka od jakiegoś czasu wyluzował z zasadami i przymykał oko na nasze posiadówki. Widział w nas partnerów, ufał nam, wierząc, że za zaufanie odwdzięczymy się odpowiedzialnością.

Po kolacji kilkanaście osób przeniosło się do sekretnego pokoju. Poza nami był jeszcze Tomek Iwan, do tego kilka osób ze sztabu. Na chwilę wpadli też koledzy „Borubara”, ale jeśli mam być szczerzy, to nie działo się tam nic szczególnego. Karty, rozmowy, piwko – klasyczny zestaw.

Okolo drugiej w nocy – gdy większość chłopaków była już w łóżkach – Łukasz Teodorczyk zerwał się z fotela i pobiegł w kierunku drzwi. Byliśmy zdezorientowani jego zachowaniem, zwłaszcza gdy otworzył drzwi i... zwymiotował.

– Ja pierdolę! – zaklęliśmy równo jak chór.

Szybko zapadła decyzja, że to koniec imprezy. Gdyby nie „Teo”, siedzielibyśmy pewnie jeszcze godzinkę czy dwie, ale rzyganie było przegięciem. Same wymioty na nikim nie zrobiły wrażenia, czasem się człowiekowi zdarzy – ale na korytarz? Z tego, co później usłyszałem, Łukaszowi po prostu pomyliły się drzwi. Obok były te od toalety, ale z rozpędu wybrał bramkę numer dwa. A tam czał się zonk.

Dwa dni po tym incydencie wymęczyliśmy zwycięstwo 2:1 z Armenią. Znow okazało się, że w eliminacjach nie ma już ogórków i dopiero gol „Lewego” w doliczonym czasie gry pozwolił nam złapać oddech. Tamten mecz był kolejnym ostrzeżeniem, które znow zignorowaliśmy; cały czas w głowach mieliśmy przecież nasze świetne występy we Francji.

Tyle że krytyka po meczarniach z Armenią nie była najgorszym, co nas czekało. Armagedon rozpoczął się kilkanaście godzin po tym, jak rozjechaliśmy się do klubów. To wtedy „Przegląd Sportowy” opublikował głośny artykuł Tomasza Włodarczyka i Łukasza Olkowicza, który częściowo ujawnił przebieg naszej imprezy. Dziennikarze zdradzili tylko dwa nazwiska: Boruca i Teodorczyka. Zasugerowali też dwóch kolejnych uczestników balangi. A tych było przecież znacznie więcej.

Po publikacji rozpoczęła się burza. W moim telefonie padała bateria – dzwonili dziennikarze, rodzina, znajomi. Kto, co, jak i dlaczego? – pytali, a ja milczałem jak grób, bo tak ustaliliśmy z kolegami. Ale w naszym gronie zastanawialiśmy się, jakim cudem ta sprawa trafiła do mediów. Powstały dwie teorie: jedna – że farbę, za zgodą prezesa Zbigniewa Bońka, puścił pewien dyrektor z PZPN, druga – że doniosła obsługa hotelu, bo wkurwiła się syfem na korytarzu.

Nawałka wpadł w szał. W pierwszej chwili chciał wyrzucić nie tylko Boruca i „Teo”, ale też Kamilów Glika i Grosickiego, na których trop naprowadzili selekcjonera reporterzy. Problemy miał też Iwan. Gdyby

nie „Lewy”, który miał wtedy z Nawałką gorącą linię i rozmawiał z nim kilka razy, chłopaki skończyliby na stosie. Ale od słowa do słowa sytuacja zaczęła się uspokajać. W końcu zapadła decyzja, że sprawa jest na tyle delikatna, że musi być załatwiona twarzą w twarz. Robert zarządził, że kilku z nas powinno odezwać się do trenera i z nim porozmawiać.

– Sławo, jestem tym wszystkim bardzo zawiedziony. Po prostu się tego nie spodziewałem... Musimy to szybko wyjaśnić – powiedział Nawałka, a w jego głosie usłyszałem smutek.

I jeśli mam być szczerzy, było mi wtedy cholernie wstyd. Selekcjoner dał nam palec, a my pogryźliśmy mu całą rękę...

Kolejne zgrupowanie, przed meczem z Rumunią, rozpoczynało się miesiąc później. Przez ten czas wszyscy zastanawialiśmy się, co nas czeka. Kary? Zawieszenia? A może kilka osób wyleci z kadry? Mogło się zdarzyć wszystko. Do Warszawy przyjechaliśmy więc ze spuszczoneymi głowami.

Na powitalnej kolacji – a raczej stypie – nikt się nie odzywał; nie było śmiechów czy żartów, których nigdy wcześniej nie brakowało. Nikt za bardzo nie miał też apetytu. W milczeniu czekaliśmy na to, co zrobi trener. Ten w końcu wstał i zarządził energicznie:

– Panowie, za pół godziny wszyscy stawiają się w salce konferencyjnej na pierwszym piętrze. Musimy pogadać.

Gdy Nawałka wszedł do środka, staliśmy już na baczność. Ustawiliśmy się jeden obok drugiego, pod ścianą, jakbyśmy czekali na pluton egzekucyjny. Byliśmy tam tylko my, trener i jego asystenci.

– Zawiedliście mnie. Tym, że to się w ogóle stało. I tym, że to wszystko pojawiło się w mediach, co jest dla mnie całkowicie niezrozumiałe. Wiecie, jak pracują dziennikarze przy reprezentacji: każda informacja od razu staje się czołówką. A tym bardziej taka, że piłkarze imprezują – mówił, stojąc przed całą grupą. – Zamiast skupić się na meczu, to wszyscy rozmawiają teraz o jakiejś aferze. W związku z ostatnimi wydarzeniami podjąłem decyzję o ukaraniu czterech piłkarzy – dodał i wymienił nazwiska. – Czy ktoś ma jeszcze coś do powiedzenia?

Kilku chłopaków, nieświadomych tego, kto był w pokoju do samego końca imprezy, zaczęło się rozglądać. Ale winni zrozumieli

intencje Nawałki. Jako pierwszy wyrwał się Krzysiek Mączyński.

– Ja mam. Chciałem przeprosić, też tam byłem.

Nawałka milczał i patrzył na nas tym swoim przeszywającym wzrokiem.

– Ja też – dodał ktoś inny. – Również przepraszam.

Selekcjoner zarządził, że Boruc, Teodorczyk, Glik i Grosicki zostaną ukarani grzywnami w wysokości pięćdziesięciu tysięcy złotych. Siedem kolejnych osób, które zgłosiły się na ochotnika – Michał Pazdan, Maciek Rybus, Tomek Jodłowiec, Paweł Wszolek, a także „Mąka”, „Jędza” i oczywiście ja – dostało mniejsze kary, po dziesięć tysięcy. Niektórym odjęto pieniądze z premii, inni musieli dopłacić w gotówce. Ostatecznie całość poszła na cele charytatywne.

Po raz kolejny życie dało mi nauczkę, że największe afery zaczynają się od całkiem niepozornych sytuacji. Gdyby Teodorczykowi nie pomyliły się drzwi, nikt nie wiedziałby o imieninowym spotkaniu. Gdybym z Maćkiem Iwańskim wyszedł na korytarz pięć minut później albo wcześniej, pewnie nie spotkałbym Jacka Zielińskiego. Albo gdyby taksówkarz w Kolonii nie chciał nas oszukać, to zagrałbym na Euro. Zawsze jest jednak jakieś „ale”. Trudno, teraz piwo znów się rozlało i musieliśmy ponieść konsekwencje, chociaż te i tak nie były tak duże, jak mogłoby być.

Po latach muszę przyznać Nawałce, że tamtą aferę rozegrał jak profesor psychologii. Nie macie pojęcia, jaki zyskał u nas szacunek. „Ja pierdolę, ale to wymyślił” – łapaliśmy się za głowy. Mógł przecież wywalić jednego czy drugiego balangowicza i nikt nie miałby o to żadnych pretensji. Ba, może nawet należało tak zrobić. Zamiast tego nam wybaczył, ale... nie za darmo.

– Ja swoje już powiedziałem. Teraz jedziemy do Rumunii. Tam możecie odkupić winy. Dobranoc – powiedział i wyszedł z sali. A my już wiedzieliśmy, co mamy zrobić.

Zgodnie z planem Nawałki przed meczem z Rumunią przypominaliśmy stado rozjuszonych byków, które zamierzało stratować kilku przechodniów. Uliczka była co prawda nie w Pampelunie, a w Bukareszcie, ale to nie miało znaczenia. Od

pierwszej minuty wzięliśmy gospodarzy na rogi i już w jedenastej minucie „Grosik” zdobył piękną bramkę.

Po голу Kamil pobiegł w kierunku naszej ławki; otworzyłem szeroko ramiona, bo byłem pewny, że chce mnie wyściskać, a on w ostatniej chwili wybrał Nawałkę. W taki sposób podziękował mu za jeszcze jedną szansę – nie tylko w swoim imieniu. W końcu dwa gole dołożył „Lewy” i Rumuni zostali znokautowani.

Wielu dziennikarzy uważa, że tamten mecz był najlepszym występem kadry Nawałki na wyjeździe. Lepszym nawet niż spotkanie z Niemcami we Frankfurcie. Zgadza się z tym w stu procentach. Mieszanka wstydu, wkurwienia i ambicji sprawiła, że zostaliśmy podpięci pod piłkarski powerbank. Zagrałem tylko siedem minut, ale chociaż tak mogłem odwdziżyć się selekcjonerowi za jego mądrość.

Po tamtej sytuacji ukróciłem nasze wieczorki. Baliśmy się podpaść Nawałce po raz drugi. W nieco innej sytuacji był jednak „Borubar”, który miał już na koncie żółtą kartkę. Dostał ją znacznie wcześniej, przed jakimś eliminacyjnym meczem. Artur przyjechał na zgrupowanie mocno „zmęczony”, a w każdym razie na tyle, że ktoś z chłopaków zaprowadził go do pokoju i wysłał do łóżka. Boruc nie zszedł jednak na kolację, co zauważył Nawałka. Wysłał po Artura doktora, a ten po wejściu do pokoju poczuł, gdzie jest problem...

Nigdy nie rozmawiałem z Nawałką o tym, czy to był główny powód, ale fakt jest taki, że od czasu meczu z Rumunią „Arczi” nie przyjechał już na żadne zgrupowanie. Wystąpił tylko w pożegnalnym spotkaniu z Urugwajem i tyle. Koniec, *the end*...

Żałuję tego strasznie, bo uważam, że w Rosji Artura nam zabrakło. O ile na co dzień mówił szeptem, jak szpieg z Krainy Deszczowców, o tyle w szatni był niezastąpiony. Kiedy już ryknął, wszyscy wiedzieli, że to „Król Artur”. Szkoda, że jego kariera w reprezentacji tak się zakończyła, ale dla mnie Boruc na zawsze pozostanie legendą.

W tamtym okresie moja pozycja w kadrze zmieniła się na minus i grałem coraz mniej. Kilka minut z Danią, tak samo z Rumunią, i siedem minut z Czarnogorą, z którą wygraliśmy na wyjeździe 2:1 –

to mój cały dorobek z kampanii kwalifikacyjnej. Niewiele, chociaż zawsze coś.

Wspomniany mecz z Czarnogórą przeszedł do historii dzięki hasłu „Polska? Hej!”. O co chodziło? Przed każdym spotkaniem ktoś z nas wygłaszał przemowę motywacyjną. Ten zwyczaj wprowadził Lewandowski – Robert chciał, żeby chłopaki nie bali się roli lidera.

W Podgoricy, gdzie atmosfera była piekielna, przyszła kolej na Pazdana. Trybuny chciały nas zajeść, miejscowi po swojemu wyzywali nas od chujów i „Pazdek” strasznie się nakręcił. Od początku z uszu leciała mu para.

– To będzie nasz mecz! Nie damy się! Zapierdalamy, panowie, jeden za drugiego! Pokażemy im, co potrafimy. Dobra, kurwa, jedziemy. Polska?

Michał powinien był krzyknąć: „Kto wygra mecz?”, a my zapewne byśmy odpowiedzieli: „Polska”. Ale pomyliła mu się kolejność! Po tym, jak rzucił „Polska”, zaskoczeni podnieśliśmy głowy. To jeszcze bardziej zestresowało Pazdana, który zawył swoim cieniutkim głosem.

– Hej!

Takiej pompy przed meczem nie było ani wcześniej, ani później. Jedynie „Lewy” zachował chłodną głowę.

– Kto wygra mecz?

– Polska!

Ale było już za późno. Wojtek Szczęsny jeszcze w przerwie nie potrafił powstrzymać śmiechu. My na ławce chowaliśmy twarze w koszulkach, żeby kamery nie pokazały, jak lejemy z motywacyjnego okrzyku „Pazdka”. Nawet w trakcie hymnu niektórzy ledwo dawali radę utrzymać aktorską powagę. „Polska? Hej!” była lepsza nawet niż grzanie się przed karnymi na Euro. Okrzyk spodobał nam się tak bardzo, że jakiś czas później nazwaliśmy tak grupę na WhatsAppie.

W drugiej fazie eliminacji pewnie mógłbym złapać kilka dodatkowych spotkań, ale nie miałem takiej możliwości. Wszystko przez naderwane więzadło poboczne kolana, którego dorobiłem się w meczu z Wisłą Kraków.

Pech dopadł mnie tuż przed rewanżem z Danią w Kopenhadze, który przegraliśmy aż 0:4. Tak bardzo zależało mi na grze, że kiedy po przyjeździe na zgrupowanie – gdzie chciał mnie obejrzeć doktor Jaroszewski – zobaczyłem Nawałkę, to poleciały mi łzy. Stałem na środku hotelu całkowicie rozbity, a trener poszedł i wyściskał mnie jak ojciec.

– Jesteś moim zawodnikiem, poczekam na ciebie – powiedział i spojrzał mi w oczy. – Niczym się nie martw, kadra nie ucieknie. Wyzdrowiejesz i od razu cię powołam – obiecał i zagonił sztab medyczny, żeby pomógł mi stanąć na nogi.

Pięć minut po naszej rozmowie przyszli doki i Bartek Spalek, nasz fizjoterapeuta, żeby ustalić, co mam zrobić, aby jak najszybciej wrócić do zdrowia. To nie było jednak takie proste. Kiedy rehabilitowałem kolano, uciekły mi mecze z Danią, Kazachstanem, Armenią i Czarnogórą.

Ostatnie spotkanie, na PGE Narodowym, obejrzałem z trybun. Wygraliśmy 4:2 i raz jeszcze mieliśmy awans. Po wszystkim zszedłem do chłopaków na murawę; znów były szampan i przemowa „Lewego”, brawa i runda honorowa. Niby kolejna celebra, ale czegoś mi tam brakowało. Patrzyłem na to wszystko z boku i gdzieś w środku czułem niepokój. Zresztą nie tylko ja, bo Robert po meczu ostro dyskutował z Nawałką na temat zachowania naszej drużyny. Awansujący zespół wydawał się kompletny, ale gdy przyjrzało się mu uważniej, dało się dostrzec, że brakuje kilku istotnych fragmentów.

Czy Glik spadł ze schodów?

Do zdrowia zacząłem wracać pod koniec roku. Mecze z Urugwajem i Meksykiem jeszcze mnie ominęły, ale dostałem powołanie na Koreę i Nigerię. Wtedy jednak doktorowi wyszedł wynik kinazy, po którym wysłał mnie nie na murawę, a do szpitala. Miałem jednak szczęście i do kadry znów dołączyłem w kluczowym momencie: na zgrupowania w Juracie i Arłamowie, gdzie kolejny raz mieliśmy przygotowywać się do turnieju.

Iwan zorganizował nam wtedy podróż helikopterem. Wcześniej w taki sposób nie docieraliśmy na reprezentację, więc byliśmy strasznie podjarani.

Pierwszy raz, przed Euro, leciałem z Kubą Wawrzyniakiem, Pawłem Dawidowiczem i Łukaszem Fabiańskim. Mieliśmy do dyspozycji wypasioną maszynę, którą pożyczył pan Andrzej Wiśniowski, jeden ze sponsorów kadry. Znacznie ciekawsza była jednak druga podróż. Razem z Glikiem, Grosickim i Rybusem wystartowaliśmy z warszawskiego Bemowa trochę mniejszym helikopterem. Ktoś z nas wpadł na pomysł, żeby w trakcie lotu podnieść poziom adrenaliny.

– Wie pan, trzeba tak zrobić, żeby był pełen bajer. Zobaczmy, co ten sprzęt potrafi – podpuszczał pilota „Grosik”, żeby ten pokazał nam swój popisowy numer.

Nie jestem wielkim fanem samolotów. Jeśli muszę gdzieś polecieć, to polecę. Ale wolę auta. Po tamtym locie zaś nabrałem pewności, że nigdy w życiu nie kupię sobie helikoptera. Kiedy zbliżaliśmy się do Arłamowa, uśmiechnięty od ucha do ucha pilot postanowił spełnić naszą prośbę i... runęliśmy w dół. Nagle lecieliśmy kilka metrów nad drzewami! Patrzyłem pod siebie i wydawało mi się, że jeśli wystawię nogę, to dotknę wody w strumyku. Dodatkowo maszyna zaczęła kołysać się to w lewo, to w prawo. Przez cały czas wyły chyba wszystkie kontrolki i alarmy. „Pull-up, pull-up” – piszczwały systemy bezpieczeństwa. Kurwa, naprawdę myślałem, że zaraz się rozjebimy! Po minucie szalonego lotu błagaliśmy, żeby pilot wrócił na odpowiednią wysokość i odstawił nas w jednym kawałku.

Na miejsce śmigłowcem przyleciał także „Lewy”. Kiedy jego maszyna lądowała, akurat jadłem obiad. W pewnym momencie zaczęło dziać się coś dziwnego. Ludzie dookoła wybiegali przed hotel, nawet obsługa restauracji stanęła przy oknach. Gdzieś w oddali słychać było tętent, jakby po sawannie pędziło stado słoń. Wszyscy chcieli... zobaczyć Roberta. To przypominało przylot Beatlesów albo Rolling Stonesów! A może nawet papieża! Ludzie przeskakiwali jeden przez drugiego, faceci krzyczeli, a kobiety piszczwały. Całe szczęście, że nikomu nic się tam nie stało... Nie chcę nawet myśleć, jak zareagowałiby ludzie, gdyby Lewandowski przyleciał teraz, już jako piłkarz Barcelony.

Tuż przed podróżą do Rosji sztab zaplanował wewnętrzny sparing, w którym mieliśmy po raz pierwszy zobaczyć technologię VAR.

Ściągnięto nawet Szymona Marciniaka i Pawła Gila, którzy mieli nam zrobić szkolenie z wideoweryfikacji. Po wszystkim miało odbyć się party, takie samo jak dwa lata wcześniej. Byliśmy już na boisku, gdy zrobiło się ciemno. W ciągu kilku minut błękitne niebo zmieniło się w szaroburą masę. Ale to nie był deszcz, z góry po prostu napierdała woda! A poza wodą – jeszcze pioruny!

Schowaliśmy się do szatni, ale po chwili stało się jasne, że żadnego meczu nie rozegramy, bo murawa momentalnie zamieniła się w jezioro. Zaczęliśmy wracać do hotelu, przybici nie tylko tym, że przepadła szansa, aby pokazać się selekcjonerowi, ale także niedoszlą imprezą, która zniknęła równie szybko co słońce.

– Trenerze, wie pan co? Nic się nie stało. Zamiast tego zagramy jutro i nie ma dyskusji. Mundial jest najważniejszy, pobawimy się kiedy indziej – zaproponowałem jako pierwszy.

U chłopaków wywołało to spore zdziwienie. Kto jak kto, ale Peszko nie chciał się napić i potać? Nawałka szybko to podłapał.

– No, taka postawa mi się podoba. Panowie, w takim razie gramy jutro! – zapowiedział i tak się właśnie stało.

Wiecie, co myślę? Że tamta burza była ostatecznym ostrzeżeniem przed mistrzostwami. Kolejnym, po meczach z Kazachstanem i Armenią. Czuję, że to nie jest ta sama drużyna, która jechała do Francji pełna wiary w swoje możliwości. Każdy z nas widział, że czołowi zawodnicy – Grzesiek Krychowiak, Łukasz Piszczek, Arek Milik, „Szczena”, „Grosik” – nie są w takiej formie jak dwa lata wcześniej. Oni też to wiedzieli... Jeden narzekał na zdrowie, innemu nie szło na treningach. Kręgosłup zespołu z Euro był przetrącony. W 2016 roku znajdowaliśmy się na fali wznoszącej. Teraz trwał odpływ. No i „Glikson” rozwalił sobie bark.

Chociaż od zgrupowania w Arłamowie minęło prawie pięć lat, to w środowisku wciąż krąży legenda, że Kamil doznał kontuzji nie na treningu. „Tak naprawdę” miał spaść ze schodów po jakiejś mitycznej zabawie. To jeden z największych farmazonów, jaki słyszałem. A może nawet największy. Drugi to plotka, którą puścili dziennikarze „Faktu” – że w Rosji, po porażce z Senegalem, bawiliśmy się na basenie. A my po prostu wyszliśmy z pokojów, żeby zresetować głowy. Na basenie byli już zwykli goście, którzy wykupili wczasy

w Soczi. Ktoś jednak zrobił zdjęcia, a ktoś inny dopisał bajkę o dobrych nastrojach i zabawie w towarzystwie. Tak samo bzdurną jak „balanga”, którą Glik podobno zakończył wielkim upadkiem.

Impreza była, to prawda. Wiecie jaka? Krótka. Na ten dzień przypadły urodziny „Piszcz” i „Teo”. Wjechał więc tort, później kilka piwek i to wszystko. Około północy poszliśmy spać. Następnego dnia zagraлиśmy w siatkonogę. I to wtedy Glik się rozwalił. Skąd to wiem? Bo kiedy do tego doszło, stałem dwa metry obok niego.

Na turnieju rywalizowaliśmy ze sobą w mieszanych drużynach. Moim rywalem był właśnie Kamil. Wcześniej dwa razy walnął nożycami, tak jakby wychował się na Copacabanie. Spodobało mu się tak bardzo, że za trzecim razem uderzył przewrotką. Wyskoczył, wziął zamach i... jebnął o ziemię jak worek kartofli. Nie zdążył zamortyzować upadku ręką, a że ważył z dziewięćdziesiąt kilo, to cały ciężar ciała poszedł właśnie na bark.

Gdy wstał, widzieliśmy, że jest problem – ręka wisiła mu bezwładnie. Glik to twardej, więc zacisnął zęby, ale kiedy podbiegł do niego doki, od razu zapadła decyzja, że pojedą na prześwietlenie. I chociaż do tego momentu „Glikson” był niezniszczalny, to mieliśmy złe przeczucia.

Dalszą część historii już znacie: Kamil załapał się na mundial, bo Nawałka zrobił dla niego wyjątek. Rehabilitował bark w Soczi i zagrał nawet w meczach z Kolumbią i Japonią. I to cała prawda o jego kontuzji. Jeśli ktoś mówi, że Glik spadł ze schodów, to zwyczajnie pierdoli głupoty.

Przed mistrzostwami byłem pewny, że znajdę się w kadrze, ale przyszedł moment, gdy zacząłem w to wątpić. Wszystko przez dziennikarzy, którzy atakowali Nawałkę za to, że chce mnie powołać.

Hitem lata stało się hasło „Peszek powołany dzięki Lewandowskiemu”. Jezu, jakie to było głupie. Naprawdę ktoś myślał, że Robert chodzi do Nawałki i mówi: „Trenerze, weźmy Sławka, bo nie mam z kim wypić kawki”? Przecież od kilku lat nie mieszkaliśmy w jednym pokoju, a porozmawiać mogliśmy przez telefon. „Lewy” śmiał się z tych plotek, ale mnie one irytowały. Nie byłem pierwszym lepszym ogórkiem, za którym należało się wstawiać. W tamtym sezonie zagrałem dwadzieścia pięć meczów, w których zdobyłem

cztery bramki i zanotowałem pięć asyst. Jakie były alternatywy? Rafał Kurzawa z Górnika Zabrze, Przemek Frankowski z Jagiellonii Białystok. I tyle. Po latach uważam, że w tamtym czasie znajdowałem się w czwórce najlepszych polskich skrzydłowych. Podobnie zresztą sądził Nawałka.

Poza tym byłem potrzebny nie tylko na boisku. Selekcjoner patrzył na funkcjonowanie drużyny również w szatni. A tam – nie mam co do tego wątpliwości – odgrywałem kluczową rolę. I dlatego pojechałem na mundial. A nie dlatego, że wyzebrał to Lewandowski.

Jednego jestem pewny: Robert nigdy nie był u Nawałki w mojej sprawie. Sam to potwierdzi, trener zresztą też. Przyzwyczyłem się do hejtu, umiem z nim żyć, ale tamto gadanie przed mundialem naprawdę mnie męczyło. W końcu sam zacząłem wątpić w swoje umiejętności. „Może Nawałka posłucha podpowiadaczy?” – zastanawiałem się. Media mają olbrzymi wpływ na środowisko piłkarskie; sam się o tym przekonałem, bo to przecież dziennikarze wywalczyli moje powołanie u Leo Beenhakkera. Przez jakiś czas obracałem zresztą wszystko w żart i potwierdzałem, że to Robert mnie powołuje. Ale ile razy można słuchać jednego dowcipu?

Reporterzy nie mieli pojęcia, kim jestem dla drużyny. Nie widzieli całych treningów. Nie dostrzegali mojego zaangażowania. Nie rozumieli wpływu na zespół. Nigdy nie narzekałem, nigdy nie zszedłem z zajęć. Selekcjoner postrzegał piłkarza jako kogoś więcej niż faceta biegającego po murawie; patrzył, jak ten zachowuje się na boisku, ale też podczas posiłku czy wyjścia do kina.

Ja swoje zadania spełniałem. I Nawałka o tym wiedział; miał pewność, że siedząc na ławce, nie będę psuł atmosfery, a wręcz przeciwnie – że o nią zadbam. Pozwolił mi więc być sobą. Uznał, że taki Peszko mu się przyda. Mówili o mnie „Atmosferic”? I bardzo dobrze, to dla mnie komplement. Tak, byłem „Atmosfericem”. I byłem w tym zajebisty.

Poza tym gdyby Nawałka uważał, że nie pomogę drużynie na boisku, to by mnie odpalił. I to bez mrugnięcia okiem. Tak jak odpalił Mączyńskiego, swojego piłkarskiego synka z Zabrza, który dzień przed ogłoszeniem kadry zgłosił jakiś drobny uraz. I przez taką głupotę został w kraju. Mnie w tym samym czasie wbito wizę do Rosji.

Niski pressing

„Ale chujowy terminarz” – to była moja pierwsza myśl po losowaniu grup. Mieliśmy zagrać z Senegalem, Kolumbią i Japonią. Losowanie nie wydawało się złe, przynajmniej dwie reprezentacje znajdowały się w naszym zasięgu, ale układ gier okazał się fatalny. Przypominał to, co Polacy przeżywali na mistrzostwach w Korei i Japonii w 2002 roku albo cztery lata później w Niemczech. Na przystawkę była teoretycznie najsłabsza drużyna, później najsilniejsza i na koniec średniak. Pomyłka w pierwszym meczu oznaczała walkę o wszystko w drugim. I jak to zazwyczaj bywało – w trzecim była już tylko gra o honor. Teraz, niestety, po raz kolejny miał się powtórzyć świetnie znany nam scenariusz.

W Rosji generalnie mieliśmy pod górkę. Niby było okej, organizacyjnie wszystko dopięto na ostatni guzik, ale w rzeczywistości czuliśmy, że coś jest nie tak. W Soczi zameldowano nas na przykład w świetnym hotelu tuż przy plaży, którego... prawie nie opuszczaliśmy. We Francji było podobnie, ale wtedy regularnie siadało się na kawę z dziennikarzami, widywaliśmy się też z kibicami. A teraz pochowaliśmy się za kordonem ochroniarzy i udawaliśmy, że nas nie ma. A jak już wyszliśmy, to „Fakt” zrobił nam zdjęcia na basenie i wybuchła afera.

Za drugim razem pojechaliśmy na oglądanie delfinów i znów – awantura. Zaatakowała nas celebrytka Kinga Rusin, która krzyczała, że kadrowicze takim zachowaniem popierają znęcanie się nad zwierzętami. „Nasi piłkarze »relaksowali« się w delfinariu? Jak można się relaksować w delfinariu, wiedząc to, co cywilizowany świat wie już od dawna!? Delfinaria to miejsce powolnej śmierci” – napisała w mediach społecznościowych. W trakcie mundialu znów byliśmy w centrum zainteresowania i chyba uznała, że dzięki temu będzie o niej głośno. Pamiętam, że gdy jeden z kolegów przeczytał ten jej komentarz, to rzucił tylko pod nosem: „Ale to, że nosi futra ze zwierząt, już jej nie przeszkadza”.

Tak czy owak, coś złego unosiło się w powietrzu. Wyrok był wydany – czekaliśmy tylko na egzekucję. Ta nadeszła w meczu z Senegalem. Przed pierwszym gwizdkiem oszukiwaliśmy się

jeszcze, że jakoś to będzie. Ale nie było. Zaczęło się od pechowego samobója Thiago Cionka, który zastąpił kontuzjowanego Glika. Później Krychowiak bezsensownie podał do Szczęsnego, a ten minął się z piłką i Senegal po голу M'Baye Nianga prowadził już 2:0. Co prawda „Krycha” zdobył bramkę w końcówce, ale nic nam ona nie dała. Trzeba szczerze powiedzieć, że w tamtym meczu byliśmy beznadziejni – w Moskwie Senegalczyki ograli nas głównie dzięki błędom, które popełniliśmy.

Kilka godzin później, po powrocie do hotelu, noc nagle zamieniła się w dzień. Wszystko przez flesze fotografów, ponieważ tych przed drzwiami czekało na nas ze trzydziestu. Błysk aparatów dosłownie mnie oślepił, aż pożałowałem, że nie mam ze sobą okularów przeciwsłonecznych. To była jednak dopiero zapowiedź tego, co miało wydarzyć się w najbliższych dniach. Zaraz po meczu dostałem kilkadziesiąt powiadomień od znajomych, którzy dali mi znać, że media już zaczęły nas krzyżować.

Symbolem tego szaleństwa była okładka „Newsweeka”, na której Ania Lewandowska pociesza Roberta. I wielki tytuł: *Na zakręcie*. Chłop poszedł do żony, żeby ją przytulić, a gazeta zrobiła z tego wielki temat. Robert strasznie to przeżywał, nie rozumiał, dlaczego tak błaha sytuacja stała się powodem powstania tysiąca artykułów na przeróżnych pudelkach i pomponikach.

Następnego dnia, podczas porannego treningu, selekcjoner zwołał nas na środek boiska. Spojrzał kątem oka na stojących przy linii bocznej pismaków z Polski i powiedział:

– Wyciągnęli karabiny. Ale trudno, nic z tym nie zrobimy. Będą w nas teraz napierdalać, dlatego musimy być mocni i zjednoczeni. Strzelają do nas z największych dział, a my idziemy ramię w ramię. Rozumiecie? Nie róbcie tylko żadnych głupot.

Próbował ratować, co się dało, ale było już za późno. Jeśli przed mundialem ktoś napompował balonik, to po Senegalach pękł on z hukiem. Nikt nie miał nastroju do żartów, baliśmy się też paparazzi, którzy wynajęli w hotelu kilka pokojów. Nikt nie miał nastroju do żartów. Jako „Atmosferic” próbowałem zagadywać kolegów i organizować wspólny czas, ale to wszystko było na siłę. I jak się okazało, nie przyniosło żadnego efektu.

Nie będę owijał w bawełnę – Kolumbia nas rozjebała. W Kazaniu nie mieliśmy z nimi żadnych szans. Rywale przypominali Hiszpanów, z którymi przed mundialem w RPA przegraliśmy 0:6. Byli od nas szybsi, silniejsi, lepsi technicznie. Jeśli nawet ktoś się łudził, że wyrwiemy im choćby punkt, to po kilku minutach musiał stracić nadzieję, że nie dostaniemy w ryj. Mogliśmy co najwyżej zapisać się do nich na wykład o nowoczesnym futbolu.

Radamel Falcao, Juan Cuadrado i ich kumple nie mieli litości, a nam zabrakło argumentów, aby się im przeciwstawić. Najpierw James Rodríguez idealnie dograł na głowę Yerry'ego Mina, później nasza obrona została rozklepana, a gola strzelił Falcao, aż w końcu wynik przypieczętował Cuadrado, skutecznie wykorzystując błyskawiczny kontratak.

Sporym zaskoczeniem był fakt, że Nawałka przed Kolumbią wyrzucił ze składu Grosickiego, swego wiernego żołnierza, który za trenerem wskoczyłby w ogień. Selekcjoner zaczął jednak nerwowo szukać innych rozwiązań i dość niespodziewanie postawił na Dawida Kownackiego.

– Mógłby mi trochę bardziej zaufać... – irytował się Kamil, ale po jakimś czasie mu przeszło, bo wiedział, że z Senegalem nie odpalił.

Szatnia po Kolumbii była wierną kopią tej po meczu z Portugalią na Euro: pot, łzy i bolesna cisza. Jediną osobą, która wciąż zachowała bojowego ducha, był Nawałka.

– Co jest, panowie? Co się dzieje? To nie koniec mistrzostw! – krzyknął na dzień dobry, a później zaczął opierdalać sztab, który nie rozdał wody, bo jego członkowie tak jak my siedzieli w milczeniu i żegnali się z turniejem.

– A wy już wolne macie? Ktoś chce dziś jechać do domu? Nie? To w tej chwili podnosić głowy i do roboty!

Nawałka żył już starciem z Japonią w Wołgogradzie. Nie zamierzał się poddać – chciał zakończyć mistrzostwa chociaż jednym zwycięstwem. Udało się, ale mecz ten przeszedł do historii z całkiem innego powodu.

Po Kolumbii nastroje były pogrzebowe. Z „Grosikiem” snuliśmy się po hotelu jak zombie, gdy spotkaliśmy prezesa Bońka. Coś tam

zagadywał o ostatni mecz, ale Kamil popatrzył na niego zrezygnowany.

– Idziemy do baru pierdolnąć sobie whisky – wymamrotał i jak zapowiedział, tak zrobił.

Co mógł powiedzieć Boniek? Sam był na kilku turniejach i wiedział, że już po nas. Machnął więc ręką i poszedł w swoją stronę.

Mnie jednak nie brakowało motywacji. Miałem już trzydzieści trzy lata i wiedziałem, że przede mną ostatnia szansa, aby zaliczyć mecz na mundialu. Nie zamierzałem jej zmarnować przez zły humor.

W osiemdziesiątej minucie spotkania z Japonią Nawałka mógł wpuścić na boisko dwunastu zawodników, bo właśnie tylu siedziało na naszej ławce. Byli wśród nich Rybus, Piszczek, Kownacki, Milik... A jednak stało się – wpuścił właśnie mnie!

– Sławo, gotowy? To wchodzisz.

Zabrzmiało to równie pięknie jak słowa Beenhakkera wypowiedziane w Dublinie, gdy zadebiutowałem w kadrze.

W końcówce obie drużyny biegały na najniższych obrotach. Japończycy byli już pewni awansu z drugiego miejsca, więc nie chcieli im się szarżować. A my mieliśmy trzy honorowe punkty, więc też odpuściliśmy.

Sam byłem jednak pobudzony, chciałem grać do przodu. Kiedy czekałem na zmianę, powiedziałem sobie w duchu, że spróbuję dryblingu albo dośrodkowania – może się uda? W pewnej chwili dorwałem piłkę, zacząłem się rozpędzać, tyle że... nikt za mną nie pobiegł. „Co się dzieje?” – zastanawiałem się, bo zamierzałem jeszcze coś zrobić. Ale większość kolegów nie miała już na to ochoty.

Dodatkowo w końcówce doszło do przykrej sytuacji ze zmianą Błaszczykowskiego. Kuba stał przy linii, ale piłka nie chciała opuścić boiska, ponieważ obie drużyny już tylko symulowały grę. W pewnym momencie Iwan krzyknął do „Grosika”, żeby ten się położył i pokazał, że ma skurcze. Pomysł był dobry, Kamil go nawet zrealizował, ale „Błaszczka” i tak nie udało się wprowadzić na murawę. Nawałka chciał dobrze, ale wyszło słabo.

Z Japonią zaliczyłem dziesięć minut i do występów na Euro w końcu dołożyłem grę na mundialu. To był mój piłkarski Mount

Everest. Ostatecznie wygraliśmy 1:0 po bramce Janka Bednarka. Po meczu niewiele było radości, bo dziennikarze i kibice skupili się głównie na ostatnich minutach, które nie wyglądały zbyt atrakcyjnie.

Z jednej strony ich rozumiem, mnie też się to nie podobało. Zresztą nikt w drużynie z tego „niskiego pressingu” nie był dumny. Ale szczerze mówiąc, we własnym gronie nie rozmawialiśmy o tym zbyt długo, bo mieliśmy już dość tego turnieju. Liczyło się tylko jedno: że wygraliśmy mecz o honor. I tyle, cześć, wracamy do domu.

Wygrana z Azjatami to były moje kolejne punkty na mistrzostwach. Powiem więcej: z Peszką w składzie Polska nie przegrała turniejowego meczu! Z Irlandią Północną, Ukrainą, Szwajcarią i Japonią wygraliśmy, a z Niemcami zremisowaliśmy. Może to odpowiedź na pytanie, dlaczego nie poszło nam w innych spotkaniach? Może trzeba było postawić na mnie z Senegalem, a dziś rozmawialibyśmy o półfinale mundialu? Spokojnie, tylko żartuję.

To jest już koniec

Jakiś czas później dowiedzieliśmy się z mediów, że Nawalka odchodzi. Nie było to jednak niespodzianką, już wcześniej czuliśmy, że tak się stanie. Pewna era się kończyła, dinozaury zaczynały ginąć. Nieraz rozmawialiśmy o tym z chłopakami z mojego rocznika. „Fabian” chciał kończyć granie już po Francji, ale jeszcze trochę wytrzymał, aż do mistrzostw Europy w 2021 roku. Piszczek natomiast powiedział pas od razu po Rosji. Ja zresztą też, chociaż moje zakończenie gry w kadrze było tylko symboliczne. Lata mijały, nadchodziło nowe pokolenie i nie podejrzewałem, że kolejny selekcjoner będzie mnie potrzebował.

Pół roku po mistrzostwach siedziałem na wakacjach w Dubaju. Był styczeń, czyli okres ogórkowy. Moczyłem nogi w basenie i w pewnym momencie pomyślałem, że trzeba zrobić jakieś show. Chwyciłem więc za telefon i kilka minut później puściłem na Instagramie post, w którym oficjalnie pożegnałem się z kadrą. Napisałem: „Z całego serca i sił swoich starałem się reprezentować nasz kraj jak najlepiej”. I to najcelniejsze podsumowanie mojej dekady w biało-czerwonej koszulce.

Czy miałem za mało umiejętności? Pewnie tak. Czy brakowało mi szczęścia? Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Nieraz przydałoby się też więcej rozumu. Ale nigdy nie zabrakło mi serca. Kocham Polskę i możliwość jej reprezentowania była dla mnie najważniejszym sportowym przywilejem.

Kiedy przed meczem z Walią w Lidze Narodów prezes PZPN Cezary Kulesza wręczył mi koszulkę z wypisanymi na niej wszystkimi moimi meczami w kadrze, naszała mnie pewna refleksja. Koszulka miała numer czterdzieści cztery – właśnie tyle spotkań zanotowałem przez te dziesięć lat. Dla kogoś to może mało, przecież Lewandowski ma ich ponad sto trzydzieści, a Kuba – sto osiem. Ale wystąpiłem w kadrze więcej razy niż Andrzej Juskowiak, Jerzy Brzęczek, Jan Furtok czy Tomasz Łapiński. I tylko jeden raz mniej niż legendarny Gerard Cieślik.

Blisko trzydzieści meczów uciekło mi przez dwa zawieszenia i różne kontuzje. Gdybym był więc grzecznym chłopcem, spokojnie zebrałbym sześćdziesiąt gier. A może bez rogatej duszy byłoby równe... zero?

Bo jaka była szansa na to, że uda mi się zagrać te czterdzieści cztery razy? Moim zdaniem – niewielka, właściwie żadna. Skromny chłopak z Jedlicza, który przygodę z piłką zaczynał od rywalizacji z drzewami, spełnił jednak swoje marzenia. I z tego jestem dumny.

ROZDZIAŁ 11

WIECZYSTA I CZYSTA

Byłem przeciwny transferowi Peszki do Wieczystej Kraków. Jako dyrektor sportowy klubu wyraziłem swoją opinię i powiedziałem prezesowi Kwietniowi, że to zła decyzja. Nie wierzyłem, że Sławek będzie mógł nam pomóc. Do błędu musiałem się przyznać po kilku tygodniach...

Andrzej Iwan

Po dwudziestu latach przeżyłem déjà vu.

- Alkoholik!
- Pijak!
- Gwiazdeczka!

Historia zatoczyła koło: kiedyś obrażali mnie kumple z kadry makroregionu, dla których byłem słabeuszem i biedakiem, a teraz jechali po mnie kibice na położonym w parku Jerzmanowskich stadionie Prokocimia, dla których byłem... zbyt dobry i bogaty.

Od kilku tygodni występowałem w Wieczystej Kraków, nieznanym jeszcze klubie z okręgówki. Każde moje pojawienie się na lokalnych klepiskach wywoływało poruszenie, jakby miasteczko odwiedził właśnie słynny aktor albo piosenkarz. „Patrzcie, reprezentant przyjechał” – szeptano, chociaż od dawna nie grałem w kadrze. W życiorysie miałem jednak udział w dwóch dużych turniejach, a także ciekawą karierę w Polsce, Niemczech oraz Anglii.

Mówiąc wprost: byłem dla nich jak małpka w cyrku.

Chociaż przez kilka miesięcy w ogóle nie grałem w piłkę, mój transfer do Wieczystej okazał się sensacją lata, która podnieciła dziennikarzy i kibiców w całym kraju. Gdy pojawiły się pierwsze

plotki o tym, że mogę wrócić do Krakowa, ale nie do Wisły czy Cracovii, a do dzielnicowego klubiku, nikt w to nie chciał uwierzyć. Jakoś mnie to nie dziwi, bo sam długo uważałem, że taki scenariusz jest po prostu nierealny.

Temat Wieczystej pojawił się wiosną. Po tym, jak rozwiązałem umowę z Lechią Gdańsk, mój telefon dzwonił coraz częściej. Na początku marca byłem na przykład na meczu Widzewa Łódź z Olimpią Elbląg. Choć to była tylko druga liga, to na trybunach zasiadło szesnaście tysięcy kibiców. Od razu spodobał mi się ten klimat. Diabeł tkwił jednak w szczegółach. O ile mogłem przystać na zarobki na poziomie dwudziestu tysięcy złotych miesięcznie, to nie interesował mnie kontrakt na trzy miesiące. A taki oferował Widzew. Poprosiłem więc o klauzulę przedłużenia umowy w przypadku awansu, ale działacze z Łodzi na takie rozwiązanie kręcili nosami.

– Jak się uda, to wtedy pogadamy. Na razie pomóż nam wygrać ligę – czarował dyrektor Piotr Szor, a ja już wiedziałem, że nic z tego nie wyjdzie.

Miałem także konkretną propozycję z Bruk-Bet Termaliki Nieciecza. Temat nakręcił niezawodny Tomek Hajto, który umówił mnie z Mariuszem Lewandowskim. Z „Lewym”, który został trenerem, znaliśmy się od lat i natychmiast doszliśmy do porozumienia. W Niecieczy miałem dostać świetną pensję – czterdzieści pięć koła miesięcznie – a także zgodę na mieszkanie w Krakowie, chociaż wszyscy zawodnicy Termaliki musieli stacjonować w Tarnowie. „Potrzebuję kogoś z charakterem, bo jak tylko dostajemy bramkę, to drużyna siada na dupie. Chcę tu faceta z jajami, który w trudnych momentach pociągnie ten zespół” – tłumaczył „Lewy”. On był na tak, pani prezes Danuta Witkowska była na tak, ja też byłem na tak. Tuż po negocjacjach z pierwszoligowcem pojechałem jednak do Krakowa, żeby odwiedzić Wojtka Kwietnia, kolegę z czasów gry w Wiśle. I ta decyzja zmieniła moje życie.

Kwiecień, prężny biznesmen, właściciel sieci aptek Słoneczna, był właścicielem i głównym sponsorem Wieczystej. Poza nim na Chałupnika czekali na mnie także jego syn Grzesiek i Andrzej Iwan, kiedyś uczestnik mistrzostw świata, a później dyrektor sportowy klubu. To jemu pomysł na moje zatrudnienie podsunął prezes Adam

Mandziara, który chciał się mnie pozbyć. Andrzej przekazał to Kwietniowi, a ten umówił spotkanie ze mną i Hajtą.

Zwolennikiem takiego ruchu był także trener Przemysław Cecherz, którego znałem z Płocka. On również pojawił się na tamtej rozmowie. I w swoim stylu – a trzeba wiedzieć, że ma niesamowitą bajerę – zaczął nawijać mi makaron na uszy.

– Sławciu, najdroższy, nawet się nie zastanawiaj! Podpisuj zaraz umowę i robimy tu niesamowitą ekipę. Będzie awans za awansem, zobaczysz. Jak się rozpędzimy, to nikt nas nie zatrzyma! – zapewniał Cecherz. – A z tobą, mój królu złoty, to już na pewno!

Z tego, co się później dowiedziałem, za byli niemal wszyscy poza... Iwanem. Andrzej, prywatnie mój kolega, uważał, że nie dam rady pomóc drużynie i zamiast hitu wyjdzie kit. Ale po kilku miesiącach przyszedł do mnie, przyznał się do tego i powiedział, że się pomylił.

Decyzja o przenosinach do Wieczystej nie była jednak dla mnie łatwa, bo oznaczała pożegnanie się z futbolem na najwyższym poziomie. A nie musiałem się z nim żegnać, poza Widzewem i Termalicą kolejny raz odezwała się także Wisła Płock. Kwiecień miał jednak w negocjacjach wyjątkową pozycję – w czasach mojej gry w Wiśle zdążyliśmy się zaprzyjaźnić. I nie potrafiłem mu odmówić. Nie jest żadną tajemnicą, że zgadzały się także finanse. Wojtek zaproponował mi kontrakt, jakiego w historii okręgówki jeszcze nie było – i pewnie już nigdy nie będzie. Podpisaliśmy umowę na rok z opcją przedłużenia o kolejne dwanaście miesięcy.

Wieczysta amatorskim zespołem była tylko z nazwy. Piłkarzami klubu byli już mający za sobą grę w Ekstraklasie Emmanuel Kumah, Michał Miśkiewicz, Bartosz Iwan i Piotr Madejski. Drużyna co prawda straciła przez pandemię szansę na awans do czwartej ligi (w momencie zawieszenia rozgrywek w tabeli zajmowała drugie miejsce), ale Kwiecień się nie zraził. Wręcz przeciwnie, poszedł na całego i zdecydował, że okręt pod żółto-czarną banderą ma wpłynąć na głębokie wody z kapitanem Peszko na pokładzie.

Transfer okazał się petardą nie tylko sportową, ale także medialną. Tuż po tym, jak podpisałem dokumenty, rozpoczął się najazd dziennikarzy na nasz klub. Na pierwszy trening przyjechało ich z trzydziestu; każda szanująca się redakcja wysłała do Krakowa

przedstawiciela, który miał zrobić materiał o Wieczystej. Na zgrupowaniu reprezentacji nie było takiego tłoku jak w tamtych dniach na Chałupnika.

Jednocześnie nie brakowało kpin i słów krytyki: że się sprzedałem, że zakończyłem profesjonalną karierę, że psuję rynek. „Mógł grać w Ekstraklasie, a wybrał okręgówkę. Facet bez ambicji” – mówili złośliwcy. Nie rozumieli, że moja decyzja nie była chwilowym kaprysem, tylko wyborem na kolejne lata.

O ile w klubie wszystko było poukładane profesjonalnie i w gruncie rzeczy niewiele różniło się od tego, co spotkałem w Gdańsku czy Krakowie – mieliśmy nawet własną odnowę biologiczną czy siłownię – o tyle na boisku było nieco inaczej. Mam szczęście, że nikt nie transmitował mojego pierwszego sparingu, z Zagłębiem Sosnowiec, bo byłby wstyd na cały kraj. Zagrałem w nim fatalnie... I jestem pewny, że siedzący na trybunach Kwiecień łapał się za głowę, myśląc: „Co ja zrobiłem?”. Ale tydzień później przeciwko Unii Tarnów byłem już sobą. Wszedłem na murawę przy stanie 0:1, zdobyłem bramkę i zanotowałem dwie asysty. Po tym meczu już chyba nikt nie miał wątpliwości, że jestem odpowiednim facetem na odpowiednim miejscu.

Zanim sezon się rozpoczął, Cecherz wziął mnie na rozmowę i poinformował, że nie będę kapitanem.

– I tak jesteś naszą największą gwiazdą, wszystko kręci się wokół ciebie. Uważam, że nie potrzebujesz na głowie kolejnego ciężaru – wyjaśnił.

Chyba spodziewał się, że będę zawiedziony, ale przyznałem mu rację. Wokół mnie trwało szaleństwo i wrzucanie mi na barki jeszcze jednego obowiązku nie byłoby zbyt rozsądne. Poza tym i tak miałem zamiar udowodnić, że jestem liderem. Pokazałem to już w debiucie z Hutnikiem Kraków – wygraliśmy 3:0, a ja strzeliłem dwie bramki.

W całym sezonie zanotowałem serię dwudziestu dwóch meczów ze strzelonym golem. Pobitem tym samym na głowę... Leo Messiego. To nie żart. Argentyńczyk w 2012 i 2013 roku zdobywał co najmniej jedną bramkę w kolejnych dwudziestu jeden spotkaniach. Ja dwoma trafieniami w starciu ze Skawinką Skawina przeskoczyłem asa Barcelony i PSG o jeden mecz. Łącznie miałem na koncie

trzydzieści dziewięć trafień, chociaż i tak wyprzedził mnie Radek Majewski, mój stary druh, który tamtego lata także dołączył do Wieczystej.

Szczerze mówiąc, nie podniecały mnie jednak te strzeleckie serie. Okręgówka była bajecznie prosta, nawet na treningach w Wieczystej rywalizacja stała na wyższym poziomie. Ale nie ma się co dziwić, skoro naszymi rywalami byli faceci, którzy na co dzień pracowali jako listonosze, budowlańcy czy urzędnicy. Dopiero w weekend zakładali krótkie spodenki i na dwie godziny zamieniali się w lokalnych Maradonów.

Niskie ligi mają jednak niepowtarzalny klimat. W Wołowicach działacze klubu witali nas ciastem, kielbaskami i wódeczką. Na mecz przyszedł nawet wójt czy burmistrz tylko po to, żeby uścisnąć nam dłonie. Innym razem, w Jawiszowicach, podczas wyrzucania piłki z autu poczułem na ramieniu silny uścisk dłoni. Obróciłem się, a za mną stał facet po pięćdziesiątce z rękoma wielkimi jak bochny chleba, który z dobrotliwą miną częstował mnie... piwem.

– Po meczu, okej? Tylko dokończę robotę – powiedziałem, ale gość chyba wypił browara sam, bo później już go nie spotkałem.

Bywało też groteskowo. W trakcie meczu z Kaszowianką Kaszów mieliśmy pięć minut przerwy, bo po boisku zaczął biegać pies. Ochrona ganiała go po całej murawie, ale nie szło jej najlepiej i udało się go złapać dopiero, gdy pomogli miejscowi piłkarze. Na stadionie Dąbskiego KS przez środek boiska szła ścieżka i jeszcze w trakcie rozgrzewki spacerowali nią ludzie. Natomiast na obiekcie Nadwiślana Kraków szatnie były... dwupiętrowe. Część drużyny wchodziła więc po schodkach i przebierała się na górze, a reszta – na dole.

Na początku sezonu myślałem, że rywale będą chcieli pokazać mi, gdzie jest moje miejsce, i urządzić polowanie na kości. Ale było zupełnie odwrotnie – szanowali mnie za to, co osiągnąłem, i zamiast ciąć równo z trawą, zagadywali, zbijali piątki i prosili o wspólną fotkę.

– Fajnie przekonać się, jaka jest różnica między nami a profesjonalistami – słyszałem wielokrotnie.

Czasami zdarzało mi się im podpowiadać, tak samo jak lata temu podpowiadał mi „Hajtowy”.

– Dlaczego zawężasz? Stań sobie szerzej, złap głębiej, będzie ci łatwiej – mówiłem młodszym kolegom z miną profesora. Rzadko kiedy jednak słuchali, bo woleli stać jak najbliżej mnie. Zazwyczaj kończyło się to tak, że gdy dostawałem piłkę, po dwóch sekundach miałem ich za plecami.

Szef wszystkich szefów

Ostatnio jedno z najczęstszych pytań, które słyszę, brzmi: kim jest Kwiecień, facet odpowiedzialny za sukces Wieczystej? Od razu trzeba zaznaczyć, że nasz prezes nie znosi rozgłosu. Nie pozwala się fotografować. Nie chce, aby dziennikarze zaglądali do jego biznesów, a tym bardziej – domu. To zamiłowanie do prywatności trzeba uszanować, ale nie mogę nie wspomnieć o człowieku, bez którego Wieczysta byłaby nic nieznaczącym punktem na piłkarskiej mapie Polski.

Wojtek (bo jesteśmy na „ty”) jest przede wszystkim niesamowitym kibicem Wisły. Krakowski klub wspiera od lat; to on wyłożył z własnej kieszeni półtora miliona złotych na transfer Chorwata Petara Brleka, którego Biała Gwiazda sprzedała później do Genui za cztery razy więcej. Gdy Wisły nie było stać na pensje, pożyczał jej pieniądze. Kiedyś obiecał także, że pokryje moje wynagrodzenie, jeśli będzie taka potrzeba. Pod koniec 2018 roku niewiele brakowało, aby Kwiecień – wraz z trzema innymi biznesmenami – przejął klub. Gdy jednak zorientował się, jaki panuje tam burdel, wycofał się z transakcji. I wcisnął gaz do dechy, inwestując w Wieczystą.

Poza Wisłą Kwiecień kocha także Chelsea i angielski futbol. Potrafi wymienić niemal wszystkich zawodników grających w Premier League. „Zagrajcie jak Chelsea” – mówił nieraz. Jego największą miłością jest jednak Wieczysta. Dzielnicowy klub, obok którego się wychował, postanowił uczynić dumą nie tylko okolicy, ale i miasta. To naprawdę szczere uczucie. Nie znam innego prezesa, który jest nie tylko na każdym meczu swojej drużyny, ale nawet na większości treningów.

– Prezes, a dlaczego ty nie polecisz do Nowego Jorku albo Paryża i tam nie odpoczniesz? – pytałem go wielokrotnie, na co on odpowiadał mi z rozbijającą szczerością:

– Po dwóch dniach bym się tam nudził. To już wolę popatrzeć, jak trenujecie...

Nie jest to jednak drugi Józef Wojciechowski. Nie wchodzi do szatni, nie wysyła trenerom wiadomości ze składem, nigdy nie opierdala piłkarzy. Ale jednocześnie przeżywa każde spotkanie. Jestem pewny, że przed meczami nie może zasnąć. Kiedy więc wygrywamy, w klubie z kranów płynie Johnnie Walker. Gdy przegrywamy, atmosfera jest kiepska.

W Wiczyściej nie możemy narzekać na nic. Niech mi ktoś pokaże inny klub z niższych lig, który na zimowe zgrupowanie poleciał do Dubaju. A my trenowaliśmy właśnie w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Zresztą sam się do tego przyczyniłem, bo kiedy szef omawiał plan wyjazdu do Turcji, rzuciłem:

– To nie lepiej do Dubaju? Koszt podobny, ale wrażenie będzie całkiem inne!

I Kwiecień się zgodził. A ja o mało nie ominąłem wylotu na obóz. Dzień wcześniej świętowałem urodziny i z kilkoma znajomymi pobalowałem zbyt długo. Gdy się obudziłem, miałem ogromnego kaca i ze dwa promile we krwi. Zebrałem więc najpotrzebniejsze rzeczy, zamówiłem taksówkę i popędziłem do klubu. Co prawda spóźniłem się na zbiórkę, ale Cecherz przytknął na to oko.

W Dubaju wynajęto pięciogwiazdkowy Jebel Ali Beach Hotel, położony tuż nad Zatoką Perską. Miesiąc wcześniej trenowali tam piłkarze Legii Warszawa. Obiekt robił duże wrażenie, brakowało chyba tylko złotych klamek. Do dyspozycji mieliśmy też niezłe boisko. Przed sparingiem z rosyjskim FC Rodina Moskwa zaproponowałem Cecherzowi, że w razie zwycięstwa da nam wychodne. Mecz co prawda przegraliśmy, lecz pokazaliśmy się z dobrej strony i szkoleniowiec mimo wyniku dał nam czas na odpoczynek. „Ale wszyscy są w hotelu punktualnie o dwudziestej. I bądźcie gotowi na to, że jutro dostaniecie w dupę” – zarządził trener i poszedł na saunę.

Razem z „Mają” i Damianem Guzikiem, naszym kolegą z drużyny, wybraliśmy zwiedzanie Burdży Chalify, najwyższego budynku na świecie. W drodze powrotnej wpadłem na pomysł, aby odwiedzić jeszcze hotel Armaniego; byłem tam kiedyś z Robertem

Lewandowskim i pamiętałem, że na górze jest zajebisty taras, z którego widać pokaz podświetlanych fontann. Do restauracji, w której jadają miejscowi szejkowie, można się jednak dostać tylko w jeden sposób – przejeżdżając autem przez specjalny szlaban. My auta nie mieliśmy, ale nie zamierzaliśmy się też poddawać. Radek znalazł w końcu samotną windę na uboczu, chyba towarową. Gdy dojechaliśmy na odpowiednie piętro, okazało się, że trafiliśmy do... kuchni. „Chyba myślą, że przyszliśmy zabrać śmieci” – mówiliśmy sobie ze śmiechem, patrząc na zdziwionych kucharzy. Zagraliśmy jednak szefów i pewnym krokiem ruszyliśmy przed siebie, aż weszliśmy na pustą jeszcze salę.

– *Excuse me*. Co wy tu robicie? – zapytał nas w końcu siwy menadżer, który musiał się zdziwić na widok trzech gości w krótkich spodenkach i sportowych koszulkach Wiczystej łąjących po jego knajpie pół godziny przed otwarciem.

– Jesteśmy z Polski. Chcieliśmy coś zjeść...

– Ale jest jeszcze zamknięte!

– To może poczekamy na tarasie?

Facet miał chyba dobry dzień, bo machnął na nas ręką. Gdy jakiś czas później restauracja została otwarta, pojawili się w niej ważniacy w garniturach wartych kilka naszych miesięcznych pensji i bogacze w arabskich szatach. Dokończyliśmy więc wcinać przystawki za dwieście dolców i opuściliśmy lokal, który faktycznie okazał się dla nas zbyt elegancki.

O ile w Dubaju zagraliśmy sparingi z rosyjskim trzecioligowcem i miejscowym Dubai City, o tyle ponad rok później działacze Wiczystej przeszli samych siebie. Na obozie, który zorganizowano w Austrii, zakontraktowali sparingi z Mallorcą i Salernitaną (w której wystąpił mój znajomy z Bundesligi Frank Ribéry). Co prawda w obu spotkaniach przegraliśmy, a Francuz strzelił nam gola, ale przecież zmierzyliśmy się z drużynami występującymi na co dzień w La Liga i Serie A! W tym samym czasie kluby z Ekstraklasy grały między sobą.

U nas co prawda takie gwiazdy jak Ribéry jeszcze nie występują, ale lista byłych i obecnych graczy klubu i tak robi wrażenie: Błażej Augustyn, Wilde-Donald Guerrier, Łukasz Burliga, Thibault Moulin, Michał Mak, Jakub Bąk czy Maciek Jankowski... Dla prawdziwego

kibica te nazwiska na pewno nie są anonimowe. A prezes podchodzi do sprawy na tyle ambitnie, że był blisko zakontraktowania kilku innych grajków, na przykład byłego króla strzelców Ekstraklasy Igora Angulo. Zresztą wielu piłkarzy z własnej inicjatywy pytało mnie o możliwość gry w Krakowie, na przykład Tomek Jodłowiec. Polecałem też Marcina Wasilewskiego, chociaż już nie jako piłkarza, a doradcę. Ale dostać się do Wieczystej nie jest wcale tak łatwo.

Czy to ten słynny Smuda?

Razem z Cecherzem zdemolowaliśmy okręgówkę i awansowaliśmy do czwartej ligi. W sezonie rozegraliśmy dwadzieścia osiem meczów – wygraliśmy wszystkie. Dodatkowo strzeliliśmy dwieście szesnaście bramek, o ponad sto więcej niż druga w tabeli Prądniczanka Kraków. Czasami zdarzało się, że przeciwnicy podchodzili do mnie w trakcie spotkań i niemal ze łzami w oczach prosili, żeby im odpuścić.

– Osiem wam nie wystarczy? – pytali.

– Nie – odpowiadałem krótko.

Z Radkiem byliśmy jak dwa rekiny. Gdy wyczuliśmy krew, nie odpuszczaliśmy. Nie chcieliśmy tylko wygrać, chcieliśmy roznosić rywali w pył. I dokładnie to robiliśmy: 11:1 z Kaszowianką, 13:0 z KS Borek, 14:0 z Orłętami Rudawa i rekordowe 15:0 z Dąbskim KS. Czasami szkoda było mi tych chłopaków, ale przecież nie po to Kwiecień płacił nam grubą kasę, żebyśmy wygrywali 2:1.

Na początku czerwca gruchnęła jednak sensacyjna wiadomość: Cecherz został zwolniony! O tym, że jego los jest przesądzony, wiedziałem kilka dni wcześniej, gdy zadzwonił do mnie zirytowany Wojtek. Prezesa strasznie rozzłościł wywiad Cecherza dla „Przeglądu Sportowego”, w którym ten ujawnił sekrety klubu: że na rozmowach był Michał Chrapek, że negocjowano z Januszem Golem, że była opcja sprowadzenia słynnego Holendra Wesleya Sneijdera. Opowiedzenie o tym wszystkim w mediach przesądziło o losie Cecherza, który w klubie pracował od lipca 2019 roku. Chociaż z tego, co wiem, rozstanie odbyło się z klasą.

Zwolnienie Przemka oznaczało zatrudnienie nowego szkoleniowca. Na karuzeli pojawiały się różne nazwiska, na przykład

Łukasza Surmy. Ja sugerowałem Jacka Zielińskiego, który był bez klubu. Kwiecień mnie jednak zaskoczył, dzwoniąc pewnego popołudnia.

– Rozmawiam z Frankiem Smudą. Co ty na to? – zapytał.

– To wybór prezesa, nic mi do tego...

– Ale dogadacie się? – dopytał.

Wszystkiego w życiu mogłem się spodziewać, ale nie tego, że jeszcze kiedyś będę pracować ze Smudą. Trzy miesiące wcześniej wpadliśmy na siebie po pucharowym meczu z Podhalem Nowy Targ, gdzie Franek pracował jako doradca. Gdy wszedłem do sky boxa i zobaczyłem go stojącego przy barze, krzyknąłem na cały głos: „Czy to ten słynny Franciszek Smuda, który wypierdolił mnie z reprezentacji?”. Na sali zrobiło się cicho. Rezonu nie stracił tylko Franek, który od razu się zaśmiał.

– Ty to nigdy mi nie odpuszczisz, co, „Szpaczek”?

Pogadaliśmy wtedy kilka minut, po raz pierwszy od dziewięciu lat, czyli od chwili, gdy wyrzucił mnie z kadry przed mistrzostwami Europy. I było zaskakująco sympatycznie. Kiedy więc Wojtek zapytał, czy się z trenerem dogadamy, przytaknąłem. Mogłem zrobić scenę i powiedzieć, że to beznadziejny pomysł, ale to byłoby bez sensu. Minął szmat czasu, dojrzałem i zrozumiałem kilka rzeczy. Powiedziałem więc spokojnie: „Poradzę sobie”. Najważniejsze było dla mnie dobro drużyny i to, że potrzebuje ona nowego impulsu. Trochę wcześniej podjąłem zresztą decyzję, że przedłużę umowę o kolejny sezon – do czerwca 2023 roku. Tym samym dostałem nowe zadanie: wprowadzić klub do trzeciej ligi, a później do drugiej.

Mimo upływu lat metody Smudy w ogóle się nie zmieniły. Nadal miał ubogi warsztat, nie było w nim nic z nowoczesnej myśli szkoleniowej. Wciąż za to stawiał na katorżnicze przygotowania, bieganie w kółko po tartanie, grę jeden na jednego na całym boisku, darcie się „preeeeeeeeeeeeeess”. Jak zawsze miał też swoich ulubieńców i piłkarzy, których nie znosił. Na drugiej liście znalazł się między innymi „Maja”. Radek grał trochę jak kiedyś Semir Štilić w Lechu Poznań: kiwał, robił kółeczka, holował piłkę. Ale o ile Bośniakowi Smuda wszystko wybaczał, o tyle Majewskiemu cały czas zwracał

uwagę, że powinien grać bardziej odpowiedzialnie oraz bezpiecznie. I w ten sposób zabierał Majewskiemu wszystkie jego atuty.

Mnie natomiast adorował, czasami aż do przesady. Nagle stałem się jego synkiem. W szatni powtarzał: „Jeśli czegoś nie wiecie, to pytajcie Sławka. On wszystko wie”. Na początku swojej przygody z klubem oświadczył zresztą:

– Od dziś kapitanem jest Sławek. Czy ktoś ma coś przeciwko?

Zdziwienie koledzy popatrzyli tylko na siebie.

– No to wybraliśmy go jednogłośnie – odparł z uśmiechem i jak gdyby nigdy nic wyszedł z szatni.

Czasami trochę przesadzał i robiło się niekomfortowo. Smuda uwielbia podpuszczać piłkarzy. Sprawdza ich w ten sposób. Od razu ostrzegłem więc kolegów, żeby byli czujni jak ważki. Gdy więc po przerwie zimowej trener zapytał, czy jest ktoś, kto w ogóle nie ćwiczył, szatnia milczała. Ja jednak postanowiłem zrobić sobie ze Smudy jaja.

– Trenerze, a pływanie w basenie się liczy? Bo ja co prawda nie biegałem, siłownię też omijałem z daleka, ale za to cały czas siedziałem w wodzie!

– O, Sławek, widzisz! To nawet lepiej! Twoje stare kolana właśnie tego potrzebowały – stwierdził całkiem poważnie Franz, a chłopaki zrobili wielkie oczy, bo gdyby powiedział to ktoś inny, byłaby awantura.

Innym razem Franek zaczął wspominać stare dzieje. Obejrzał porażkę Lecha z Víkingurem Reykjavík w pucharach i zrobił się sentymentalny.

– Sławek, co to są za dziady teraz. Co oni grają... Ty pamiętasz, jak my golili w Lidze Europy te Juventusy i Manchestery? To były czas, nikogo my się nie bali!

Wszystko byłoby okej, gdyby nie fakt, że Lecha trenowali wtedy Jacek Zieliński i José Mari Bakero.

W drodze na szczyt

W czwartej lidze grało mi się równie łatwo co w okręgówce – mieliśmy zespół, który do awansu poprowadziłby nawet mój Marcel. Dodatkowo Kwiecień dał profesjonalne kontrakty każdemu

zawodnikowi i o ile rok wcześniej kilku chłopaków na co dzień normalnie pracowało, a w piłkę grało w czasie wolnym, o tyle teraz wszyscy skupiali się wyłącznie na futbolu.

Po drodze na szczyt wygramy regionalny Puchar Polski. Dzięki temu awansowaliśmy na szczebel centralny, gdzie trafiliśmy na pierwszoligowy Chrobry Głogów. I sensacyjnie wygramy 2:1, po dwóch bramkach Bąka. Znowu znaleźliśmy się na czołówkach gazet, niektórzy wieszczili nam nawet drogę Błękitnych Stargard Szczeciński, którzy kilka lat wcześniej doszli aż do półfinału. W kolejnej fazie 5:0 rozbiła nas jednak Garbarnia Kraków i sen się skończył.

Po tej wpadce nie miałem humoru przez kilka dni. Podobnie jak prezes, który strasznie to przeżył. Mieliśmy potencjał, aby powalczyć z Garbarnią i awansować, ale Franek dzień przed meczem wymyślił, że przejdziemy na system z trzema obrońcami, i rywale bezbłędnie to wykorzystali. Mieli nas rozczytanych jak juniorów i już do przerwy mogli strzelić sześć czy siedem goli. Na dodatek w tym meczu doznałem kontuzji, więc pech był podwójny.

Regionalny puchar udało nam się wygrać także rok później, dzięki czemu po raz drugi z rzędu przebiliśmy się do drabinki ogólnopolskiej. I kolejny raz lepszy od nas okazał się drugoligowiec, tym razem Radunia Stężyca.

W lidze kosiliśmy jednak wszystkich. Bez problemu zajęliśmy pierwsze miejsce, ponownie wygrywając niemal wszystkie spotkania. Po drodze zdarzyła nam się jedna porażka, która przerwała niemal trzyletnią serię Wieczystej bez przegranego meczu. Byliśmy niepokonani przez tysiąc czterdzieści cztery dni – w tym czasie wygramy pięćdziesiąt dziewięć razy i czterokrotnie remisowaliśmy. Aż ograła nas drużyna Wiślanie Jaśkowice. Niestety była w tym także moja zasługa, bo na początku meczu straciłem równowagę podczas wykonywania rzutu karnego i przestrzeliłem. Prawda jest jednak taka, że zlekceważyliśmy rywali. Wygramy mecz za meczem i pojawiła się rutyna. „Kolejni do ogolenia” – żartowaliśmy w szatni i w końcu dostaliśmy karę.

Na szczęście nie miało to wpływu na układ tabeli i mimo to wygramy ligę. Aby awansować, musieliśmy jednak jeszcze pokonać w barażu rezerwy Termaliki. Trochę się przed tym

dwumeczem stresowałem, bo Słoniki wygrały swoją grupę z ogromną przewagą, poza zwycięstwami notując tylko dwa remisy i dwie porażki. Ale okazało się, że stres był zbędny. W pierwszym meczu na własnym stadionie wygraliśmy 4:0, w rewanżu poprawiliśmy 3:0. I awans był nasz!

Świętowanie zaczęło się już w szatni, bo mieliśmy przygotowane szampany, którymi zaczęliśmy się oblewać. Później, zanim jeszcze zdążyliśmy wyjechać z Niecieczy, zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej i wyszliśmy stamtąd z kilkunastoma torbami browarów i mocniejszych trunków. A później cała drużyna spotkała się w knajpie Grill Bar Posterunek w Krakowie, do której zaprosili nas jej właściciele. I tam bawiliśmy się do białego rana.

Dzięki sukcesom o Wieczystej zrobiło się jeszcze głośniejsze. Trzy lata wcześniej kibicowała nam ledwie garstka najwierniejszych kibiców, a teraz na każdym meczu mamy przynajmniej tysiąc osób, które wspierają nasz zespół. Komplet jest także w akademii, która staje się coraz bardziej popularna. Wszystko to dowodzi, że szalony na pierwszy rzut oka projekt prezesa Kwietnia ma sens.

Tuż po awansie dostałem zaskakującą propozycję. Zadzwoił do mnie Adam Majewski, kumpel z plockich czasów. Adaś, który był trenerem Stali Mielec, zaoferował mi kontrakt na rok. „Potrzebuję kogoś, kto pomoże nam utrzymać się w lidze” – kusił. W normalnej sytuacji pewnie nie zastanawiałbym się nad tym choćby minuty. W wieku trzydziestu siedmiu lat – po dwóch sezonach spędzonych w amatorskich ligach – mogłem przecież wrócić do Ekstraklasy. Komu się coś takiego przydarzyło? Ale po krótkim namyśle odmówiłem. Po pierwsze, moje ciało przyzwyczyło się już do innych obciążeń. Po drugie, wciąż miałem umowę z Wieczystą. A po trzecie, moją przyszłość – także po zakończeniu kariery, które zbliża się wielkimi krokami – wiązę z Krakowem. Nie wiem jeszcze, na jakim stanowisku, ale chciałbym pracować w Wieczystej przez długie lata.

Może kiedyś zostanę nawet jej trenerem? Na początku roku zapisałem się na kurs UEFA B+A i jak dobrze pójdzie, to za kilka miesięcy zdobędę uprawnienia do prowadzenia drużyny aż do poziomu drugiej ligi włącznie. Za sobą mam też najlepszy piłkarski

uniwersytet – najlepszy, bo praktyczny. Wykładali w nim Leo Beenhakker, Waldemar Fornalik, Adam Nawałka, Ståle Solbakken czy Piotr Nowak. Uczyli mnie nie tylko tego, co powinien robić trener, ale także tego, czego pod żadnym pozorem nie powinien.

Sporo dowiedziałem się również od Smudy, który niestety niedługo po awansie stracił pracę. Na letnim obozie w Austrii potraktował nas trochę za ostro i byliśmy zajechani. Co prawda mieliśmy siłę, aby biegać, ale brakowało nam dynamiki i szybkości. Poza tym lepsi byli też przeciwnicy. Na boiskach spotykałem coraz więcej doświadczonych ligowców, takich jak Przemek Pitry czy Rafał Grodzicki. Każdy z nich robił wszystko, aby utrzyć nam nosa, bo pokonanie Wieczystej gwarantuje pochwały i zainteresowanie mediów.

Po kilku przegranych meczach Kwiecień więc uznał, że drużynie potrzebny jest wstrząs. Rozmawiał wówczas z kilkoma szkoleniowcami, ale ostatecznie zdecydował się na Dariusza Marca, z którym szybko pokonaliśmy kryzys i ruszyliśmy w podróż na szczyt tabeli. W momencie gdy kończę pisać tę książkę, Wieczysta jest liderem i jestem przekonany, że tak zostanie do końca sezonu. Czy po ewentualnym awansie będę konturował karierę? Ta kwestia jest wciąż otwarta.

Jak stracić miliony

Dzięki futbolowi mogłem żyć na wysokim poziomie. Zawsze myślałem jednak o tym, aby zabezpieczyć przyszłość mojej rodziny. I nie tylko w trakcie gry w Wieczystej, ale także wcześniej próbowałem różnych biznesów. Większość z nich niestety nie wypaliła. Co tu kryć – często byłem naiwny. Dawałem pieniądze ludziom, których znałem zaledwie od kilku miesięcy. Wydawało mi się, że są godni zaufania i mają świetny plan, a zazwyczaj zamiast złotego strzału wychodziła wielka kłapa. Tak było z zegarkami Vendetta, które miały podbić Polskę. Zainwestowałem w nie sto tysięcy złotych, które przepadły na zawsze. Przez chwilę byłem też współwłaścicielem baru Team Spirit, który w Sopocie rozkręciliśmy razem z Kubą Wawrzyniakiem, Grzegorzem Kuświkiem i Dušanem

Kuciakiem. Mieliśmy pecha, bo tuż po otwarciu wybuchła pandemia i wkrótce musieliśmy zamknąć knajpę.

Najgorszym biznesmen w życiu był jednak zakup kilku tirów niemieckiego piwa. Pomysł na interes podrzucił mi mój były menadżer Andrzej Grajewski. „To okazja, teraz albo nigdy” – przekonywał. Za milion złotych kupiliśmy więc setki butelek. Mieliśmy je ściągnąć do Polski i sprzedać z zyskiem, ale po sprowadzeniu towaru okazało się, że data spożycia wygasa za dwa miesiące! Nie było więc ani kasy, ani piwa. Dodatkowo wkurwiłem Anię, bo pól bańki, które straciłem, wziąłem z naszej lokaty przeznaczonej na czarną godzinę. I oczywiście nie zapytałem wcześniej żony o zgodę...

Mnóstwo forsy wydałem także na tak zwane życie. Najwięcej chyba na samochody. Miałem ich kilkanaście: opła astrę, bmw 3, mercedesa ml, bmw gt, porsche cayenne, range rovera, który zresztą został skradziony w Polsce, audi a7... Większość kupowałem za gotówkę. Dopiero kiedy w Gdańsku założyłem działalność gospodarczą, zacząłem korzystać z leasingu. Forsę przepalałem także na ciuchy, co akurat jest znakiem rozpoznawczym piłkarzy. Pamiętam, jak moja mama przyjechała, aby pomóc nam spakować się w Kolonii. I łapała się za głowę, widząc nienoszone nigdy koszule po dziewięćset euro i kurtki po dwa tysiące, które w szafie wisiały jeszcze z metkami... Nie miałem wtedy oporów, aby lecieć na wakacje do Dubaju i wydać sześćdziesiąt tysięcy. Albo zapłacić dwadzieścia koła za kolację na lbizie, na której byłem z „Grosikiem” i Arturem Borucem. Zdarzało mi się wziąć prywatnego jeta z Warszawy do Kolonii za pięćdziesiąt tysięcy albo dwa razy tańszy odrzutowiec z Warszawy do Krosna. Szalałem, bo miałem za co. W Bundeslidze za jeden punkt FC Köln płaciło dziesięć tysięcy euro. Po zwycięstwie na konto – po przeliczeniu – wpływało więc około stu trzydziestu tysięcy złotych. Za jeden mecz! A więc wydawałem, wydawałem, wydawałem... Dopiero po latach przyszła refleksja, że mogłem żyć trochę skromniej. I tak udało mi się odłożyć sporą sumkę, ale gdybym lepiej dysponował gotówką, mógłbym dziś mieć pięć mieszkań więcej.

Czasami jednak warto było zaryzykować. Tak było z wódką marki Peszko. O stworzeniu mojego alkoholu myślałem od dawna, ale gdy

grałem w Ekstraklasie, nie wypadało tego robić, bo pomysł był dość kontrowersyjny. Gdy więc trafiłem do Wieczystej, postanowiłem w końcu spełnić marzenia. Poznałem kilka osób, które pomogły mi rozkręcić biznes, i latem 2020 roku toruński Polmos wyprodukował pierwszą butelkę... Po jakimś czasie nasz grafik wymyślił, żeby butelkę „ubrać” w biało-czerwoną koszulkę reprezentacji. I to był strzał w dziesiątkę, bo wódka sprzedaje się bardzo dobrze. Jeszcze niedawno w ofercie była nawet możliwość dostarczenia przeze mnie kilku kartonów, na przykład na wesele albo urodziny, ale po jakimś czasie musiałem z tej opcji zrezygnować, bo chętnych, aby napić się ze mną kielicha, było zbyt dużo, a czasu na podróże po Polsce miałem za mało. Chociaż może kiedyś do tego wrócę.

Dobrze zainwestowałem także w nieruchomości. Mam dziesięć mieszkań w Płocku, Warszawie, Gdańsku i Poznaniu, które wynajmuję. To moja polisa na przyszłość.

Od jakiegoś czasu zaangażowałem się także w reklamę. Zostałem twarzą firmy Xblitz, producenta alkomatów. Podpisałem także kontrakty z producentem odzieży sportowej Keeza i bukmacherem Superbet. Dzięki tej współpracy miałem okazję wystąpić w spocie razem z Jurkiem Dudkiem, Lukaszem Podolskim i mistrzem UFC Jankiem Błachowiczem. A tuż przed mundialem – na który jadę, aby relacjonować mecze Polaków – wziąłem udział w nagraniu globalnego klipu Superbetu. Na stadionie Steauy Bukareszt realizowała go ekipa filmowa z Londynu, a poza mną, Dudkiem i Tomkiem Smokowskim na planie byli jeszcze Ilie Dumitrescu i Florin Răducioiu! Gdyby ktoś nie wiedział, Dumitrescu to legenda rumuńskiej piłki, a Răducioiu jako pierwszy piłkarz w historii futbolu zagrał we wszystkich pięciu czołowych ligach Europy.

Pół człowiek, pół litra

Futbol zapewnił mi także popularność. Przez lata powstało o mnie tysiące memów i gdyby płacono mi od każdego, byłbym milionerem. Bo gdy ta forma żartów i drwin zrobiła się popularna, szybko stałem się inspiracją dla prześmiewców. Ale sam też potrafiłem się z tego śmiać. „Robert, jak masz problem z barkiem, to wpadnę ze swoim alkoholem” – ten mem zawsze mnie śmieszył. Świetny był też ten po

kontuzji Kamila Glika, który przed mistrzostwami świata w Rosji rozwaliał się na treningu. Na jednym zdjęciu pasek z TVN i pytanie: „Co z barkiem Glika?”, na drugim moja uśmiechnięta twarz i podpis: „Już pusty...”. Kapitalne! Najbardziej bawią mnie jednak obrazki z Aleksandrem Kwaśniewskim. Na jednym pan prezydent trzyma szalik z napisem „Peszko”, na innym pytam go, czy idziemy na kielicha, a on odpowiada: „Pytasz dzika, czy sra w lesie?”. Może to niezbyt wyszukany humor, ale idealnie pasuje do szatni. Zresztą Kwaśniewski jest jedną z osób, z którą chętnie bym się spotkał. I... wiadomo co jeszcze. Na zdrowie, panie prezydencie!

Ogromną zasługę w budowaniu mojej popularności ma portal Łączy nas piłka. Tu kij miał jednak dwa końce. Z jednej strony dzięki filmikom na YouTube stałem się jeszcze bardziej rozpoznawalny i rzadko zdarza się, żeby ktoś nie podszedł do mnie po autograf czy fotkę, ale z drugiej ludziom zaczęło się wydawać, że są moimi kolegami. „Sławek, dawaj na kielicha” – słyszę od obcych osób za każdym razem, gdy jestem na dyskotecie albo w pubie. A przecież to oczywiste, że przy znajomych zachowuję się inaczej niż w miejscu publicznym. Jeśli odmawiam, od razu pojawiają się komentarze, że mi odjechało, że patrzę na ludzi z góry. Jak się godzę – mówią, że faktycznie jestem pijakiem. Zatarł się też dystans pomiędzy mną a młodymi ludźmi, dla których jestem „Peszkinem”, nawet jeśli mógłbym być ich ojcem. Już nikt nie mówi na „pan” ani choćby „Sławek”. Jest tylko „Peszkin”. To samo dostrzegł kiedyś Wojtek Szczęsny, który nagle się zorientował, że dla ulicy jest po prostu „Szczena”.

Z tego, co dla niektórych byłoby obciążeniem, postanowiłem zrobić swój atut. Jeśli ludzie mają mnie za wesołka i gościa, który lubi się zabawić – a przecież taki jestem – to nie będę tego ukrywał. Wydaje mi się, że kluczem do mojej popularności jest naturalność. Bez niej byłbym tylko nieudaną kopią tego czy tamtego. Nie jestem superfit jak Arkadiusz Milik, nie jestem spokojny jak Łukasz Fabiański albo skromny jak Piotrek Zieliński. Jestem żywym dynamitem i bez sensu byłoby obcinanie mi lontu. Jednocześnie jeśli ktoś uważa, że jestem pijakiem lub alkoholikiem, to powinien się nad tym zastanowić. Mam trzydzieści siedem lat i wciąż gram w piłkę na niezłym poziomie. Mam kilka biznesów, których pilnuję, udzielam się

w mediach, podróżuję po świecie, codziennie rano odwożę dzieciaki do szkoły. Gdybym regularnie pił, dawno padłbym jak mucha. A trzymam się świetnie. Nie zmienia to faktu, że potrafię ruszyć w tango – jeśli tylko jest dobra okazja i równie dobre towarzystwo.

Kiedy jednak ktoś robi sobie ze mnie jaja, śmieję się najgłośniej w pokoju. Tak jak po odcinku *Blok Ekipy*, który opowiada o mnie i Kamili Grosickim. W epizodzie numer sto dwadzieścia jeden wpadamy z „Grosikiem” do klubu Speluno i bierzemy udział w zawodach w picciu. Gdy wydaje się, że wygram, do dyskoteki przychodzi pan Kwaśniewski. I wtedy pasuję, bo wiem, że z nim nie mam szans...

Zostałem także aktorem. Któregoś dnia zadzwonił do mnie Michał Micielski, mąż Tatiany Okupnik i menedżer Marcina Gortata. Powiedział, że potrzebuje charakterystycznej twarzy do nowego filmu Patryka Vegi. „Bierz Lewandowskiego i Szczęsnego” – zaproponowałem, a później podrzuciłem jeszcze kandydatury „Grosika” i „Wasyła”. Marcin jednak nie mógł pojawić się na planie, więc razem z Kamilem musieliśmy wziąć na barki przyszłość polskiej kinematografii.

Udział w filmie *Bad Boy* to była świetna zabawa, chociaż w trakcie nagrań jeden ze statystów tak kopnął piłkę, że trafił prosto w wartego kilkadziesiąt tysięcy złotych drona i go zniszczył. I przez cztery godziny musieliśmy czekać na nowego... Kiedy jednak w warszawskim Multikinie odbyła się oficjalna premiera, czekała mnie miła niespodzianka. Nasz reżyser wywołał ze sceny mnie i aktora Antka Królikowskiego.

– Kochani, wczoraj urodziny miał Antek, a jutro ma Sławek, więc zaśpiewajmy im *Sto lat* – zarządził i w taki sposób dostałem życzenia od Macieja Stuhra, Andrzeja Grabowskiego, Zbigniewa Zamachowskiego i kilku innych legend kina.

Może ktoś mógłby się obawiać tych wszystkich projektów, w których się pojawiaam, ale zawsze lubiłem wyzwania. Jeszcze jako piłkarz Wisły oddałem mojego bentleya continentala do programu *Odjazdowe bryki braci Collins*, w którym chłopaki tuningują auta. Wziąłem udział w formacie Filipa Nowobilskiego *Duży w Maluchu*, w trakcie którego o mało nie spowodowałem kraksy tym jego słynnym fiatem 126. Byłem również gościem w show Kuby

Wojewódzkiego, chociaż jeśli mam być szczery, to długo mu odmawiałem. Wiem, jaka jest formuła programu – gwiazdą jest tam Kuba. Ale skoro wcześniej pojawiali się u niego „Lewy” i „Szczena”, to w końcu dałem się namówić. Przed programem poprosiłem tylko, żeby cała rozmowa nie dotyczyła wyłącznie moich alkoholowych przebojów. Nie znałem pytań, nie wiedziałem, o czym będziemy dyskutować, więc adrenalina była spora, ale chyba wyszło całkiem nieźle.

Dzięki piłce nożnej poznałem też niesamowitych ludzi. Raper Rychu Peja wpadał do mojego mieszkania w Poznaniu, z aktorem Czarkiem Pazurą wypiliśmy kielicha na weselu Lewandowskiego, poznałem tam także Quebonafide. Zakumplowałem się również z innym muzykiem, Kubańczykiem. Wszyscy oni wiedzieli, kim jest Sławomir Peszko (Kubańczyk zaśpiewał nawet o mnie w swojej piosence). I chociaż wiadomo, że każdy z nich śmiał się głównie z jednego, to życzę każdemu polskiemu piłkarzowi, aby – tak jak ja – stał się częścią popkultury.

To koniec. Ale i początek

Kiedy patrzę na wszystko, co za mną, nie mam wątpliwości, że udało mi się to przeżyć dzięki wspaniałym ludziom. Czasem mówię mojej Ani: „Dziewczyno, gdyby nie ty, to grałbym w Realu Madryt, bo zamiast siedzieć z tobą na randkach, cały czas bym trenował i byłbym jeszcze lepszy”. A ona zawsze odpowiada: „Chłopaku, gdyby nie ja, byłbyś menelem pod budką z piwem”. I jest to znacznie bliższe prawdy. To cud, że wytrzymała to wszystko u mojego boku. Ale już taki jestem. Charakter można zmienić i go ukształtować, ale temperamentu nie da rady. Chodziłem kilka razy do psychologa i próbowałem okiełznać moją naturę, ale nic z tego nie wychodziło. Tym bardziej jestem wdzięczny mojej żonie. Od lat jest nie tylko moją przyjaciółką, ale też matką naszych wspaniałych dzieci, Marcela i Wiki.

Bardzo dużo zawdzięczam rodzicom, teściom, a także braciom, z którymi do dziś utrzymuję świetny kontakt. Obaj są daleko od piłki, mają swoje życie, ale wiedzą, że zawsze mogą na mnie liczyć.

W piłce spotkałem wielu fantastycznych ludzi, z którymi przyjaźnię się do dziś: „Lewego”, „Grosika”, „Gliksona”, Lukasa Podolskiego czy Adriana Mierzejewskiego. I nie są to przyjaźnie na pokaz, których w świecie futbolu nie brakuje. Kiedy dzwonię do Roberta i mówię mu, że chcę wpaść na jakiś mecz – kiedyś do Monachium, a teraz do Barcelony – nigdy nie pozwala mi spać w hotelu i zawsze gości mnie u siebie. Gdy zdecydował się na transfer do Barcy, wiedziałem o tym pierwszy. A gdy Robert i Ania rozpakowywali się w Hiszpanii, pomagała im moja żona. Tak samo jest z Lukaszem i Kamilami. Wiem, że gdybym zadzwonił do nich w środku nocy, to nie tylko odbiorą, ale i popędzą mi z pomocą. Podobnie jak ja im.

Ważne dla mnie osoby spotkałem również w miejscach, w których grałem w piłkę. Rodzina Machowskich z Płocka traktowała mnie jak trzeciego syna. Trenerzy Jan Stanisław, Marian Cygan, Krzysztof Wachaczyk i Grzegorz Wenerski wychowali mnie na dobrego człowieka, a Rafał z Płocka, Paweł z Warszawy, Artur, Filip i Kuba z Kolonii czy „Szerszenie” z Gdańska przeżyli ze mną piękne chwile. Jestem wdzięczny także „Gianniemu”, bo chociaż opinia o nim nie jest najlepsza, to zawsze pomagał mi w trudnych momentach, i prezesowi Kwietniowi, dzięki któremu na nowo odnalazłem radość z futbolu.

To już koniec tej książki, chociaż nie koniec mojej niesamowitej podróży. Pamiętam, że kilka lat po przeczytaniu autobiografii Lance’a Armstronga doznałem szoku. Jego opowieść była piękna, wyobrażałem sobie, co ten facet przeszedł, aby stać się legendą. A później się okazało, że wszystko było wielkim kitem. Gdy zaczynaliśmy z Sebastianem pisanie mojej autobiografii, obiecałem sobie, że tu kitu nie będzie. Albo szczerze, albo wcale. I mam poczucie, że słowa dotrzymałem.

Teraz przede mną wiele nowych wyzwań. Chcę grać w Wiczyściej jak najlepiej i jak najdłużej, skończyć Szkołę Trenerów PZPN, a kiedyś być może samodzielnie poprowadzić jakąś drużynę. Zamierzam też pomóc w karierze mojemu synowi Marcelowi, którego kuszą już najlepsze szkółki piłkarskie w Polsce. Planuję także rozwijać biznesy, a za jakiś czas – w końcu odpocząć.

Gdy ponad dwadzieścia lat temu wyjeżdżałem z Jedlicza do Płocka, nie miałem prawa wymarzyć sobie tego, co mnie później spotkało. Teraz również nie wiem, jaka stacja przede mną i co na niej czeka. Ale z pewnością to jeszcze nie koniec. Jednego jestem pewny – wciąż będzie się działo!

Sławomir Peszko. Peszkografia

Copyright © Sławomir Peszko 2022

Copyright © Sebastian Staszewski 2022

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2022

Redakcja – Grzegorz Krzymianowski

Korekta – Tomasz P. Bocheński / WIELE KROPEK, Dominik Leszczyński

Opracowanie typograficzne i skład – Joanna Pelc

Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Fotografie na okładce i w środku książki – Adam Mikołajczyk / Pracownia Męskich Portretów

Autorzy i wydawca dołożyli wszelkich starań, by dotrzeć do wszystkich właścicieli i dysponentów praw autorskich do ilustracji zamieszczonych w książce. Osoby, których nie udało nam się ustalić, prosimy o kontakt z wydawnictwem.

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Drogi Czytelniku,

niniejsza książka jest owocem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego i grafików. Prosimy, abyś uszanował ich zaangażowanie, wysiłek i czas. Nie udostępniaj jej innym, również w postaci e-booka, a cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści. Podawaj źródło ich pochodzenia oraz, w wypadku książek obcych, także nazwisko tłumacza.

Dziękujemy!

Ekipa Wydawnictwa SQN

Wydanie I, Kraków 2022

ISBN mobi: 9788382108804

ISBN epub: 9788382108811



Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:

Produkcja: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Dagmara Kolasa, Grzegorz Krzymianowski, Natalia Patarska

Design i grafika: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka, Julia Siuda

Promocja: Piotr Stokłosa, Łukasz Szreniawa, Aleksandra Parzyszek, Paulina Gawęda, Piotr Jankowski, Barbara Chęcińska

Sprzedaż: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga

E-commerce: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Marta Tabiś, Marcin Mendelski

Administracja: Klaudia Sater, Monika Kuzko, Małgorzata Pokrywka

Finanse: Karolina Żak, Honorata Nicpoń

Zarząd: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędziak

www.wsqn.pl

www.sqnstore.pl

www.labotiga.pl

SŁODKO-GORZKI ŚWIAT PIŁKI NOŻNEJ

Jakie to uczucie pokonać Niemców, ówczesnych mistrzów świata, na Narodowym? Co się czuje gdy piłka po twoim uderzeniu mija Davida Seamana, a ostatecznie eliminuje Manchester City? Nazywam się Sebastian Miła i miałem szczęście doświadczyć tego wszystkiego na własnej skórze. Ale wiem też co się czuje, gdy jesteś tylko jednym z wielu, a wszyscy wokół ciebie zdają się lepsi. Wiem co to znaczy zwątpienie, brak wiary w siebie.



**ZAPRASZAM WAS DO SŁODKO-GORZKIEGO ŚWIATA
PIŁKI NOŻNEJ. JEŚLI CHCECIE, BĘDĘ WASZYM
PRZEWODNIKIEM**

Szukaj w dobrych księgarniach



WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

**www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl
www.labortiga.pl**

TAKIEJ KSIĄŻKI JESZCZE NIE BYŁO – POLSKI FUTBOL TAKTYCZNIE OBNAŻONY!

Od przedwojennej „szkoły krakowskiej” i Józefa Kałuży przez futbol totalny w polskiej wersji z lat 70. XX wieku aż po reprezentację Adama Nawałki i Czesława Michniewicza. Michał Zachodny wziął na warsztat „polską myśl szkoleniową” i rozłożył ją na czynniki pierwsze, analizując przyczyny rzadkich zwycięstw i znacznie częstszych porażek polskiej reprezentacji. Znany analityk odmalowuje krajobraz piłki nożnej znad Wisły na przestrzeni dziesięcioleci, przedstawiając jej rozwój na tle taktycznych przemian w światowym futbolu.



**MICHAŁ ZACHODNY W SWOJEJ KSIĄŻCE
ODPOWIADA NA WIELE INNYCH PYTAŃ**

Szukaj w dobrych księgarniach

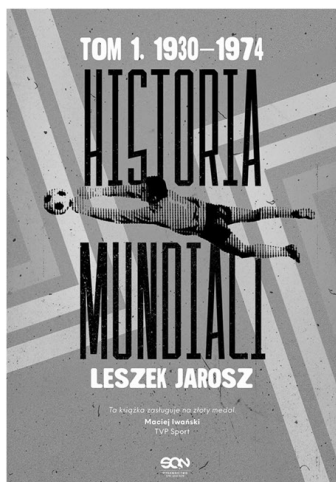


WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl
www.lahotiaa.nl

POD PIÓREM TEGO BADACZA MISTRZOSTW ŚWIATA FUTBOŁOWA HISTORIA WCIĄŻ TĘTNI ŻYCIEM

Leszek Jarosz stworzył prawdziwą historię mundialu, najbardziej popularnej imprezy sportowej na świecie. Przedzierał się przez zakurzone archiwa, nagrania radiowe i telewizyjne, gazety i wszelkie inne dostępne źródła, by zajrzeć tam, gdzie oko zwykłego kibica nie sięga, i podważyć mity, którymi przez dziesięciolecia żył piłkarski świat. W efekcie powstało monumentalne dzieło: kompletne, erudycyjne, szczegółowe, a jednocześnie pełne anegdot, ciekawostek i nieznanych opowieści.



**ZAPIERAJĄCĄ DECH W PIERSIACH
OPowieść o TURNIEJU**

Szukaj w dobrych księgarniach



WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

www.wsqn.pl

www.sqnstore.pl
www.labotiga.pl